



WAR BOOK

MARCIN
CISZEWSKI

MGŁA



MARCIN CISZEWSKI

Mgła

Spis treści

<u>Spis treści.....</u>	<u>3</u>
<u>Mgła.....</u>	<u>4</u>
<u>Rozdział 1.....</u>	<u>5</u>
<u>Rozdział 2.....</u>	<u>35</u>
<u>Rozdział 3.....</u>	<u>94</u>
<u>Rozdział 4.....</u>	<u>160</u>
<u>Rozdział 5.....</u>	<u>223</u>
<u>Od Autora.....</u>	<u>236</u>

Mgła

Mgła miała dopiero nadejść.

Barczysty Il 96 z niebiesko-czerwonymi oznaczeniami Federacji Rosyjskiej rozpoczął zniżanie zgodnie z poleceniem kontrolera lotów. Approach prowadził go pewną ręką, maszyna stopniowo wytracała prędkość dokładnie według procedury. Trzydzieści mil przed lotniskiem wykonała ostatni skręt, po czym weszła na kurs, który miał zaprowadzić ją na ścieżkę podejścia. Wszystkie systemy kontrolne działały bez zarzutu, powietrze stało nieruchomo, lekka mżawka unosząca się nad lasem ograniczała widoczność do ośmiuset metrów, co dawało akceptowalny margines bezpieczeństwa,

Nad Kabatami Il zmniejszył prędkość do stu pięćdziesięciu węzłów, osiągając wysokość tysiąca pięciuset stóp. Pilot ustabilizował maszynę, po czym otrzymał od approacha polecenie nawiązania łączności z wieżą kontrolną. Gdy usłyszał w słuchawkach głos z wieży, był dokładnie na początku ścieżki, dziesięć mil od progu pasa. Podwozie wysunęło się bez zakłóceń, sygnalizując prawidłowe położenie równym blaskiem lampek kontrolnych. Cztery silniki grały zmniejszonym ciągiem.

Wtedy samolot spadł.

Rozdział 1.

Kolumna jechała szybko, właściwie poza granicą bezpieczeństwa.

Trzy opancerzone toyoty landcruiser, dwa mercedesy vito z blaszanymi nadwoziami bez okien i zamykająca pochód niezgrabna ciężarówka saperska. Trzydziestu ludzi, dwadzieścia cztery pistolety maszynowe, dwa karabiny snajperskie, dwie śrutowe strzelby, kilkadziesiąt granatów hukowo-błyskowych, taran do rozbijania drzwi. Błyskające na dachach bomby zdmuchiwały opieszłych, ignorując wysyłane w ich kierunku życzenia wszystkiego najgorszego. Warszawska ulica spieszyła się po swojemu, warszawska ulica miała gdzieś pośpiech policyjnej kolumny.

Na siedzeniu pasażera prowadzącej terenówki siedział potężny, zarośnięty, ogorzały facet. Jego twarz wyglądała jak wyciosana z kamienia przez rzemieślnika mającego kłopoty ze wzrokiem i koordynacją ruchów. Policyjny mundur polowy i kamizelka kuloodporna, które ongiś ledwie dopinały się na potężnej klatce piersiowej, teraz niemal z niej zwisały. W prawym uchu wpatrującego się we wskazania systemu GPS mężczyzny tkwiła słuchawka, przed ustami wisiał niewielki mikrofon cyfrowego systemu łączności. Tylną kanapę zajmowało dwóch operatorów AT w pełnym umundurowaniu taktycznym. Wytlumione pistolety maszynowe spoczywały obok, zabezpieczone, ale gotowe do użycia.

Kolumna minęła skrzyżowanie z Wałbrzyską, po czym niemal nie zwalniając, wjechała na wiadukt prowadzący w stronę Ursynowa. Po kilkuset metrach skręciła w prawo, ignorując czerwone światło oraz wzbudzając popłoch i wściekłość kierowców, znużonych całodzienną pracą i marzących o kolacji w domowych pieleszach czy obejrzeniu ulubionego meczu w ulubionej telewizji.

- Wolniej - powiedział nadkomisarz Stanisław Krzeptowski, nadal wpatrując się w ekran nawigacji satelitarnej. Pierś unosiła się w rytm równego, spokojnego oddechu. Zbliżająca się akcja nie przyspieszała tętna nawet o uderzenie. Krzeptowski od dawna myślał o czymś innym. Przez całą dobę myślał o czymś innym. - W prawo.

Kierowca zdjął nogę z gazu, zjechał na prawy pas, a potem skręcił w boczną uliczkę. Reszta samochodów podażyła jego śladem.

Aukcja nie weszła jeszcze w najważniejszą fazę, mimo to każdy znający się na rzeczy bywalec mógłby zaryzykować twierdzenie, że jutrzejsze gazety będą pisać wyłącznie o

wielkim sukcesie. Kilkadziesiąt elegancko ubranych osób sprawiało wrażenie zachwyconych, choć większa część tylko udawała, mając we krwi demonstrowanie wystudiowanych póz. Główna bohaterka wieczoru budziła tyle samo podziwu, co zawiści. Była urodziwa, utalentowana i miała na koncie długie pasmo sukcesów. Gładkie rozmowy, wyszukane komplementy i starannie skonstruowane złośliwości stanowiły dla niej idealną oprawę. Błyszczała na ich tle niczym brylant. Nazywała się Helena Berezowicz. Długa czarna suknia o kosztownie prostym kroju podkreślała proporcjonalną figurę, eksponując wąską talię i szczupłe, choć silne ramiona. Jej uroda należała do nietuzinkowych, niewymagających podkreślenia makijażem czy biżuterią.

Klasyczne tematy wygrywane przez kwartet smyczkowy tak mocno pasowały do tego pomieszczenia i tych ludzi, że były niemal niezauważalne.

Na ścianach i specjalnych sztalugach zainstalowano kilkanaście dyskretnie oświetlonych obrazów namalowanych z ogromnym talentem, nawiązujących stylistycznie do twórczości Zdzisława Beksińskiego, które miały mu pochlebiać i wchodzić zarazem w polemikę za pomocą własnego, niepowtarzalnego charakteru pisma. Barwy, światło, półcienie, perspektywa zostały przez autorkę połączone w sposób, który zachwycał koneserów na całym świecie.

Pośrodku sali znajdowało się podwyższenie, którego centralne miejsce zajmowały sztalugi z „Nocą w mieście światła”. Najnowsze dzieło malarki ze spokojną pewnością siebie znosiło dziesiątki pożądliwych spojrzeń gości.

Helena bawiła się kieliszkiem wina, odpowiadała z życzliwym uśmiechem na powitania i zaczepki, ścisnęła dłonie, dla każdego miała kilka uprzejmych zdań. Obok stał Jonathan Lester, siwy sześćdziesięciolatek wyglądający i zachowujący się jak arystokrata. Kilkanaście lat temu jako pierwszy z licznej grupy międzynarodowych handlarzy dziełami sztuki zorientował się, jak bardzo ta zamknięta w sobie, piękna kobieta przewyższa wszystkich współczesnych konkurentów talentem, pracowitością i malarskim warsztatem. Zaprosił ją wraz z mężem na kolację; dwie godziny później został jej agentem, co okazało się najlepszym posunięciem w jego długim, bogatym w wydarzenia życiu. Ona malowała, on sprzedawał. Stanowili parę idealną. Dzięki jej bezkresnej kreatywności i jego biznesowym umiejętnościom krąg wielbicieli i chętnych do wydawania ogromnych sum kolekcjonerów rósł wykładniczo z każdym kolejnym obrazem.

Miejsce u drugiego boku gwiazdy wieczoru zajmował Jakub Tyszkiewicz. Nie odzywał się, obserwował otoczenie, badał, nie mogąc pozbyć się obrzydzenia dla swych zawodowych nawyków, które, przebywając w normalnym świecie, samokrytycznie brał raczej za fiksacje i

dziwactwa. Wyglądał na znacznie młodszego niż w rzeczywistości i zakochanego w stojącej obok kobiecie. Był jej mężem; niekiedy bywał najlepszym przyjacielem. W lewej dłoni trzymał kieliszek szampana, ale ktoś uważnie go obserwujący zauważyłby, że przez cały wieczór ilość dom perrignon pozostaje na niezmiennym poziomie.

Lester ujął dłoń Heleny i spojrzał na Jakuba.

- Mogę? - zapytał po angielsku z silnym akcentem z południa wyspy. Uśmiechał się przy tym uśmiechem, za pomocą którego otwierał serca i portfele możnych tego świata.

- To pan jest szefem - odparł Tyszkiewicz uprzejmie. Jego angielszczyźnie daleko było do perfekcji, co w ogóle go nie martwiło.

Lester skinął głową. Helena odstawiła kieliszek na tacę podsuniętą przez pojawiającego się jak spod ziemi kelnera, po czym oboje weszli na podwyższenie. Lester wziął do ręki mikrofon i stuknął weń dwa razy, upewniając się, że będzie słyszany. Każdy gest sprawiał wrażenie przemyślanego. Jonathan Lester nie zwykł zostawiać niczego przypadkowi, zwłaszcza gdy w grę wchodziły duże pieniądze. Gwar rozmów ucichł, zapadło pełne nerwowego napięcia milczenie.

- Dobri wieczór. Drodzi goszczcie, drodzy przyjaciele, witam was bardzo serdecznie - powiedział.

Tłum zareagował śmiechem i oklaskami.

Agent uśmiechnął się niczym zręczny prestidigitator, świadom, że przykuwający uwagę wstęp w dużej mierze będzie stanowił o sukcesie rozpoczynającej się aukcji.

- Pozwólcie jednak, że będę mówił językiem, w którym cokolwiek rozumiem... - kontynuował po angielsku. Publiczność zareagowała kolejnym wybuchem śmiechu. - Drodzy państwo, mam przyjemność zakomunikować, że rozpoczynamy sprzedaż najnowszego obrazu naszej wspaniałej artystki, naszej drogiej Heleny, pod tytułem „Noc w mieście światła”...

(brawa)

- ...co oznacza, że jestem całkowicie otwarty na przyjmowanie dowolnie dużych kwot uszczkniętych z waszych kont bankowych...

Oklaski i wybuch śmiechu zmieszały się jękiem udawanego i prawdziwego zawodu.

Kilkanaście osób wyjęło smartfony. Niewielu zachowało obojętne miny. Zaczynał się czas drapieżników, wielkich pieniędzy i szybkiego refleksu. Zwycięzca będzie tylko jeden. Reszta upije się gorzko.

Jakub dostrzegł, że Helena na niego patrzy. Zmrużył oczy i wykrzywił usta w ledwie dostrzegalnym grymasie. Ona zrozumiała. Uśmiechnęła się całkiem otwarcie, choć tylko do niego. Poczul znajomy dreszcz, taki sam jak wtedy, gdy przed wielu laty zobaczył ją po raz

pierwszy. Podniósł kieliszek w niemym toaście. Podziękowała. Byli umówieni. Późnym wieczorem ich małżeńska sypialnia zatańczy w rytm miłosnych figur. Takie chwile ostatnio nie zdarzały się często.

Lester powolnym ruchem wyjął smartfona, przez chwilę z irytującą, całkiem zresztą pozorną bezradnością szukał w kieszeniach okularów, w końcu znalazł je, założył, podniósł aparat do oczu. Przyglądał mu się czas jakiś, jakby nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Spojrzał na zebranych z dezaprobatą.

- Jest już pierwsza oferta. Mój Boże, tylko na to was stać? - zapytał teatralnym szeptem.

Śmiech przebiegający przez salę był znacznie cichszy i bardziej nerwowy niż przedtem.

- O, jest i druga. Dopiero teraz trzecia... Poprzednim razem byliście szybsi...

Cisza.

Helena ponownie spojrzała na Jakuba. Tylko on wiedział, ile wysiłku kosztowała ją obowiązująca w tym miejscu uprzejma nonszalancja. W głębi duszy była chodzącym własnymi ścieżkami odludkiem, nienawidzącym blichtru, fałszu i sztuczności. Pasowała do tego świata jeszcze mniej, niż jej mąż pasował do sztywnych reguł obowiązujących podczas ministerialnych narad.

W tłumie stał mężczyzna, na którego nikt nie zwracał uwagi, choć jego garniturowi daleko było do kroju i sznytu większości garniturów obecnych na sali. Nazywał się Piotr Komuda. Tłum nie zajmował się nim, on również nie zajmował się tłumem. Niezwracanie na siebie uwagi było jego zawodem. Patrzył tylko na jedną osobę. Poświęcał jej całą uwagę.

Nie obchodził go nikt poza Heleną Berezowicz.

Skრęcując, kolumna zwolniła niemal do zera, potem nieco przyspieszyła. Pirotechniczna ciężarówka, „beczka”, zakołysała się na nierównościach i dziurach w asfalcie. Migające na dachach bomby zgasły jak na komendę. Prowadząca terenówka zachowywała się niczym ogar, czujna i spięta, gotowa rzucić się w pościg za umykającą zwierzyną.

W końcu drogę zamknęła zatrzaśnięta na głucho parkingowa brama. Wozy stanęły.

Krzęptowski przez chwilę patrzył na dziesięciopiętrowy blok, który zdawał się rozsadać przednią szybę auta. Elewacja, popstrzona suszącym się na balkonach praniem i antenami satelitarnymi, mimo jasnokremowej barwy miała w sobie coś odpychającego. Trzeci alarm w ciągu tygodnia. Najprawdopodobniej trzeci fałszywy alarm w ciągu tygodnia. Informator, o ile jest mężczyzną, po raz kolejny okaże się grającym we własną grę złamanym kutasem, niczym więcej.

Westchnął. Pomyślał o wychudłym, zniszczonym, ledwie trzymającym się życia ciele

swojej żony. I jej udręczonych, pełnych pretensji do świata oczach.

Wtedy zadzwoniła komórka.

Lester podniósł do góry smartfona. Miał poważną minę. Czas kontrolowanego luzu dobiegł końca.

- Stop - oznajmił. - Aukcja zamknięta. „Noc w mieście światel” została sprzedana. Nabywca za chwilę otrzyma ode mnie potwierdzenie zawarcia transakcji. Formalności dokonamy nazajutrz w moim warszawskim biurze. Na razie chciałbym zakomunikować, że zasadnicza część dzisiejszego wieczoru została zakończona. W związku z powyższym bar jest już otwarty.

Oszczędne brawa. Kilka starannie skrywanych przekleństw. Parę nagle wykwitłych purpur na twarzach. Przegrani łypali po sobie, starając się dojść, któremu z nich udało się tym razem zarobić dużo pieniędzy. Pomijając wartość artystyczną, mimo wysokich cen zakupu wszystkie bez wyjątku obrazy Heleny szybko zyskiwały na wartości i okazywały się znacznie lepszymi lokatami kapitału niż złoto czy udziały w agresywnych funduszach inwestycyjnych.

Helena szepnęła coś do Lestera, on odpowiedział jej szybko. Kiwnęła głową, po czym, nadal z uprzejmym uśmiechem przyklejonym do twarzy, zeszła z podwyższenia. Mimo wieloletniej obecności na rynku handlu dziełami sztuki w jakiś dziecinny, pełen naiwnego niezrozumienia sposób przyjmowała do wiadomości fakt, że w ciągu kwadransa stała się bogatsza o sumę, na którą dobrze zarabiająca stołeczna rodzina musiałaby pracować przez trzy lata - i to odliczywszy piętnastoprocentową prowizję agenta. Nauczyła się z tym żyć, choć w głębi ducha uważała, że ma do czynienia z jakimś rodzajem cudu. Albo cholernej paranoi, w której zanurzał się świat.

Jakub wyciągnął przed siebie kieliszek.

- Gratuluję - powiedział. Czuł dumę, ale nie tylko. W dole brzucha doświadczał czegoś, czego nie umiał nazwać. Nawet nie próbował; bał się chwili, gdy mu się uda.

- Zawsze sobie obiecuję, że poprzedni raz był ostatni - westchnęła, rozglądając się za kelnerem.

Tyszkiewicz tym razem pozwolił sobie na maleńki łyk szampana. Trunek był już ciepły i pozbawiony gazu. W gruncie rzeczy smakował jak zaprawiony spirytusem zwietrzały sok z winogron.

- Musisz przestać malować obrazy, na widok których twój agent dostaje amoku - szepnął.

Helena była zbyt zmęczona, by zareagować na zaczepkę.

- Jonathan chce, żebym w przyszłym miesiącu pojechała do Londynu. „Noc” kupił jakiś obrzydliwie bogaty spekulant giełdowy.

Tyszkiewicz podniósł brew. Jego szczupła twarz poszarzała nieco.

- Z tobą w pakiecie? - zapytał. Myślał o tym, co zdarzy się dziś wieczorem w ich sypialni. Jeszcze przed chwilą był pewien. Teraz wiara parowała.

- Facet koniecznie chce mnie poznać.

- Mam coraz silniejszą konkurencję.

Helena przekrzywiła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Znał to spojrzenie. Zwykle po nim klócili się lub kochali jak wariaci.

W dole brzucha nadal bolało, może nawet bardziej.

Powiedziałby coś, czego być może później by żałował, ale z kieszeni marynarki dobiegł głośny riff „Smoke on the Water”. Telefony i mody na dzwonki zmieniały się jak w kalejdoskopie, ale ta rzecz pozostała niezmienna. Tyszkiewicza bawiła irytacja różnych nadętych urzędników, gdy podczas narad zapominał wyciszyć telefon. Poza tym lubił ten numer i ten zespół. Miał wszystkie płyty; samochodowy zestaw nagłaśniający często dudnił w rytm „Made In Japan”, „Machine Head”, czy „Burn”.

Wyciągnął komórkę i spojrzał na wyświetlacz.

- Przepraszam - mruknął, podnosząc telefon do ucha.

- Jasne. - Helena wzięła kieliszek. Alkohol przyniósł niemal natychmiastową ulgę. Żałowała, że nie pomyślała o tym wcześniej.

- Tyszkiewicz.

- Dobry wieczór, szefie - powiedział miękki, kulturalny alt. Kika dowodziła sklepikiem na wieczornej zmianie. Sześć lat pracy w Biurze, nerwów, kryzysów, świata wypełnionego przemocą i brudem nie zdołało zabić w tej młodej kobiecie wewnętrznej pogody. I jakiegoś rodzaju piękna. - Przepraszam, że przeszkadzam...

- Mów.

- Znowu odezwał się informator. Podał adres.

- Przyślij.

- Już wysłałam. Nadkomisarz ruszył pięć minut temu.

- Dzięki.

Rozłączył się.

- Idziesz? - zapytała Helena. Dłoń z kieliszkiem drżała lekko.

- Przepraszam - odparł, choć nie było mu przykro. - To naprawdę ważne.

Pocałował ją, nie patrząc w oczy, po czym zaczął przepychać się przez tłum. Nie

zauważył faceta w niepasującym do otoczenia garniturze ani aktorki pretendującej do roli gwiazdy drugorzędneho serialu. Wyszedł do lobby, nie zwracając uwagi na dwóch wygolonych na łyso ochroniarzy, którzy nie zwracali uwagi na niego. Usłyszał piknięcie SMS-a. Wybrał numer, który miał na pulpicie oznaczony numerem dwa.

- Cześć, Kuba - usłyszał. Głos Krzeptowskiego brzmiał niczym papier ścierny szorujący po metalu. Niższy i niższy każdego dnia.

- Informator był pewien?

- Wtedy też był pewien.

- Nie wchodźcie beze mnie.

- Mamy lekkie spóźnienie. Podobno on zaraz może sobie pójść.

- Jestem niedaleko. Zdążę. Gdyby coś, dzwoń.

- Przyjąłem.

Jakub wrzucił telefon do kieszeni. Wyszedł na zewnątrz. Październikowy wiatr wpełchnął mu pod marynarkę kłęb wilgoci i garść igieł chłodu. Szybkim krokiem przeciął jasno oświetlony parking, zapchany kosztownymi samochodami. Pstryknął pilotem, volvo błysnęło światłami. Wsiadł, przez okno wyrzucił bombę na dach, zapalił silnik i wyjechał z parkingu. Włączył się do ruchu, wymuszając pierwszeństwo na autobusie, który za pomocą klaksonu obrzucił go bluzgami. Miał kilka minut, by przejechać dziesięć kilometrów w wieczornych korkach. Westchnął, włączył syrenę i dodał gazu.

Helena nadal uśmiechała się miło, Lester rozdawał wizytówki, ścisnął dłonie i poklepywał po plecach. Aktorka wypila dwoma haustami wino, o wiele za głośno odstawiała kieliszek na tacę, wzięła pełny, po czym podeszła do Heleny. Czuła szum w głowie, gdzieś na spodzie czaszki kołatała myśl, że wygłupi się i najprawdopodobniej zaszkodzi swej, i tak niezbyt imponująco rozwijającej się karierze, ale niewiele mogła na to poradzić. Od początku tej poronionej imprezy czuła tylko narastające dreszcze - zimne i gorące na przemian. Młody producent telewizyjny, z którym tu przyszła i któremu wcześniej kilka razy udostępniła swe nadal młode i zadbane ciało, po pięciu minutach przestał nawet na nią patrzeć, z widocznym požądaniem przyglądając się gwiazdzie wieczoru.

Nawet jest, kurwa, wyższa, pomyślała, stając naprzeciwko autorki „Nocy w mieście światel”. Z wysiłkiem wykrzywiła usta w czymś w rodzaju uśmiechu.

- Dobrze poszło, nie? - zapytała, zastanawiając się, czy bełkocze. Myśl niepodziewanie wydała jej się śmieszna. Nawalona jak stodoła aktoreczka na wernisażu cesarzowej europejskiego malarstwa, ubaw, kurwa, po pachy, nie? Czy może aukcji. Wernisażu czy

aukcji?

Byłe nie roześmiać się przedwcześnie.

W czarnych oczach malarki błysnęło obrzydzenie.

- Dobry wieczór - odparła.

Aktorka gwałtownie pochyliła się do przodu. Zawartość kieliszka poszybowała w powietrzu, a potem rozprysnęła się w okolicach dekoltu z absurdalnie głośnym plaśnięciem.

- Akurat starczy ci na pralnię - rzuciła, po czym jednak zaczęła histerycznie chichotać.

Helena, oślepią kroplą, która wpadła jej w kącik prawego oka, cofnęła się gwałtownie i nie dostrzegła, że przy boku napastniczki jak spod ziemi wyrasta mężczyzna w szarym garniturze, łapie kobietę wpół i, chichoczącą w pijackiej czkawce, odciąga w tył, że Lester staje przed nią niczym tarcza, kilka kobiet zaczyna złośliwie się uśmiechać, a mężczyźni wyciągają szyje, by dostrzec, co się stało.

Facet w szarym garniturze wraz z aktoreczką zniknął równie szybko, jak się pojawił, a potem wszystko nagle ucichło.

Lester odwrócił się.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Pieprzona idiotka - odparła Helena, czując obrzydliwe zimno spływające wzdłuż ciała. Oko piekło ją na równi z narastającą w żołądku wściekłością. - Przepraszam na chwilę.

Cofnęła się jeszcze, potem odwróciła i szybkim krokiem wyszła z sali. Z hukiem zatrzęsnęła za sobą drzwi toalety.

Było pusto, marmurowe ściany lśniły czystością, każdy krok odbijał się krótkim, nieprzyjemnym echem. Helena ze złością wyrwała z pojemnika kilka papierowych ręczników. Plama na sukni sięgała pępka. Wino zaczęło wysychać, tworząc na skórze cienką, lepłą skorupę. Gdy była małą dziewczynką, starszy kolega zabrał jej zabawkę, kopnął w kostkę, a potem obrzucił przekleństwami. Pamięta, że płakała z bezsilnej złości; nie ulubionej lalki było jej żal, a naruszenia osobistej przestrzeni i upokorzenia. Nienawidziła poczucia bezsiły wobec agresji. Od tamtego czasu minęło trzydzieści lat, a wrażenie było równie wyraźne co kiedyś.

Pierdolona suka.

W torebce zawibrowała komórka. Helena przyjrzała się obrazowi w lustrze. Nie podobał jej się. W oczach lśnił gniew, zbyt duży i zbyt autentyczny. Usta zacisnęły się, a broda drgała lekko. Twarz wydłużyła się, nabierając dziwnie bezmyślnego wyrazu.

Sięgnęła do torebki. MMS z nieznanego numeru. Na ogół odrzucała połączenia, których źródeł nie знаła. Starła się przestrzegać zasady chronienia prywatności. Tym razem jednak

intuicja ją zawiodła.

Otworzyła plik, przez chwilę wpatrywała się w niego, potem zakryła usta dłonią. Wpadła do pierwszej z brzegu kabiny. Ledwie zdążyła z otwarciem kłapy sedesu. Chyba nigdy w życiu nie wymiotowała tak gwałtownie.

Jakub zajeżdżał na parking przed blokiem na Ursynowie kwadrans po ekipie Krzeptowskiego. W czasie jazdy zdołał założyć na siebie kamizelkę kuloodporną i przypasać broń. Dwie minuty przed dotarciem na miejsce wyłączył światła, bombę i syrenę. Zatrzymał się na samym końcu, tuż za beczką, po czym wysiadł.

Krzeptowski, górując o pół głowy nad najwyższym z operatorów, stał ukryty za jednym z vanów i wydawał polecenia Goździkowi. Obok samochodu pirotechnicznego Olbrycht pomagał założyć pancierz ochronny Sikorze. Wokół gromadzili się pierwsi gapie, sępy czujące padlinę, a może tylko nudę blokowiska, odpędzane przez dwóch nieco zdezorientowanych gliniarzy z prewencji. Blok rozglądał się wokół z obojętnością, choć to się wkrótce miało zmienić.

Tyszkiewicz otworzył bagażnik, wyciągnął kamizelkę taktyczną, założył ją, wrzucił do kieszonek cztery zapasowe magazynki, odpychając przelotną myśl, że wszystko to najpewniej robi niepotrzebnie. Krzeptowski i reszta ekipy powitali go krótkim skinieniem głowy.

- Status?

Goździk chrząknął.

- Przed klatką jeden snajper, drugi tam. - Wskazał na sąsiedni blok. - Ma widok na wskazane mieszkanie, ale gównem widzi. Zasłony...

- Co dokładnie powiedział informator?

- Podał adres. - Wzruszył ramionami Krzeptowski. Jego twarz była szara i mimo chłodu ociekała potem. - W środku ma być jeden lub dwóch. Informator nie był pewien.

- A czego był pewien?

- Że tam ktoś jest.

Tyszkiewicz spojrzał na Goździka.

- Mikrofon? Podczerwień? - zapytał.

- Przez mikrofon słyhać tylko jakiś pierdolony turecki serial. - Dowódca sekcji AT podrapał się za uchem. - Podczerwień nie daje rady przez zasłony.

- Czyli gównem wiemy.

Krzeptowski spojrzał ponad głowami rozmówców na blok. Chciał mieć to jak najszybciej za sobą.

- Informator twierdzi, że tym razem trafiamy - zachrobotał Krzeptowski.

- Trzeci raz to słyszę.

Milczenie. Jakub przyjrzał się Goździkowi, a potem Krzeptowskiemu. Nie powinien tego robić. Żaden z nich nie mógł ani nie chciał wyrećzyć go w podjęciu decyzji.

- Które piętro? - zapytał.

- Siódme.

- Topografia?

- Od windy korytarz w lewo, trzecie drzwi. Nie ma kraty. Da się podejść po cichu. Jak zacznę wciskać kamerę, narobię hałasu.

Tyszkiewicz nagle poczuł ciężar wiszącego na nim oporządzenia. Było mu zimno. Ludzi gromadziło się coraz więcej. Zajechał kolejny radiowóz prewencji. Parking zaczynał przypominać jakiś cholerny teatr chwilę przed premierą sezonu. Dyskrecja, i tak od początku iluzoryczna, zaczynała być całkowitą fikcją. Za chwilę jedynym sensownym ruchem będzie odwrót.

- Dobra. Wchodzimy. Najwyżej zapłacimy za drzwi.

Goździk podniósł dłoń.

- My wchodzimy. Generałowie zostają na tyłach.

Tyszkiewicz uśmiechnął się.

- A gdzie szacunek dla starszych stopniem?

Goździk nie trudził się, by odpowiedzieć. Machnął na swoich ludzi i ruszył w kierunku klatki schodowej.

Drzwi na korytarz uchylają się bezszelestnie. W szparze ukazuje się lufa wytłumionego pistoletu maszynowego, a potem trzymający go operator. Za nim wchodzi pięciu kolejnych, po nich facet dźwigający taran. Pochód zamyka Goździk. Żelówki butów niemal nie dotykają podłogi. Sznurek napompowanych adrenaliną ludzi idzie szybko, bez wahania, niczym jeden ośmiogłowy organizm. Mija pierwsze drzwi, później drugie, przy których stoi oklejony wesołymi kalkomaniami dziecinny wózek. Zatrzymuje się przy ostatnich. Wiodący operator zaczyna nasłuchiwać, potem pokazuje do tyłu, że sytuacja nie uległa zmianie. Do przodu wysuwa się człowiek z taranem. Dwóch operatorów odczepia od pasa flashbangi.

Pękające drzwi huczą, blok drży do piwnic. Dwa granaty lecą do środka, dubeltowa eksplozja trzęsie cienkimi ścianami - tym razem naprawdę głośno - wprawiając w histerię mieszkańców kilku sąsiednich pięter. Ośmiu operatorów rusza do przodu.

Przedpokój. Pusto.

Na wprost duży pokój. Pośrodku stół i kilka krzeseł, tapety, zestaw wypoczynkowy, duży telewizor, w którym jakiś ubrany w złotą szatę brodaty mężczyzna podniesionym głosem tłumaczy coś dwóm równie bogato odzianym kobietom, wyglądającym tak, jakby miały zaraz zostać zgwałcone.

Ryk zagłusza turecką fonetykę, składnię i sens.

- Policja! Na ziemię! Policja! Gleba, kurwa!

Obok stołu leży brodaty facet, jakoś dziwnie podobny do tego z ekranu. Ma nieprzytomne oczy, ogłuszony mózg, ale nerwowe ręce. Chce się podnieść, trochę nie potrafi. Walczy ze sobą, walczy z rzeczywistością, walczy z przekonaniem, że to już koniec. Stara się zwalczyć deficyt silnej woli. Dwóch operatorów dopada do niego, wyłamuje ręce. Rozpaczliwy ruch do przodu, mężczyzna próbuje wczłgać się pod stół. Dostaje w głowę kolbą pistoletu maszynowego; nieruchomieje. Sekundę później ma kajdanki. Szarpnięcie podrywa go na nogi. Idzie. Nie wie dokąd, nie wie po co, ale przecież musi. Ma wykręcone do tyłu ramiona, oczy patrzą na własne buty. Idzie. Musi.

Po lewej kuchnia.

Ruch przy szafce. Inny facet, bez brody, znacznie potężniej zbudowany niż ten w pokoju, o bardzo ciemnej karnacji, czarnych oczach, orlim nosie, ma refleks ulicznika. Jest szybki i wie, czego chce. Dopisuje mu przy tym szczęście: dwie ściany osłoniły go od pierwszego uderzenia i w jakimś stopniu wytłumiły huk flashbangów. Robi dwa szybkie kroki, być może boli go głowa i w uszach dzwoni potężnie, ale on tego nie zauważa. Nie chce walczyć z Goździkiem ani żadnym z jego ludzi.

Wyciąga dłonie, drzwiczki szafki lecą w bok, ruch w górę...

Goździk wie, że ma kilka sekund, cztery najwyżej. Równie jasno zdaje sobie sprawę, że może darować sobie okrzyki „Rzuć to! Rzuć to, kurwa! Policja!”. To jest jedna z tych chwil, na które czekasz przez całą służbę. Musisz zastygnąć w bezruchu, namierzyć cel i strzelić, raz a celnie. Musisz uspokoić oddech i zatrzymać bicie serca. Musisz zniknąć, zapomnieć, pozbyć się ludzkich cech. Masz okazję stać się prokuratorem, obrońcą, sędzią i plutonem egzekucyjnym. Masz szansę zostać zbawcą ludzkości, a przynajmniej tych wszystkich nieszczęsnych skurwysynów, którzy mieszkają piętro i dwa piętra wyżej, a także tych, co na dole. Masz szansę przekształcić się w Boga.

Goździk naciska spust, Heckler kaszle cicho w jedynym, niepowtarzalnym stylu, kula pokonuje dwa metry, przebija bark mężczyzny i, choć po zmienionej trajektorii, frunie dalej, rozbijając szklanekę. Kończy lot w ścianie. Facet wyje, chce działać dalej, ale organizm go nie słucha. Nogi robią się miękkie, niczym u pluszowego misia, energia pełnopłaszczyznowego

pocisku rzuca go na szafkę, grawitacja ciągnie w dół. Zdrowa ręka jest nadal wyciągnięta w górę, ale to już tylko gest rozpaczy, zapomniany rozkaz wydany ciału, nim jeszcze ogarnął je szok.

Mężczyzna opada na kolana. Goździk patrzy mu w oczy przez kolimator i ma w dupie jego nienawiść. Ma centralnie w dupie jego gniew i zawiedzione nadzieje. Ma gdzieś tygodnie planowania, przygotowań i szkoleń. Taka praca: im bardziej spierdolisz komuś życie, tym lepiej dla ciebie, a zwłaszcza dla twoich szefów.

Dwaj operatorzy wyskakują zza pleców Goździka, bokiem, poza linią strzału. Nim czarnooki podejmie jakąś decyzję, są już przy nim, kopią, wywracają, wbijają twarz w linoleum. Plastik kajdanek zaciągają mocno, by ból odebrał dech i chęć. Mężczyzna wyje, oni chcą, by był: kątem oka widzieli, po co sięgał. Bać będą się później, przy wódce. Na razie mają go pod kolanami i dłońmi podobnymi do hydraulicznych cęgów. Kości chrupią, krew z przebitego barku leje się coraz większym strumieniem; facet wywala oczy, błyska białkami, białe jak ser zęby szczerzą się do nich w uśmiechu, który jest uśmiechem półtrupa.

Podnoszą go, bezwolnego, dopiero wtedy Goździk opuszcza broń.

- Czysto - rzuca szef sekcji AT wprost w zawieszony przed ustami mikrofon. Czuje, że jest mu zimno. Kombinezon ma przepecony na wylot, plama na plamie, a on drży. Trzęsie się cały, ogarnia go mróz, pożera po kawałku. Spluwa, choć to utrudni życie tym, którzy przyjdą szukać śladów. Spluwa, bo inaczej zgromadzona w gardle flegma zabiłaby go. - Jest robota dla Olbrychta.

Tyszkiewicz wszedł na końcu, po pirotechnikach, nawet Krzeptowskiego puścił przodem. Czuł się właściwie zbędny, jak zawsze. Jego ludzie sami wiedzieli, co robić. Mieli procedury, które często omijali, dostosowując działanie do warunków, nigdy odwrotnie, mieli też szczęście; Jakub zastanawiał się nad dniem, w którym ono się skończy. Miał nadzieję, że będzie już wtedy na emeryturze.

Przyjrzał się najpierw jednemu, potem drugiemu zatrzymanemu, poczuł ukłucie zadowolenia, widząc worki na głowach, wykręcone ramiona, krew i ranę, klepnął po ramieniu Goździka, który nawet się nie odwrócił. Konwój zniknął mu z oczu, idąc w kierunku schodów. Dwaj operatorzy, klnąc i wrzeszcząc, zmiatali z drogi szybko napływających, dyszących z podniecenia sąsiadów. To, co działo się na klatce schodowej, było przecież ciekawsze niż wszystkie seriale razem wzięte.

Olbrycht wyszedł z kuchni bledszy niż zwykle.

- Zarządźcie ewakuację bloku - powiedział. Rutyna zjadała go, jak każdego. Może

wolniej niż innych. Nie dotknął jeszcze ściany możliwości, ale był niedaleko. Zbyt dużo pił. Zbyt mocno obchodzili go ludzie. Był profesjonalistą, który chce dobrze. Wielu uważało go za niebezpiecznego idiotę. Często był skłonny przyznać im rację.

Krzepkowski chrząknął.

- Tu mieszka ze trzysta osób. Zaraz będziemy mieli telewizję na łbie - powiedział. Głos znowu obniżył mu się o ćwierć oktawy, zbrzydł, brzmiał jak winylowa płyta odtwarzana od tyłu za pomocą gwoźdźca.

Olbrycht podniósł brodę.

- Jak jebnie to, co jest w tej szafce, będziesz miał na łbie trzysta trupów i wszystkie telewizje świata przez miesiąc - burknął. Gdy odsłonił zanieczyszczone nikotyną zęby, upodobił się do wilka ze starej sowieckiej kreskówki. Pewnie o tym nie wiedział.

Tyszkiewicz wysunął się do przodu.

- Dobra - zdecydował. - Nie zaczynaj, dopóki nie zapakujemy tych dwóch. Potem ewakuujemy ludzi. Telewizja ma wiedzieć o bombie, nie o terrorystach.

- Mnie tam wszystko jedno.

- To dobrze.

Tyszkiewicz spojrzał przed siebie. Sikora zakładał hełm. Był mokry od potu.

- Uważajcie na siebie.

Sikora machnął dłonią, Olbrycht przybrał obojętny wyraz twarzy.

Jakub spojrzał na Krzepkowskiego.

- Pojedziemy windą - powiedział.

Na parkingu operatorzy właśnie kończyli ładować obu zatrzymanych do vanów. Furgonetki jak na komendę włączyły silniki. Ruszyły w asyście terenówek. Szybko zrobiło się cicho. Potem znowu zrobiło się głośno; przyjechały kolejne samochody prewencji. Gapiów przybywało znacznie szybciej. Na końcu uliczki pojawił się pierwszy wóz z anteną satelitarną na dachu i krzykliwym logo trzyliterowego skrótu na burcie. Cuchnąca padliną rzeka manipulacji i kłamstwa przybierała. Wkrótce zerwie tamę.

Jakub wyjął telefon. Kika zgłosiła się po pierwszym sygnale.

- Cześć, tu Tyszkiewicz. Trafiliśmy. Przyślij techników.

- Już. - Podkomisarz Krystyna Kaczkowska obok refleksu miała szereg innych cech, które powodowały, że była lepsza niż wielu kolegów. Niektórzy nienawidzili jej za to. - Gratuluję, szefie.

- No, na razie się udało. - Tyszkiewicz poczuł znużenie, ociążałość, jakby ktoś wsadził jego ciało do basenu z melasą. - Jeden z zatrzymanych został ranny. Lekarz jest?

- Czeka.

- Dobrze. Ściągaj behawiorystów.

- Już. - Jakub usłyszał stukanie klawiatury. Polecenie właśnie szło w eter. Przez kilka lat współpracy zdążył się już przyzwyczaić, że dla Kiki równoczesne wykonywanie dwóch lub trzech czynności stanowiło coś w rodzaju intelektualnego rozruchu, odświeżającej odmiany od codziennej monotonii. - Wezwać tłumacza?

- Na razie nie. Zaraz dostaniesz mailem odciski palców. Daj to na bazę Interpolu. Może się czegoś o nich dowiemy. Wtedy wezwiesz.

- Oczywiście, panie podinspektorze.

- Jakub.

- Oczywiście, Jakubie.

Tyszkiewicz rozłączył się. Fajna dziewczyna. Szkoda, że pracuje w tak gównianym miejscu. Inaczej; miejsce może nie jest najgorsze, ale zbyt dobrze widać z niego gówniany świat. I człowiek zaczyna tym gównem przesiąkać, niezależnie jak grubą warstwą teflonu byłby pokryty.

Zgarbiony Krzeptowski stał nieco dalej i palił papierosa. Palił dużo mocnych papierosów. Do wyobraźni przemawiały mu obrazki i ostrzeżenia z opakowań. Liczył, że z każdym dniem będzie cierpiał coraz bardziej. Na razie nadzieja się nie spełniała.

- Jedź do domu - powiedział Jakub.

Krzeptowski zaciągnął się mocno, serdecznie, z całego serca.

- Jest robota - burknął.

- Której nie musisz robić.

- Samo się nie zrobi.

- Jedź. Mnie się nie spieszy.

Papieros zatoczył łuk w powietrzu i wylądował na trawniku. Krzeptowski spojrzał na Jakuba.

- Jak poszło? - zapytał.

Jakub mimowolnie skrzywił się.

- Chyba dobrze.

- Pozdrów ją ode mnie. Przepróż, że nie mogłem być.

- Pozdrowię, przepróż. Weź mój samochód.

Krzeptowski wziął kluczyki, postął jeszcze przez chwilę, potem ciężko powlókł się w stronę volvo.

Jakub odwrócił się. Telewizyjnych furgonetek przybyło, tłum reporterów rwał się do

boju, dysząc chęcią rozerwania na strzępy każdego, kto zechce stawić opór. Mimo późnej pory i oblepiającej wszystko październikowej mgiełki, mimo początku weekendu chętnych do zostania gwiazdą żółtego, niebieskiego albo jakiegoś innego paska nie brakowało.

Tyszkiewicz ruszył w stronę lasu mikrofonów i rozpalonych podnieceniem twarzy. Formalnie obowiązki reprezentowania Biura przed mediami spoczywały na Kice; dziewczyna miała dar mówienia prawdy idealnej, prawdy w rozumieniu Biura Zwalczania Terroryzmu Centralnego Biura Śledczego Policji. Posiadała wrodzony talent do operowania faktami, liczbami, statystykami, konkretami. Nigdy nie dawała zapędzić się do kąta, umiała dostrzegać haczyki i pułapki, nim jeszcze zostało zadane pytanie.

Potrafiła przygotować i sprzedać kłamstwo tak, by stało się bardziej wiarygodne od prawdy. Była mistrzynią kłamstwa tak doskonałą, że aż nierealną.

Tyszkiewicz nie miał Kiki pod ręką, a wiedział, że czekanie do jutra przyniesie tylko straty. Już wkrótce studia telewizyjne i radiowe, popularne i specjalistyczne portale zaroją się od komentatorów. Temat będzie wałkowany w rosnącej proporcji do deficytu faktów i stopnia fachowości ekspertów. Hipotezy urosną do rangi pewników. Zaczną obowiązywać fakty wydłubane z dup redaktorów prowadzących. Logika wyścigu informacyjnych pasków zastąpi wszystkie inne logiki.

Mając niejasne poczucie, że popełnia konieczny błąd, doszedł do wrzącej ściany. Zatrzymał się. Czuł bijący z tamtej strony żar i smród, jakby siarczane źródło postanowiło odetchnąć świeżym powietrzem. Sto języków czekało w gotowości. Sto par oczu wwiercało mu się w mózg. Czuł się nagi.

- Dobry wieczór - powiedział, starając się nie patrzeć na nikogo w szczególności. - Nazywam się Jakub Tyszkiewicz, jestem szefem Biura Zwalczania Terroryzmu Centralnego Biura Śledczego. Złożę krótkie oświadczenie i odpowiem na kilka pytań.

Helena lubiła swoje mieszkanie. Miało przestrzeń, światło, dużo teoretycznego optymizmu. Zaprojektowała i urządziła je sama, umiejętnie ignorując uwagi i zastrzeżenia Jakuba. Lubiała myśleć, że jest w tym miejscu pozytywna energia, choć wiedziała, że to bzdura; miejsca nie mają energii, ludzie ją mają, lub nie. Biel ścian może uspokajać lub doprowadzić do samobójstwa. Modernistyczne meble wywołać okresy pogodnego nastroju albo kazać człowiekowi gryźć obicia kanap.

Zrzuciła buty, mając wrażenie, że pozbywa się przytwierdzonych do stóp płyt chodnikowych. Lepki panczyk nie dość dokładnie wytartego wina, potu i gniewu nadal utrudniał ruchy. W dalszym ciągu nie potrafiła opanować wewnętrznego dygotu, oślizgłej

łapy ściskającej wnętrzości. Weszła do salonu i spojrzała przed siebie; namalowany wprost na betonie pierwowzór „Nocy w mieście światel” zajmował całą przeciwległą ścianę. Las nierealnych, ale jakoś swojsko-warszawskich wieżowców, monotonnych jak pustynia świadectw ludzkiej zachłanności i głupoty. Ulice niczym kaniony. Neony nadające trupi blask przechodniom. Wystawy. Chodniki. Samochody. Pracowicie zaplanowany chaos. Pamiętała dokładnie, kiedy wpadła na ten pomysł. Kupiła kilka butelek wina i pracowała non stop przez dwa dni. Ani razu się nie pomyliła; była jak w transie. Nawet nie myślała o tym, że podwyższa wartość mieszkania o milion lub więcej. Chciała mieć przed oczyma coś, co świadczyłoby, że potrafi, że rozumie, że choć w niewielkim procencie zasługuje na spływający na nią splendor. Coś ją do tego pchało: już dawno przestała uważać rosnące ceny obrazów za miernik swojej osobistej wartości.

- Dobry wieczór - powiedziała.

- Dobry wieczór, pani Heleno - odparła opiekunka, podnosząc się z sofy. Miała sześćdziesiąt pięć lat i była skarbem wartym każdych pieniędzy. Jej siwa fryzura pozostawała idealna o każdej porze dnia. Zmarszczki tylko dodawały urody.

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście. Zosia nie miała żadnych drgawek, zjadła kolację z apetytem. Potem jej czytałam. Leki dostała o siódmej.

- A Lolek?

- Słodki jak zwykle.

Helena uśmiechnęła się mimowolnie. Jej dzieci pochodziły z dwóch różnych światów. Były różnymi światami. Czasami myślała, że ich nie udźwignie, zapadnie się pod ciężarem, który wzięła na barki. Fakt, że mogła liczyć w tej kwestii na pełne poparcie Jakuba, nie miał tu nic do rzeczy.

- Będę się zbierać - oznajmiła starsza pani. - Aha, byłabym zapomniała. Kurier przyniósł paczkę. Tam jest. - Wskazała sofę, na której leżała duża żółta koperta.

Helena ledwie na to zwróciła uwagę.

- Naturalnie - odparła z roztargnieniem. - Dobranoc.

- Dobranoc.

Opiekunka wyszła do holu i zaczęła się ubierać. Helena postawiła ciężką jak ołowiana sztaba torebkę na stoliku. W końcu usłyszała trzaśnięcie drzwi.

Wzięła pilota do ręki i uruchomiła zestaw audio. Z pięciusetwatowych, robionych na zamówienie kolumn ruszyła muzyka. „Tutu” Milesa Davisa miało załatwić sprawy, których nie udało się załatwić żywym. Sekcja rytmiczna Billy Hart/komputer/Marcus Miller była tym,

czego potrzebowała.

Wyszła z salonu, przecięła krótki korytarzyk i weszła do jednego z pokoi. Powitała ją feeria łagodnych barw.

Pomalowane na różne kolory ściany, lampa rzucająca na sufit obracający się powoli obraz rozgwieżdżonego nieba - wszystko to otaczało stojące pod ścianą łóżeczko, w którym spała dziewczynka. Miała na imię Zosia i osiemnaście lat, ale wyglądała na siedem. Blond loki okalały śliczną, idealnie gładką buzię. Usta, wykrojone na wzór matki, były zamknięte; podczas snu zewnątrz świadectwo choroby zniknęło, upodabniając dziecko do całkiem normalnej małej dziewczynki. Nawet sterujący z lewego ucha implant nie przeszkadzał. Mała szmaciana owieczka jak zwykle spała tulona głęboko w ramionach. Wózek inwalidzki pławił się w blasku prawdziwego księżycy i sztucznych gwiazd. Resztę pokoju wypełniały szafki i specjalistyczny sprzęt do rehabilitacji - rolki, podciąg, piłki, drabinka. Rajski pokój tortur.

Helena pogładziła dziewczynkę po policzku; dopiero po chwili ogarnęło ją poczucie winy. Była brudna i nadal nie mogła pozbyć się dygotu. Pomyliła się; w jej żołądku nie było żadnej łapy. W jej żołądku zagnieździła się kompania krabów ze szczypcami wykonanymi z lodu. Wyraźnie poczuła ruch i zimno. A zaraz potem skurcz obrzydzenia.

Wyszła. W sąsiednim pokoju spał Lolek. Dobrze, że śpisz, Lolku. Dobrze, że nie możesz mnie teraz oglądać. Dobrze, że mnie o nic nie pytasz. Musiałabym kłamać. Mówić, że świat jest piękny, a ciebie czekają tylko dobre rzeczy. Chciałbyś tego słuchać. Masz dopiero sześć lat.

Dotknęła policzka chłopca zimnymi wargami, po czym opuściła pokój.

Prysznic miał uspokoić i dodać otuchy; naprzemienne zimne i gorące biczki tylko podrażniły skórę i spowodowały szybsze bicie serca. Krew stała się wrzącym ołowiem zatrutym radioaktywnym gównem.

Zaczęła myśleć.

Film. Pieprzone trzy minuty. Tylko trzy minuty. Aż trzy minuty. Więcej nie trzeba. Pamiętała ten moment: kolorowy, rozjarzony świat stał się w sekundę szary, lodowaty, klaustrofobiczny. Jej ciało znalazło się w cylindrze, a od góry naciskał tłok. Tytanowy, stutonowy tłok. Ona kurczyła się i kurczyła. Zastanawiała się, kiedy pęknie jej kręgosłup. Kiedy tłok zetknie się z dnem.

Oplukała się, wytarła, boso poszła do pracowni, gdzie czekał na nią bałagan i ledwie napoczęta butelka „Teyssier Saint Émilion Grand Cru”. Wypiła, nie wiedząc, co pije. Alkohol smakował kiepsko, jak woda zaprawiona zeszłorocznymi owocami. Miała ściśnięte gardło wypełnione wiórkami azbestowymi. Kilka niedokończonych obrazów patrzyło na nią

obojętnie. Większość dobrych, jeden bardzo dobry. Pędzle i ołówki spały, farby, ignorując nocną ciszę wielkiego miasta, gadały między sobą.

Co z tego? Kogo to obchodzi?

Poszła do garderoby. Szary, wyciągnięty, poplamiony dres oblekł jej ciało niczym zbroja. Niechcący spojrziała w lustro. Włosy mokre, w strąkach. W oczach furia i strach, strachu dużo więcej. Tak właśnie wygląda kobieta sukcesu.

Wróciła do salonu, Miles płynnie przeszedł do „Backyard Ritual”. Włączyła telewizor bez dźwięku. Kieliszek znowu był pełen tylko przez chwilę. Nie czuła nic, najłżejszego szmeru w głowie. Aż szkoda marnować wino po sto dwadzieścia złotych za butelkę. Piła dalej.

Siadła na sofie i wtedy usłyszała dzwonek. Dźwięk był sztuczny, natrętny, rozsadzający głowę. Pojawił się i zniknął z monotonna, nudną regularnością, podkreślając, że nie obchodzi go, do kogo dzwoni i po co.

To nie była jej komórka.

Wcześniej myślała, że gorzej być nie może. Dopiero uczyła się, że gorzej może być zawsze. Stała się robotem, humanoidem, ze szczątkową sztuczną inteligencją. Robocie ramię wysunęło się w kierunku żółtej koperty, przyciągnęło ją, a sztuczny mózg z niedowierzaniem odnotował fakt, że jeszcze kilka godzin temu była prawdziwym człowiekiem.

W kopercie najtańszy aparat na kartę. Zdjęcia, spory format, dobra jakość. Kurwa, fantastyczna jakość. Treść na razie do niej nie docierała. Była prymitywnym robotem, mogącym się skupić tylko na jednej czynności.

Robot włączył przycisk i mechanicznym głosem powiedział „halo”.

- Dobry wieczór, pani Heleno. - Głos był męski, przyjemny, nawet seksowny. Takie głosy pachną dobrymi perfumami i mają na koncie tyle, ile trzeba, by nie pracować. Takie głosy mają zdolności terapeutyczne; wrywają z rozmówcy duszę, wolę i rozum, pozbawiając go wszelkich trosk doczesnych.

Kto mówi?

- Pani mnie nie zna, ja oczywiście znam panią - kontynuował głos, niezrażony faktem, że rozmawia z maszyną. - Kto by nie znał najwybitniejszej polskiej malarki?

Czego pan chce?

- Najpierw chciałbym upewnić się, że zapoznała się pani z filmem. Oraz ze zdjęciami.

Film tak, zdjęcia nie.

- Ach, proszę obejrzeć zdjęcia, są niezłe, moim zdaniem. Kosztowały mnie niemało zachodu, ale trud się opłacił.

Robot zaciął się na chwilę. Może nie miał wgranej tej kwestii. Może umiał odpowiadać tylko na proste pytania. Może miał oprogramowanie z epoki komputerów commodore.

Głos nie tracił dobrego humoru.

- Muszę przyznać, że bardzo ładnie pani mieszka. Gdybym miał obstawiać, powiedziałbym, że to raczej pani gust, a nie szanownego małżonka, prawda?

W cyfrowym mózgu robota program zmienił tryb z robociego na ludzki.

- Ty skurwysynu. Byłeś w moim mieszkaniu? - szepnęła Helena.

- Słucham?

Zerwała się z kanapy.

- Ty jebany zboczeńcu! - wrzasnęła. W jednej chwili Miles i jego instrumentalności zniknęli w innej czasoprzestrzeni, ukryci bezpiecznie w świecie sztuki. - Kręć ci takie rzeczy? Staje ci, jak oglądasz? Czy wolisz na żywo?

Chwila milczenia była nawet ożywcza.

Głos stał się chłodny, ale zważywszy na sytuację, nadal emanował spokojem.

- Nalegam, by pani powściągnęła emocje. Uleganie im nie przyniesie niczego dobrego. W pani sytuacji zalecałbym racjonalne myślenie.

- A ja nalegam, żebyś się ode mnie odpierdolił, cioto.

Helena nie była pewna, czy Głos usłyszał jej sugestię, część, znaczna część ostatniej kwestii została wypowiedziana bowiem w momencie, gdy aparat szybował w powietrzu. Nadal wrzeszczała, ale jaką czułość ma gówniany mikrofonik w gównianej komórce? Można założyć, że niewystarczającą.

Aparat doleciał do ściennego malowidła i uderzył dokładnie w przedostanie piętro rozświetlonego wieżowca po lewej stronie obrazu. Pewnie nawet wybił okno. Szkoda. Helena bardzo lubiła akurat ten budynek. Było to nawet zabawne. Lubiała wyobrazać sobie, kto tam mieszka. W innym świecie lubiła wyobrazać sobie, kto tam mieszka.

Podeszła szybkim krokiem do pękniętej komórki, zadziwiająco spokojnymi palcami wyciągnęła kartę, po czym niemal biegiem rzuciła się w stronę łazienki. Karta zniknęła w odmetach miejskiej kanalizacji. Pocięcie zdjęć w paski nie zajęło więcej niż minutę. Woda z radosnym bulgotem załatwiła resztę. Aparat na powrót wylądował w kopercie.

Podróż do śmietnika na dole.

Powrót.

Dopiero teraz wino smakowało dobrze, jakby przez ostatni kwadrans zyskało odpowiedni kontekst. Miles zapytał, czy może grać.

A jakże.

Helena pilotem podkręciła głośność. Graj, Miles. Niech to będzie dzień wielkiej muzyki.

Dźwięki pochłonęły ją.

Siedziba Biura Zwalczania Terroryzmu, sterylnie nowoczesna, absolutnie bezpłciowa, jeszcze niemal pachnąca świeżą farbą bryła betonu i szkła, była cicha, jak tylko może być cicha instytucja państwowa kwadrans przed północą. Szlaban otworzył się bezszelestnie, z mechaniczną rutyną połąkł konwój samochodów, potem równie łatwo opadł. Kamery śledziły auta aż do samych drzwi. Każdy z więźniów został wyprowadzony osobno. Jakub szedł jako ostatni.

Weszli w długi korytarz, obustronnie flankowani przez rząd identycznych drzwi. Ludzie Goździka, pokonawszy elektroniczny zamek pełnym niecierpliwości machnięciem kartą i wbiciem sześciocyfrowego kodu, zniknęli za jednymi z nich, holując drogocenną zdobycz, której chcieli pozbyć się jak najszybciej.

- Zdrowego na krzeselko - powiedział Tyszkiewicz. - Z rannym jak z jajkiem.

- Tak jest - potwierdził Goździk, po czym zdematerializował się wzorem swoich ludzi.

Jakub poszedł dalej korytarzem.

Centralna sala jak zwykle przypominała ul. Kilkanaście dużych ekranów z monotonną cierpliwością pokazywało zmieniające się jak w kalejdoskopie dane, obrazy z kamer ulicznych, wykresy, ciągi liczb, mapy satelitarne miast. Analitycy z zapalem stukali w klawisze lub ściszone głosami rozmawiali przez telefon, równie cierpliwie ignorując płynącą z góry rzekę danych.

Gdy Jakub wszedł, poszybowało ku niemu kilka uśmiechów i podniesionych kciuków. Zgasił je niecierpliwym gestem. Koniec przedstawienia. Do roboty. Kciuki i uśmiechy wzięły się do roboty.

Kika jak zwykle wyglądała bardzo dobrze. Niestety Kika o każdej porze wyglądała bardzo dobrze. Tyszkiewicz na ogół czuł się przy niej jak stara, zakurzona maszyna parowa z zardzewiałymi tłokami stojąca w najciemniejszym kącie muzeum.

- Jeszcze raz: gratulacje, szefie - powiedziała, wstając. Jej stanowisko znajdowało się w rogu sali, oddzielone parawanową ścianką. Idealnie czysty blat, kubek z kawą, słuchawki, to wszystko. Jak ona to robi? Wygląd większości biurek przywodził na myśl wysypisko śmieci po trzęsieniu ziemi.

- Siadaj - rozkazał Tyszkiewicz, przysuwając sobie krzesło. Kika zajęła miejsce naprzeciw niego. Skromna garsonka leżała na niej jak wieczorowa suknia. Miała niebawem

wyjść za męż. Jakub nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała w sukni ślubnej. - To nie moja zasługa.

Fakt, nigdy nie by mistrzem autopromocji.

Kika skinęła głową, uznając temat za zamknięty. Odwróciła ekran ku niemu. Dwaj pojmani na Ursynowie faceci spojrzeli na niego porozumiewawczo. Wyglądali na zdrowych, dobrze odżywionych i pełnych sił. Zdjęcia zostały wykonane na jednej z europejskich ulic; fotograf znał swój fach i miał najwyraźniej dobry sprzęt.

- Ten po lewej to Muhammad al-Wei, Syryjczyk, dwadzieścia osiem lat - powiedziała. - Po prawej Remigius Bagrami, Irakijczyk, trzydziestolatek. Według danych Europolu byli szkoleni w Syrii przez ISIS. Oficjalnie znaleźli się w Niemczech jako uchodźcy pierwszej fali, kiedy był największy burdel. Jakiś czas siedzieli cicho, potem się uaktywnili. BND miał ich na liście podejrzanych o zorganizowanie zamachu w Moguncji, ostatecznie niczego im nie udowodniono. Potem zniknęli Niemcom z radarów. Złapaliśmy ich z opuszczonymi spodniami, głuchy i ślepy sąd da im po piętnaście lat.

Jakub starał się opanować narastający w głowie szum. Rozmowa z dziennikarzami była jak zwykle kretyńska i przyniosła tylko suchość w gardle. Nadal stały mu przed oczami zaciśnięte usta nieschodzącej z ekranów blondynki, gwiazdy wieczornego tokszoł (bawiącej się czasami reporterkę), która wmawiała mu, że jest rasistą. Co było zabawne, ponieważ zatrzymanych nie widział nikt, a on mówił tylko o bombie. Co byłoby zabawne, gdyby nie wywoływało żądy mordy. Jak zwykle w takich sytuacjach zastanawiał się, kiedy dojdzie do spontanicznego, niekontrolowanego wybuchu przemocy i nieodmiennie dochodził do wniosku, że moment ten jest coraz bliżej. Podstarzałe blondynki z zaciśniętymi usteczkami każdego dnia pracują co sił, by nadszedł szybko.

- Nie obchodzi mnie sąd - odpowiedział. Kika spojrzała na niego, bez słowa wyciągnęła szklanekę i butelkę wody mineralnej, nalała od serca, po wrąbek. Woda była cudownie chłodna. Cudownie na kilka sekund oddalała problemy. Jakub podziękował skinieniem głowy. - Chcę wiedzieć, kto ich tu przysłał i zorganizował pobyt.

Kika spojrzała na ekran.

- Zleciłam wyszukiwanie powiązań. Na razie nie ma konkretów.

- Jasne. Druga sprawa. Masz odpowiedź informatora?

- Bardzo mu zależy na dyskrecji. Coraz bardziej, powiedziałabym.

- Napisz, że naprawdę muszę z nim pogadać. I że dostosuję się do każdego wymagania.

- Odmówi.

- Nalegaj.

- Oczywiście.

Widział, że jest sceptyczna. Miała rację. Informator był ich największym atutem i doskonale o tym wiedział. Umiał pływać w mętym i śmierdzącym bagienku polskich służb specjalnych. Pozostając z boku, był bezpieczny. Trudno było zarzucić coś temu rozumowaniu. Jakub nawet nie zastanawiał się, czy zachowałby dyskrecję, gdyby miał ugrać coś większego kosztem anonimowości informatora.

- Muszę wejść głębiej - powiedział, właściwie się tłumacząc. - Czuję, że szykuje się coś grubego. Chcę poznać źródło wiedzy tego człowieka.

- Będzie się bał, że go spalisz.

Tak jakby słyszała jego myśli.

- Spotkamy się na jego warunkach - powtórzył z uporem, nie bardzo wiedząc, kogo chce przekonać. - Pisz, nawet jeżeli będzie cię ignorował. Smotrycz na coś wpadł?

Kika zawahała się. Problem w biurze polegał na tym, że Jakub zbyt mocno cenił lojalność. Wewnętrzną spójność. Takich ludzi chciał i promował. Ludzie to wiedzieli. Innych zwalczał. Ludzie to wiedzieli.

- Mów - ponaglił ją. Antoni Smotrycz formalnie pełnił funkcję szefa działu wywiadu elektronicznego. Nieformalne role nawet trudno było nazwać. Jakub był pewien, że w połowie z nich nie orientuje się nawet on sam. Miał nadzieję, że Kika jest zorientowana lepiej. Zastanawiał się, czy Smotrycz kiedyś użyje swojej wiedzy przeciw nim. Albo niemu osobiście.

- Informator używa sieci cebulowej - zaczęła ostrożnie.

- To wiem nawet ja.

- Antoni nie ustalił lokalizacji adresu.

Jakub poczuł w ustach gorzki smak.

Otaczał się dobrymi ludźmi. Dział wywiadu stanowił perłę w koronie Biura. Smotrycz miał smykałkę i wywiadowczy nos. Upór Barbary Rakoczy stał w odwrotnej proporcji do jej niepozornej postaci. Carrie zrobił ogromne postępy, choć już był dobry w czasach, gdy to warszawskie podziemie ceniło go za profesjonalizm.

Tacy ludzie nie mogli namierzyć informatora. Szkoda.

- Szkoda - powiedział. Szum w głowie ani chropowatość w gardle nie ustępowały. Kolejny łyk wody nie potrafił zmyć gorzkiego smaku z warg.

Oboje wiedzieli, że pozostają im na razie skazane na niepowodzenie próby negocjacji.

- Dobrze - powiedział i wstał. Wpół do pierwszej. Tłumacz z arabskiego wszedł do sali, powiesił płaszcz i czapkę na wieszaku, rozejrzał się krótkowidzącymi oczyma. Jak zwykle nie

zauważył nikogo. W wymiętej marynarce i z łysiną okoloną nierówną fałdką rudych włosów wyglądał jak postać z baśni braci Grimm przebywająca na wakacjach w Oxfordzie. Szybko zniknął w korytarzu. Jakub zachodził w głowę, co człowiek o potencjale wybitnego naukowca robi w takim miejscu jak to. - Napisz do niego. Poza tym chcę, żebyś przekazała sklepik Wakulewiczowi i poszła spać. Jutro o ósmej masz być w formie.

Kika nie zareagowała. Może poczuła się urażona sugestią, że brak snu źle na nią wpłynie.

Jakub przeszedł przez salę, pokonał korytarz i wszedł do drugiego, oddzielnego mocnymi drzwiami blokowanymi zamkiem elektronicznym. W Raju panował spokój. Goździk siorbał herbatę. Jego ekipa zdążyła już zniknąć na zapleczu.

- Ranny zaopiekowany? - zapytał Jakub.

- Szobert od razu zabrał go do siebie. - Goździk miał zmęczone oczy szaleńca. Obowiązkowe testy kwartalne przechodził ze sporym zapasem. Jakub już nieraz zastanawiał się, czy można oszukać system. Patrząc na Goździka, jego zastępcę oraz większość chłopaków z sekcji, dochodził do wniosku, że ani jego ludzie, ani system nie mają innego wyjścia. - Morfina i od razu na stół. Nic mu, chujowi, nie będzie, niestety.

Jakub poczuł wesołość. Ostatnio tak było, gdy widział zdjęcia, takie, które nigdy nie wychodzą na światło dzienne, których nie sposób znaleźć nawet na zamkniętych grupach w internecie, na których brodaci faceci w galabijach taplali się we własnej krwi, gdy wpatrywał się w oczy, w których nie było nadziei rajskiego życia, tylko strach, ból i zawód, że to już, czuł wesołość właśnie. Chichot wydostawał się z jego ust sam, jak oślizgły robal. Czasem, gdy był w wyjątkowo dobrym humorze, wyobrażał sobie, że spuszcza ze smyczy sforę. Że Goździk, Równy, Sztanga, Bezik, Zielony, Fargo i reszta mogą pójść za krwią, a potem wbić zęby w to, co jeszcze żyje. Że mogą szarpać i delektować się smakiem mięsa. Pławić się w strachu i bólu. Patrzeć na agonię. Rozkoszować się nią. Zastanawiał się wtedy, czy na pewno działają po jasnej stronie rzeczywistości.

Czy powinien się leczyć? Dopuszczał taką myśl. Czuł wdzięczność do opatrności, że nie musi zarządzać sklepikiem w takiej Belgii, Francji czy Niemczech. Tamci doświadczenia może i mieli więcej, swobody działania, skrepowanej gównianą, ślepą ideologią miłości tyle co nic. Żeby, uchowaj Boże, ktoś nie ważył się opublikować prawdziwych statystyk. Albo żeby nie prowadzić działań ukierunkowanych na konkretne środowiska. Zatkaną gębę radykałom, przynajmniej oficjalnie. A obrazki szły, jeden za drugim, lawina nieszczęść, przemocy, brutalności biła w oczy o każdej porze każdego dnia. Paryż, Bruksela, Berlin, Londyn, Kolonia, Londyn, Manchester. Nikt, kto zachował resztki zdrowego osądu, nie miał

najmniejszej nadziei, że to się kiedykolwiek skończy. Nawet politycy przestali udawać, że potrafią zaproponować jakiegokolwiek rozwiązanie. Koncerny energetyczne zbijały kokosy na różnokolorowym podświetlaniu wieży Eiffla, Big Bena i Bramy Brandenburskiej. Przynajmniej ktoś coś z tego miał. Na wojnie, krwi i strachu zawsze zarabia się najlepiej.

- Dobra. - Jakub klepnął Goździka w ramię. - Odpocznij.

Wszedł do jednego z pokoi.

Kilka dużych monitorów stanowiło centralną część pomieszczenia. Błat roboczy był na tyle długi, że mogły przy nim swobodnie pracować cztery osoby. Tym razem siedziały przy nim tylko dwie; behawiorysta i spec od wariografu.

Okno wielkości ściany pozwalało widzieć sąsiedni pokój. Pośrodku, niczym na tronie, siedział Muhammad al-Wei, mając za cały przydzwiek mocno nieświeże slipy. Siniak na skroni przybrał kolor ołowiu. Do spoconego, chudego, pokrytego gęstym włosom ciała przyczepiono mu tuzin czujników i rejestratorów. Naprzeciw stała kamera, obok urządzenie rejestrujące pracę źrenic, jeszcze dalej termometr, mogący mierzyć zmiany temperatury przesłuchiwanego z dokładnością do setnych części stopnia. W kącie leżanka, kubał na wodę, kran, kilka schludnie złożonych ręczników. Pod sufitem cztery wysokiej klasy kolumny głośnikowe o dużej mocy. Całość wyłożona dźwiękochłonną tkaniną w przyjemnym zielonym kolorze.

Tuż obok krzesła stał Bielik. Patrzył na więźnia z ciepłą wyrozumiałością. Chuda, mała twarz przybrała wyłączny wyraz dobroci. Mikra, nieco przygarbiona postać nie zwiastowała niczego, co mogłoby się kojarzyć z jakimkolwiek dyskomfortem. Małe dłonie były dłońmi nastoletniej dziewczynki i miały nierówno obgryzione paznokcie.

Tłumacz zajmował miejsce po drugiej stronie, równie blisko. Nadal sprawiał wrażenie lekko nieprzytomnego. Sapał i pocił się. Pracował z Bielikiem już czwarty rok. Wiedział, co go czeka. Sześć gościnnych misji w Afganistanie uczuliło go na najłżejsze drgania psychiki śledczego.

- Witaj, Muhammadzie - zaczął po arabsku Bielik. Jakuba zawsze wprawiało w dobry humor wrażenie, jakie robił na ludziach jego głos. Głęboki bas zdawał się wyprodukowany w laboratorium Wojskowej Akademii Technicznej z zadaniem rozbijania infradźwiękami okrętów podwodnych. Al-Wei drgnął, rzucił szybkie spojrzenie na stojącego obok człowieka, po czym spuścił wzrok.

Jakub pomyślał, że tym razem to nie musi trwać długo. Takie cwaniaczki często szybko pękają. Młodzi są twardsi, mają mniej do stracenia. Najgorsze są gnojki po piętnaście lat. Ci chcą jak najszybciej dorwać się choć do kilku z siedemdziesięciu obiecanych dziewic.

- Muszę ci wyjaśnić jedną rzecz - kontynuował Bielik, już po polsku. Szyba zadzwoniła lekko; facet brzmiał jak subwoofer na koncercie death metalu. Tłumacz miał dla odmiany głos wysoki, co więcej, niekiedy załamujący się w wyższych rejestrach. Mówił szybko, nieco niechlujnie, jakby chciał szybko mieć całą sytuację za sobą. - Stąd nie uciekniesz ani nie wyciągnie cię żaden cwany adwokat. W Niemczech może tak by było, ale my nie jesteśmy w Niemczech, tylko w Polsce, kraju dzikim, nieszanującym praw obywatelskich, a zwłaszcza praw, nazwijmy to, ludzi jak ty. Tacy ludzie jak ty nie mają żadnych praw, poza prawem do mówienia prawdy, samej prawdy i tylko prawdy, tak mi dopomóż Boże Wszechmogący, amen.

Widząc minę więźnia, Tyszkiewicz już niemal chichotał. Bielik doskonale udawał szaleństwo. Tak doskonale, że niczym się nie różniło od prawdziwego szaleństwa. Bielik był genialnym aktorem, który miewał przebłyśki normalności.

Muhammad al-Wei poruszył się, a potem na śniadą twarz wypełził rumieniec. W pokoju przesłuchań nie było żadnych urządzeń wychwytyjących zapachy, ale Tyszkiewicz wiedział, co się stało, nim jeszcze Bielik powtórnie otworzył usta.

- Muhammadzie, bardzo się cieszę, że zlałeś się w majty. - Bielik uśmiechnął się, ukazując całkiem niezły garnitur nieco pożółkłych, ale własnych zębów. Tacy faceci biorą się z najgorszych koszmarów budowniczych świata. Nikt na nich nie zwraca uwagi, co stanowi ich największą siłę. - To nic takiego, w gruncie rzeczy żaden dyskomfort, a świadczy dobrze o twoim organizmie. Boisz się, więc zaczynasz myśleć. Zaczynasz dostrzegać, że wcale nie jestem taki przyjacielski, na jakiego wyglądam. Zaczynasz wierzyć, że mogę cię tu trzymać do śmierci, przy czym mówimy o twojej śmierci, nie mojej. Że mogę sobie robić przerwy na spanie, sranie, jedzenie i chędożenie, a ty będziesz siedział o suchym pysku, robił pod siebie i bał się coraz bardziej. Potem się zaczniesz zastanawiać, co cię skłoniło, jaki diabeł ugryzł cię w tyłek, żeby przyjechać do naszego pięknego, gościnnego kraju z bombą w walizce. Po co ci to było? Tego nie wie nikt, a najmniej ty sam. I, widzisz, na twojej drodze zjawiam się ja, twój anioł opiekuńczy. Możesz mi wszystko opowiedzieć i nie dość, że zaraz pójdziesz pod prysznic, dostaniesz suchą bieliznę, to jeszcze nakarmimy cię tak, jak jeszcze nikt nigdy w twoim życiu cię nie karmił. I wszystko zgodne z Koranem, wszystko zgodne z twoją tradycją, wszystko z szacunkiem. Jak się postarasz, może zapewnimy ci status świadka koronnego, a u nas w kraju różne rzeczy nie działają, ale akurat takie patenty jak świadek koronny działają bardzo dobrze. Powiesz mi, co chcę wiedzieć, a będziesz żył długo i szczęśliwie, zamiast wahać własne siki i mój nieświeży oddech. Więc jak będzie, Muhammadzie al-Wei, synu Tarika, urodzony dwudziestego pierwszego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego

roku w Aleppo?

Krzeptowski wszedł do pokoju cicho, ale równie dobrze mógł wejść w towarzystwie orkiestry kobziarzy i z gadającą papugą na ramieniu. Drobniutkie, maleńkie ciało nie obudziło się, nie zareagowało również w żaden inny sposób. Narkotyk, na ogół kontrolujący coraz mniejsze obszary rozległego oceanu bólu, najwyraźniej radził sobie lepiej niż zwykle; może służyła mu noc. A może nie był już potrzebny.

Usiadł. Krzesło i ściany zagadały do niego zwykłą śpiewką, znudzone rutyną i monotonią. Łóżko spało, aparatura plotkowała sama ze sobą, diody i sinusoidy świeciły z ekranów, pilnie wyświetlając komunikaty, których nikt nie potrzebował. Sprawa była jasna, układ zawarty dawno temu.

Jadwiga umierała i było jej coraz pilniej do śmierci. Umierała na raka płuc, choć w całym swym życiu zapaliła tylko jednego papierosa podczas studenckiej imprezy prawie dwadzieścia lat temu. Umierała szybko i beznadziejnie, a jej mąż wiedział, że powinien umrzeć razem z nią.

Gdyby ktoś zapytał go, jak wyobraża sobie życie bez Jadwigi, jeszcze dwa miesiące temu wybuchnąłby śmiechem podobnym do podwodnego wybuchu granatu, klepnąłby pytającego w ramię i zasugerował, żeby w swoim najlepiej pojętym interesie pytający odpierdolił się od kwestii. Kilka tygodni później byłby za takie pytanie gotów zabić - czysto teoretycznie, ponieważ nikomu nie przychodziło do głowy, by je zadać. Teraz, widząc nasilające się, odzierające z godności ataki bólu, wyłączał się, bo myśląc i współczując, z pewnością straciłby rozum. Jego wiara, mocna, zwykła wiara silnego jak tur chłopca spod Tatr, stała się bezużytecznym rekwizytem. Siła przekształciła się w miękką gumę. Wola w zgniłozielony bezruch. Okrucieństwo w bezsilne miauczenie.

Tyszkiewicz sugerował, żeby wziął urlop. Krzeptowski nie chciał o tym słyszeć. Pracował, mówił, odpowiadał na pytania, przysyłał i otrzymywał informacje. Stracił na wadze dwadzieścia kilogramów. Osiągnął to, że nadal żył, podobny raczej do spróchniałego, szkolnego kościotrupa obciążonego pergaminem niż do żywego człowieka.

Gdy spojrzał na twarz Jadwigi, ucieszył się, a potem zaczął zgadywać, co takiego widzi. Nieoczekiwanie poczuł przypływ optymizmu, nadziei, spokoju, co początkowo wziął za objaw obłądu. Szybko doszedł do wniosku, że obłąkani nie myślą o sobie w ten sposób. Wyjaśnienie okazało się znacznie prostsze: Jadwiga znalazła się na ostatniej prostej i właśnie przyspieszała.

Wziął ją za rękę.

Poczuł ciepło. Spojrzał w górę. Z sufitu sączyło się delikatne światło, obmywające twarz rozpoczynającej podróż wędrowniczki. Zamrugał. Jasność wzrastała. Ciepło było łagodne niczym słodka nadmorska bryza, gdy słońce chowa swe pomarańczowe, kuliste oblicze za horyzontem.

Rysy Jadwigi złagodniały.

Zamrugał szybko, ale poświata nie zniknęła. Dałby wszystko, by Jadwiga spojrzała na niego ostatni raz. Bał się tego spojrzenia i bardzo go pragnął. Oczy pozostały zamknięte.

Ujął maleńką, przezroczystą dłoń.

Trzymaj tempo, kochana. Nie zwalniasz. Za tobą sfora wilków, hien i szakali, wszelkiej swołoczy. Biegnij co sił. Tam coś jest, musi być, światło, ciepło, ludzka/nieludzka życzliwość. Jeszcze trochę, jeszcze parę kroków, ostatni, wielki wysiłek, wysiłek godny prawdziwych mistrzów. Ty zawsze byłeś mistrzem, nigdy się nie bałaś, miałaś wydolność jak lekkoatleta, więc biegnij biegnij nie myśl biegnij nie patrz pod nogi biegnij.

Już.

Spojrzał na nią jeszcze raz. Pochylił się. Dotknął lodowymi wargami lodowego czoła.

Uśmiech. Tak, teraz mógł sobie pozwolić na uśmiech.

Światło przeszło w lekkie mżenie, potem zniknęło.

Uśmiechał się dalej, aż w końcu dłoń Jadwigi stała się zimna.

Tyszkiewicz trzasnął drzwiami, odruchowo przekręcił gałkę zamka. Usłyszał szum wody z łazienki. Powiesił płaszcz na wieszaku, zdjął buty, klapki stanowiły cudowną odmianę. Kładąc na półce Glocka, zapasowe magazynki i kamizelkę, pomyślał, że do szafki, w której trzymał broń, powinien dorobić klucz. Jego syn wykazywał się przerażającą pomysłowością. Dzieci, o ile mają w życiu cokolwiek osiągnąć, muszą kilka razy otrzeć się o śmierć. Fakt, że większość przeżywa własne dzieciństwo, Jakub uważał za dowód na istnienie Pana Boga.

- Cześć, żono! - zawołał w kierunku łazienki, wchodząc od salonu. Wieżowce ze ściennego malowidła ukłoniły się grzecznie, telewizor, migając ekranem, wykrzywił wargi w uśmiechu. Żółte paski szalały. Obrazki ujętego ze wszelkich możliwych stron bloku na Ursynowie miały budzić grozę; wywoływały znudzenie. Na ich tle blond reporterka nadal próbowała mówić, nie otwierając ust. Ściszona do maksimum fonia ułatwiała jej zadanie. Była gwiazdą, ale kochała pracę w terenie.

Podszedł do barku, wyciągnął litrową, na wpół pełną butelkę finlandii, nalał do szklanki, lód chlupnął smakowicie, wódka smakowała dobrze. W łazience panowała

niechętna cisza.

- Co chcesz do picia? - zapytał.

- Zaraz przyjdę - usłyszał.

- W międzyczasie ci naleję.

- Zaraz przyjdę.

Niczego jej nie nalał, za to usiadł na kanapie, trzymając wódkę oburącz. W telewizji pojawił się podinspektor Jakub Tyszkiewicz, szef Biura Zwalczania Terroryzmu cebeesiu. Wyglądał jak ubrany na własny pogrzeb trup. Otwierał usta i, choć fonia nadal była ściszona, widać było po skurwysynie, że kłamie jak pies. Mówił krótko, bez sensu gapił się w kamerę, potem udawał, że nie widzi zadających pytania. Jego wiarygodność idealnie pasowała do sytuacji i otoczenia. Już widok bloku był ciekawszy.

Wódka znowu smakowała dobrze. Lód mógłby być nieco zimniejszy, a szklanka większa. Zapomniał butelki z barku. Szkoda. Dlaczego w głosie Heleny brzmiała wściekłość? Byli przecież umówieni. Mieli składać sobie dowody miłości aż do zatracenia, do utraty oddechu. Dlaczego zdecydował się udzielać informacji żółtym i niebieskim paskom? Z jakiego powodu po raz kolejny popełnia ten sam błąd?

Mam parcie na szkło, pomyślał i roześmiał się wesoło, patrząc na szklankę. Znajomy lekarz powiedział mu, że gdyby nie jego aluminiowa wątroba, już dawno byłby alkoholikiem. Coraz mniej nadawał się na stanowisko, które zajmował. Już niedługo. W niedawnych wyborach opozycja wzięła wszystko. Gdy tylko ukonstytuuje się nowy rząd, zmiecie dotychczasowy układ, łącznie z nim samym. Co za ulga. Będzie mógł żyć oficjalnie z pieniędzy żony, nie udając, że jest inaczej.

Helena weszła do salonu, nawet nie spojrzała w telewizor, w którym Jakub po raz kolejny ściszonego głosem tłumaczył, że w jednym z mieszkań znaleziono granat zaczepny z okresu drugiej wojny światowej i że nie ma żadnych przesłanek, by łączyć incydent z jakimikolwiek terrorystami, po czym usiadła w fotelu. Mokre włosy okoliły jej twarz i ukryły ból. Jakub dostrzegł go gdzie indziej; w opadniętych ramionach, szybszych niż zwykle ruchach klatki piersiowej, nieznacznym drzeniu wysmukłych palców.

- Zmęczona? - zapytał, sięgając za siebie po wódkę. Kieliszek Heleny był pełen i z pewnością nie był to tego wieczora pierwszy pełny kieliszek. Jakub doskonale to rozumiał. Druga szklanka finlandii smakowała lepiej niż pierwsza. Druga butelka powinna smakować naprawdę dobrze.

- Pięć minut po tym, jak poszedłeś, jakaś kretyńska oblała mnie winem - odparła.

Wyciągnął rękę. Helena dotknęła jej samymi opuszkami. Byli nadal umówieni? Może.

A może nie.

Ale nie chodziło o żadną kretynkę i żadne wino. Oczy od tego nie są takie czerwone. Najbardziej pechowo zawinięta rzęsa nie nadaje się na wymówkę.

- Nie dziw się - powiedział wbrew sobie. - Jesteś piękniejsza od wszystkich kretynek razem wziętych, choćby co tydzień wstrzykiwały sobie kilogram botoksu. Ich zebrany do kupy talent zmieściłby ci się pod najmniejszym paznokciem. Wino nic je nie kosztowało, ty stawiałaś. Dla nich podwójny zysk.

Pożałował, że to mówi. Nie to chciała słyszeć. Od dłuższego czasu nie potrafił zgadnąć, co chciałyby usłyszeć.

Zobaczył, że Helena patrzy na półkę w przedpokoju. Glocka prawie nie było widać, co w żaden sposób nie przekreślało jego obecności.

- Schowaj to - powiedziała. Wściekły ton idealnie grał z nagłą bladością policzków. Nadal drżała, a jej gniew, może strach, może obrzydzenie, wreszcie zyskał cel ataku.

Wstał, podszedł do szafki. W garderobie już jakiś czas temu kazał wykonać schowek. Wszystko, co w jakikolwiek sposób wiązało się z jego pracą, miało pozostawać poza linią horyzontu, i nie chodziło tylko o dzieci. Kamizelka nie bardzo chciała się zmieścić - schowek był nieco za wąski. Dopchnął drzwi kolanem, wrócił do salonu, opadł na kanapę.

- Przepraszam - szepnął. Nie wiedział, że Miles gra „Don't Loose Your Mind” już po raz trzeci, co nikomu się nigdy nie nudziło. Dzięki żonie polubił jazz.

Helena wskazała na ekran. Jakub ponownie dotknął jej dłoni.

- Możesz mnie jak zwykle zapewnić, że nic się nie stało i że byłeś z daleka od tego wszystkiego? - zapytała.

- Mogę cię jak zwykle zapewnić, że nie brałem udziału w akcji. Mam od tego ludzi. Nie lubią, jak im się płaczą przed lufami. Ktoś musiał pogadać z telewizorami.

- Tak.

Uwierzyła?

- Udało mi się zachować kontrolę nad sytuacją.

- To dobrze.

Raczej nie.

Jakub westchnął. Nie cofał dłoni, ona też nie. W gruncie rzeczy nie miał ochoty na seks.

- Coś poważnego? - zapytała.

- Mam nadzieję, że nie - westchnął.

- To ma jakiś związek z wizytą tego ministra?

- Mam nadzieję, że nie.

Kłamał. Ale ona też kłamała. Nie wiedział dlaczego.

Telefon wybawił go od dociekań. Krzeptowski po raz pierwszy od dwóch miesięcy miał głos żywego człowieka.

- Ona odeszła - powiedział.

Z ulgą zamknęła komputer. Dzień właśnie się skończył, przynajmniej oficjalnie. Komórka pozostanie włączona - zasady zostały jej przedstawione na samym początku, były jasne i bezwzględnie przestrzegane. Nigdy nie przyszło jej do głowy, by je łamać. Zresztą, przez ostatnie dwa lata ani razu nie odczuła nawet takiej potrzeby.

Wstała, zabrała torebkę i wyszła do holu. Strażnik uprzejmie skinął jej głową. Drzwi, osiemnaście stopni, parking. Silnik zaskoczył od razu. W samochodzie było zimno, siejąca rdzę wilgoć przesiąkała przez karoserię i szyby. Spojrzała w lusterko. Twarz odpowiedziała jej ironicznym spojrzeniem. To dobrze. Ironia oznacza pierwociny myślenia.

Miasto stało puste i ciche. Czekają. Było jak zwykle pewne siebie.

W domu znalazła się po dziesięciu minutach. Trzydzieści sześć metrów kwadratowych, ale przytulnie urządzonych. Lubiła to miejsce. Nie należało do niej, ale czuła się tu dobrze. Czuła się zagospodarowana. Czasem niewiele trzeba, by chcieć oddychać, jeść i wstawać o poranku, po kolejnej nocy, podczas której nie śniło się nic.

Z początku było inaczej. Noce nadchodziły jak duszne, dławiące koszmary, nawet podczas największych upałów przejmując dojmującym zimnem. Gdy spała, męczyła się jeszcze bardziej, krzyczała, rzucała się, tonęła we własnym pocie. Obrazy były kolorowe, ostre, pełne głębi i przestrzeni. Obrazy. Hieronimusowi Boschowi nawet nie przyszłyby do głowy jako zbyt drastyczne.

Trzasnęła drzwiami, zasuwki wskoczyły na miejsce ze znajomym szczękiem, pokój powitał ją dyskretnym światłem. Mocna kawa przyprawiała o przyjemne mrowienie w żołądku. Włączyła telewizor i zobaczyła to, o czym wiedziała już wcześniej. Zgodnie z regułami przekazników informacji niewielka w gruncie rzeczy akcja została przedstawiona jako trzęsienie ziemi. Brawo. Życie pisze najciekawsze scenariusze pod warunkiem, że czuwa nad nimi profesjonalny script doctor.

Maria Potocka wypija kawę dwoma szybkimi łykami. Poczula, że morzy ją sen. Poddała mu się bez walki.

Rozdział 2.

Wiadomość zastała go przy goleniu.

Spał mało, trudno zresztą te rwane, wypełnione majakami i drapieżnymi fantomami drzemki nazwać snem. Gdy Krzeptowski zadzwonił, nie umiał znaleźć słów. Krzeptowski chyba tego nie oczekiwał. Był ożywiony i pogodny. Skupił się na konkretach dotyczących pogrzebu. Jakub szybko się rozłączył.

Wstał obolały, czuł, jakby w nocy ktoś usunął z ciała wszystkie kości, a ścięgna zastąpił plastikowymi atrapami. Plastik był źle dopasowany, chrobotał przy każdym ruchu. Ruch wywoływał ból, plastikowe sznurki miały bezpośrednie połączenie z mózgiem. Golił się mechanicznie, nieuważnie, zostawione kępki potem swędziały przez cały dzień.

„Smoke on the Water” zabrzmiało soczyście, Jakub wytarł ręcznikiem resztki piany, przeszedł do sypialni, besztając się za nieuważę. Helena spała, należał jej się sen. Wziął aparat, dopiero w salonie nacisnął zielony guzik.

Spodziewał się informacji na temat wyników przesłuchań albo wezwania na kolejną konferencję do tracącego władzę ministra. Miał za małą wyobraźnię.

- Szefie, tu Kika.

- Cześć.

Co to za głos? Lepki, oślizgły, zaskoczony.

Takiego jeszcze nie słyszał. Nie zdążył zareagować.

- Pięć minut temu - powiedziała Kika - podczas podejścia do lądowania na Okęciu rozbił się samolot z ministrem spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej na pokładzie.

Telefon o mało nie wypadł ze spotniałej nagle dłoni. Kika była poruszona, ale komunikat wygłosiła precyzyjnie i poprawną polszczyzną. Ona już wiedziała, co nastąpi, gdy wszyscy zdadzą sobie sprawę z tego, co naprawdę się stało. Katastrofa rosyjskiego samolotu mogła oznaczać wojnę.

- Co? - zapytał. To miała być rutynowa, do niczego nieprowadząca, sześciogodzinna wizyta, po której obie strony pozostaną niezadowolone. Biuro oddelegowało do niej dwóch nieopierzonych młodzików wyróżniających się nienaganną prezencją. Mieli dobrze wyglądać na zdjęciach i z uśmiechem zapewniać, że bezpieczeństwo gościa jest całkowite.

- Nic więcej nie wiadomo - odparła.

- Jak to rozbił się? - zapytał Jakub, nadal nie mogąc zebrać myśli.

- W Lesie Kabackim.

Milczenie. Tysiąc obrazów przesunęło się przed oczami. Każdy bezsensowny. Kakofonia.

- Ogłaszaj alarm.

- Już ogłosiłam.

- Niech Bartyzel bierze swoich ludzi i jedzie na miejsce zdarzenia.

- Przyjęłam.

Doszła do siebie laska, pomyślał. Już jest niezadowolona, że ją uziemiłem. Będą z niej ludzie. Musi jeszcze nauczyć się przegryzać gardło szefom, gdy przyjdzie ich czas.

Mechanicznie skończył się ubierać i ruszył do drzwi. Dopiero w garażu uświadomił sobie, że zostawił dwoje dzieci pod opieką śpiącej żony, która najprawdopodobniej obudzi się jeszcze pijana. Za nic nie mógł przypomnieć sobie, o której przychodzi opiekunka. Już na ulicy udało mu się odszukać numer. Jej głos był dla odmiany pogodny i ciepły. Nawet nie pamiętał, co mówił. Ona zapewniła go, że jest o pięć minut od ich domu. Gdy się rozłączył, poczuł wstyd. Tak powinno być. Powinien się wstydzić. Stara się być dobrym ojcem i mężem, przysparzając udręki wszystkim dookoła.

Gdy już uruchomił syrenę i bombę, gdy obrzucił kurwami kilku zbyt opieszalnych kierowców, a oni zrewanżowali mu się typowo warszawską uprzejmością, podłączył komórkę do systemu głośnomówiącego i ponownie połączył się z Kiką.

- Podaj mi lokalizację - polecił. Radio przerwało nadawanie skocznej piosenki i grobowym tonem prezentera zaczęło zachłystywać się nadejściem Apokalipsy. Dziennikarzom już dawno zabrakło przymiotników. I tak było nieźle. Media dowiedziały się o katastrofie minutę po służbach specjalnych. Często bywało odwrotnie.

- Wgrywam ci ją w GPS - zabrzmiało w głośnikach.

- Dobrze. Wiesz coś więcej?

- Na miejscu będzie sporo ludzi.

- Nie wątpię.

- Nie wiadomo, kto będzie prowadził śledztwo.

Co ona mówi? Bądź ostrożny. Nie wojuj ze wszystkimi od razu. Jutro też jest dzień, a ty masz żonę, dzieci i całkiem niedaleko do emerytury.

Złota rada.

Myślał o tym, odkąd usłyszał o katastrofie. Na miejsce ściągają piranie, hieny i sępy. Ściągają teoretycy, posiadacze dobrych rad na każdą okazję, właściciele hurtowni z rozwiązaniami awaryjnymi. Przyjadą politycy przegranego, ale nadal sprawującego władzę

układu, przybierając zmieniane zależnie od okoliczności miny. Wygłoszą zatroskane, przepełnione bólem komunikaty do ociekających śliną mikrofonów i wybałuszonych oczu kamer. Potem będą mówić swoim podwładnym, że śledztwo toczy się zbyt wolno, podczas gdy opinia publiczna oczekuje natychmiastowych rezultatów. I prawdy, przede wszystkim prawdy, tyle że tę prawdę należy z nimi przed ujawnieniem skonsultować i poddać gruntownym oględzinom.

Na miejsce przyjadą też inni ludzie. Cisi, małomówni, niepchający się na pierwszą linię. Uważnie obserwujący rozwój sytuacji i wyciągający wnioski. Oficjalnie nienotujący ani nienagrywający niczego, ale potrafiący zapamiętać dowolną ilość szczegółów. Składający precyzyjne raporty swoim szefom, którzy nigdy nie występują w telewizji i nie wypowiadają się publicznie. Tych ludzi należało traktować poważnie. Część z nich sprawiała wrażenie, jakby panowała nad całościową mapą krajowych powiązań służb specjalnych, biznesu i polityki. Wiedzieli wszystko i mogli niemal wszystko. Od ich dobrej woli zależały losy śledztwa. W tej sytuacji niemal pewny fakt, że kompetencje będą niejasne, przywództwo, jeśli w ogóle ktoś zostanie mianowany szefem, słabe i chwiejne, a w sprawę zaangażuje się z pewnością rosyjska ambasada, wart był jedynie wzruszenia ramion.

- Dobrze - powiedział i rozłączył się.

W głośnikach od razu zagrział sygnał kolejnego połączenia. Wszystko tego ranka działo się w przyspieszonym tempie, wibrowanie komórki, jazda, nawet parowanie zeszlówieczornej finlandii.

Krzepkowski.

- Jestem w drodze - oznajmił. Głośniki uśmiechały się, zadowolone dając do zrozumienia, że z miłą chęcią obsługują tak czysty i świeży głos.

- W drodze...

- Pogrzeb dopiero pojutrze - wyjaśnił Jakubowi cierpliwie, jak dziecku. - Do tego czasu jestem wolny. Przecież nie będę siedział w domu, prawda?

Tyszkiewicz poczuł coś w dole brzucha, tam gdzie wczoraj, na aukcji, czuł gniew. Teraz to było co innego. Zimno rozlewające się ku górze. Ciekawe, czy i w jakich okolicznościach wyskoczy przez gardło.

- Staszek - zachrypiął. Co miał powiedzieć? Co powinien powiedzieć? W jego słowniku nie było odpowiednich słów. Skręcił kierownicą, wyprzedzając jakiegoś idiotę z nieprzyiętym dzieckiem na tylnym fotelu. Za mocno dodał gazu. Silnik ryknął z przyganą.

- Za jakieś dziesięć minut będę na miejscu.

- Spałeś chociaż w ogóle? - krzyknął Jakub. Przyjaciel stracił żonę. On właśnie tracił

przyjaciela. Człowiek potrafi wyobrazić sobie różne rzeczy, ale w konkretnej sytuacji najczęściej okazuje się, że nie potrafi sobie wyobrazić niczego przydatnego. Mniej bezradny czuł się pod ogniem w Nagum Thal.

- Sześć godzin, jak dziecko.

Jakub próbował się skupić.

- Jeśli w ogóle, wolałbym, żebyś wrócił do sklepiku i pilnował tych wczorajszych obszczymurków.

- Kika ich pilnuje. Bielik dokręcił temat, z tego, co słyszę. Zeznania są całkiem ciekawe. Raczej ty powinieneś tam jechać.

Tyszkiewicz zacisnął wargi. Pograżony w żałobie Krzeptowski zdążył pożegnać żonę, załatwić formalności pogrzebowe, przespać się kilka godzin i zyskać dokładną orientację w kwestii najważniejszego ze śledztw. A on miał akurat tyle czasu, by się upić i pokłócić z Heleną. Z obiecanego seksu pozostało tylko kolorowe wspomnienie.

Zimno w zwycięskim pochodzie przedzierało się przez żołądek. Ku górze, ku światłu.

- Na miejscu będzie burdel - powiedział, niepotrzebnie się usprawiedliwiając. - Muszę ułożyć współpracę.

- Współpracę ułoży ci minister albo ruska ambasada. - Znowu punkt. Jakub miał sporo znajomych, ale liczba ludzi, którzy życzyli mu wszystkiego najgorszego, była znacznie dłuższa. Minister stał na czele listy. Fakt, że wkrótce jego miejsce zajmie inny polityk, nie miał żadnego znaczenia. Inny polityk w pierwszej kolejności zdejmie go ze stanowiska. Jakub już od wyborów i pierwszych przecieków na temat przyszłego ułożenia stanowisk podejrzewał, kto będzie innym politykiem na stołku ministra spraw wewnętrznych.

Co nie zmieniało faktu, że na razie miał w sklepiku dwóch facetów z Bliskiego Wschodu i bombę, a w Kabatach rozbity samolot z rosyjskim dygnitarzem wysokiej rangi na pokładzie. Być może za dwie godziny sam będzie błagał o dymisję.

- Dobra - skapitulował. - Spotkamy się na miejscu.

Rozłączył się i, nie zwalniając, wszedł w menu nawigacji. Myląc się i klnąc, jednym palcem wprowadził dane przesłane na komórkę przez Kikę. Urządzenie przetworzyło ciąg liczb na konkretną lokalizację. Ekran zagadał miękkim kobiecym głosem, który niezmiennie doprowadzał go do szału. Elektroniczna droga miała wyraziste barwy. Przyspieszył.

Pięć minut później przejechał przez otwarty szlaban, w normalnych czasach próbujący zagradzać drogę do lasu zmotoryzowanym, którzy mieli gdzieś przepisy. Złotoczerwone, zmoknięte drzewa osłoniły i wchłonęły go. Poczul dym zmieszany z wilgocią. Spojrzał w górę przez przednią szybę. Oleiste, czarne obłoki pełzły ku niebu. Resory zajęczały na

wybojach. Niedawne deszcze zamieniły drogę w półmetrowej głębokości bagno. Dołączył tylny napęd. Zwykle czysta karoseria pokryła się grubiejącym z każdą minutą pancierzem błota.

Stanął, bo drogę zablokował mu patrol prewencji. Zdyszany sierżant miał minę chłopca pozbawionego ulubionej gry. Wyglądał na znudzonego i przestraszonego zarazem.

Jakub wyjął legitymację. Sierżant studiował ją, jakby była zapisana sanskrytem, potem oddał leniwym ruchem. Samochód ruszył, smród spalenizny nasilił się, na las zaczęły opadać czarne, lepkie płatki czegoś niewiadomego.

Dwieście metrów dalej w poprzek błotnego bajora stał wóz strażacki. Za nim następny, potem dwie karetki pogotowia, potem jakiś zielony pojazd należący zapewne do żandarmerii wojskowej. Jakub nie mylił się: chaos kompetencyjny zaczynał się już tutaj, pół kilometra od miejsca wypadku.

Tyszkiewicz zjechał z drogi w krzaki, uznając, że blocko osłoni lakier przed zadrapaniami. Nie chciał, by samochód został staranowany przez szarżującą kolumnę ministra albo pędzący na oślep kolejny wóz strażaków. Wysiadł. Dotychczasowe igraszki zapachu z powonieniem okazały się zabawami w piaskownicy. Smród uderzył jak młotek opadający na gwóźdź. Pałaca się wysokooktanowa benzyna, stal, aluminium, plastik, zwierzęce i ludzkie mięso, swąd chemikaliów, odór tłęcej się podściółki. Czuł już kiedyś podobną, może nawet taką samą mieszaninę. W Afganistanie ajdik eksplodował pod Rosomakiem. Dwudziestodwutonowa maszyna fiknęła w powietrzu i upadła na plecy, gubiąc po drodze wieżę. Przedział desantowy skurczył się, osiągając wysokość sześćdziesięciu centymetrów. Po czym transporter zaczął się palić - mistrz, którzy konstruował ajdika, musiał dodać do niego trochę jakiejś łatwopalnej substancji. Sprasowani ludzie z połamanymi kręgosłupami wrzeszczeli, obserwując swoje płonące ręce i nogi. Potem eksplodowała wieziona w przedziale desantowym amunicja do Carla Gustava i zrobiło się cicho. Śmierdziało podobnie, choć Rosomak jeździ na ropę, a nie lotniczą benzynę. Jeszcze nazajutrz niektóre jego elementy były gorące.

Jakub wysiadł i ruszył dalej pieszo, zapadając się po kostki w błocie. Wyjął, minął go wóz straży pożarnej. Po nim, zataczając się i pryskając blockiem, przemknęły dwa radiowozy prewencji. Tyszkiewicz szedł dalej. Robiło się coraz goręcej. Dym zatykał nozdrza, wpychał się do środka, przepalał gardło, dusił.

Co ja tu robię, pomyślał. To robota dla hycli i grabarzy.

Pracowicie wyciągał nogi z ciemnobrązowej mazi. W końcu stanął. Przyjrzał się własnym stopom. Nic dziwnego, że nagle rozboleł go duży palec. Tak zwykle bywa, gdy

kopnie się w duży, powykręcany kawał blachy. Fragment poszycia samolotu. Uwalany, poszarpany kawałek aluminium.

Potem zobaczył pożar.

- Mario, możesz przyjść do mnie na chwilę?

- Oczywiście.

Odłożyła słuchawkę. Głos Tomkina, w telefonie czy na żywo, był jak zwykle ledwie słyszalny. Dmitrij Tomkin nie musiał mówić głośno, by przykuwać uwagę. Jego polszczyzna była dobra, z akcentem, ale to nie przeszkadzało. Maria pamiętała dzień, gdy zobaczyła go po raz pierwszy. Skojarzył jej się z księgowym sprzed stulecia. Wąsik, wąska, niemal cytrynowa twarz, nieco wystające uzębienie i bardzo ciemny zarost. Miał zaczesane do tyłu włosy i białą koszulę, która nawet wieczorem wyglądała na świeżo wyprasowaną. Uśmiechał się, a w oczach migotało dobro.

Maria opuściła gabinet, przeszła przez krótki korytarzyk, pokonała sześć stopni, zapukała do drzwi. Układ budynku nieodmiennie ją śmieszył, choć przez dwa lata zdołała się do niego przyzwyczaić. Zastanawiała się, jaki cel przyświecał architektowi, który zaprojektował tę przestrzeń; płataninę półpięter, antresol i mnóstwa maleńkich pokoi, skrzyżowaną z wiecznie pustymi, ciągnącymi się bez końca korytarzami.

Nie czekając na zaproszenie, weszła do gabinetu. Biurko Tomkina było zaważone papierami, z których większość wydawała się niepotrzebna. Lampa miała wielkość boiska piłkarskiego, a laptop pamiętał pierwszą wojnę światową. Tomkin nie potrzebował niczego, ponieważ potrafił dowiedzieć się wszystkiego i zapamiętać wszystko. Tomkin był genialny. Bóg wiedział mniej od Tomkina.

Tomkin był szefem i właścicielem InvCorp.

Maria była mu wdzięczna i żywiła do niego coś na kształt ciepłych uczuć; mimo wszystko podejrzewała, że większość otaczającej szefa sławy ma źródło poza nim samym.

- Siadaj kochana, siadaj. - Zawsze tak zaczynał. Szeptał, jak zwykle. Rozmowa z nim przeważnie stanowiła wyzwanie dla zmysłu słuchu. Twarz na ogół przypominała kamień. Ile byś się w nią nie wpatrywał, i tak nie odgadniesz, w jakim szef jest nastroju. Tym razem kamień zmiękł. Zarost był ciemniejszy niż zwykle. Oczy płonęły mocniej, żyło w nich coś, czego Maria wcześniej nie widziała.

Zajęła miejsce w wygodnym fotelu stojącym nie na wprost, a obok biurka. Tomkin dbał, by jego goście nie czuli się jak petenci.

- Słyszałaś?

- Słyszałam - odparła. Firmowy obieg informacji był szybki. Przynosił więcej aktualnych wiadomości niż CIA. Taka w każdym razie plotka krążyła po korytarzach.

- Nie znamy przyczyn - kontynuował Tomkin. - Poznamy je, bo tak nie może być.

- Oczywiście.

- To nie twój minister, tylko mój. Mimo to czekam, że zaangażujesz się poważnie.

Zdziwiła się, ale tylko trochę. Jego polszczyzna bywała niegramatyczna, ale komunikaty i oczekiwania zawsze precyzyjne. Nigdy nie komentowała przydzielonych jej zadań. Przez dwa lata nauczyła się wszystkiego, co trzeba, by czuć się swobodnie w obecności Tomkina.

- Oczywiście - powtórzyła. Nie pytała, czemu właśnie oni mają zajmować się sprawami rządu.

- Będzie sporo pracy.

- Nie muszę wracać do domu na obiad.

W odpowiedzi Tomkin uśmiechnął się. Wziął z biurka paczkę papierosów, zapalił, zaciągnął się z lubością. Dym śmierdział zastałym bagnem z głębi syberyjskiej tajgi. Opuszki palców szefa miały kolor pomarańczy.

- Znasz Tyszkiewicza - powiedział.

Maria i tego się spodziewała. Od katastrofy minęła niemal godzina. Miała czas się zastanowić. Tomkin kupił ją w pakiecie z dawnymi znajomościami. W ciągu ostatnich dwóch lat korzystała z nich kilkakrotnie.

- Tak. Niezbyt dobrze. Nie miałam z nim kontaktu od sześciu lat.

- Znasz go wystarczająco dobrze, by po sześciu latach odnowić kontakt.

- Po co?

Tomkin westchnął. Ktoś na korytarzu zaklął głośno. Potem głos oddalił się, jakby zawstydzony. Niezbyt bezpiecznie kłać pod gabinetem Tomkina.

- Wiesz, jak jest - kontynuował. Nadal nie mogła odgadnąć przedmiotu rozmowy. Dzień wchodził przez okno obrzydliwą mżawką, kładł się szarością na suficie. Ciśnienie spadało. - Nasze władze będą chciały zrzucić wszystko na Polaków. Będą naciskały na przejęcie śledztwa. Będą tuszowały wszystko, co niewygodne albo podejrzane.

- Też tak sędzę.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Wszystko ci jedno?

Wzruszyła ramionami, choć wcale tego nie chciała. Była teraz innym człowiekiem, w dużej mierze dzięki Tomkinowi. Po co pyta, skoro zna odpowiedź?

- Nie wiem - powiedziała. Czy szczerść można kupić? Czy sprzedaje się ją na wagę? -
Pracuję dla pana i to mi wystarcza.

- Dobrze. Skontaktuj się z Tyszkiewiczem, dyskretnie, i zaoferuj pomoc.

Starła się panować nad twarzą. Tomkin umiał odczytać ludzkie DNA bez pobierania próbek. Jak zawsze uważała swe aktorstwo za żalosne. Szef na nią nie patrzył.

- Nie przyjmie.

- Przyjmie, jeśli dasz mu coś dobrego.

- Jestem trędowna. Będzie się bał manipulacji.

- Nie, jeśli mu dasz coś dobrego.

Przekrzywiła głowę.

- Dlaczego?

Tomkin wstał. Kamień zamienił się w pomarszczoną cytrynę. W pomarszczoną, zmartwioną cytrynę. Wyraz twarzy Tomkina był narzędziem pracy zawsze dostosowanym do sytuacji.

- Mógłbym powiedzieć coś, byle co - szepnął. - Ale po pierwsze: pracuję w tym kraju i chcę tu dalej pracować. Polski rząd ma kłopot z moim rządem. A ja nie chcę żadnych kłopotów.

Maria pomyślała, że wyjawienie prawdy może oznaczać dopiero początek kłopotów polskiego rządu w relacjach z rosyjskim rządem. Tomkin oczywiście o tym wiedział.

- Czuję, że jest inaczej niż zwykle - odparował, choć ona się nie odzywała. - Domyślam się, że wszedł do gry trzeci czynnik.

Obcy. Trzeci czynnik znaczy obcy. „Domyślam się” i „czuję” to eufemizmy mające skryć wiedzę. Po godzinie od katastrofy?

Maria drgnęła i tym razem Tomkin nawet nie ukrywał, że to zauważył.

- Nie martw się - rzekł. - Dostaniesz wsparcie. Będziesz tylko doradcą. Posłańcem dobrej nowiny.

- Dobrze - powiedziała nieoczekiwanie. - Zadzwoń do Tyszkiewicza.

- Teraz jest zajęty. Po południu będzie dobrze.

Wyszła.

Dzień nabrał jakiegoś nieoczekiwanego blasku.

Kac nie minął, opiekunka wzięła dzieci na spacer, pogoda nadal pokazywała twarz starej panny bez posagu i z brodawkami na haczykowatym nosie. Mżyło i wiało; dzieci i opiekunka korzystali z okazji, by się hartować. Temperatura podnosiła się i opadała:

skacowani kochają takie dni. Mogą wtedy umrzeć z wyrazem zadowolenia na sianej twarzy.

Chciała włączyć muzykę i telewizor, zapomniała, gdzie położyła pilota, nie włączyła jednego ani drugiego. Dzwonek zabrzmiał twardo. Helena wstała z sofy. Nie wypuszczając z dłoni wysokiej szklanki z wodą okraszoną lodem, podeszła do domofonu.

- Listonosz do pani - zakomunikował portier.

- Proszę - mruknęła do słuchawki. Zdążyła trzy razy machnąć szczotką po włosach, odebrała przesyłkę, zapomniała dać napiwku, potem klęła, bo listonosz zawsze był dla niej miły. Kopertę z czerwonym urzędowym stemplem położyła na blacie w kuchni. Kolejna szklanka wody przypominała, że dzień dopiero się zaczął.

Pismo było krótkie. Sześć zdań, z których większość stanowiły cytaty z ustaw. Szklanka wylądowała na podłodze.

Dalej nie dało się iść. Żar postawił nieprzebytą ścianę, dym atakował zmysły, był wszędzie, przylepiał się do skóry, oczu, gardła, żołądka. Strażacy sprawiali wrażenie królów chaosu. Wozy przyjeżdżały i odjeżdżały. Bezrobotne załogi stojących rzędem karetek gadały przez telefon albo siedziały na fejsie. Prewencja zaciągała szerszy kordon. Mżawka zdecydowała się zakończyć działalność, ustępując pola zwykłemu, uczciwemu deszczowi.

Krzepkowski naprawdę wyglądał świeżo. Kostium sztucznego spokoju zamienił na spokój prawdziwy; był niemal zrelaksowany. Przywitał się; uścisk odzyskał część dawnej mocy. Ekipa Biura z nadkomisarzem Bartyzelem na czele zjawiała się kilka minut później. Czterech techników obwiesiło się aparatami i kamerami, wzięło do rąk walizki z oprzyrządowaniem i zastygło w gotowości.

Potem nadciągnęły trzy cywilne samochody. Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych nigdy się specjalnie nie spieszyło, ale Tyszkiewicz odnotował fakt, że tym razem udało im się przyjechać przed jakimkolwiek politykiem. Dwunastu ludzi wysiadło z aut i zaczęło przebierać się w kombinezony. Zwłaszcza jeden rozśmieszył Jakuba do łez: przez parę minut próbował bez użycia wieszaka powiesić w aucie swój garnitur tak, by nadawał się do włożenia za kilka godzin. Podmuch wiatru wyrwał marynarkę z rąk i rzucił w kałużę. Facet klął, stojąc w samej koszuli i gaciach.

Ludzi przybywało, w mundurach i bez.

„Smoke on the Water” trochę tu nie pasowało. Jakub odebrał połączenie. I tak na razie nie miał wiele do roboty.

- Cześć, Lena - mruknął, odchodząc kilka kroków w bok. Wpadł po kostki w błoto. Butom było wszystko jedno. Wraz ze skarpetkami i tak nadawały się na śmietnik.

- Przyszło pismo z urzędu - usłyszał. Minęła chwila, nim przetransferował się do świata zewnętrznego. Ostatnio jego żona często brzmiała tak płasko i głucho, jak teraz. Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

- Słuchaj... - zaczął. Ona i tak nie słuchała.

- Z wydziału spraw rodzinnych urzędu dzielnicowego.

Nadal miał kłopoty z transferem. Na razie rozmowa miała smak wczorajszej wódki.

- No i?

- Chcą, żebym jutro stawiała się u naczelnika wydziału w sprawie Zosi.

- Piszą po co?

- „W celu złożenia wyjaśnień”.

- Nie bardzo wiem, co można wyjaśniać po siedmiu latach.

- „W związku z nieprawidłowościami powstałymi w czasie procesu adopcyjnego Zofii Cehak”.

Aparat stał się zimny i ciężki. Przypadki nie istnieją.

- Nic więcej nie piszą?

- To za mało?

- Posłuchaj. Przeszliśmy przez wszystkie testy. Dopełniliśmy formalności. Przez siedem lat wszystko było w porządku. To jakieś nieporozumienie.

- Zacytować ci przepisy, na które się powołują?

- Mamy wszystkie zgody i prawomocny wyrok sądu.

- Wyrok sądu można zaskarżyć.

Oczywiście. Najgłupszy prawnik tuż po studiach teoretycznie wiedział, jak to się robi. By zrobić to skutecznie, należało być w wąskim kręgu wtajemniczonych.

- Nie martw się - powiedział, zdając sobie sprawę, że brzmi jak idiota. - To na pewno jakieś głupstwo.

- Lubię, jak mnie poważnie traktujesz.

- Traktuję cię poważnie.

- Przepraszam. Cześć.

Trzask zakończenia połączenia zbiegł się z przyjazdem kolumny rządowej. Już wkrótce nieaktualny premier wysiadł, z miejsca otoczony przez nieaktualnych już wkrótce ministrów. Jakub patrzył na bezradnych dygnitarzy i myślał o tym, co przed chwilą usłyszał od Heleny. Zbiegi okoliczności występują tylko w bajkach. Zbiegi okoliczności są zawsze wynikiem celowego działania. Wierzył w złą wolę i ukryte intencje. Niebo przytaknęło mu, wypuszczając na ziemię więcej deszczu. Szarość złotoczerwonego lasu stawała się nie do

zniesienia.

W końcu dym zelżał. Żar opuścił gardę. Nie patrząc na nikogo, premier ruszył do przodu. Ministrowie poszli za nim. Tyszkiewicz nie pchał się na pierwszą linię. Miał ochotę zapalić, co przez moment wydało mu się zabawne. Krzeptowski nie przejmował się tym - kończył trzeciego papierosa. Jakub machnął ręką i ruszył przed siebie.

Pierwsze, co zobaczył, to męska noga, urwana tuż przy pachwinie, obuta w elegancki, czysty but. Skarpetka była nieco podwinięta, ale kanty na spodniach nadal błyszcząły ostrością. Krwi nie dostrzegł wiele - większość opuściła naczynia krwionośne podczas lotu kończyny. Nieco dalej leżało w beładzie kilka foteli, pustych i pokrzywionych. Jeszcze dalej fotel stojący prosto, z przypiętą doń kobietą w jasnej sukience. Ładna blondynka miała zamknięte oczy i ścięty niczym laserem czubek głowy, dwa centymetry nad linią idealnie wystylizowanej grzywki. W otwartych oczach błyszcząły zdziwienie i kłęska.

Samolot leżał na brzuchu, w trzech częściach, niczym poćwiartowany, ogromny wieloryb z sennych koszmarów. Kokpit wraz z kawałkiem kabiny odjechał daleko i był ledwie widoczny zza zasłony mglistego deszczu i nadal snującego się przy gruncie dymu. Środkowa część wraz z lewym skrzydłem i ogromnymi silnikami została pokryta pianą, brudną i cuchnącą. Prawe skrzydło spaliło się doszczętnie, zamieniając przy okazji spory kawał terenu w jałową, pełną czarnych kikutów pustynię. Dymiło się jeszcze. Miało się dymić również jutro. Ciało nie było wiele; tylko kilka wyglądało, jakby spały. Krew mieszała się z błotem. Jakub dostrzegł pod jednym z krzaków najnowszy model smartfona. Wyglądał na nieużywany. Premier dreptał w kółko. Również jego świta nie miała pojęcia, co dalej. Jeden z wiceministrów rzygał głośno w krzakach.

Tyszkiewicz obejrzał się. Trzech ludzi Bartyzela robiło zdjęcia, czwarty filmował, najpierw dalekie plany, potem skupiał się na detalach. Szef sekcji śledczej po prostu przyglądał się pobojuwisku, główną uwagę poświęcając ofiarom. Nadleciał nie wiadomo czyj dron i zatrzymał się nad paleniskiem, gniewnie mrucząc silniczkami i wpatrując się w pobojuwisko okiem kamery. Prewencja przegoniła kilku przedsiębiorczych ciekawskich. Premier wyglądał źle, ale to nikogo nie dziwiło; kampania wyborcza była długa, natężenie agresji i najcięższych oskarżeń osiągnęło szczyty, które jeszcze pół roku temu wydawały się niezdobyte. Co gorsza: mimo ofiar i poświęcenia walka okazała się przegrana, per saldo niepotrzebna. Nastąpił koniec epoki. Nadejdą nowe czasy, a zemsta zwycięskiej koalicji będzie spektakularna i transmitowana na żywo we wszystkich tak zwanych niezależnych mediach. Widok spalonych trupów odarł tego człowieka i jego akolitów z resztek energii i godności.

Krzepkowski splunął.

- Gównu - powiedział. Papierosa wyrzucił, nim weszli na teren katastrofy. Mimo wszystko ktoś tu będzie zabezpieczał ślady.

Jakub starał się na niego nie patrzeć. Ludzie z KBWL podjęli decyzję o wzięciu się do roboty. Strażacy zwijali węże i pomału wycofywali się z pola bitwy. Żar osłabł, za to swąd benzyny i spalonych ciał zaatakował ze zdwojonym zapalem. Ekipy medyczne weszły do akcji z pochłaniaczami na twarzach. Tyszkiewicz założył maskę; była ciasna i filtr śmierdzał chemikaliami, ale dało się oddychać.

- Może to tylko wypadek - mruknął pod adresem Krzepkowskiego.

- Tak by było najwygodniej.

- Uruchom naszego człowieka.

- Dzwoniłem do niego. Nie odebrał. Zadzwoń po robocie.

- Pilnuj tego.

Dzwonek.

- Szefie, tu Kika. Za kilka minut przyjedzie rosyjski ambasador.

- Dzięki.

Nic go to nie obchodziło. Ambasadorem zajmie się odchodzący, pechowy premier. Pech to mało powiedziane. Partia premiera przegrała przedterminowe wybory, a wizyty rosyjskiego ministra spraw zagranicznych oraz - mającej nastąpić wkrótce - prezydenta Stanów Zjednoczonych nie dało się przełożyć. Porozumienie z Amerykanami negocjowano blisko dwa lata. Miało stanowić zwieńczenie zwycięskiej kampanii, będzie jej podzwonnym. Rosjanin miał zaciągnąć hamulec. Być może martwy zrobi to skuteczniej.

Co my tu robimy? - pomyślał po raz kolejny. Jałowość tego pytania bawiła go, jak zwykle, gdy nie był pewien swoich racji. Będą tu mieli coś do roboty, gdy okaże się, że samolot nie rozbił się przypadkiem. Inaczej tylko zmarnuje dobre buty. Limuzyna ambasadora utknęła w błocie. Szef misji dyplomatycznej atomowego mocarstwa wysiadł sam, bez pomocy ochroniarzy. Nie zwracał uwagi na deszcz, smród i błocko. Potoczył wzrokiem dookoła, po czym ruszył w stronę premiera. Uścisk dłoni przypominał raczej początek walki na pięści. Wypowiadane półgłosem zdania najpewniej niczego nie wyjaśniały.

- Szefie! - zawołał Bartyzel.

Jakub przestał się gapić na bezradnych polityków. Nadkomisarz stał przy szczątkach prawego skrzydła i przyglądał się pilnie czemuś, co leżało na ziemi. Tyszkiewicz ruszył, Krzepkowski szedł pół kroku za nim, rozluźniony i pogodny. Jakub stanął i odwrócił się.

- Wiem, że nie chcesz pomocy... - zaczął.

Głos Krzeptowskiego był skorelowany z łagodnym uśmiechem.

- Jakubie, ona odeszła w spokoju.

O kurwa.

- Naprawdę...

- Jakubie, ona była dobrym człowiekiem. Tam jej będzie dobrze.

Tyszkiewicz cofnął rękę. Strach podszedł pod gardło lepką, duszącą kulą. Bezradność uwiesiła się na plecach; czuł jej nieświeży oddech. Wczorajsza Finlandia nijak nie chciała wyparować. Miał ochotę na jeszcze.

- Dobrze - powiedział, mając świadomość, że jego głos stał się niemal piskliwy. - Gdybyś jednak czegoś potrzebował, jestem.

Odwrócił się na pięcie i poszedł dalej.

- Oba silniki właściwie się rozleciały - zakomunikował Bartyzel. Jakub rozejrzył się. Skrzydło rozpadło się na kilkanaście większych części i zapewne kilkaset mniejszych. Było szczelnie oblepione pianą gaśniczą. W miejscach, gdzie powinny znajdować się silniki, wisiały tylko jakieś metalowe kikuty. - Będziemy mieli szczęście, jeśli je znajdziemy w promieniu pół kilometra.

- No i?

- Na tamtym skrzydle silniki są. Jeden prawie odpadł, ale oba są całe. Silnik to twarde bydlę. Niełatwo go zniszczyć.

- No i?

Po co pyta? Już wie. Chce tylko odwlec ten moment.

- Myślę, że oba prawe silniki zostały rozerwane w wyniku eksplozji.

- Benzyna? - zapytał w ciemno. Nie znał się na samolotach. Czytał o katastrofach lotniczych spowodowanych atakami terrorystycznymi tylko tyle, ile musiał. Ostatnio w ogóle mało czytał.

Bartyzel podniósł z ziemi kawałek metalu. Był ciemny, osmalony, wygięty. Miał oskarżycielską minę.

- Statecznik?

Nadkomisarz skinął głową. W odróżnieniu od szefa cały wolny czas poświęcał na studiowanie najnowszych systemów uzbrojenia.

- Chce pan znać moje zdanie?

- Nie chcę, ale zaryzykuję.

- Na moje oko to przedni statecznik Stingera.

- Kurwa - powiedział Krzeptowski, sięgając po kolejnego papierosa.

Helena otworzyła butelkę, ale nie chciało jej się iść po kieliszek. Potem uznała, że tak będzie lepiej; nie była pewna, że alkohol rozwiąże jej problemy. Pismo z wydziału spraw rodzinnych leżało na stole, celując oskarżycielskim palcem wprost w gwiazdę światowego malarstwa.

Gwiazda była zmęczona, ale starała się myśleć. Film wczoraj, list dzisiaj. Ktoś działał z kurewskim wyprzedzeniem. Wiedział, że pierwszy kontakt ofiara szantażu zerwie? Zakładał, wiedzieć nie mógł, sama była zaskoczona własną reakcją. List, o ile był prawdziwy, świadczył, że ktoś zaczął się starać kilka tygodni temu. Musiał dotrzeć do urzędnika, przekonać go - co pewnie nie stanowiło specjalnego problemu - i nadać sprawie oficjalny bieg. Przypomniała sobie procedurę adopcyjną i wąską twarz sędzi, która chciała wiedzieć, dlaczego uznana artystka i policjant decydują się zaadoptować dziecko morderczynie prezydenta Rzeczypospolitej. Helena wtedy milczała, niepewna i zagubiona, Jakub włożył w argumentację całego siebie. Media wałkowały temat zamachu zimowego przez kilka miesięcy; na szczęście kilka osób postarało się, by pewne istotne szczegóły pozostały znane tylko nielicznym. Sędzia w końcu zachowała się jak człowiek; dla niepełnosprawnego dziecka w pełni uzależnionego od opieki osób trzecich lepsi byli zastępczy rodzice, być może ukrywający swe prawdziwe motywy, ale sprawiający wrażenie szczerze pragnących adopcji, niż państwowy dom dziecka.

- Tak bywa, jak pierdolisz się z kimś innym niż twój mąż, którego podobno kochasz - powiedziała w stronę nadal otwartej butelki.

„Guigal Côtes du Rhône Rouge” wzruszyło ramionami.

- Sprawa jest dawno nieaktualna - odparło beztrąsko.

Otwarte wina zawsze mają dobre humory, zwłaszcza w poranek, podczas którego Warszawa wygląda jak miasto samobójców.

- Miałam wyrzuty sumienia - argumentowała Helena.

- Dlatego teraz cię dopadło. Wyrzuty sumienia są emocjami. Decyzje podejmowane pod wpływem emocji zawsze obracają się przeciw podejmującemu.

Amen.

Machnęła ręką. Zadzwonił telefon. Spojrzała na wyświetlacz. Aparat pozostał tam, gdzie był. Nie miała siły na rozmowę z Lesterem. Nie miała siły nawet na rozmowę z butelką; wiedziała tylko, że musi ją skończyć.

- Co mam zrobić?

- Oni skontaktują się ponownie. Posłuchaj, czego chcą.

- Może być za późno.
- Zawsze możesz powiedzieć Jakubowi.

Wzdrygnęła się. Ostatnio tylko seks z mężem sprawiał jej przyjemność. Reszta mogłaby nie istnieć. Jej wina. Malowanie pochłaniało za dużo czasu. Zmaganie się z natrętnymi myślami było chore, ale atrakcyjniejsze niż zwykłe małżeńskie rozmowy.

Wtedy telefon zadzwonił po raz drugi.

Numer nieznany. Odebrała.

- Pani Heleno, czy już się pani uspokoiła? - Głos zachował wczorajszą wytworność. Nadal rządził światem.

Wstała, poszła po kieliszek. Wino wypełniło go rubinową treścią. Smak był aksamitny, bez gorzkich poboczności.

- Jestem spokojna jak nigdy.

- To świetnie. - Czy można grać szczerą radość? Oczywiście. Głos był niczym Brad Pitt, elegancki i przystojny. - Pani Heleno, jest pani znaną osobą, pani dzieła zdobywają w Europie coraz większą popularność, niektóre galerie poczytują sobie za zaszczyt, gdy mogą gościć pani obrazy. Każdy wernisaż z pani udziałem to prawdziwe wydarzenie kulturalne. Prawda?

- Być może.

- Och, proszę nie być nadmiernie skromną. Pani się należy miejsce w panteonie sztuki, bez dwóch zdań.

- Czego pan chce?

- Przyjdzie dziś do pani kolejna przesyłka. Będzie w niej między innymi telefon komórkowy.

- Między innymi?

- Tak, będzie w niej też pendrive, ale o tym później. Proszę nie wyrzucać telefonu, nie rozbijać go o ścianę. One nie są drogie, ale mimo wszystko szkoda zachodu.

Helena zamknęła oczy. Wino nadal było dobre.

- Nie wiem - szepnęła.

- Czego pani nie wie?

- Nie wiem, czy to zrobię.

- Och, zrobi pani. Przecież nie chce pani kłopotów.

- Romanse nikogo dzisiaj nie obchodzą. Nawet między dwiema kobietami.

- Ma pani rację. Zwykle tak jest. Ale przyjrzyjmy się temu konkretnemu przypadkowi.

Z jednej strony malarka sławna na całą Europę. To prawda, nie takie rzeczy się zdarzały i

zdarzają, skandal obyczajowy nawet pewnie jeszcze bardziej ugruntowałby pani sławę. Ale zarazem jest pani żoną wysokiego funkcjonariusza policji, odpowiedzialnego za zabezpieczenie naszego kraju przed terrorystami. I teraz spójrzmy, z kim pani romansowała. Otóż z Zuzanną Cehak, terrorystką w dosłownym znaczeniu tego słowa, zabójczynią prezydenta i kilkunastu innych osób. Co więcej, jest pani prawną opiekunką jej córki. Czy to nie dziwne? Może splota pani jakiś dług? Może Zuzanna nie działała sama, a zagrożenie nadal istnieje? Może pani mąż o wszystkim wiedział? Kto wie, jak zareaguje opinia publiczna, gdy tak przygotowana informacja razem z filmem ujrzy światło dzienne?

- ...To Jakub zabił Zuzannę...

- Może po prostu uciszał niewygodnego świadka? Faktem jest przecież, że wkrótce potem awansował. To wszystko, jeśli spojrzeć się pod odpowiednim kątem, układa się w logiczną opowieść. Marketing sieciowy daje nieograniczone możliwości, pewnie pani o tym wie. Dla ludzi oboje będziecie zamieszani w związku z terrorystką. Nastąpi koniec wszystkiego, na co pracowaliście przez tyle lat.

Nadal miała zamknięte oczy. Butelka milczała, prawie już pusta. Kolejna czekała w eleganckim, mahoniowym regale. I kilka następnych.

- Odbiorę przesyłkę. Co dalej?

- Ukryje pani telefon oraz pendrive'a przed mężem i będzie czekała na dalsze instrukcje. To na razie wszystko. O całkowitej dyskrecji chyba nie muszę wspominać?

Nawet nie wiedziała, kiedy się rozłączył. Walczyła dalej. Kolejna butelka „Guigal Côtes du Rhône Rouge” gorąco zachęcała. Świat z szarości przeszedł w ołów.

Włączyła telewizor. Obrazki katastrofy, choć kręcone z daleka, były pierwszorzędnej jakości.

Minister pożegnał premiera i rosyjskiego ambasadora, a potem wezwał do siebie szefów służb, umiejętnie ignorując fakt, że część z nich mu nie podlega. Byli wszyscy: ABW, kontrwywiad, żandarmeria, AWW, przedstawiciele Komendy Głównej Policji i Komisji Badania Wypadków Lotniczych. Minister wyglądał jak fejsbukowy awatar obciążony garniturem wyjętym z pralki. Deszcz przykleił mu do czoła kosmyk siwiejących włosów. Wszechobecny swąd wyraźnie drażnił wszystkich obecnych; urzędnik znosił to najgorzej.

- Według pierwszej oceny nikt nie przeżył katastrofy. Mamy trzydzieści cztery ofiary, w tym ministra spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej - zakomunikował. Rozkaszał się ostro, potem wytarł usta chusteczką. Wszyscy czekali. - Decyzją premiera powołuję zespół kryzysowy pod moim przewodnictwem. Proszę wyznaczyć przedstawicieli. Będziemy

spotykali się codziennie o siedemnastej. Pierwsze spotkanie dziś. Nie muszę dodawać, że premier oczekuje szybkiego wyjaśnienia tej tragedii.

Jakub z trudem nad sobą panował. Znowu zachciało mu się śmiać. Politycy uwielbiają powoływać zespoły, gremia i komisje, tym chętniej, im bardziej nadzwyczajny status im się przyklei. Deszcz na powrót przeszedł w mżawkę. Chmury niemal zawadzały o sterczący ku górze statecznik pionowy samolotu. Obsypane złotem i czerwienią drzewa nadal tu nie pasowały.

- Jaka jest hierarchia kompetencji? - zapytał facet z ABW.

- Ustalimy to, gdy będziemy znali pierwsze wyniki - odparł minister. - Na razie postępowanie prowadzi Komisja Badania Wypadków Lotniczych.

Nikt nie wyglądał na zadowolonego, co było oczywiste.

Minister odjechał, Jakub rozejrzał się. Przedstawiciele służb naradzali się między sobą. Odwrócił się i podszedł do Bartyzela.

- Działaj dalej - polecił. - Nigdzie ci się nie spieszy.

Nadkomisarz zwiesił głowę. Przemoczony płaszcz wisiał na nim jak szmata.

- Komisja mnie trochę przegania.

- Nie stawiaj się. Nie chcemy kłopotów.

- Już mamy kłopoty.

- Postaram się rozłożyć je na większą ilość chętnych.

Bartyzel odwrócił się. Patrzył na szczątki prawego skrzydła.

- Może się nie udać.

- Wiem - powiedział Jakub. - Róbmy swoje.

- Dobra.

- Chcesz tu zostać? - zapytał Krzeptowskiego.

- Jadę z tobą.

Wracali w milczeniu, przepychając się przez korki, mżawkę i depresyjne myśli. Warszawa pokazywała swe najbrzydsze oblicze, krzywe, brudne, straszące jaruzelskimi blokami. Budynek Biura powitał ich ponurą miną. Smród zbyt mocno przesiąkł przez skórę, by pozbyć się go za pomocą zwykłego prysznica. Jakub założył suche ubranie, które wisiało w szafie na wszelki wypadek. Nigdy się nie przydało, teraz było jak znalazł. Śmierdział nadal, ale miał nadzieję, że być może uda mu się dotrzeć do końca dnia. Zebranie szefów sekcji zostało zwołane w sali konferencyjnej. Mimo środka dnia w Biurze panowała cisza.

Jakub podniósł do ust kubek z kawą. Starał się nie patrzeć na Krzeptowskiego. Chciał coś powiedzieć, ale Krzeptowski uprzedził go.

- Jadwiga zmarła we śnie - rzekł. Ludzie bywają bardziej przejęci, gdy nie mogą kupić ulubionego rodzaju pieczywa. - Nie przyjmuję kondolencji. Pracujemy normalnie.

Dochodzące gdzieś z głębi biura stuknięcie stanowiło jedyną reakcję. Ludzie patrzyli w stół lub przed siebie. Śmierć, nieodłączny element życia, często zadaje pytania, które nigdy nie powinny paść.

- Powinieneś wziąć urlop - powiedział Tyszkiewicz.

- Szkoda czasu. Zaczynajmy.

- Należy ci się odpoczynek.

- Należy mi się koniec dyskusji.

Touché.

Tyszkiewicz spojrzał na Olbrychta. Napuchnięte oblicze nadkomisarza wisiało nad stołem jak wyrzut sumienia.

- C-4 - powiedział. - Dwie porcje po sześćset gram.

Tyszkiewicz jednak poczuł się zaskoczony. C-4 był trudno dostępny. Łatwiej wyprodukować pentryt albo zdobyć dynamit z jakiejś kopalni.

- Masz pomysł, skąd pochodził?

- Dałem do zbadania.

- Coś jeszcze?

- Mamy szczęście, że żyjemy. Detonator był sprawny. A ten pojeb mógł go nacisnąć.

Goździk poruszył się nieznacznie.

- Nie mógł - powiedział. Mało spał tej nocy. We śnie i na jawie widział lecącą kulę. Na ogół nie trafiała w cel. Coraz częściej myślał o cenie, jaką kiedyś zapłacił za bezsenne leżenie w mroku i rozhulaną wyobraźnię. Próbował pić. Nie miał do tego głowy.

- Był blisko.

- Sam kurwa wiem, że był blisko. - Goździk zaczął syczeć, jakby uchodziła z niego para. Olbrycht wzruszył ramionami. On też był w podobnym nastroju.

- Spokój. - Jakub przeniósł wzrok na Bielika. - Co ustaliłeś?

- Al-Wei okazał się bardzo inteligentnym młodym człowiekiem - powiedział Bielik. Pił kolejną kawę, zaciskając palce na kubku, jakby ktoś chciał mu go wyrwać. Jako jedynemu brak snu mu nie przeszkadzał. Jako jedyny zdawał się w dobrym humorze. Socjopaci często nie tracą dobrego humoru niezależnie od okoliczności. - I rozmownym.

„Klown i Spartanin, bohater, bufon, półdemon i półplugawiec w jednym ciele, okrutny potwór mieszczący w skórze rzeźnickiego psa duszę małpy...”, miał się wyrazić lord Byron o księciu Suworowie. Bufon na pewno, a także pół, a może nawet cały plugawiec, w ogóle nie

demon, pomyślał o Bieliku Jakub. Machnął niecierpliwie ręką. Interesowały go konkrety. Śledczy nie patrzył na niego. Miał umiejętność spoglądania we wszystkich kierunkach naraz i żadnym określonym.

- Chłopcy przyjechali tu przed trzema dniami - powiedział.

- Skąd mieli zamiar na mieszkanie?

- Mogę ja? - zapytała Kika.

- Jasne.

Stuknęła długopisem w blat.

- Właściciel wynajął lokal przez agencję trzy miesiące temu - odparła. - Rozmawiałam z szefem agencji. Pracownik, który prowadził transakcję, zwolnił się tydzień temu. Pod adresem z umowy o pracę nikogo nie ma. Szukam dalej.

- Polak?

- Tak twierdzi właściciel. Facet nazywał się Jerzy Nowak. Pewnie już nazywa się inaczej.

- Znajdź go. Portret pamięciowy i tak dalej. Może zostawił odciski palców na klawiszach komputera albo coś. Ktoś z nim podpisał umowę o pracę, facet musiał pokazać dowód. Może w kadrach agencji mają skan. Idź tym tropem. Kto figuruje jako klient w umowie najmu?

- Właściciel mieszkania ma podpisaną umowę z agencją, agencja miała podobno podpisaną umowę z najemcą, ale ta umowa zaginęła razem z Nowakiem.

- W jaki sposób był opłacony czynsz?

- Gotówką, trzy miesiące z góry.

- Ładnie. Coś jeszcze?

- Jeśli chodzi o agencję, to na razie wszystko. W mieszkaniu nie znaleźliśmy śladów żadnych innych osób.

- Co mówią świadkowie? Sąsiedzi?

- Nikt nie zauważył nic podejrzanego.

Tyszkiewicz ponownie spojrzął na Bielika, który tym razem koncentrował się na studiowaniu kształtu swoich paznokci.

- Jak oni się tu dostali?

Bielik podniósł wzrok.

- Przyjechali pociągiem z Berlina, każdy osobno. Wysiedli na Centralnym, wzięli dwie taksówki, pojechali na Ursynów. Mieli pełną lodówkę, nie musieli wychodzić.

- Chcieli zaatakować obaj?

- Al-Wei twierdzi, że tak, Bagrami mówi, że to on miał zdetonować bombę.

- Ciekawe. Kto ich tu przysłał?

- Twierdzą, że sami się przysłali. Wie pan, jak to działa. Nasłuchali się imama, nazywa się bodajże Razzaq, ten imam, pogadali na czacie, uznali, że to świetny pomysł, i przyjechali. Bilet na pociąg nie jest drogi.

- Wierzysz im?

- Na razie nie. Zobaczymy.

- C-4 nie można kupić w sklepie na rogu.

- Dlatego powiedziałem: zobaczymy.

- Używali swoich dokumentów?

- Nie. Mieli całkiem niezłe podrobione paszporty.

- W Niemczech?

- Tak.

- Dajmy znać BND, może dojdą do fałszerza.

Kika znowu coś zanotowała.

- To się wszystko kupy nie trzyma. - Krzeptowski odwrócił się w stronę Bielika. Jego profil zdał się Jakubowi podobny do pośmiertnej płaskorzeźby któregoś z rzymskich cesarzy. Nie mógł przypomnieć sobie jego imienia.

- Oczywiście, że nie - ucieszył się Bielik. - Za pierwszym razem nawet nie powinno się trzymać.

- Jest oczywiste, że nie działali sami - powiedział Jakub. - Ktoś wsadził tego całego Nowaka do agencji i kazał przygotować mieszkanie. Ktoś zaopatrzył lodówkę. I ktoś miał im wskazać cel.

- Twierdzą, że cel mieli wybrać sami i miało to być jedno z centrów handlowych. Chcieli zostawić dwa plecaki z bombami i zdetonować je za pomocą komórki.

- Bzdury - mruknął Olbrycht.

- Bo? - Tyszkiewicz zaczął się zastanawiać, jak wytrzyma do końca dnia. Picie w pracy było surowo zabronione. Może cola zamaskuje zapach wódki? I miętóweczka?

- Bo mieli zwykły detonator naciskowy, do osobistego odpalenia. Jeden, nie dwa. Miała być jedna bomba i człowiek, który ją detonuje. W ich rzeczach śladu nie ma po żadnym urządzeniu mogących odebrać sygnał z komórki i uaktywnić detonator.

Jakub rozpaczliwie zapragnął kolejnej kawy. Nadal czuł w nozdrzach swąd katastrofy. Krążąca w żyłach finlandia cofała się o wiele za szybko.

- Którą galerię wybrali?

- Nie umieli powiedzieć. Chcieli zrobić rekonesans i zdecydować.

- Amatorszczyzna - mruknął Goździk.

Kika przytaknęła.

- Trzeba się dowiedzieć, kim tak naprawdę są i skąd się wzięli - powiedziała.

Jakub spojrzął na nią uważnie.

- Mów dalej.

- To rzeczywiście wygląda na amatorszczyznę. Z ich danych przysłanych przez BND wynika, że są raczej bardzo zdecydowani. Zamach w Moguncji był przygotowany bardzo profesjonalnie. Zginęło trzydzieści siedem osób. Nie udowodniono im tego przed sądem, ale BND upiera się, że to na pewno oni byli sprawcami.

- Więc?

- Więc ta amatorszczyzna jest na pokaz. Obaj są doświadczeni. Mogę się założyć, że mieli dokładny plan i cel ataku. I nie zamierzali w nim ginąć. Może ktoś miał im dostarczyć urządzenie do odpalania detonatora na odległość.

Jakub starał się zacząć myśleć. Starał się zacząć myśleć o sprawie, a nie o tym, czy to jego sprawa. Spowodować, by zaczęło go to wszystko obchodzić.

- Jeżeli są powiązani z ISIS, warto sprawdzić, skąd się wzięli w Europie. Nie chcę oficjalnej wersji. Chcę faktów.

Kika spojrzała na Smotrycza. Smotrycz skrzywił się. Miał wokół oczu zmarszczki starego człowieka. Upływ lat mu nie służył. Coraz częściej wychodził do domu przed czwartą, choć mieszkania, które zwał domem, nadal nie zaludniał nikt poza właścicielem.

- Możemy zwrócić się do Amerykanów - powiedział. Kiedyś usta mu się nie zamykały. Teraz mówił na ogół wtedy, gdy nie było innego wyjścia. Cierpiał na wrzody żołądka.

- Zadzwoń do łącznika CIA. Interesuje mnie, gdzie się szkolili i pod kogo podlegali.

Smotrycz zanotował coś w telefonie.

- Bronn pewnie lata jak kot z pęcherzem.

Joseph Bronn był łącznikiem z Centralną Agencją Wywiadowczą. Jakub pił z nim kilka razy kawę. Facet sprawiał na ogół wrażenie lekko oderwanego od rzeczywistości, ale czasem potrafił być konkretny. Cierpiał, że szef wsadził go na trzeciorzędną placówkę. Teraz był odpowiedzialny za wizytę amerykańskiego prezydenta. Następny tydzień będzie piekłem.

- Mimo to zadzwoń i pogadaj z nim - nakazał Jakub. - Powiedz, że to, co się tu dzieje, może mieć związek z wizytą jego prezydenta. To go zmotywuje.

- Zaraz zadzwonię.

Jakub wbił spojrzenie w Bielika. Chciał być stanowczy, ale obawiał się, że jest po

prostu stary i zmęczony.

- Rozpytuj ich dalej - powiedział. - Chcę mieć wyraźniejszy obraz. Interesuje mnie, kto ich tu przysłał i po co. I czy nie ma jeszcze kogoś. Nie musisz z nami siedzieć.

Bielik złapał kubek, wstał i wyszedł. Wyglądał na obrażonego. Pod okno podeszła przesiąknięta mżawką mgiełka. Mimo południa pokój tonął w półmroku. Do szyby przykleił się rudo-żółty liść. Był martwy od jakiegoś czasu, jednak nie stracił urody.

- Teraz oficjalny komunikat. To, co powiem, zostaje wyłącznie w tym pokoju - oznajmił Jakub. - Wszystko, co mówimy, jest nagrywane i pozostaje tylko do mojej dyspozycji. W razie przecieku nie będę miał kłopotów z ustaleniem sprawcy. Rozumiemy się?

Szefowie sekcji spojrzeli na niego. Reakcje były różne, ale nikt nie miał pretensji. Czasy się zmieniały. Dobra informacja była warta rocznych albo dwuletnich zarobków. Rynek nabywców dynamicznie się zwiększał. Popyt rósł.

Jakub znał ich dobrze, w większości sam ich zatrudniał. Kiedyś im ufał. Teraz interesowało go tylko uszczelnienie obiegu informacji przez następną dobę.

- Jasne? - zapytał, sam nie wiedział po co.

Kiwnęli głowami.

- Nie mamy jeszcze oficjalnego przydziału do śledztwa w sprawie katastrofy samolotu - oznajmił. - Ale zakładam, że będziemy brali udział. Bartyzel ustalił, że samolot został zestrzelony. Zgadzam się z nim.

Zamilkł. Wstał, podszedł do ekspresu, cierpliwie zaczekał, aż maszyna napełni kubek spienionym mlekiem i mieloną kawą. Zapach podrażnił nozdrza. Ludzie w milczeniu trawili informację.

- Będzie burdel jak cholera - mruknął Goździk. Nie interesował się polityką, o ile polityka nie interesowała się nim. Nigdy jednak nie miał do czynienia ze sprawą tej grubości. - Ruscy dostaną szału.

- Na pewno - przytaknął Jakub, siadając. Starał się nie patrzeć za okno. Starał się nie myśleć o telefonie od Heleny. - Postaram się, żebyśmy byli możliwie z boku. Pewnie do końca się nie da, ale zrobię, co się da. Muszę wiedzieć, czy i jaki istnieje związek pomiędzy złapaniem dwóch facetów z ISIS a katastrofą samolotu.

- Grubo - mruknął Krzeptowski.

Jakub odwrócił się ku niemu, nie samą głową, a całym ciałem, jakby miał kłopoty z kręgosłupem.

- Chciałbym, żeby nie było żadnego - powiedział. Po co podnosi głos? Po co patrzy,

jakby miał zabić? Krzeptowskiemu należy się ochrona. - Jednak na razie muszę zakładać, że jakiś jest.

Kika już dawno wyzbyła się złudzeń, że jej obecność cokolwiek łagodzi. Ale nie chciała dopuścić do otwartego wybuchu. Znała ich obu. Wiedziała, do czego mogą się posunąć. Podniosła rękę, jak zdolna i pilna uczennica.

- Myślę, że po prostu powinniśmy gromadzić informacje i nie kierunkować się na żadną hipotezę. Jeśli samolot został zestrzelony, kluczowe będzie ustalenie sprawców. Wtedy się przyjrzymy, czy istnieje między nimi związek.

Jakub podziękował spojrzaniem. Krzeptowski wrócił do kontemplowania ściany. Jego spokój ział cmentarną martwością. Dobry nastrój niezauważenie parował. Wracająca stara sztywność ciała i duszy.

- Bartyzel odkrył na miejscu katastrofy element, który wygląda jak statecznik Stingera - ciągnął. - Dla porządku: to amerykańska rakietka przeciwlotnicza, naprowadzana na podczerwień. Jeśli Bartyzel się nie myli, mamy do czynienia z zamachem, i to bardzo profesjonalnie przygotowanym. Nie chodzi nawet o strzelca. Wyszukanie człowieka, który będzie potrafił wycelować i pociągnąć za spust, nie jest takie trudne. Kluczowe jest zdobycie rakiety, przewiezienie jej do Polski oraz wczesne pozyskanie informacji, o której godzinie i jakim korytarzem samolot będzie podchodził do lądowania.

Zamilkł. Nawet Krzeptowski wyglądał na zainteresowanego. Takie sprawy zawsze śmierdzą. Liczba ludzi z wewnętrznego kręgu, którzy biorą udział w spisku, jest na ogół przygnębiająca.

- Musiał być przeciek w MSZ albo na Okęciu - powiedziała Kika.

- To i tak ogranicza się do kilku osób.

- Poszukam.

- Antoni poszuka. Ty pójdziesz ze mną do szefa.

Jan Holt miał gorące nazwisko, duży dom pod Warszawą, drugą, znacznie młodszą i bardziej efektowną od pierwszej żonę oraz dwoje dzieci pięknie wyedukowanych na angielskim uniwersytecie. Miał też prezencję, wiedzę, inteligencję, kontakty.

Jan Holt był naczelnym gazety, która mimo odwrotu prasy papierowej nadal nieźle sobie radziła na rynku, głównym udziałowcem stacji telewizyjnej o ogólnopolskim zasięgu i największym udziale w rynku, a także właścicielem portalu mającego gigantyczną ilość użytkowników i dobowych unikalnych wejść. Już dawno obwołano go Midasem mediów. Chętnie opowiadał o tym, jak odrzucił kilka lukratywnych ofert zachodnich koncernów, które

złożyły oferty kupna portalu. Dobiegał pięćdziesiątki, mimo to nie musiał wspomagać wyglądu ani skalpelem, ani chemią. Publicznie wygłaszał opinię, że wnętrze człowieka jest ważniejsze niż powłoka cielesna.

Dbał o pluralizm poglądów i głośno o tym mówił. Publicznie twierdził, że swoim dziennikarzom kazał badać każdą sprawę z różnych punktów widzenia. Naświetlać poglądy zainteresowanych stron. Wyważać racje. Mawiał, że prawda jest zbyt ciekawa, by ją pudrować czy zniekształcać. Zbudował sobie taką pozycję, że nie sposób było mu czegokolwiek zarzucić.

O katastrofie dowiedział się jako pierwszy, całe pięć minut przed konkurencją. Zadzwoił operator jednego z kilku nieustannie latających nad Warszawą dronów i zameldował, że zauważył błysk w pasie nalotów na Okęcie. Holt nakazał mu śledzenie wydarzenia z maksymalnie bliskiej odległości. Jeszcze nie miał pełnej wiedzy o tym, co się stało, ale już się cieszył. Wczoraj, podczas zdarzenia na Ursynowie, jego ludzie nieco zaspali; w efekcie Holt wiedział tyle co wszyscy. Obciął premię zespołowi, co pozostało bez wpływu na rzeczywistość, ale nieco ukoilo złość.

Dwoma telefonami postawił na nogi ranną zmianę, potem zadzwonił do znajomego polityka. Nie dowiedział się niczego konkretnego, ale musiał zachować pozory - brak telefonu nie pasowałby do jego renomy. Wtyczka w Komendzie Głównej Policji również miała w ustach głównie wodę. Holt zagroził, że obniży stawkę; wtyczka rozłączyła się, ale Holt wiedział, że zadzwoni, gdy tylko dowie się czegoś wartego uwagi. Potem, zerkając na ekrany telewizorów, napisał kilka maili: żółte paski miały coraz czarniejszy kolor. Jego własny portal zatytułował serwis z katastrofy jako „Tragedia w Kabatach”. Holt zadzwonił do firmy i kazał redaktorowi wziąć dwutygodniowy bezpłatny urlop w trybie natychmiastowym. Następca zmienił tytuł na lepszy.

Potem odezwał się inny telefon, prywatny, o którym wiedział tylko on i jego rozmówca.
- Cześć, Jan. Przyjedź wieczorem - oznajmił mężczyzna po drugiej stronie linii.

Biurokratyczny sztorm narastał. Budynek MSWiA wyglądał jak obleżona twierdza oblepiona strąkami coraz niżej szybujących chmur i wozami transmisji satelitarnej wszelkich możliwych mediów. Rzecznik wyszedł, powiedział kilka zdań, na jego głowę spadła mżawka i powódź pytań o wszystko, łącznie z żądaniem komentarza do niedawnych wyborów. Rzecznik wycofał się wściekły; strategia komunikacyjna ministerstwa niezmiennie pozostawała katastrofą.

Tyszkiewicz i Kika spóźnili się. Musieli ponad dziesięć minut czekać przed bramą, aż

dwaj gburowaci strażnicy wylegitymują ich, a potem udrożnią przejazd, robiąc wyłom w falującym tłumie reporterów. Na parkingu nie było wolnych miejsc, na parterze kłębiły się trzy setki niezdrowo podnieconych osób, tarasując schody i windy. W sali konferencyjnej ktoś zdecydowanie przesadził z ogrzewaniem; różnica temperatur pomiędzy wnętrzem a zewnątrz wynosiła dwadzieścia stopni. Tyszkiewiczowi momentalnie zachciało się spać, mimo to od razu dostrzegł, że od momentu katastrofy niewiele ustalono. Minister zmienił garnitur, ale w dalszym ciągu wyglądał na ostatnią osobę, która powinna zajmować się śledztwem o międzynarodowym zasięgu. Siedzący nieopodal zastępca szefa ABW ostentacyjnie rozmawiał przez telefon, zakrywając usta dłonią. Pozostali gapili się w stół lub prowadzili szeptane pogaduszki. Jakub zauważył siedzącego po przeciwnej stronie Tolaka. Kiwnął mu dłonią, doczekał się pozdrowienia, usiadł. Kika jak zwykle pachniała niezłymi perfumami. Większość spojrzeń krążyło wokół jej biustu wypychającego skromną garsonkę; Tyszkiewicz poczuł się jeszcze starszy niż rano.

- Proszę państwa, zaczynamy - powiedział minister, stukając kostkami dłoni w blat. Rozmowy ucichły, facet z ABW wyłączył telefon z niemal widoczną pretensją w oczach. - W kwestii formalnej; premier zatwierdził skład naszego zespołu. Śledztwo w sprawie katastrofy prowadzi Komisja Badania Wypadków Lotniczych. Pozostałe służby odpowiedzialne są za zbieranie informacji zgodnie z kompetencjami wynikającymi z przepisów.

Jakub kiwnął głową. Tak jest najbezpieczniej. Zbierać informacje. Unikać podejmowania decyzji. Działać tak, żeby działali inni.

- Żaden z pasażerów rosyjskiego rządowego Iła 96 nie przeżył katastrofy - ciągnął urzędnik. Jego zastępca patrzył z napięciem w ekran laptopa. Wyglądał jak nastolatek oglądający film porno. - Ciała zostały przewiezione do zakładu anatomopatologii. Na prośbę ambasadora Federacji Rosyjskiej sekcje zaczną się jutro rano.

To i tak postępek. W takich sprawach zwykle nikomu się nie spieszy.

- Oddaję głos zastępcy dyrektora Komisji Badania Wypadków Lotniczych, panu Ordyńskiemu.

Z końca stołu podniósł się otyły sześćdziesięcioparolatek. Karierę zaczynał jeszcze w peerelu, teraz dobijał do emerytury. Przypominał cierpiącego na wrzody dwunastnicy morsa. Pokryta plamami potu łysina świeciła jak latarnia morska. Kartki trzymane w prawej dłoni drżały.

- Samolot zaczął podchodzenie do lądowania o godzinie siódmej trzydzieści, co do minuty zgodnie z planem - powiedział słabym głosem. - O godzinie siódmej trzydzieści osiem łączność z wieżą kontrolną urwała się...

Potem nastąpiła lawina faktów, z których żaden nie miał większego znaczenia. Ordyński mówił nerwowo, zaciął się, często spoglądał do notatek, mimo to zdarzyło mu się pomylić strony świata. Jakub niemal czekał na potwierdzenie, że katastrofa rzeczywiście miała miejsce.

W kieszeni pisnął sygnał przychodzącego SMS-a. Starając się nie spuszczać wzroku z prelegenta, spojrzął na wyświetlacz.

„Dzień dobry, tu Maria Potocka. Mogę zadzwonić?”

Zastygł.

Ludzka pamięć działa wybiórczo. Czasem nie mógł sobie przypomnieć, co zdarzyło się wczoraj; Maria natomiast stała przed oczyma jak żywa, jakby sześć lat minęło w jeden dzień. Z miejsca przywołał w myślach jej twarz, tembr głosu, sposób chodzenia. Czy chciał z nią rozmawiać? Skąd miała jego numer? Zmienił go dwa lata temu.

„Za godzinę”, odpisał.

„OK”.

Poczuł, że Kika mu się przygląda. Schował aparat do kieszeni. Ordyński usiadł. Ani słowa o Stingerze.

- Dziękuję - powiedział minister. Jego zastępca był jeszcze bardziej skupiony; być może zaczął oglądać kolejny film. - Proszę państwa, nie muszę mówić, w jakiej sytuacji się znajdujemy. Federacja Rosyjska bardzo ostro sprzeciwia się podpisaniu przez nas porozumienia z Amerykanami. Wizyta ministra miała na celu ostatnią próbę przekonania nas, żebyśmy zrezygnowali z układu. Wypadek z pewnością posłuży do oskarżenia władz naszego państwa o niekompetencję, złą wolę, może nawet sprawstwo. Musimy dołożyć wszelkich starań, by szybko i bez wątpliwości wyjaśnić wszelkie okoliczności tej strasznej tragedii. Musimy podać przyczynę katastrofy i zrobić to w taki sposób, żeby nie było żadnych niedomówień.

Chyba że się okaże, że coś spierdoliliśmy, dopowiedział zdanie do końca Jakub.

Zapadła cisza. Wszyscy z widocznym trudem udawali zainteresowanie. Tyszkiewicz uważał to za naturalny stan, raczej dziwił się ministrowi, który w obecnej sytuacji politycznej oczekuje wyteżonej pracy. Większość z obecnych na sali miotła nowej władzy wymiecie w pierwszym dniu urzędowania. Śledztwo spadnie na następców i to oni się powinni martwić, jak nim pokierować. Dotyczyło to również jego. Dlatego chciał, by towarzyszyła mu Kika. Kika może się ostanie. Nigdy nie zrobiła niczego, co nie spodoba się nowym panom.

- Co na razie wiemy na temat przyczyn? - zapytał Tolak. Nie było go na miejscu katastrofy. Służbę Kontrwywiadu Wojskowego reprezentował w Lesie Kabackim facet,

którego Jakub widział pierwszy raz na oczy. Szybko się zresztą zdematerializował.

Minister poruszył się.

Wie, skurwysyn, pomyślał Jakub. Tylko jeszcze nie uzgodnił, co z tym zrobić.

- Nie ma na razie jasnego obrazu - odparł urzędnik, kurcząc się nieco. Wiceminister podniósł wzrok i wbił go w pytającego, jakby ten dowiadywał się o możliwość zgwałcenia jego siostry.

Idioci. Naprawdę myślą, że wśród tych ludzi ukryje się coś tak grubego?

- Jakaś robocza hipoteza? - drążył Tolak.

Minister spojrział na Ordyńskiego, ale ten studiował dokumenty.

Jakub poczuł, że diabeł gryzie go w okolice tyłka. Usłyszał swój głos z boku, dziwnie dźwięczny i energiczny.

- Moi ludzie znaleźli na miejscu katastrofy części od amerykańskiej rakiety przeciwlotniczej Stinger - powiedział, nawet nie wstając. Większość spojrzeń była po prostu zaciekawiona, zaskoczenie udawane. Twarz ministra pokryła się sepią. - Nie chcę wysnuwać przedwczesnych wniosków, rzecz wymaga precyzyjnego zbadania, ale można przypuścić, że podczas podchodzenia do lądowania samolot został zestrzelony. Wskazywałyby na to rodzaj uszkodzeń obu prawych silników i prawego skrzydła. Szczątki rozleciały się na dużym obszarze, co może wskazywać na silną eksplozję spowodowaną czynnikiem zewnętrznym.

Sam się rozbawił swoją retoryką. „Może wskazywać”, „można przypuścić”. Nie był przecież w sądzie. Pokryty sepią minister zmalął do poziomu karła. Jego zastępca w końcu oderwał wzrok od ekranu laptopa. Jego oczy były martwe, mimo to Jakub dostrzegł w nich zaciekawienie.

- To poszlaka na razie - wydukał minister. Jakub był i tak pełen podziwu, że udało mu się cokolwiek powiedzieć.

- Bardzo silna - odparował Jakub. Spojrział na Ordyńskiego. - Może pan to potwierdzić?

Ordyński chrząknął. Miał minę człowieka, który starał się być dzielny, ale pod szafotem przestał panować nad zwieraczem.

- No cóż... - zawahał się. Był w tym rozpaczliwym wahaniu ludzki; Jakubowi zrobiło się go żal. - ...na razie nie można stwierdzić niczego ze stuprocentową pewnością, ale rzeczywiście, wstępne badanie silników podwieszonych pod prawym skrzydłem wskazuje na rozliczne uszkodzenia spowodowane eksplozją materiału wybuchowego.

- Obu silników? - zapytała Kika.

- Obu - przytaknął Ordyński. Minister gwałtownym ruchem zdjął marynarkę. Otarł czoło papierową chusteczką. Coraz bardziej upodabniał się do trupa.

Było dwóch strzelców, pomyślał Jakub. Jeden Stinger nie gwarantował sukcesu. Sam bym tak zrobił. Powinniśmy szukać dwóch ludzi.

Zastępca ministra z rozmachem zamknął laptopa. Film najwyraźniej dobiegł końca.

- Panie ministrze, jeśli pan pozwoli - powiedział. Głos brzmiał autorytatywnie. Szef skinął głową. - Trzeba spojrzeć na fakty. Rzeczywiście, możemy mieć do czynienia z zamachem. Bezprecedensowym zamachem na wysokiej rangi urzędnika Federacji Rosyjskiej. Nie muszę mówić, co to znaczy. Nawet w przypadku państwa zaprzyjaźnionego sytuacja byłaby ekstremalnie trudna. Rosję trudno nazwać państwem zaprzyjaźnionym. W wypadku Rosji wszyscy znajdujemy się o krok od bardzo poważnego konfliktu międzynarodowego o trudnej do wyobrażenia skali i niemożliwych do oszacowania skutkach.

Zebrani po raz pierwszy zaczęli wykazywać zainteresowanie tym, co zostało powiedziane przy prezydialnej części stołu. Ci ludzie żyli z przetwarzania informacji i manipulowania nimi. Do momentu wystąpienia Tyszkiewicza spotkanie było stratą czasu. Teraz być może będą mogli ruszyć z miejsca.

- Ponieważ najprawdopodobniej mamy do czynienia z zamachem terrorystycznym, powstaje pytanie, kto powinien koordynować śledztwo - powiedział Tolak. Nie patrzył na nikogo specjalnie, ale Jakub wyczuł, że mówi do niego.

- Badanie przyczyny katastrofy prowadzi komisja - bąknął minister. Jakimś cudem udało mu się wrócić do rzeczywistości, choć najwyraźniej nadal nie zdawał sobie sprawy, co w niej zastanie.

Tolak chrząknął niecierpliwie. Jego firma podlegała pod ministerstwo obrony. Nie musiał się bawić w dyplomację.

- Komisja jest instytucją cywilną - odparł. - Jeśli prawdą jest, że samolot został zestrzelony amerykańską rakietą przeciwlotniczą, mamy do czynienia z precyzyjnie zaplanowanym spiskiem. Ktoś to wymyślił, ktoś zaplanował, ktoś znalazł zamachowca lub zamachowców, ktoś zdobył informację o dokładnej godzinie przylotu i trasie nalotu. To jest obszar wywiadu, kontrwywiadu, policji, straży granicznej, służb imigracyjnych, w końcu MSZ, bo jestem pewien, że Rosjanie zażądadają udziału w śledztwie.

- Już zażądali, a myśmy się zgodzili - powiedział wiceminister. - Na Okęciu właśnie wylądowała grupa oficerów FSB, pracowników ministerstwa do spraw nadzwyczajnych i MAK. Pułkownik Kalinin z FSB jest szefem.

- No właśnie - zgodził się Tolak. - Koordynacja jest niezbędna.

Minister wziął głęboki oddech. Coś na kształt bladego rumieńca pojawiło się na jego lewym policzku. Zdawał się pomału odzyskiwać kontrolę nad sytuacją, a może tylko nad

sobą.

- Dobrze - powiedział. - Proponuję, żeby koordynatorem śledztwa został dyrektor Centralnego Biura Śledczego.

Kika wyglądała na rozczarowaną, Tyszkiewicz odetchnął z ulgą. Ślusarski, dyrektor cebeesiu, sprawiał wrażenie uderzonego kamieniem w głowę.

Konferencja skończyła się. Tyszkiewicz puścił Kikę przodem, sam został chwilę, by przywitać się z Tolakiem.

- Dobrze wyglądasz - oznajmił.

Tolak odpowiedział bladym uśmiechem. Stali w kącie korytarza, nieformalnej palarni. Śmierdziało starym dymem i zakulisowymi plotkami. Uczestnicy spotkania szybko wychodzili z sali konferencyjnej. Szef cebeesiu coś uzgadniał z zastępcą ministra. Oszołomienie go nie opuszczało.

- Słyszałem, że złapaliście dwóch z ISIS - powiedział Tolak.

- Od kogo słyszałeś?

Tolak przewrócił oczami, a potem uśmiechnął się zdawkowo. Na czole wyświetlił mu się napis: „opinie o naszej nieudolności traktujemy jako atut”.

Tyszkiewicz rozumiał go. Gdyby sytuacja była odwrotna, on też próbowałby się dowiedzieć.

- Nie zastanawia cię zbieżność w czasie? - zapytał Tolak.

- Zastanawia - przyznał Jakub. - Na razie wszystko jest za świeże, żeby coś mówić na pewno. Ale myślę o tym.

Tolak skinął głową. Szef cebeesiu skończył naradę z zastępcą ministra i zaczął iść w ich stronę.

- Coś mi się wydaje, że twoje szczęście się kończy - bąknął. - Gdybyś czegoś potrzebował, dzwoń.

Odwrócił się i poszedł w stronę windy. Ślusarski stanął przed Jakubem. Miał sto lat i tonę cegieł na plecach.

- Możliwe, że ma pan rację, podinspektorze - powiedział. - Musimy niestety przyjąć, że mamy do czynienia z zamachem. Chcę, żeby pan włączył się do śledztwa.

Jakub spodziewał się tego, odkąd przekroczył próg sali konferencyjnej. Pewność zyskał, gdy Tolak zadał pytanie o koordynację.

- Oczywiście - odparł.

- Wiem, że ma pan pełne ręce roboty z tymi dwoma niedoszłymi zamachowcami...

- Jeszcze nie wiem, czy mam z nimi pełne ręce roboty - powiedział, zastanawiając się, po co mu ta szczerość. Już dawno się nauczył, że zawsze lepiej udawać zajętego. - Szukam kogoś, kto im pomógł, ale na razie nie mam dowodów, że to była większa operacja.

- Oby nie była. Proszę przyjść do mnie za godzinę. Podzielimy się zadaniami.

- Będę za godzinę.

Zeszli na dół. Kika czekała w samochodzie. Dziennikarze zdawali się odporni na wilgoć; wozów nawet przybyło, a parasole pokryły cały chodnik i sporą część jezdni. Chór podnieconych głosów brzmiał jak wodospad. Wszyscy już zdążyli zapomnieć o wczorajszych wydarzeniach na Ursynowie.

Jechali w milczeniu; Tyszkiewicz myślał intensywnie, Kika obserwowała świat przez boczne okno. Warszawa była ciemna i zamglona, zmęczona i zniechęcona. Po niedawnej pewności siebie nie został ślad. Firma powitała ich jaskrawym światłem lamp i pracowitą krzątanią. Bartyzela i jego ludzi nie było jeszcze; nadal eksplorowali miejsce katastrofy, choć musiały tam panować egipskie ciemności. Bielik siedział w pomieszczeniu socjalnym i pił kawę. Tłumacz opierał się o ścianę; wyraźnie miał dość. Czekala go kolejna tura przesłuchań. Tego właśnie miał dość.

Jakub poszedł do gabinetu.

- Gdzie Staszek? - zapytał sekretarki.

- Pojechał do domu.

- Bardzo dobrze. Pani też niech jedzie.

- Dziękuję, panie dyrektorze.

Zamknął za sobą drzwi. Meble spały. Nie zapalił światła - nie chciał ich budzić. Postał chwilę w ciemności i wyszedł. Nie miał w biurze nic do roboty.

Krzeptowski chodził po mieszkaniu i przyglądał się meblom, rzeczom, sprzętom, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. Puste kartony stały równym szeregiem w przedpokoju i kuchni. Rolki taśmy i nożyczki czekały na stole. Nie spieszyło mu się; myślał, co będzie, gdy weźmie do ręki pierwszą należącą do niej rzecz. W końcu zdobył się na odwagę. Zawartość szuflady z bluzkami wylądowała w kartonie w minutę. Zadbął o to, by garderoba została starannie ułożona. Poczul wilgoć pod powiekami. Otarł oczy, poczekał przez chwilę. Potem już poszło: bielizna, spodnie, spódnice, zakłady, garsonki, kosmetyki, osobiste drobiazgi. Słabo się poczuł przy małym szmacianym słoniu, którego Jadwiga miała od drugiej klasy podstawówki. Zamiast śmiesznej, niemal przetartej trąby widział jej uśmiech. Słyszał głos, stanowczy, łagodny, miękki, twardy. Wrzucił zabawkę do kartonu i zakleił go podwójną

taśmą. Stos niepotrzebnych rzeczy rósł. Krzeptowski poczuł pragnienie, ale szkoda mu było czasu na pójście do kuchni.

Skończył, wszedł pod prysznic, stwierdził, że pominął jej szczoteczkę do zębów, wytarł się, wyszedł. Stos kartonów wydał mu się mniejszy niż przedtem.

Aleśmy, kurwa, nazbierali przez całe życie, pomyślał.

Potem siedział w fotelu, patrząc w puste miejsce naprzeciwko. Gdy przychodzili oboje z pracy, Jadwiga zwykle tam siadała. On szedł do kuchni, robił jej mocną herbatę z sokiem malinowym, słodką jak ulepek. Potem na ogół nic nie mówili, trawiąc ciszę i spokój. Mieli siebie, nie musieli o tym dyskutować. Teraz fotel stał pusty, lekko wklęsnięty, niepotrzebny. Krzeptowskiemu przez chwilę błysnęła myśl, żeby mebel również oddać opiece społecznej. Podejmie decyzję później, później będzie dobrze.

Po jakim czasie doszedł do wniosku, że nie będzie.

Potem spojrzął na leżący na szafce pistolet i dwa zapasowe magazynki. Glock jeszcze nigdy nie wydawał mu się tak kanciasty. Dawno nieużywana lufa patrzyła gdzieś nad głową, za okno.

- Ktoś za to zapłaci - mruknął w ciemność. W jego głosie brzmiała obietnica.

Wysiadł z samochodu, kiedy zadzwoniła Kika.

- Jest coś nowego - powiedziała.

- W sprawie samolotu?

- Tej pierwszej. Zatrzymani zeznali, że w Warszawie jest jeszcze jeden zespół z bombą.

Trzasnął drzwiami, stanął. Pobliska latarnia filowała jak pokerowy szuler. Śliska mgła zdawała się wychodzić ze studzienek kanalizacyjnych. Odprawa z szefem była krótka i wynikało z niej, że większość roboty będą musieli wykonać ludzie Tyszkiewicza. To nie było złe. Jakub zyska kontrolę nad sytuacją, szef, przynajmniej formalnie, weźmie odpowiedzialność. Wszystko razem nie potrwa dłużej niż dwa tygodnie.

- Konkretnie?

- Nie ma szczegółów, niestety. Słyszeli tylko, że byli werbowani jeszcze dwaj ludzie. Mieli przyjechać do Warszawy i uderzyć równolegle, bez kontaktu i koordynacji z pierwszą grupą.

- Mogą być zaprogramowani do takich zeznań.

- Bielik bierze to pod uwagę. To tylko hipoteza. Wysłałam kilka pytań do BND i Europolu. Jeszcze nie mam odpowiedzi.

Jasne. Jest wieczór. Nikt w cywilizowanej Europie nie będzie po godzinach pracy

fatygował się wyszukiwaniem informacji na żądanie jakiegoś nienadającego za oświeconymi standardami kraiku na antypodach.

- Skąd mają C-4?

- Dostali od swojego łącznika w Niemczech.

Tyszkiewicz o mało się nie roześmiał. Przewożenie materiału wybuchowego przez granicę, nawet tak otwartą jak granica polsko-niemiecka, jest ryzykiem. Przewożenie C-4 przez dwóch muzułmanów o bliskowschodnim wyglądem jest ryzykiem nadmiernym. Profesjoniści tak nie postępują.

- Nazwisko?

- Fałszywe. Ale udało się sporządzić w miarę dokładny portret pamięciowy. Sprawdzam w systemie identyfikacji twarzy.

- Moim zdaniem to fejk - powiedział. - Materiał dostali tutaj. Skup się na szukaniu tego faceta z agencji...

- Nowaka.

- Nowaka. Może nas gdzieś zaprowadzi.

- To na pewno tylko ogniwo.

- Jasne. Ale wie, dla kogo przeprowadził szwindel z mieszkaniem.

- Oczywiście.

- Coś jeszcze?

- Na razie nie.

- Na wszelki wypadek przyjmijmy, że rzeczywiście jest w mieście drugi zespół z bombą. Może z mieszkaniem zrobili ten sam numer co pierwsza ekipa.

- Agencje?

- Gdzieś muszą mieszkać, prawda?

- Hotele, hostele, motele, kwatery prywatne pan odrzuca?

- Jakub.

- Przepraszam. Powinniśmy wziąć pod uwagę wariant, że kolejni dwaj nie muszą być z Bliskiego Wschodu.

Zastanowił się. Jasne. Coraz częściej słyszał o przechodzeniu na islam rdzennych Europejczyków. I ich szybkiej radykalizacji. Podczas walk w Syrii czy Iraku okazywali się bardziej fanatyczni, okrutni i pomysłowi niż tubylcy. Często mieli za sobą służbę wojskową. Udokumentowane były losy dwóch Niemców ze sporym stażem w GSG 9. Obcinali głowy niewiernym i powieka im nawet nie drgnęła. Tacy mogą pod fałszywymi nazwiskami wynająć pokoje w hotelach i personel będzie ich witał wśród unizonych ukłonów.

- Gramy w ciemno, ale warto spróbować - powiedział. - Opracuj kryteria wyszukiwania. Zarządź czesanie nie głębsze niż na tydzień wstecz od dzisiaj.

- Tak jest. Szukamy faceta z agencji, dostawcy C-4 i dwóch następnych zamachowców.

- Cześć.

- Cześć.

Rozłączył się. Kika była dowodem, że kiedyś intuicja go nie zawodziła. Umiał dobierać ludzi. Potem popełnił sporo błędów, w tym jeden poważny. Miał za niego zapłacić już niebawem. Wiatr smagnął go po twarzy. Chmury zeszły do poziomu chodników. Otulił się szczelniej płaszczem i wszedł do kawiarni.

Lokal był inny i całkiem odmienne okoliczności, ale moment, gdy siedział z Marią przy kawiarnianym stoliku i słuchał jej gorączkowych zwierzeń, pamiętał bardzo dobrze. Zachowywał obojętną minę, a w środku się gotowało. Saharyjski upał wciskał się w ciało, a on wahał się i nie mógł zdecydować, co zrobić dalej. Teraz właściwie również nie bardzo wiedział, po co tu przyszedł.

Poznał ją od razu, choć zmieniła się. Kolor włosów był ciemniejszy, a rysy bardziej wyostrome. Zmarszczki wokół ust i oczu czyniły ją starszą i jakoś dodawały uroku. Trzymała filiżankę z kawą pewnie, ale z gracją. Wewnętrzna siła, którą już wtedy wyraźnie dostrzegął, nadal w niej była, choć ukryta głębiej.

Podszedł.

- Dobry wieczór - powiedział.

- Dobry wieczór - odparła, podnosząc wzrok. Usiadł bez zaproszenia. Chciał do minimum ograniczyć konwenanse.

Zamówił kawę i spojrzał na nią pytająco.

- Wyglądasz na zmęczonego.

- Jestem zmęczony.

- Będziesz prowadził śledztwo?

Przekrzywił głowę.

- Czego chcesz?

Dokończyła kawę. Ktoś za plecami zaśmiał się głośno. Ludzie wokół zdawali się sformatowani pod osiągnięcie sukcesu. Nic ich nie obchodziły katastrofy i terroryści przybyli pociągiem z Niemiec. Tak powinno być.

- Chciałeś spotkania z informatorem. Słucham.

Stojąca na stoliku filiżanka wpatrywała się w niego z napięciem. Aromat drażnił nozdrza. Myśli rozbiegły się we wszystkich kierunkach. Czemu o tym nie pomyślał?

- To ty? - zapytał, gdy cisza zrobiła się nienaturalna. Głupszego pytania w swoim wykonaniu nie słyszał już dawno.

- Uznałam, że to ważne. Widziałam w telewizji, że się udało. Cieszę się, że mogłam pomóc.

Odruchowo przytaknął. W telewizji pokazali spreparowany obraz, nie taki, jak chciał, ale mimo wszystko daleki od prawdy, a o to przecież chodziło. Ona dostrzegła w nim fakty. Ciekawe, ile jeszcze osób je zauważyło.

- Jak...

Wzruszyła ramionami. Nawet w tym prostym geście była godność.

- Pracuję w firmie, która ma spore możliwości. Mój szef ma rozległe kontakty na Wschodzie.

Znowu miał pustkę w głowie. Zachował się jak idiota. Przyszedł na spotkanie nieprzygotowany. Marii sprzed sześciu lat w zasadzie nie znał, mimo że był o krok od pójścia z nią do łóżka. Osoby, która przed nim siedziała, nie znał w ogóle.

- Na Wschodzie?

- Jeśli masz dobre kontakty na Wschodzie, to, co dzieje się na Zachodzie, na ogół nie jest dla ciebie tajemnicą - powiedziała cierpliwie.

Truizm, ale dla niego stanowił odkrycie. Dzisiejszego wieczoru najprostsze stwierdzenia były osiągnięciami na miarę zdobycia K2.

- Zakładam, że mnie sprawdzisz - ciągnęła. - Pracuję w firmie InvCorp, co tłumaczy się jako Invitation Corporation. Zajmujemy się werbowaniem studentów na polskie uczelnie. Rosja, Ukraina, Białoruś, Kazachstan. Ogólnie były Sowiety. Ogromny rynek bez dna. Mój szef nazywa się Dmitrij Tomkin.

Powinien to notować. Czy ją sprawdzi? Do trzeciego pokolenia.

- Skąd miałaś informację o terrorystach? - zapytał.

- Korytarzowa plotka - powiedziała i po raz pierwszy uśmiechnęła się.

Nie docenił dowcipu. Jego poczucie humoru uleciało bezpowrotnie i zanosilo się na to, że prędko nie wróci.

- Nawet nie wypiję kawy. Po prostu wyjdę.

- Najważniejsze, że udało ci się ich złapać. Za pierwsze dwa pudła przepraszam. Nie były zamierzone.

- Po co to robisz?

- Pracuję w rosyjskiej firmie, ale to nie znaczy, że chcę tutaj terrorystów i bomby.

Przemknął mu pomysł, żeby zapytać o drugą ekipę, ale ugryzł się w język. Nic nie

wiedział o tej kobiecie. Ściany kawiarni zaczęły się ku niemu zbliżać. Poczł przyplw paniki, choć w odróżnieniu do bohatera „Studni i wahadła” nie był związany. Mógł w kaźdej chwili spełnić groźbę, wstać i wyjść. Teoretycznie. Krzesło trzymało go mocniej niż sznury i pasy.

- Chciałaś pozostać anonimowa, teraz sama do mnie dzwonisz.

- Coś się wydarzyło dziś rano.

Pomału, naprawdę bardzo powoli, zaczynał się przyzwyczajać do nowej sytuacji.

- I?

- Być może będę miała informacje, które mogą ci się przydać.

- Na przykład?

- Na przykład na temat kogoś, kto pociągnął za spust Stingera.

Właściwie mógł się tego spodziewać. Media miętosily temat od rana na setki różnych sposobów. Wątek zamachu był bardzo poważnie rozpatrywany i równie zaciekle zwalczany. Rakieta przeciwlotnicza jako sposób dokonania zamachu pojawiła się jeszcze przed południem i to w dwóch stacjach telewizyjnych naraz. Oraz na pewnym portalu. Choć nazwa producenta na razie nie padła.

Muszę sprawdzić, czy Krzeptowski kontaktował się z Walerym, pomyślał. Krystian Walery oficjalnie zajmował stanowisko zastępcy dyrektora jednego z wydziałów Komisji Badania Wypadków Lotniczych. W rzeczywistości był pracownikiem BZT na tak zwanym etacie niejawnym, odpowiedzialnym za szczelność obiegu informacji komisji. Inne służby również miały tam swoich ludzi, mimo to nikt nie dałby głowy, czy komisja nie jest infiltrowana, zwłaszcza w takim dniu jak dziś.

- Zastanawiasz się, skąd to wiem? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Na miejscu była masa ludzi - szepnął. Kobieta siedząca dwa stoliki dalej już któryś raz przypatrywała mu się intensywnie. Wystylizowana na Ewę Demarczyk wyglądała jak spóźnione dziecko pokolenia emo. Jej bladość zdawała się namalowana farbami. Niewielkie, zgrabne piersi przyglądały się Jakubowi zza obcisłego, czarno opalizującego swetra.

Maria przechwyciła jego spojrzenie, a potem za nim podążyła. Po chwili kobieta odwróciła wzrok. Gestem przywołała kelnerkę i głośno zażądała rachunku.

Maria wróciła do wpatrywania się w twarz Tyszkiewicza.

- Nie rozmawiałam z nikim, kto tam był - oświadczyła. - Mam informacje skądinąd.

Czarna stylizacja założyła czarny płaszcz i wyszła z kawiarni. Tuż za drzwiami odwróciła się i posłała mu ostatnie spojrzenie. Potem zniknęła w żeglujących ulicą chmurach.

Jeszcze podobam się kobietom, pomyślał. Czy Helena mnie nienawidzi?

- Twój szef wie, że tu jesteś?

- Jeśli chodzi o dwóch z Ursynowa, nie. W sprawie samolotu sam mnie przysłał.

- Jeśli mamy rozmawiać dalej, musisz powiedzieć mi więcej - mruknął.

Maria milczała. Zmarszczki wokół jej ust ułożyły się w filozoficzny zwój.

- Mogę powiedzieć tylko tyle, ile mogę - odparła. - Ale to nie znaczy, że kłamię albo próbuję tobą manipulować.

Przysunął się bliżej. Jego twarz zawisła nad białym. Niedopita kawa nadal łechtala nozdrza. Maria przypatrywała mu się ze spokojem, który zaczynał go drażnić.

- Sprawdzę ciebie i tę twoją firmę dokładnie - szepnął. Nie wiedział, że zaczyna mówić jak jej szef. - Bardzo dokładnie. Nie wierzę w przypadki. Katastrofa samolotu z rosyjskim ministrem na pokładzie sama z siebie śmierdzi na kilometr, zwłaszcza jeśli się człowiek rozejrzy wokół. Jeżeli samolot został zestrzelony, możemy mieć z tego wojnę. Nie pozwolę sobie na błąd. Może błędem jest już rozmowa z tobą.

- Możesz się przekonać. Bardzo łatwo.

Odsunął się. Był ciekaw, czy po powrocie do domu zdoła porozmawiać z Leną bez otwierania kolejnego frontu, na którym czeka go tylko przegrana. Bardzo chciałby spróbować.

- Nie wiem, czy chcę.

Sięgnęła do torebki, wyciągnęła z niej mały karteluszek, położyła na blacie i posunęła w jego stronę.

- Sprawdź ten ślad - powiedziała. - Mój numer ci się wyświetlił, możesz oddzwonić. Sam uznasz, czego chcesz.

Wzięła płaszcz i wyszła. Jakub jeszcze w samochodzie miał przed oczyma obraz jej bioder.

Po raz pierwszy od dawna nie tknęła wina; wcześniej nawet trochę malowała. To, co stworzyła, nie nadawało się nawet na wystawę przedszkolaków, mimo to była zadowolona. Myślała o telefonie od anonimowego mężczyzny, myślała o Zuzannie. Chciała sprawdzić, czy będzie czuła wyrzuty sumienia. Nie mogła się ich doszukać. Pamiętała ciepły dotyk jej palców, uśmiech, który był tak rzadkim gościem na jej twarzy. Obrazy miłosnych aktów były żywe, nasycone barwami, intensywne. Nawet teraz czuła zapach jej skóry.

- Pierdolcie się wszyscy - powiedziała pewnego razu Zuzanna, gdy leżały zmęczone w ciemności. Helena dostała ataku śmiechu. Skromne hotelowe ściany także były ucieszone.

Nawet meble szczerzyły zęby. Elektroniczny zegar mrugał do nich przez mrok. Za oknem z trudem łapiąca oddech Warszawa ścigała się sama ze sobą, a one leżały splecione, tętniące, szczęśliwe.

- Wszyscy - przytaknęła Helena. - Cały świat niech się pierdoli.

Zuzanna oparła się na łokciu. Jej oczy łapczywie wgryzały się w twarz Heleny. Nadal się uśmiechała.

- Nagranie z takimi dwiema jak my zrobiłoby furorę w sieci, nie sądzisz? - zapytała.

- Numer jeden przez rok - przytaknęła Helena.

- Może zaczniemy na tym zarabiać?

- Zostałybyśmy gwiazdami branży.

Znowu się śmiały. Kto mógł nagrać ten pieprzony film? Kiedy? Gdzie? Jakość była bardzo dobra, choć kamerzysta kręcił z pewnej odległości i przez szybę. Fakt, kilka razy tak im się spieszyło, że zapomniały zaciągnąć zasłony. Uważały, że nikt się nimi nie interesuje.

Próbowała sobie przypomnieć szczegóły, bez powodzenia.

Gdy zaterkotał dzwonek komórki, poczuła niemal ulgę. Przez cały dzień podświadomie czekała na ten dźwięk. Chciała wiedzieć, ile będzie ważył plecak, z którym pójdzie do piekła. Niemal ucieszyła się, że już jakiś czas temu przestała chodzić do kościoła. Słowa spowiedzi nie przeszłyby jej przez gardło.

Spojrzała za okno. Linia horyzontu miasta była zamazana, budynki odchyłały się od pionu, światła tworzyły smugę o nieokreślonej konsystencji. Ulice, chodniki, place ruszyły z miejsca, niczym karuzela ze snu giganta. Powoli, na razie bardzo powoli. Poczowała lekki zawrót głowy. Lakier na paznokciach zaczął pękać; przez cały dzień nie chciało jej się pójść po zmywacz.

- Halo? - powiedziała.

- Dobry wieczór, pani Heleno - powitał ją Głos. Nadal brzmiał elegancko, aksamitnie, jak z bajki. - Może pani rozmawiać?

- Przecież pan wie, że mogę. Inaczej by pan nie dzwonił.

Głos chrząknął wesoło.

- Punkt dla pani, choć chciałem być tylko uprzejmy.

- Może sobie darujmy, co? - warknęła. Chciała zachować spokój, ale to nie było możliwe. - Co to za wezwanie do urzędu?

Głos wyraźnie się zawahał. Miasto za oknem wirowało coraz szybciej, jakby ruchem odśrodkowym chciało pozbyć się mgły, mżawki, niskiego ciśnienia i samobójców importowanych z Niemiec. Odruch samoobrony. To nie było nic nadzwyczajnego; po prostu

odruch samoobrony.

- Mógłbym powiedzieć, że nie wiem, o czym pani mówi - odparł. - Ale nie powiem.

Niech pani tam idzie i odpowie na pytania.

- I co potem?

- Moja droga, to zależy od pani. Wyłącznie.

Zamknęła oczy. Karuzela wyraźnie przyspieszała. Żołądek pukał do gardła od spodu.

- Mogę zapłacić - szepnęła.

Głos sprawiał wrażenie ubawionego.

- Wiem, że pani może. To być może byłoby najprostsze. Dla pani na pewno. Ja jednak nie chcę pieniędzy.

Zacisnęła powieki jeszcze mocniej. Palce zgniatały plastik obudowy telefonu.

- Słucham.

- Sprawa jest szalenie prosta. Gdy szanowny małżonek zjawi się w domu i pójdzie spać, zamontuje pani w jego komórce program. Wystarczy podłączyć pendrive'a, którego otrzymała pani razem z komórką, wejściem USB, i program sam się ściągnie. Trwa to niecałą minutę. To wszystko. Gdy jutro pójdzie pani na spacer ze swoją córką, pendrive'a zostawi pani w miejscu, które wskażę później. Komórkę proszę cały czas mieć przy sobie, ustawioną na wibracje, tak żeby nie było słycać dzwonka. Jasne?

Smak krwi z rozgryzionej wargi czuła jeszcze trzy kwadranse później, gdy w zamku zazgrzytał klucz Jakuba.

- Antoni?

- Tak.

- Przepraszam, że tak późno.

- Nie jest ci przykro.

Tyszkiewicz uśmiechnął się kącikiem ust. Nie było mu przykro. Smotrycz milczał. Warszawa widziana przez przednią szybę tonęła w chmurach. Światła samochodu odbijały się od białej ściany. Gdzieś eksplodowała czerwona plama neonu. Zaryczał klakson, smutno, bezradnie.

- Włącz kodowanie.

- Mam włączone. Inaczej nie odbieram od ciebie telefonów.

- Chciałbym, żebyś sprawdził dwie rzeczy. Tylko dla mnie.

- Jasne.

- Katarzyna Maria Potocka.

Milczenie tylko przez chwilę było zaciekawione, potem stało się ciężkie, odpychające.

- Co cię interesuje?
- Ona siedziała w pierdlu. Dowiedz się szczegółów, takich od serca.
- Wyrok był publikowany.
- Nie interesuje mnie wyrok. Chcę wiedzieć wszystko o odsiadce.
- Nie znam nikogo ze Służby Więziennej.

Tyszkiewicz zastanowił się. Smotrycz oczywiście mógł wejść do systemu i ściągnąć dane dotyczące konkretnej osoby. W oficjalnym dossier nie było wszystkiego. Mógł również włamać się do zbioru zastrzeżonego. To nadal nie musiało dać konkretów. Osobisty kontakt na ogół przynosił dużo lepsze efekty. Smotrycz nie nadawał się do nawiązywania osobistych kontaktów.

- Zrób, co możesz. Ona na moje oko powinna jeszcze siedzieć, albo wyjść dopiero co. A wyszła jakiś czas temu.

- Może ładnie lizała cipkę pani naczelnik.
- Gdyby to wystarczało, wszyscy wychodziliby po miesiącu. Siedziała za nieumyślne zabójstwo.

- Sprawdzę.
- Druga część tego samego. InvCorp. Dmitrij Tomkin. To jej pracodawca.
- Jakież szczegóły?
- Szukaj powiązań z rosyjskim rządem.

Smotrycz gwizdnął. Po raz pierwszy okazał coś więcej niż obojętność lub nieufność.

- Czy mnie się tylko wydaje, że to nie nasza działka?
- Zawsze się dobrze czułeś na obcych podwórkach.
- Starzeję się. Najbardziej mi pasują kaptcie, kominek i kot na kolanach.
- Ostrożnie. To tylko sugestie.
- Czego mi nie mówisz?
- Ona zaoferowała pomoc. Chcę wiedzieć, co może z tego mieć.
- Gdyby czegoś nie chciała, na twoim miejscu uciekałbym z krzykiem. Ale nadal twierdę, że to nie nasza działka.

- Zrób, co możesz.
 - A ta druga sprawa?
 - Marsz Narodowy. Słyszałeś o takiej organizacji?
- Tym razem milczenie było już otwarciem wroga.
- W co ty mnie wkręcasz?

- Mają na pewno intranet. - Jakub starał się być cierpliwy. - Dostań się tam. Zobacz, czy czegoś nie ma na temat wizyty rosyjskiego ministra. Sprawdź nazwiska Haładoj i Parsak.

Wahanie przedłużało się.

- Mam to sprawdzać jako wariant? - zapytał Smotrycz. Głos był po prostu znużony.

- Jako jeden z wariantów.

- Mogę to zrobić w godzinach pracy?

Tyszkiewicz niemal zachichotał. Smotrycz zmienił się, ale nie aż na tyle, by czekać do rana. Jego domowy komputer był tak samo dobrze zabezpieczony jak służbowy, może nawet lepiej. Mógł z niego wejść wszędzie i przyprawić o migrenę facetów od firewalli na całym świecie.

- Chcę mieć wyniki jak najszybciej.

- Dobranoc.

Jakub rozłączył się, w ostatniej chwili wymijając kretyna, który postanowił zatrzymać się na środku jezdni. Miasto wieczorem nawet bez mgły dostawało amoku. Śliskie jezdnie i drastycznie ograniczona widoczność były jak nagły atak epilepsji, podczas którego odgryzieniu języka nie zapobiega nawet kołek włożony między zęby.

Wybrał kolejny numer. Tolak zgłosił się po trzech sygnałach.

- Szybko dzwonisz - powiedział.

- Chciałem poprosić o przysługę - odparł Jakub. - Możemy rozmawiać?

- Zależy o czym.

- Sprawdzisz coś, nie wnikając w szczegóły?

Tolak chrząknął rozbawiony.

- Czy byłem aż tak zachęcający?

- Mógłbyś przelecieć Pamelę Anderson w jej najlepszych czasach.

- Sto lat temu. Teraz to zombie.

- Firma InvCorp. Dmitrij Tomkin.

Cisza powiedziała mu więcej niż słowa. Melasa zwana ciszą.

- Tak?

- Wiesz coś o nich?

- Po co ci to?

O to samo pyta Smotrycz. Wszyscy o to pytają. Wszyscy mają rację. Helena już dawno powiedziała mu, że może korzystać z jej pieniędzy bez ograniczeń. Kocha wodę i wiatr. Ma patent sternika. Mógłby kupić jacht i pływać. Gdzieś, gdzie nie ma mgły, bólu głowy i Warszawy.

- Sprawdzam pewien wątek - powiedział twardziej, niż zamierzał. - Chcę wiedzieć, co to za firma i kim jest ten facet.

- Przyjedź jutro - usłyszał. - Możesz o dziewiątej?

Holta zawsze bawiła starannie zaprojektowana bylejąkość tego domu. Zwykły płót, zwykła dwupiętrowa, gierkowska kostka z idiotycznie wybudowanym do przodu garażem, szara elewacja, za to optymistycznie czerwony dach ze szwedzkiej blachy. Plastikowe okna. Anonimowo przeciętne sąsiedztwo. Ktoś, kto kupował tę nieruchomość i przeprowadzał adaptację, doskonale znał się na rzeczy.

Podjechał pod bramę. Nie musiał wysiadać. Niewidoczne oko kamery dostrzegło go, odkąd pojawił się na tej niewielkiej uliczce w jednej z podwarszawskich miejscowości. Komputer odszukał jego twarz, poprawił rozmazane za deszczową szybą rysy, dopasował do tego, co miał w pamięci. Szczęknął elektryczny zamek, brama otworzyła się bezszelestnie. Wiekowy mercedes wtoczył się na podwórko. To też go bawiło, ale stosował się do zasad - nie mógł podjechać pod taki dom w takim miejscu infiniti Q60, którym jeździł na co dzień.

Wrota garażu otworzyły się jak na komendę, a potem zamknęły, połykając go wraz z samochodem. Pomieszczenie było ogromne, zajmowało niemal cały parter budynku. Stały w nim auta, które kiedyś stanowiły światową czołówkę elegancji i komfortu, a teraz były tylko weteranami, z których najmłodszy dziesiąte urodziny celebrował już jakiś czas temu. Dokładnie jak jego wiekowa dwieście dwudziestka.

Wysiadł. Łysy facet o twarzy wyciosanej z przydrożnego kamienia podszedł do niego bez słowa. Holt uniósł ręce. Wykrywacz metalu milczał. W teczce nie było materiałów wybuchowych ani ostrych narzędzi. Holt poszedł na piętro.

Wnętrze zaprzeczało fasadzie. Ściany w większości usunięto, tworząc zajmującą całe pierwsze piętro przestrzeń, utkaną wygodnymi fotelami i niskimi, klubowymi stolikami. W rogu projektant ulokował kuchnię z barem, w drugim dwa mniejsze pomieszczenia mogące pełnić rolę pokoi kameralnych spotkań lub awaryjnych sypialni.

W fotelach siedziało dwóch mężczyzn i kobieta, siwa, starannie zakonserwowana, ubrana stosownie do wieku. Jej kok celował w inkrustowany lampami sufit, usta uśmiechały się z za wartęj fortunę szminki. Faceci byli młodszy od niej, mimo znaczącej różnicy tuszy jakoś do siebie podobni. Nic dziwnego. Byli braćmi.

Na widok gościa podnieśli dłonie powitalnym gestem. Holt zbliżył się do kobiety, pochylił, dotknął ustami suchej dłoni, potem równie suchego policzka. Uścisk dłoni obu mężczyzn był słaby, meduzowaty, dziwnie kontrastujący z pewnymi siebie obliczami.

Łączyły ich interesy. Holt nieraz zastanawiał się nad dniem, kiedy przestanie im być potrzebny.

- Świetnie wyglądasz - powiedziała kobieta. Nazywała się Janina Bogucka. Prawdziwego nazwiska nie znali nawet jej najbliżsi współpracownicy. Nawet dla niej samej brzmiało jak obce słowo bez treści. - Jak Malwina i Alan?

- Dziękuję pani - odparł Holt. Spojrzał z wdzięcznością na szczuplejszego z mężczyzn, który wcisnął mu do ręki szklaneczkę whisky. Wszyscy pili to samo. Zawsze ten sam trunek, zawsze bez lodu. Rytuały konserwujące więź. - Oboje mają się świetnie.

- Alan skończył studia?

- Wziął roczny urlop dziekański. Mówi, że musi się rozejrzeć po świecie, nim obroni pracę.

- Słusznie. Malwina poszła na drugi kierunek?

Nie umknęło mu, że nie zapytała, po jakich zakątkach świata podróżuje Alan.

- Zna ją pani - odparł. - Same celujące oceny to dla niej żadne wyzwanie. Szuka czegoś więcej.

Bogucka roześmiała się wesoło. Imiona dzieci Holta uważała za idiotyczny przejaw nowobogackiego gustu, ale oboje bardzo lubiła. Były jej oczkiem w głowie. Dbała, by ich ojciec nigdy o tym nie zapomniał.

- Pewnie nie może opędzić się od ofert pracy.

Holt skinął głową. Londyn nadal pozostawał biznesowym centrum Europy.

- Na razie z żadnej nie skorzystała.

- Tęsknisz za nimi?

- Wolałbym, żeby byli tu, ale w Anglii im dobrze.

- Mogą nie wrócić, wiesz o tym?

- Pójdę na emeryturę i przeniosę się tam.

Tym razem roześmieli się wszyscy. Zbyt wiele zainwestowali w rodzime interesy, by wyjeżdżać. Dobry interes wymaga nadzoru. I odganiania drapieżników. Holt żył z tego, że robił to skutecznie.

Bracia usiedli naprzeciwko. Grubszy miał nalaną, obwisłą twarz nadciśnieniowca i pięćdziesiątkę wpisaną w paszport. Choć chudszy był młodszy, łyślał; sępie oczy wbijały się w Holta. Bracia Pieniążek. Wyglądali na zżytych. Byli życzliwi. Mieli rodziny, ale najlepiej czuli się w swoim towarzystwie. Mieli też zmarłą niedawno matkę, którą bardzo kochali. Pomnażając wpływy i majątek, składali jej codzienny hołd.

- Przejdźmy do rzeczy - powiedział młodszy, Sebastian Pieniążek. Holt nazywał go

Seba Nadrażek. Kiedyś, wypiwszy więcej whisky niż zwykle, o mało nie powiedział tego na głos. Dobrze, że tego nie zrobił.

- Słucham - odparł Holt.

W dłoni młodszego z braci pojawił się pendrive. Holt wyciągnął rękę.

- Zajmij się Marszem Narodowym. Tu masz sporo danych. W odcinkach, stopniowo.

Holt starał się panować nad twarzą. Marsz Narodowy był ukraińską organizacją, która oficjalnie odżegnywała się od chęci pójścia po władzę. Jej patronami byli Stepan Bandera i Roman Szuchewycz. Od rosyjskiej agresji na Donbas rosła w siłę i znaczenie. Wielu jej aktywistów walczyło z bronią w ręku w pierwszym szeregu. Byli tak wyraziści w swej skrajności, że nie mogli być prawdziwi.

- Bo? - zapytał ostrożnie.

- If nie spadł sam - odezwał się grubszy z braci, Piotr Pieniążek. - Grzej temat Marszu Narodowego. Dostaniesz wsparcie. Sam zobaczysz, co wypłynie.

Holta nie zdziwiła uwaga o wsparciu. Nie był jedyny. Siedząca przed nim trójka знаła wielu ludzi mających możliwości realnego działania.

- Ktoś z Marszu Narodowego dokonał zamachu? - zapytał.

Sebastian wzruszył ramionami.

- Grzej temat - powtórzył za bratem. - Ostro. Dodaj kontekst wizyty amerykańskiego prezydenta.

- Oczywiście - odparł, gdy pendrive wylądował w kieszeni. Destabilizacja państwa, utrata zaufania międzynarodowego, chaos będą głównymi tezami przekazu.

- Co wiesz o akcji policji na Ursynowie?

- Według mojej wiedzy złapano dwóch terrorystów przygotowujących się do dokonania zamachu. Policja ukrywa ten fakt.

Bogucka wskazała oczyma kieszeń z komputerową pamięcią.

- To ci pomoże - powiedziała.

- Mam szukać powiązań? - zapytał. Gdy usłyszał o samolocie, od razu zaczął myśleć nad związkiem pomiędzy terrorystami a katastrofą. Czuł, że jeśli taki jest, zapewne trzeba go będzie starannie ukryć.

- Może same wypłyną. Wtedy skontaktuj się z nami.

A my ci powiemy, co możesz napisać, dokończył bezgłośnie. Bardzo mu taki układ odpowiadał.

- Masz dobre informacje - powiedziała Bogucka. Światło lamp łagodnie omywało jej twarz, dodając uroku semickim rysom. - Rzeczywiście, na Ursynowie Biuro Zwalczania

Terroryzmu złapało dwóch facetów z ISIS. Na pendrivie masz folder zatytułowany „Zamach”. Znajdziesz tam dane zamachowców, podobizny i tak dalej. Opublikuj je. W żadnym razie nie sugeruj związku z katastrofą.

Holt pokręcił głową. Mignęła mu w pamięci twarz szefa Biura Zwalczenia Terroryzmu występującego u konkurencji. Gdzieś w komputerze posiadał całkiem obszerne dane na jego temat. Facet miał na koncie kilka osiągnięć i, zdaje się, nieco brudów w życiorysie. Nowej władzy to się z pewnością spodoba. Siedząca przed nim trójka nigdy nie ingerowała w interesy Holta z politykami. Sam doskonale wiedział, z którymi ludźmi może je robić, a którzy na zawsze pozostaną zadżumieni.

- Policja będzie się czepiać - powiedział, wiedząc, że tego oczekują. - Podciągnie temat pod bezpieczeństwo narodowe.

- Pamiętasz, kto wygrał wybory? - zapytał łagodnie Piotr Pieniążek.

- Władzę ma nadal stara opcja.

- Jeszcze tylko dwa tygodnie. Najwyżej. Prokuratura nawet nie zdąży postawić ci zarzutów.

Holt nie oponował. Prokuratorzy pod nową władzą będą chcieli zachować stanowiska. Do pracy wróci grupa niegdyś wyrzuconych. Z miejsca pozbędą się niewygodnych, nieprzekupnych, zbyt gorliwych, tych, którzy wyrzucili ich samych po poprzednich wyborach. A potem zajmą się pilnowaniem właściwego biegu spraw.

- Planowany jest kolejny zamach.

Holt uniósł brwi. Whisky skończyła się. Piotr Pieniążek wcisnął mu do ręki butelkę.

- Jest druga grupa? - zapytał.

- Najprawdopodobniej. Daty ani miejsca zamachu nie znamy.

Holtowi przebiegło przez głowę pytanie, czy powiedzieliby mu, gdyby znali. Strategia może zakładać atak, który dojdzie do skutku. Ładnie się to wszystko łączyło.

- To wszystko?

- Mało ci? Masz pracy na tydzień dla wszystkich redakcji w pełnym składzie - odparł Sebastian Pieniążek. Wszyscy roześmieli się wesoło. Za tydzień przylatuje amerykański prezydent. Holt już układał w głowie kolejne ruchy.

Zaczął dzwonić, gdy tylko wyjechał za bramę.

Jego syn czekał cierpliwie w przedpokoju, aż buty i płaszcz wylądują w szafie. Potem zażądał wzięcia na barana. Wkroczyli do salonu; Helena uśmiechnęła się znad wózka, w którym Zosia obracała w dłoniach nieśmiertelną owieczkę. Miles Davis ustąpił miejsca

Patowi Metheny; dziś był wieczór pastelowych, niełatwych dźwięków. Jakub wolałby posłuchać Arch Enemy puszczonej głośno; pocałował żonę, potem poszli z Lolkiem do łazienki umyć ręce. Kolacja była udana; dzięki dzieciom obojgu udało się nawet wpaść w pogodny nastrój. Później Jakub budował z klocków zamek; Lolek w końcu usnął z nosem opartym o narożną basztę. Troskliwy ojciec machnął ręką na kąpiel i mycie zębów; przebrał syna w piżamę i ułożył w łóżeczku. Mały spał jak suseł. Jakub zostawił komórkę na stole i poszedł pod prysznic. Wycierając się, zerknął w lustro. Na ciele wisiały resztki dawnej formy fizycznej. Mięśnie westchnęły smutno; Tyszkiewicz wzruszył ramionami. Od dawna nie miał motywacji do treningów. Gdy Krzeptowski poszedł w emocjonalną odstawkę, nie było nikogo, kto by go zastąpił w motywowaniu wszystkich dookoła do wylewania siódmych potów. Jakub poszedł do sypialni opasany ręcznikiem, przebrał się, wrócił do salonu; komórka leżała w tym samym miejscu. Usiadł na kanapie i pociągnął nosem; woń farb melancholijnie szybowała w powietrzu. Finlandia pozostała w barku. Helena piła kawę. To miał być wieczór trzeźwości.

- Malowałaś - stwierdził.

- Trochę. Dla rozluźnienia nadgarstków.

Było prawie jak kiedyś. Dwa z najlepszych obrazów powstały w wyniku rozluźniania nadgarstków. Jakub długo doszukiwał się w tym twierdzeniu drugiego dna, ostatecznie go nie znalazł. Helena naprawdę nie uznawała swoich umiejętności za wyjątkowe. Nieustannie zmagala się z niepewnością i brakiem wiary w swój talent. Jej wtręty o poszukiwaniu właściwej drogi wyrażania wizji nie były minoderią. Miała nadzieję, że najlepsze dzieło jeszcze przed nią. Raz, po dwóch butelkach montecillo, powiedziała, że całą swoją karierę uważa za splot szczęśliwych przypadków. Jakub głośno oponował; w głębi ducha uważał, że coś w tym jest. Helena niegdyś, na początku, chętnie udzielała wywiadów; przestała, gdy jedno z kolorowych pism pretendujących do bycia „lifestylowym trendsetterem”, a w gruncie rzeczy prezentujące poziom magła z pretensjami do wielkoświatowości, nie chciało w ogóle rozmawiać o jej obrazach; dziennikarzy interesowały wyłącznie figura, uroda i sposoby farbowania włosów oraz, a jakże, życie osobiste. Była naiwna; myślała, że będzie inaczej. Potem zbudowała popularność w dużej mierze na kontrze do mediów. Tajemniczość również dobrze się sprzedaje. Ludzie łakną nowości, a jednocześnie pragną tego, co znają, paradoks nie do pogodzenia, niemniej publiczność właśnie tego chce. To, że Helena formalnie operowała w obszarach przynależnych elicie, niczego nie zmieniało. Ilość durni, oszustów i osobników chorych psychicznie wśród elit nie odbiegała od średniej wśród innych grup społecznych; Jakub obserwując przy okazji wernisaży to środowisko od wewnątrz, był

skłonny przypuszczać, że jednak średnią znacznie przewyższa.

- Pokażesz? - zapytał. Miał ochotę ją pocałować. Smuga jasności płynąca od ozdobnego kinkietu zawieszzonego nad telewizorem łagodnie spływała na jej głowę. Szary dres leżał jak ulał. Może będzie jak dawniej.

- Nie ma czego. Wprawki. Szkice.

- Jesteś zadowolona?

Wzruszyła ramionami. Miał wrażenie, że czymś ją uraził.

- Nie wiem. Chyba jestem po prostu zmęczona.

Nadal siedział naprzeciwko. Chęć bliskości rozplýwała się w muzyce i świetle. To była osoba, którą kochał. To była osoba, która się oddalała. Kiedy stanie się obca?

- Myślałem o tym wezwaniu na jutro - powiedział. - Pójdziemy razem.

- Nie.

Uniósł brwi. Helena patrzyła na niego. Co widział w jej oczach, rysach, dłoniach? Złość, może agresję. Chce w nim wzbudzić poczucie winy? Adopcja Zosi była wspólną decyzją, to akurat pamiętał dokładnie, może nawet bardziej jego.

- Dlaczego nie?

- Załatwię to sama.

Coś znowu ścisnęło go w żołądku. Gardło zapiekło, jakby ktoś nalał mu w przelyk zastałego kwasu.

- Nie pytam, jak to załatwisz - warknął. - Chcę wiedzieć, dlaczego to jest tylko twoja sprawa.

Nie spuszczała wzroku. Nadal zalewała ją fala gniewu, tyle że teraz wymieszała się z dzikim, pierwotnym oporem. Ale nie udało jej się ukryć czegoś jeszcze. Na razie nie umiał odgadnąć czego.

- Opieka nad Zosią to głównie moja sprawa - stwierdziła. Górna warga drgała lekko. Biel zębów błyskała w pastelowym świetle kinkietów.

Stara dyskusja. Jakuba nigdy nie ma w domu. Helena zarabia w miesiąc wielokrotność jego rocznych poborów. Opiekuje się dziećmi. Zarządza finansami, dba o dom, organizuje urlopy. Nie zdarzyło się jednak, by przypominała mu o tym wprost.

- Nigdy z tym nie polemizowałem - odparł, nie bardzo rozumiejąc, po co właściwie rozmawiają. Ona chce go oddzielić od sprawy. O to walczą?

Chciał poznać prawdziwe powody jej uporu.

- Więc bądźmy konsekwentni.

- Dzwoniłaś. Wyglądałaś na zmartwioną. Chcę być tam z tobą, bo to wspólna sprawa.

- Poradzę sobie.

Przesiadł się na kanapę, bliżej. Helena zaplotła dłonie i objęła kolana. Nie dotykał jej; poczuł, że zeszywniała.

- Powiedz, o co chodzi - szepnął.

Tym razem obiektem, na który patrzyła, była ściana.

- Masz swoją pracę, katastrofę samolotu, zmianę rządu - odpowiedziała równie cicho. - Powinieneś wesprzeć Staszka.

Poczuł się jak uderzony w twarz.

- Dlaczego mnie tak traktujesz?

- Jak?

- Jak obcego człowieka.

- Nieprawda.

Wstał.

- Szkoda - powiedział.

Przypiął broń, założył płaszcz i wyszedł.

W samochodzie nieopatrznie włączył radio. Trwał reklamowy jazgot; skręcił potencjometr do zera. Nadal nie mógł znaleźć powodu, dla którego Helena kłamała. Chciała, by jej pomógł, potem przestała chcieć. Stała się obca, on czuł się niepotrzebny. Jechał, sam nie wiedząc dokąd. Minął siedzibę Biura - betonowy kloc rozjaśniony sztucznym blaskiem lamp miał moc przyciągania. Dodał gazu, kloc zniknął w tylnej szybie. Kocha ją jeszcze? Oczywiście. Czy mógłby bez niej żyć? Wkrótce go wyrzucą. Czy mógłby żyć ze swojej policyjnej emerytury, w ciasnej, wynajętej norze gdzieś na Białolece, bo tylko na taką byłoby go stać?

Zaczął się nad tym zastanawiać.

Beata Sendeka miała pięćdziesiąt cztery lata i była w swojej branży niekwestionowaną gwiazdą; mimo to nadal kochała pracę w terenie. Nie musiała tego robić. Jej status zawodowy pozwalał nie opuszczać studia, uważała jednak, zajmując się jak dawniej pracą reporterską, że wolniej się starzeje. Nad figurą ciężko pracowała pod okiem personalnego trenera, któremu w przyływach dobrego humoru od czasu do czasu pozwalała się rznąć. Wydawała na swój wygląd jedną trzecią królewskiego kontraktu, ale uważała, że to dobrze zainwestowane pieniądze. Miała energię nastolatki, równe zęby i uśmiech piranii. W imperium Holta mogła właściwie wszystko; jej wieczorny tokszoł, w którym masakrowała polityków obecnego układu, cieszył się niesłabnącą popularnością wśród żelaznego elektoratu zwycięskiej koalicji.

Do gazety pisała sążniste wstępniaki, nadając ton bieżącym wydarzeniom i odpowiednio je interpretując. Wiele jej sformułowań przeszło do historii mediów. Ani przez moment nie myślała o zmianie stron; nie pozwalały jej na to europejskie poglądy, a także doskonałe pieniądze, które płacił jej Holt za wyrażanie konkretnych opinii. Dwa razy poszła z nim do łóżka; był miły i ładnie pachniał. To raczej ona dominowała. Z radością demonstrowała mu swe niedawno, po raz kolejny, poprawiane piersi.

- Przejrzałam materiały - powiedziała.

Gabinet szefa nie wskazywał na pozycję najpotężniejszego magnata medialnego w kraju. Był mniejszy od jej garderoby. Seryjne meble stały w ciszy, zgrabne, ergonomiczne i całkowicie pozbawione ducha. Na ścianie wisiało zdjęcie młodego szefa całującego się z jednym z poprzednich prezydentów, opalonym i sztucznie odchudzonym.

- Co w nich widać?

- Wszystko, co potrzebne.

- Zadzwoń do ministra. Zaproś go.

- Już dzwoniłam. Rzecznik odmówił. Zastępca też. Szef Biura Zwalczania Terroryzmu jest nieosiągalny.

- Idealnie. Zaprosiłaś Pawłowskiego?

- Przyjdzie.

Dlatego właśnie ją cenił. Wiedziała, jak ustawiać pionki i jak grać. Była równie dobra co on. Gdyby miała większe ambicje, mogłaby zająć jego miejsce. Bogucka bardzo ją ceniła.

- Podzieliłam program na trzy części - ciągnęła. - Najpierw skupię się na terrorystach, materiałach wybuchowych, sposobie, w jaki dostali się do Polski. W drugiej części pogadam sobie z Pawłowskim.

Pawłowski był szefem koalicji, nowym człowiekiem wypromowanym przez niezależne media. Senddecka i Holt mieli w tym dominujący udział. Senddecka chciała go przelecieć; okazał się homoseksualistą, co starannie ukrywał. Rozbawiło ją to, choć przyznała mu rację; Polska jest nadal niestety obrzydliwie konserwatywna. Spędzili miły wieczór na rozmowie przy winie. Miał mocną głowę, to raczej ona się upiła.

- Nie puszczaj go na żywioł.

- Już pewnie siedzi w charakteryzatorni. Zdam go przygotować.

- Dobrze.

- Trzecia część to katastrofa samolotu.

Holt przypomniał sobie zdjęcia z drona. Były wyraźne i ostre. Szkoda, że przez telewizyjny ekran nie przenikają zapachy.

- Nie zajmuj się Marszem Narodowym.

- Dlaczego?

- Zrobisz to jutro, dokładnie, na cały program. Dziś pójdzie tylko skrótowe info w dzienniku o dwudziestej drugiej.

- Jasne.

- Dziś tylko okoliczności katastrofy. Silne podejrzenie zamachu. Jutro wyeksponuj związki ludzi Marszu z ministrem spraw wewnętrznych.

Uniosła starannie wyretuszowane brwi.

- Warto?

Nie odpowiedział. Zauważyła lekkie zdziwienie na jego twarzy. Potrząsnęła głową. Zadała głupie pytanie. Układ, który straci władzę, ale przecież nie zniknie, zawsze warto osłabiać.

- Jasne - powiedziała, wstając.

- Pomyślę o premii.

- Nie musisz.

- To moja firma. Mogę robić to, czego nie muszę.

Podeszła do niego i pocałowała lekko w usta.

- Chwilo, trwaj - szepnęła.

Był na Żoliborzu, gdy zadzwoniła komórka. Ile tak jeździł? Bóg raczy wiedzieć. Dobrze, że nikogo nie potrącił.

Maria.

- Widziałeś program Sendeckiej? - zapytała. Wyczuł w jej głosie dystans. Przed czymś się broniła.

- Jestem w samochodzie.

- Opublikowała personalia Al-Weiego i tego drugiego. Wiedziała, że mieli C-4. Wiedziała właściwie wszystko.

Ścisnął mocniej kierownicę. Autobus wyjechał z przystanku, wynurzając się z mgły niczym ślepy mastodont. Jakub w ostatniej chwili zmienił pas. Właściwie powinien przestać się wygłupiać i pojechać do domu. Światła reflektorów odbijały się od białoszarej ściany i wracały, oślepiały, dezorientowały, biły w szybę niczym karabinowe pociski. Samochody zachowywały się jak lunatycy po relanium. Kierowcy samochodów pozbawionych nawigacji zdawali się na los.

Sendecka. Trendsterka wykształconej części społeczeństwa. Inteligencja ameby,

warsztat wprost z magła, energia Leoparda z tuningiem. Blond gwiazda. Przed oczyma stanęły mu wybotoksowane usta, aż nadto wyraźnie. Być może szkoda, że ją wtedy tak ostentacyjnie zignorował, choć najprawdopodobniej nie miało to żadnego znaczenia. Kika mówiła mu, że asystentka Sendeckiej sześciokrotnie ponawiała zaproszenie do studia. Gdy usłyszała odmowę, domagała się przynajmniej oficjalnego komunikatu Biura. Nim się rozłączyła, wypowiedziała kilka niezbyt zawołowanych gróźb.

- Skąd wiedziała? - szepnął.

- Nie ode mnie.

To jest ta podwójna garda. Obawa przed strzaskaniem kruchego rozejmu.

- Nie jestem pewien, czy nie kłamiesz.

- Rozumiem. Pomogę znaleźć źródło przecieku.

Zastanowił się.

- Poradzę sobie. Jakież jeszcze rewelacje?

- Bardzo szczegółowy opis katastrofy samolotu. Zdjęcia z drona o wojskowej jakości. Sugestia zamachu za pomocą rakiety przeciwlotniczej. Zapowiedź dalszych rewelacji w jutrzejszym programie. Związków z MSW.

W żołądku coś się gotowało. Miał ochotę ugasić pożar wódką. Czemu się dziwi? Na miejscu było co najmniej pięćdziesiąt osób. Połowa figurowała na medialnej liście płac. Przecieki mógł nastąpić wszędzie, może nawet w kilku miejscach.

Jaki jest związek zamachu na samolot z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych w sytuacji, kiedy każda informacja jest na sprzedaż?

Zatrzymał się na światłach. Silnik mruczał znudzony.

- Pracujesz? - zapytała.

- W pewnym sensie.

- Mam wódkę, colę i whisky. Masz ochotę na drinka?

Poczuł suchość w gardle. Podwójna garda w jej głosie zniknęła. Miał ochotę się napić, miał ogromną ochotę się napić.

- Chętnie - wychrypiał.

- Wyślę ci adres.

To śmieszne, że tak banalny element miejskiego pejzażu jak Kolumna Zygmunta był ich małżeńskim punktem odniesienia. Tu siadywali w letnie wieczory, tu spacerowali jesienią. Pokryty śnieżnym całunem król wydawał im się jakiś niepoważny, niemniej nawet zimą pozostawali mu wierni. Jadwiga śmiała się, że dla Krzeptowskiego stanowi on warszawski

substytut Giewontu. On patrzył na jej zarumienione policzki i myślał, że jest szczęściarzem; umiała się śmiać serdecznie jak nikt, choć miała rację: wyojczyźniony spod Tatr, w Warszawie zapuścił tylko płytkie korzenie. Ale jej złośliwości nie bolały. Nigdy nie przeszkadzał mu fakt obskurności życia za dwie policyjne pensje. Urlopy spędzali w Tatrach. Raz wyjechali na zorganizowany turnus w Turcji, na który oszczędzali przez cały rok: Krzeptowski złamał nos pijanemu rodakowi, który kłął, pluł i terroryzował wszystkich na plaży. Więcej za granicę nie jeździli.

Nawet to wydało mu się godne zapamiętania. Spojrzał w górę. Ledwie widoczna we mgle szabla króla nadal celowała na południe, krzyż prosto w niebo. Po co tu przyszedł? Wspomnienia nie zastąpią żywej osoby. Ludzie mijali go obojętnie. Chłód, przegryzająca skórę mżawka i niemal zerowa widoczność nie odstręczały ich od koniecznych posiadówek w tysiącach okolicznych knajp. Katastrofa samolotu nikogo nie obchodziła. Terroryści byli tylko telewizyjnym obrazkiem. Praca, nie po raz pierwszy, wydała się Krzeptowskiemu zbędna.

Powiniennem pogadać z psychologiem, pomyślał. Tyszkiewicz kilkakrotnie to sugerował. Współpracująca z Biurem babka była sensowna i nienatarczywa. Coraz trudniej przychodziło mu wymyślanie powodów, dla których tego nie robił. Po co stał pod tą idiotyczną kolumną z kamienia, zimną jak grób?

Zauważył dwóch facetów; szli wolno, okutani, z twarzami niknącymi w cieniu obszernych kapturów. Jeden niższy, silniej zbudowany, poruszał się sprężysto, jakoś ostrożnie, jakby zewsząd czyhało niebezpieczeństwo. Towarzysz przewyższał go o głowę, był szczupły, o figurze siatkarza. Podmuch wiatru rozegnał na chwilę mglisty obłok; światło latarni padło na obie twarze. Krzeptowski przez ułamek sekundy zapamiętał sporo szczegółów. Potem mroczna szarość wróciła; obaj młodzi ludzie poszli dalej.

Bezwiednie ruszył za nimi, po chwili zatrzymał się.

Dwaj zwykli mężczyźni. Ten ciemny może pochodzić skądkolwiek. Idą się napić, jak wszyscy.

Zawrócił, wszedł do zaparkowanego na Senatorskiej samochodu, bez złości wyrzucił na chodnik mandat wystawiony przez Straż Miejską, a potem pojechał do cichego, opuszczonego przez ludzi i Boga mieszkania, które kiedyś było jego domem.

Jakub zaparkował przed nowym, trzypiętrowym blokiem na cichej uliczce. Telefon rozwrzeszczał się zbyt głośnym hardrockowym riffem. Smotryczowi też nie chciało się spać. Tyszkiewicz włączył kodowanie i odebrał połączenie.

- Cześć - powiedział.

- Sprawdziłem to i owo - odparł szef Wydziału Wywiadu Elektronicznego. Przez chmurę zmęczenia przebijało w jego głosie coś, czego Jakub nie słyszał od dawna.

- Słucham.

- Laska dostała siedem lat bezwzględno. Siedziała w Rawiczu. Miała rację. Wyszła po czterech, nawet niecałych.

- Za dobre sprawowanie?

- Lepiej. Rewizja wyroku. Sąd apelacyjny uchylił postępowanie z powodu uchybień proceduralnych w pierwszej instancji. Prokurator się nie odwoływał.

- Kto wniósł wniosek o uchylenie?

- Kancelaria Maszczyk i wspólnicy.

Jakub słyszał o Maszczyku. Prawo służyło mu za parawan do robienia naprawdę dużych pieniędzy. Specjalizował się w odzyskiwaniu warszawskich budynków na rzecz nieistniejących właścicieli. Obsługiwał też wielki biznes. Na ogół związany ze zwycięską koalicją.

- Na czyje zlecenie?

- Tego nie wiem. W bazie danych kancelarii nic nie ma. Jeśli umowa z klientem jest na papierze, musisz zdobyć nakaz.

Poczuł zniecierpliwienie. Smotrycz doskonale wiedział, że w obecnej sytuacji żaden sędzia nie da mu nakazu. Zresztą - pod jakim pretekstem?

Klocki do siebie nie pasowały.

- Ona chciała ponieść karę - powiedział po namyśle. - Sama się zgłosiła do Warownego, do wszystkiego przyznała. Od wyroku się nie odwoływała. Dlaczego miałyby apelować po czterech latach?

Usłyszał w słuchawce kliknięcie.

- Dotarłem do kilku raportów wychowawczyni. Potocka do niczego się nie przyznała, ale wychowawczyni twierdzi, że laska była gwałcona. Kilka razy z trudem chodziła, była posiniaczona, lekarz musiał jej szyć ranę na skroni. Twierdziła, że uderzyła się o kant umywalki.

- Jakież podejrzenia co do gwałcicieli?

- Koleżanki z celi. Butelka, kij od szczotki, pięść. Ktoś postarał się, żeby siedziała z dożywotniami.

Przywołał z pamięci twarz jej poprzedniego szefa, Kozery. Szczur, który zniknął. Szczur, który miał z pewnością znajomych mogących załatwić osadzonej odpowiednie

towarzystwo pod celą. I który był zraniony jej niełojalnością. Szczury nie zapominają.

Kozera idealnie pasował do profilu tego, kto to zaaranżował.

- Teraz wiesz, dlaczego apelowała?

Pokręcił głową. Rozumiał przyczyny, dla których chciała wyjść. Nadal nie wiedział, jak znalazła drogę.

- Maszczyk i wspólnicy to za duży kaliber jak na byłą funkcjonariuszkę abwery siedzącą za nieumyślne zabójstwo. Ile biorą za godzinę, czterysta euro?

- Chyba ze szkolną zniżką i po znajomości. Normalna stawka to tysiąc.

- Więc kto im to zlecił?

- Mówiłem ci, nie wiem.

- InvCorp?

- Może. Choć oficjalne rozliczenia InvCorpu z urzędem skarbowym nie wskazują, żeby im się specjalnie dobrze wiodło. Mają kasę, ale to żadna rewelacja.

- Potocka tam pracuje. Ktoś ją zatrudnił.

Znowu kliknięcie. W głosie Smotrycza zabrzmiało coś w rodzaju uznania.

- Może masz rację - powiedział. - Umowę podpisała tydzień po opuszczeniu więzienia.

Nareszcie coś się zaczęło zgadzać.

- Przyjrzyj się szefowi, Dmitrijowi Tomkinowi. Może to on.

- Dlaczego miałby wydawać kilkadziesiąt tysięcy euro na jakąś laskę?

- Ona ma sporą wiedzę.

- Po tylu latach? Wszystko się zdezaktualizowało.

- Niektóre kontakty działają zawsze.

- Może.

Znowu obojętność. Na maskę samochodu Jakuba wpadł starszy pan. Jak ślepiec obmacał ciepłą jeszcze blachę, odsunął się, a potem, wyciągając przed siebie ręce, poszedł niepewnie dalej, od razu znikając w nieprzejrzystym cukrowym kokonie. Nawet nie zauważył siedzącego w środku kierowcy.

- Co wiesz o Marszu Narodowym?

- Mają takie wewnętrzne forum, na którym sporo się dzieje. Tyle że po ukraińsku. Ściągnąłem trochę plików, próbowałem tłumaczyć elektronicznie, niezły bełkot. Moim zdaniem trzeba znaleźć żywego tłumacza.

- Poszukam. Znajdź strażników, którzy mieli do czynienia z Potocką. Może coś więcej z tego wyciśniemy. I wgrzyź się w tego Tomkina.

- Biznesmen. Dobrze żyje z Kremlen, inaczej by nie działał. Ale na razie żadnych

powiązań z FSB czy kimkolwiek nie znalazłem. Ma w Rosji trochę nieruchomości, ale głównie czerpie dochody z InvCorp. To żaden magnat, średni szczebel.

Wszystko się zgadza, pomyślał Jakub. Zawodowcy pilnują, żeby się wszystko zgadzało.

- Szukaj dalej - zarządził. - Chcę wiedzieć, dlaczego ona mi pomaga.

Rozłączył się, zamknął samochód i poszedł w stronę budynku, który przypominał wycięty przez dziecko zamek z kartonu. Jasne plamy światła rozpląwały się w powietrzu, łagodząc kontury, ostrości, wyraziste kształty. Czuł się jak w odrealnionej bańce mydlanej, niemal pozbawiony wagi i wymiarów. Potknął się na nierównościach chodnika; prawie nie widział własnych stóp. Niemal na oślep dotarł do klatki schodowej. By wybrać w domofonie właściwy numer, musiał przybliżyć twarz do wyświetlacza.

Wszedł na pierwsze piętro. Zadzwoił. Już w przedpokoju pachniało drewnem i sosnowym dymem. Zdjął płaszcz.

- Kominek - powiedział w salonie. Poczul jakiś niewytłumaczalny spokój.

Maria miała na sobie dzinsy i zbyt obszerną męską koszulę. Bose stopy były niezbyt duże i bardzo zgrabne. Czerwień lakieru paznokci odbijała się w błyskach ognia.

- Małe udogodnienie - odparła. - Lubię patrzeć w ogień.

Pokiwał głową. Wysmukła szklanka z czymś ciemnym wylądowała mu w dłoni niemal sama.

- Nie wiedziałam, co lubisz. Na razie wódka z colą.

Pociągnął łyk. Drink miał odpowiednią temperaturę. Poczucie spokoju pogłębiło się.

- Bardzo dobra - stwierdził. - Mogę usiąść?

Gestem wskazała kanapę. Usiadł w rogu, ona zajęła miejsce po drugiej stronie.

Rozejrzał się. Białe ściany z kilkoma ascetycznymi grafikami. Podłoga z modrzewiowych, zabejcowanych na ciemno desek. Mały telewizor. Tani zestaw stereo. Zgrabny barek łączący salonik z maleńką wnęką kuchenną, czystą jak laboratorium. Mógłby mieszkać w takim miejscu.

- Nie dałam cynku Sendeckiej - powiedziała. - Ani mój szef nie dał.

Patrzył w ścianę. Zdążył to sobie przemyśleć. Na razie nie wiedział, na czym polegała gra, ale na pewno nie na tym, co kto komu powiedział, przez przypadek lub nie. Przecięki były tylko środkiem, nigdy celem.

- Możliwe - mruknął. - Skąd miałaś wiadomości o tych dwóch z Ursynowa?

- Mój szef dobrze zna Aleksiejewa.

Pociągnęła łyk drinka. Jakub szukał w pamięci nazwiska Aleksiejew. Było pustym dźwiękiem.

- Jakow Aleksiejew jest szefem doradców rosyjskich przy Asadzie.

Jasne. Syria. Tygiel niemożności i wojna wszystkich ze wszystkimi. Starannie zaprojektowany chaos. Poligon starcia mocarstw, oświecony zamordyzm i dżihad. W tym wszystkim ludzie, którzy próbują po prostu przeżyć.

- Mój szef był z nim w szkole i potem na studiach. Syn Aleksiejewa jest dyrektorem zarządzającym nieruchomościami mojego szefa w Rosji.

- Twój szef zna odpowiednich ludzi - wtrącił.

- Na tym to polega. I mój szef dostał cynk od Aleksiejewa o tych dwóch. Zostali wyszkoleni przez ludzi Asada, a potem ulokowani w strukturach ISIS.

To by się zgadzało. Rząd syryjski tylko pozornie walczył z dżihadystami. W rzeczywistości stanowili użyteczne narzędzie do zwalczania popieranej przez Amerykanów opozycji i Kurdów.

- W następnej kolejności trafili do Europy, z uchodźcami, przez Libię, do Włoch.

- Wiem. Europol i BND mają ich w bazie danych. Zamach w Moguncji to podobno ich robota. Dlaczego?

Wyjęła mu z ręki pustą szklanekę, wstała, podeszła do blatu, naląła sobie i jemu. Porcja wódki była duża, męska.

- Dlaczego co? - zapytała. Krótko przycięte włosy otaczały głowę niczym hełm. Szklanekę tuliła między piersiami, jakby chciała ją ogrzać.

- Powiedzmy, że rozumiem twoją motywację - odpowiedział ostrzej, niż zamierzał. - Ale dlaczego twój szef miałby zapobiegać zamachowi terrorystycznemu w nie swoim kraju?

- Mieszka tu od dwudziestu lat. Lubi Warszawę i Polaków.

Skrzywił się z niesmakiem.

- Wierysz w to, co mówisz? - zapytał. Ponownie zbyt głośno. - Powiedz coś, co mógłbym kupić.

- Nie zadowala cię rezultat?

Przekrzywiła głowę w sposób, który mu się nie podobał. Zmarszczki wokół oczu wygładziły się. Usta zdawały się płonąć. Sosnowe polano w kominku trzasnęło sucho.

Westchnął ciężko, tłumiąc w sobie to nieładne coś, co kielkowało, odkąd przekroczył próg.

- Pracowałeś w branży, powinnaś wiedzieć. Manipulujemy, ale nie dajemy się manipulować.

- Nie wiem, co powiedzieć.

Znowu westchnął, głośniejszym. Czuł się w jej towarzystwie coraz lepiej. W gruncie rzeczy

nie przeszkadzało mu, że kłamie. Ile pięter kłamstwa musiałby odkryć, by dojść do tego, co pod spodem? I po co?

- Jest druga grupa? - zapytał.

Potaknęła niepewnie. Nie zauważył w niej zaskoczenia.

- Możliwe. Aleksiejew wiedział na pewno o tych dwóch, ale nie wykluczał, że będzie ktoś jeszcze. Niekoniecznie wyszkolony w Syrii.

- Żadnych szczegółów?

- Spróbuję się dowiedzieć.

- Dobrze. Najważniejsze pytanie: co jest ich celem?

- To co zawsze: strach rozsiewany przez media.

- Pytam poważnie.

- Spróbuję się dowiedzieć.

Eufemizm dla „odpierdol się”. Powinien wyjść, pogadać jeszcze raz z Heleną, być może przeprosić. W tym przytulnym, po kobiecemu urządzonym gniazdku nie osiągnie niczego. Siedząca naprzeciwko kobieta o krótko przyciętych włosach i jaskrawym lakierze paznokci u nóg nie da mu niczego, czego chce. Nawet gdyby wiedział, czego chce.

- Jaki jest związek między samolotem a terrorystami?

- Mogę ci podać tylko domysły.

- Chcę faktów.

- Na razie nie mam żadnego, który by pasował.

Miała nieruchomą twarz i nie uciekała ze wzrokiem. Czuł się nadal bezpiecznie, choć było to bezpieczeństwo dziecka zagubionego w bajkowym, oszałamiającym nieznanymi roślinami lesie. Widział każdy liść, każdy egzotyczny krzew, niemal czuł cudowny, świeży aromat kwiatów. Ucisk Glocka na biodrze był właściwie surrealistyczny. Alkohol krążył leniwie w żyłach. Polano w kominku trzasnęło ponownie, jakby bardziej sennie, a może zachęcająco.

- Wyszłaś wcześniej - stwierdził.

Nadal patrzyła mu prosto w twarz. Żadnego rumieńca, emocji, nic.

- Owszem - powiedziała. - Sąd wyższej instancji uchylił wyrok. Błędy proceduralne.

- Prokurator nie wnosił odwołania?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nic o tym nie wiem.

- Kto pisał wniosek odwoławczy?

- Tomkin wynajął kancelarię, dla której załatwianie takich spraw nie stanowi problemu. Szło gładko. Miała gotową odpowiedź na wszystko. A może po prostu mówiła prawdę.
- Dlaczego Tomkinowi zależało, żeby cię wyciągnąć z więzienia?

Zadał to pytanie agresywnym tonem, ale ona nadal była spokojna. Dopija drinka, znowu wyciągnęła mu szklankę z ręki, napełniła szkło. Tym razem wódki było zdecydowanie więcej. U niej również, co odnotował jakoś bez zdziwienia.

- On gromadzi u siebie specyficznych ludzi...
- Przytułek dla sierot z abwery, SKW i wywiadu?
- Nie.
- Jak mnie wyleją, przyjmie mnie?
- Zapytaj go. Mogę cię z nim skontaktować.
- Po co mu kobieta z przeszłością w firmie, która werbuje studentów ze Wschodu?

Jezu, zachowuję się jak szczeniak, pomyślał. Coś mu się stało z lewym policzkiem: drgał i falował, jakby ktoś nagle obdarzył go autonomią i własnym rozumem. Potarł dłonią; drganie nie ustępowało. Musiał wyglądać jak idiota.

Nie obraziła się. Sięgnęła po stojące pod ścianą krzesło, postawiła na wprost niego. Usiadła blisko. Chyba niedawno brała prysznic. Zapach niezbyt drogiego mydła dochodził do niego wyraźniej niż sosnowa fala ciepła biegnąca z kominka.

- Nie tylko werbuje studentów ze Wschodu - powiedziała. Jej głos obniżył się nieco, ale Jakub był skłonny przypisać to wpływowi absolutu. Czuł zawroty głowy. Powinien jechać do domu, licząc, że w otulającej świat wacie znajdzie właściwą drogę. Policzek uspokoił się, może znudzony.

- Tak?
- Nieoficjalnie prowadzi też wywiadownię gospodarczą dla rosyjskich firm, które chcą tu zainwestować.

Coś się zaczynało składać. W co gra Katarzyna Maria Potocka, która nie lubi swego pierwszego imienia?

- Jeśli nieoficjalnie, dlaczego mi to mówisz?
- Bo zakładam, że to wiesz i mnie sprawdzasz.

Odstawił szklankę. Ona odstawiła swoją. Przekrzywiła głowę. Rzucił się na nią jak zwierzę.

Dzwonek telefonu wyrwał ją ze snu. Rozejrzała się - spała na kołdrze, w dresie. Kieliszek leżał obok łóżka, przewrócony. Rozlana na podłodze smuga wina zdążyła zaschnąć

- wyglądała jak imitacja krwi z taniego horroru. W skroni coś łupnęło nieprzyjemnie: może igła z niezbyt ostrym końcem, może wyrzut sumienia. Dom stał cichy i pusty.

Terkot zabrzmiał ponownie. Sięgnęła pod poduszkę, wyciągnęła aparat. Numer nieznany. Coś ukłuło ją za lewym uchem, idiotyczny, niepotrzebny ból promieniujący gdzieś w stronę kręgosłupa. Bała się, oczywiście, że się bała.

- Halo - powiedziała.

- Pani Heleno, jestem zmuszony dzwonić tak późno, ponieważ nie wypełniła pani jednego z podstawowych warunków naszej umowy.

Usiadła. Głos nigdy nie spał. Nie denerwował się. Nie zdziwiłaby się, gdy wyszło na jaw, że ktoś puszczał go z taśmy. Ile godzin temu wyszedł Jakub?

- Umowy? - zapytała.

- Zawarliśmy umowę. Ja zachowuję dyskrecję o pani przeszłości i nie zadaję pytań, pani zobowiązuje się do zamontowania programu na komórce pani męża.

- Myślałam...

- Nawet wiem o czym. Sądzi pani, że zachowa lojalność wobec męża kosztem osobistych strat. Machnie ręką na karierę, bo nie może go zdradzić.

Ona sama myślała o tym bardziej praktycznie. Była kiepską aktorką. Bała się, że Jakub wyczyta w jej oczach oszustwo.

W telefonie pisnął elektroniczny sygnał.

- Wysłałem pani coś - powiedział głos. - Niech pani obejrzy, zadzwonię za pięć minut.

Oderwała aparat od ucha, weszła w wiadomości. MMS z załącznikiem.

Film trwał dwie minuty.

Jedna kamera musiała być umieszczona pod sufitem, druga gdzieś niżej, może na półce z książkami. Montaż nie był zbyt profesjonalny, raczej mechaniczny, jakby wykonał go program komputerowy. Ostrość była bardzo dobra; komórka miała ściszony dźwięk, ale obraz wystarczył.

Kobieta miała kasztanowe włosy, była bardzo zgrabna, poruszała się z gracją. Biła od niej namiętność. Jej twarz właściwie cały czas tonęła w półmroku, nawet przy powiększeniu Helena miała trudności z rozpoznaniem rysów tej suki. Jakub nago wyglądał bardzo dobrze; jego rysy z kolei były wyraźne i ostre. Zatracił się w miłosnym akcie; nie mogła sobie na poczekaniu przypomnieć, kiedy z nią był taki. Czy w ogóle kiedyś był. Zdziwiona, jak bardzo chłodny pozostał jej umysł, chłonęła kolejne szczegóły; kobieta sprawnie, nadal poruszając się z podniecającą zmysłowością, przeszła do miłości francuskiej: Jakub miał zamknięte oczy, drgał rytmicznie, mocno, jak długodystansowy biegacz. Kochanka nie pozwoliła mu

skończyć; weszła wyżej, siadła i pogalopowała w dal.

Nieźle cycki, pomyślała Helena, nadal trzeźwa.

Film skończył się, a ona siedziała bez ruchu, myśląc o tym, jak kurewsko prześmiewcze potrafi być życie. Jak na poczekaniu nadchodzi pomoc, gdy człowiek nie daje sobie rady z wyrzutami sumienia. Zło i dobro nie istnieją; są tylko czynniki, które przechylają w człowieku szalę raz na jedną, raz na drugą stronę.

Komórka rozbrzmiała sygnałem równo trzy minuty później.

Wszedł do domu cicho jak duch. Zerknął na zegarek; za piętnaście trzecia. Rozebrał się i poszedł pod prysznic, starając się robić jak najmniej hałasu. Namydlił się dokładnie, potem wytarł do sucha ręcznikiem, który od razu wrzucił do pralki. Na palcach wrócił do salonu, wyjął z szafy koc, okręcił się nim niczym śpiworem i po pięciu minutach spał jak zabity.

Komórka Jakuba leży na stole.

Helena wchodzi cicho do salonu, bierze aparat, wyjmuje pendrive'a z kieszeni dresu. Nawet nie opuszcza pokoju, w dupie ma fakt, że blask wyświetlacza może go obudzić. Podłącza pendrive'a do wejścia USB. Wyświetlacz błyska, po kilku sekundach widać napis „ładowanie zakończone”. Helena odkłada komórkę, chowa pendrive'a do kieszeni.

Podchodzi do okna. Ramiona jej drżą. Wraca do sypialni, nawet nie rzuciwszy okiem na męża.

Wypija wino do dna. Jakie to proste.

Rozdział 3.

Tolak wyglądał starzej niż wczoraj. Być może on również się pakował. W budynku zajmowanym przez Służbę Kontrwywiadu Wojskowego panowała atmosfera gorączkowej tymczasowości. Katastrofa samolotu wyraźnie przeszkadzała w układaniu sobie życia na nowo. Może ktoś zajmował się ochroną kontrwywiadowczą tajemnic państwowych - ale Tyszkiewicz nie postawiłby na to nawet złotówki.

Gospodarz wskazał fotel pod oknem. Jakub usiadł.

- Powiem coś, co pewnie cię wkurwi - powiedział Tolak. - Ministrem spraw wewnętrznych w nowym rządzie zostanie Tokarski.

Tyszkiewicz skulił się jak po ciosie w żołądek. Do tej pory słyszał plotki. Nie starczało mu wyobraźni, by wziąć je za prawdę. Ostatnio nie dostrzegał nawet rzeczy elementarnych.

- Pewne? - zapytał. Tolak rzucił na niego okiem, potem odwrócił wzrok.

- To akurat jest pewne.

Nie zostanie po prostu wylany. Utrata pracy będzie najmniejszym z jego problemów. Być może powinien rozejrzeć się za dobrym prawnikiem.

- Muszę poszukać nowej pracy - bąknął. - Albo w ogóle gdzieś spierdolić.

- Jak wszyscy.

- Założymy na emigracji spółdzielnię emerytów i rencistów.

- To się może udać.

- Kurwa mać.

- Masz rację.

Odetchnął kilka razy głęboko. Gdzieś na korytarzu ktoś śmiał się wesoło. Po raz pierwszy od wielu dni przez chmury wyjrzało niebo. Mgła cofnęła się, przechodząc w upierdliwą mżawkę; może zajmowała lepsze pozycje, by powrócić silniejsza. Widoczność uległa poprawie. Cała Warszawa przesiadła się do samochodów, jakby kierowcy postanowili nadrobić stracony czas; korki osiągnęły niespotykane rozmiary. Na każdym skrzyżowaniu dochodziło do stłuczek, bójek i interwencji pogotowia. Jakub mógłby przysiąc, że przez okno przeniknął niesiony przez wiatr smród z Kabat. Katastrofa samolotu, jak by nie patrzeć wydarzenie o dużej wadze politycznej, wydała mu się jakaś odległa, nieważna, błaha. Był w błędzie, z czego zdawał sobie sprawę. Konie ciągnęły go w różne strony.

- Musisz mi obiecać, że to, co powiem, zostanie między nami - ciągnął Tolak, gdy już

dali wybrzmieć ciszy. - Paru ludzi jest zaangażowanych w temat, może zostaną, nie chcę, żeby mieli kłopoty.

- Zaangażowanych w co?

- Obiecuj.

- Obiecuję.

- InvCorp to przykrywka dla FSB. Tomkin jest prowadzony bezpośrednio przez rezydenta GRU przy ambasadzie.

Po co poszedł z Marią do łóżka? Od początku wiedział, że cały ten kontakt jest manipulacją. Owszem, była w tych sprawach bardzo dobra, oddana i namiętna. Wyglądała na szczerze zaangażowaną. To jeden z podstawowych atrybutów kobiecego aktorstwa, metoda pozyskiwania informacji lub zdobywania zaufania stara jak świat. Dał się podejść jak dureń, jak referent na delegacji oszołomiony tańcem striptizerki, kierujący się rozumem tego, co w spodniach.

- Są bardzo aktywni.

- Kontrolujecie ich?

- Udam, że tego nie słyszałem. Powinieneś omijać Tomkina i jego ludzi szerokim łukiem.

Jakub zastanawiał się, czy usłyszał akcent na frazie „jego ludzi”. Nie dopatrzył się go. Uznał, że powinien się zrewanżować.

- To dzięki nim złapałem tych dwóch na Ursynowie.

Tolak przestał udawać obojętność.

- Nie rozumiem.

- Anonimowo się do mnie zgłosili. Dali cynk. Dwa razy pudło, za trzecim trafiłem.

- Skąd wiesz, że to oni?

- Bo gdy rozpieprzył się samolot, zgłosili się bezpośrednio.

- Oni?

- Jeden z ich pracowników.

- Powinieneś sprawdzić, czy przypadkiem nie mówi we własnym imieniu.

- Nie żartuj.

Rozdzwonił się telefon na biurku. Tolak nie ruszył się z miejsca. Wiatr pracowicie przeganiał chmury. Świat stał się jasny, jakby to, co wczoraj, było tylko złym snem.

Ma ich prześwietlonych, pomyślał Jakub. Wie o Marii. Kurwa mać. Jej piersi w świetle ognia wyglądały jak bajkowy prezent.

- Co jeszcze mówili przedstawiciele Tomkina?

- Sugerują, żeby zająć się Marszem Narodowym. Taką ukraińską organizacją...
- Słyszałem o Marszu Narodowym - odparował Tolak. Stał się nieufny, jak kot nasłuchujący w ciemności szczekania psa. - Dziesięć pięter gówna.
- Mają bardzo dobrą motywację, żeby stuknąć Ruskich.
- Teoretycznie mają.
- Zrobili to u nas, bo nas nie lubią może jeszcze bardziej.
- Same zyski. Tyle że to teoria.

Tolak podszedł do biurka, przez chwilę przyglądał się ekranowi komputera. Potem usiadł na wprost Tyszkiewicza. Ktoś zapukał do drzwi, Tolak warknął, pukanie ustało.

- Wolałbym, żeby było inaczej - powiedział. - Godzinę temu zaczęły się sekcje zwłok. Nad każdym naszym lekarzem stoi dwóch Ruskich i patrzy na ręce. Kalinin protestuje przy byle drobiazgu. Chce, żeby dzisiaj zakończyć temat i zabrać ciała do siebie.

Jakub pokiwał głową. Rosjanie mają jedyny na świecie, niepodrabialny styl załatwiania takich rzeczy. Zawsze tak było i będzie.

- Czego jeszcze chcą? - zapytał.
- Tego, co zwykle. - Tolak chciał wrzucić ramionami, ale gest wyszedł jakoś połowicznie, niepoważnie, w gruncie rzeczy świadczył o bezradności i znużeniu. - Żebyśmy wzięli wszystko na siebie. Jeżeli twój minister wieczorem nie wyląduje w Tworkach, uznam, że jest cyborgiem. Nawiasem mówiąc, z Kalininem ma się spotkać Pawłowski.

Jakub wrzucił ramionami. Na miejscu Pawłowskiego też chciałby się spotkać z szefem ruskiej delegacji. Coś zaczęło mu się układać w większą całość. Ucieszyłby się, gdyby Maria nie miała z tym nic wspólnego.

- Wiedzą już o Stingerach?
- Nie zwierzali mi się. Pewnie wiedzą. Bardzo im to pasuje, założę się.
- Nie są durniami. Nie zakładają, że to my zestrzeliliśmy samolot.
- Pewnie nie. Ale to nie znaczy, że nie wniosą oficjalnych oskarżeń.

Oczywiście. Dlaczego mieliby nie wnosić? Komórka Jakuba wibrowała bezgłośnie, trzeci czy czwarty raz tego ranka. Być może powinien odebrać.

- Mówią ci coś nazwiska Haładoj i Parsak? - zapytał.
- Tolak przyglądał mu się długo, beznamietnie, jakby chcąc ocenić, czy i jak odpowiedzieć na pytanie. Czekał na znak. Czekał na coś, co nie nadeszło. Jakub po prostu siedział i patrzył mu w twarz. Nic nie mogło wyraźniej podkreślić atmosfery tymczasowości niż to wyczekiwanie odpowiedzi na nieskomplikowane przecież pytanie.

- Jeśli będę chciał wiedzieć, po co ci to, odpowiesz? - odezwał się w końcu Tolak. - Nie

lepiej to zostawić Tokarskiemu?

- Tokarski zamiecie temat pod dywan - odparł Tyszkiewicz. Tolak miał rację, wszyscy mieli rację. Prawda, nawet jeśli istniała, nie była nikomu potrzebna. Prawdziwa prawda funkcjonowała na telewizyjnych paskach i nagłówkach portali informacyjnych. Prawda przykrojona wedle potrzeb poszczególnych targetów i grup fokusowych. Prawda do wyboru do koloru, dla każdego inna.

- Grzebiąc w temacie, zanim to zrobi Tokarski, grabisz sobie jeszcze bardziej. Słyszałeś o Hannie Paskiewicz?

Jakub zawahał się. Możliwe, że słyszał. Dziś wszystko było możliwe. Poszedł do łóżka z kobietą niebędącą jego żoną. Zastanawiał się, co czuje. Nie mógł przypomnieć sobie uśmiechu na twarzy Heleny. Sięgał pamięcią i nic - nie było go tam. Jego wina. Dbanie o jakość małżeństwa powinno należeć do obowiązków mężczyzny. Orbitowali w dwóch różnych kosmosach. Jego praca była destrukcyjna, płacono mu grosze. Ona lubiła malować i zarabiała fortunę. Czy majątek może rozdzielić dwoje kochających się ludzi? Ona chciała dawać światu oddech i optymizm płynące z każdego pociągnięcia pędzla, wydobywać piękno nawet z brudnych szczegółów. Czy on miał w ogóle jakieś ambicje?

Może o to właśnie szło?

- Nie.

- Średni szczebel policyjny gdzieś w Zachodniopomorskiem. Szczurzyca. Gryzie wszystkich dookoła, żeby wejść wyżej. Nowi władcy pokładają w niej wielkie nadzieje. Słyszałem, że przyślą dziewczuszkę do was, wysoko.

Jakub parsknął. Co go to mogło obchodzić? Był zawodowym trupem. Trupy nie okazują uczuć ani nie wyrażają opinii. Jeśli rzeczywiście nie ma ambicji, powinien być zachwycony.

- Mogę się dziś spakować - odparł. - Dawno nie spałem, przyda mi się sen.

- To po co chcesz wiedzieć o tych dwóch Ukraińcach?

- Lubię mieć papiery w porządku.

Tym razem Tolak zachichotał. Byli jak stare kawaleryjskie konie. Dźwięk trąbki doprowadzał ich do rozkoszy. Umierali, mimo to chcieli, by dźwięk brzmiał.

- To doradcy Bogdanowicza - powiedział, zerkając na ekran komputera. Bogdanowicz był prezesem Marszu Narodowego. Nie występował w telewizji inaczej niż w bojówkach i spadochroniarskich butach. Kiedyś oświadczył publicznie, że z całej ukraińskiej historii najbardziej szanuje - obok Bandery i Szuchewycza - Chmielnickiego, jego wolę walki, wizję polityczną, a przede wszystkim metody postępowania z nieprzyjaciółmi. Śniły mu się równe

rzędy pali z ponabijanymi nań Lachami. - Obaj byli kiedyś zawodowymi żołnierzami, jeden służył w piechocie zmechanizowanej, drugi w jednostce przeciwlotniczej. Pełnił nawet przez jakiś czas rolę instruktora. Ich życiorysy to białe plamy. Ktoś postarał się, żeby nie było za wiele wiadomo.

Aż takie to proste?

- Jak ich znajdę?

- Coś mi mówi, że przekroczyli granicę w Dorohusku dwa dni temu. W naszą stronę.

- Jak dostali wizę?

- Jak to mówią: „no comments”.

- Coś jeszcze?

- Zadzwoń do rezydenta SBU przy ambasadzie. Powołaj się na mnie. To dobry człowiek.

- Nie będzie zachwycony.

- Uważa Marsz Narodowy za wrzód na dupie. Nie będzie zachwycony, ale pomoże.

- Dzięki - powiedział Jakub, wstając. Słońce uciekło za chmury. Niebo ciemniało z każdą chwilą. Przyszłość nadchodziła z rytmicznie odmierzaną obojętnością. Nadal czuł na skórze dotyk palców Marii. Zmysł powonienia pamiętał lekki zapach perfum zmieszany z wonią palącego się drewna.

Uścisnął dłoń Tolaka i wyszedł. Wyświetlacz komórki zawiadamiał o sześciu nieodebranych połączeniach. SMS od Kiki opatrzony został czerwonym wykrzyknikiem: „Namierzyłam Nowaka. Odezwij się, proszę”.

Nowak? Człowiek duch z agencji nieruchomości. Wybrał numer.

- Cześć, Jakubie.

- Przepraszam. Byłem na spotkaniu. Jadę do firmy. Mów.

- Facet popełnił błąd. Zostawił odciski palców na klawiaturze. Komputer odziedziczył nowy pracownik, ale udało się wyodrębnić dwa całkiem wyraźne ślady.

Jakub wyszedł przed budynek. Wiatr wyrwał parasol z dłoni idącej chodnikiem kobiecie okutanej w płaszcz. Ciałem Tyszkiewicza szarpnął dreszcz. Powinien pomóc starszej pani. Skierował się do samochodu. Jakiś facet złapał parasol, wsadził w dłoń staruszki, przyłożył dłoń do czapki, odszedł.

- Chcesz mi powiedzieć, że w końcu mieliśmy szczęście?

- Nie wiem, czy będziesz chciał to nazwać w ten sposób. Owszem, facet był notowany. Abwera przesłuchiwała go w zeszłym roku w związku z podejrzeniami brania udziału w wojnie w Syrii po stronie ISIS.

- Niczego mu nie udowodnili?

- Wiedzą, że kilka lat temu przeszedł na islam.

- Za to jeszcze nie wsadzają.

- Wchodził na dżihadystyczne strony. Udzielał się na forach. Ostatecznie materiał okazał się słaby i go puścili.

- Jak się nazywa naprawdę?

- Nowacki.

Nowak. Nowacki. Przestępcy często są durniejsi niż milicja z kawałów.

- Ma wynajętą kawalerkę na Mokotowie - kontynuowała Kika. - Jest pusta, nikt go od miesiąca nie widział. Rodzice mieszkają na Mazurach, poprosiłam komendę w Rucianem Nidzie o sprawdzenie, czekam na meldunek, ale zakładam, że tam się też nie pokazywał. Dziewczyny nie ma, próbuję odnaleźć jakichś znajomych.

- Pod jakim nazwiskiem walczył w Syrii?

- Pod pseudonimem. Pojechał do Turcji na własnym paszporcie, abwera zakłada, że tam skontaktował się z komórką ISIS, która przerzuciła go przez zieloną granicę. Wrócił tą samą drogą przed wygaśnięciem tureckiej wizy, formalnie wszystko było w porządku. Miał nawet rachunki z tanich hotelików od Stambułu po Anatolię. Twierdzi, że podróżował autostopem.

- Skąd abwera wie, że tam był?

- Mają zdjęcie brodatego faceta z kałachem. Abwera podpimpowała obraz fotoszopem i stwierdziła, że to on, facet się wyparł, sędzia nie uznał komputerowej obróbki zdjęcia za dowód.

- Skąd miał dowód osobisty na nazwisko Nowak?

- Namierzamy.

- Pewnie ma nową tożsamość. Być może skorzysta z tego samego dostawcy.

- Dwóch ludzi nad tym pracuje.

- Dobrze. Przygotuj aktualną podobiznę. Będę za piętnaście minut. Niech przyjdzie Smotrycz i Staszek, o ile jest.

- Przeszedł godzinę temu. Powiem mu.

Rozłączył się, wsiadł do samochodu, wyjechał na ulicę. Warszawa wracała na stare tory miasta szaleńców, którzy wskutek kilku kropel deszczu dostawali szału za kierownicą. Jechał wolno, wczorajsze blocko nijak nie chciało odpaść od karoserii. Powinien zatrzymać się, zadzwonić do Heleny albo po prostu pójść do tego cholernego urzędu. O której miało być to spotkanie? Nie mógł sobie przypomnieć.

Czy w jego sytuacji błaganie o przebaczenie miało jeszcze sens?

Gniew podchodził mu do gardła kwaśną falą. Gniew skierowany do wewnątrz, który chce ujrzeć światło dzienne.

Nie pamiętał, jak udało mu się dojechać do Biura bez kolizji. Po drodze minął sześć stłuczek i dwa poważne wypadki. Karetki zatarasowały jezdnię; włączył bombę i objechał zator po chodniku, obrzucony przekleństwami, na które całkowicie zasłużył. Biuro powitało go ciepłem i zapachem kawy. W głębi korytarza mignął Bielik; miał potargane włosy i błędny wzrok. Jakub poszedł prosto do swego gabinetu, nie zauważając nikogo. Mechanicznie przywitał się z sekretarką, zdjął płaszcz i marynarkę, przelotne spojrzenie w lustro było błędem. Sińce pod oczami miały kolor zgnilizny, włosy sterczały we wszystkie strony, lewy policzek zaczął ponownie drżeć. Na czole wielkie litery ułożyły się w napis: „przegraný”; doszedł do wniosku, że właściwie nie powinien pokazywać się publicznie. Podwładni nie lubią przegrywających szefów.

Przygładził włosy dłonią. Efektu nie dało się zauważyć.

Wszedł do sali konferencyjnej, nalał sobie kawy, usiadł u szczytu stołu. Dopiero wtedy spojrzał na zebranych. Kika wyglądała na zmęczoną; Smotrycz patrzył obojętnie w ekran laptopa. Krzeptowski popijał małymi łykami z ogromnego kubka. Wydawał się jeszcze chudszy niż wczoraj po południu. Wyraz ulgi zniknął; odrętwienie musiało przyjść i właśnie przyszło. Zbliżał się pogrzeb, kiedy wszystko się zakończy.

- Kika, zaczynaj - mruknął Tyszkiewicz.

Na dużym ekranie pojawiła się podobizna mężczyzny. Miał mniej niż trzydzieści lat, suchą, podłużną twarz i szare oczy, z których wiało nudą.

- Wojciech Nowacki, urodzony dwunastego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego w Rucianem Nidzie, wykształcenie średnie - powiedziała Kika. - Szukamy go jako podejrzanego o pomoc w przygotowywaniu zamachu terrorystycznego.

- Roześlij list gończy do wszystkich komend - zarządził Jakub. Krzeptowski patrzył w kubek i zdawał się zanurzać w letargu. Był daleko, trudno mu się dziwić. Jakub czuł się coraz bardziej nieswojo, tak zwykle czuł się na cmentarzach.

- Faceta może już dawno nie być w kraju - powiedział Smotrycz.

- Jest wysoki? - zapytał Krzeptowski.

Jednak słyszał i słuchał.

- To znaczy?

- Pytam, ile ma wzrostu.

Kika zajrzała do pliku.

- Sto dziewięćdziesiąt jeden centymetrów. A co?

- Widziałem go wczoraj na placu Zamkowym. Był z drugim, ciemnym, wyglądającym na Araba.

Tyszkiewicz poruszył się, zatrzymując spojrzenie na Krzeptowskim. Jezu, facet posiwiiał, na skroniach i dalej w stronę ciemienia, przy zakolach. Jeszcze miesiąc temu grzywka równo okalała czoło, zmarszczone jak stara tektura.

- Jesteś pewien? - zapytał, czując, że coraz bardziej się boi tego posepnego szkieletu uzbrojonego w siedemnastostrzałowy austriacki pistolet.

- Niczego nie jestem pewien. Było ciemno, oni przeszli obok, mieli kaptury. Widziałem go przez pięć sekund. Ale wydaje mi się, że to on.

- Co tam robił?

- Szedł. Nawet się specjalnie nie rozglądał.

Smotrycz nadal miał gdzieś zbiegi okoliczności. Fakt, że być może tego nikt nie zaplanował, nic go nie obchodził. Jakub uznał, że nie będzie się dziwił, Kika przeniosła wzrok na ekran.

- Wenderlich jest na urlopie, ale jego ludzi mogę posłać w teren, niech powęszą - powiedziała.

Nadkomisarz Bruno Wenderlich zawsze brał urlop w październiku. Nic się wtedy nie dzieje, mówił. Dowodzony przez niego Wydział Rozpoznania i Wywiadu liczył dziewięciu funkcjonariuszy. Mieli długie okresy przestoju przeplatane pracą po szesnaście godzin na dobę.

- Daj im zdjęcia, niech się rozejrzą - przytaknął Jakub. - Może ktoś coś widział. Poproś też o pomoc Pałac Mostowskich.

Kika skrzywiła się. Droga służbowa była męką. Komenda Stołeczna zdawała się dzielić opinię reszty gliniarzy, że Biuro Zwalczania Terroryzmu jest przeplaconym wrzodem na rumianej policyjnej dupie.

- Wiem. Spróbuj. I ściągnij Wenderlicha w trybie natychmiastowym.

- Oczywiście.

Jakub spojrzał na Smotrycz.

- Masz podobizny Haładoja i Parsaka?

Smotrycz kliknął kilka razy. Na ekranie ukazały się zdjęcia dwóch brodatych facetów.

- Doradcy Jurija Bogdanowicza, szefa Marszu Narodowego - wyjaśnił Tyszkiewicz. - Jastrzębie z przeszkoleniem wojskowym. Na pewno wczoraj byli w Polsce. Może mamy operatorów Stingerów.

Zebrani poderwali głowy. Jakub spojrzał na Smotrycz. Szef Wydziału Wywiadu

Elektronicznego nie uciekał ze wzrokiem. Zrozumiał?

- Podejrzewasz ich o dokonanie zamachu na samolot?
- Mają motyw. Umieją. Byli w kraju w momencie zamachu.
- Musisz nam dać coś więcej - powiedział Krzeptowski.
- Na razie mam tyle.

Kika ochłonęła pierwsza. Gra półsłówiek. Przyzwyczajali się. Źródła informacji na ogół zastrzegają sobie bezwzględnie przestrzeganą anonimowość.

- Jakie zadania?

- Na razie chciałem tylko, żebyście wiedzieli. Po południu może będę znał jakieś konkrety.

Zabrał kubek z niedopitą kawą i wyszedł. Jeszcze na korytarzu wybrał numer Jewhena Koryckiego, rezydenta Służby Bezpieczeństwa Ukrainy przy ukraińskiej ambasadzie.

Już korytarz odpychał; ściany pomalowane na niebiesko w idiotycznym, drażniącym odcieniu, stojak z urzędowymi ulotkami, których nikt nie czytał, jaskrawe światło spływające z sufitu, niewygodne, zbyt wąskie foteliki. Kolejka, złożona z zabiedzonych kobiet w nieokreślonym wieku, nawet niepróbujących okiełznać swych rozwrzeszczanych dzieci, była jakaś milkliwa, przestraszona, wycofana. Helena wzięła numer (sześciu oczekujących) i zajęła miejsce na końcu, jedyne, które dawało złudzenie anonimowości. Ubrała się jak idiotka; czarne buty od Christiana Louboutina, kombinezon Pierre Balmain, torebka Hermesa, kaszmirowy płaszcz; wyglądała jak przybysz z Wenus. Kobiety patrzyły na nią z nienawiścią, zachwycone, że mogą na kimś skoncentrować swój strach przed urzędem i tym, co je czeka, gdy będą błagalnie spoglądać przez urzędnicze biurko. Nie miała na czym skupić wzroku; przeciwległa ściana była nudna jak dzielnicowe posiedzenie partyjne. W kieszeni szeleścił formularz wezwania.

Kadry z filmu stały przed oczami jak żywe. Kobieta z filmu miała świetną figurę i nieco sterzące, na pewno własne piersi; być może nie rodziła dzieci. Jebana suka.

Kominek w pokoju to niezły pomysł, pomyślała Helena. Noce przeżane przed kominkiem na niedźwiedziej skórze mogą rozwiązać niejednen małżeński problem, tak jak kiedyś, w ich domu na wsi, który sprzedali, bo po tym, co zdarzyło się siedem lat temu tuż przed Bożym Narodzeniem, żadne z nich nie miało ochoty nawet tam jechać, o nocowaniu nie wspominając.

Mechaniczny, podobny do kobiecego głos oświadczył z ekranu, że nadeszła jej kolej. Weszła do pokoju. Dwa boksy były zajęte, trzeci, najbliższy ścianie, zapraszał. Zbliżyła się

wolno, walcząc z miękkością kolan. Urzędniczka obrzuciła ją sępiim spojrzeniem. Miała niemodne okulary o grubych szklach, tanią garsonkę i włosy w kolorze miedzianym. Czterdziestka na karku i poczucie przesranego życia wyzierały z jej spojrzenia wyraźniej niż film na Blu-ray.

Ty głupia zdziro, mówiła całym ciałem, na twoje ciuchy musiałabym zarabiać przez dwa lata, nie jedząc i nie płacąc rachunków. Cycki ci opadną i chłop, dzięki któremu masz to wszystko, wymieni cię na młodszy model, wszyscy normalni faceci tak robią. I zostaniesz z niczym, jak każdy dookoła. I dobrze ci tak.

- Słucham? - ocknęła się Helena.

- To ja panią słucham - odezwała się urzędniczka.

- Dzień dobry. Przepraszam. Jestem pierwszy raz...

- Widzę.

Może nie będzie tak źle, pomyślała. Może ona chce tylko wykonywać swoją pracę.

Wyjęła z kieszeni pismo. Urzędniczka poprawiła na nosie okulary, musnęła wzrokiem treść, potem przeniosła spojrzenie na Helenę. W jej twarzy dopiero teraz pojawiło się coś odpychającego. Siedzące obok kobiety tłumaczyły coś stłumionymi, płaczącymi głosami. Pracownicy urzędu odpowiadały im obojętnie; rozpacz i niespełnianie ustawowych wymagań przez petentów były w tym miejscu codziennością. Przemoc i nędza stały się banałem niewartym uwagi.

- Chwileczkę.

Urzędniczka zdjęła okulary i zaczęła czegoś szukać w leżącym za nią stosie papierów. Operacja wydała się Helenie sztuczna, być może zaplanowana. W pokoju jakby nagle zabrakło powietrza. Kaloryfery zdawały się być wulkanami.

Cyrk dobiegł końca. Kobieta położyła przed sobą kartonową teczkę. Komputeryzacja w urzędach jest ściemą, mającą na celu napchanie kieszeni firmom informatycznym. Pracownicy nade wszystko kochają kartonowe teuczki, skoroszyty i kancelaryjny porządek. Doskonale odnaleźliby się w dziewiętnastym wieku.

- Pani Helena Berezowiec?

- Tak.

- Dowód osobisty.

„Poproszę” nie przepchnęło się kobiecie przez gardło.

Helena pogrzebała w torebce, usłyszała ciszę, podniosła głowę, wszyscy przyglądali jej się wrogo, wyciągnęła plastikowy prostokącik, urzędniczka spojrzała na dokument, potem na nią, następnie jeszcze raz w dół. Teraz mam krótsze włosy, pomyślała Helena. Może nie

jestem do siebie wystarczająco podobna.

- Jest pani prawną opiekunką Zofii Cehak, lat osiemnaście - powiedziała urzędniczka, nie oddając dowodu. Na wierzchu leżał w teczce jakiś formularz, na którym widniało zdjęcie Zosi sprzed siedmiu lat. Nawet widziana do góry nogami wyglądała ślicznie.

- Tak. Mam orzeczenie sądu. - Co się z nią dzieje? Dlaczego banalne stwierdzenie i banalny urząd wprawiają ją w rozpacz, strach i furję, pomieszane tak, że nie wiadomo, czego więcej? Czy żołądek może boleć jeszcze bardziej? Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz coś jadła. Pamięć podsuwała różne odpowiedzi, żadnej właściwej. Poczowała ślinę w ustach; na myśl o jedzeniu miała ochotę biec do łazienki.

- Dojdziemy do tego. Poproszę dowód osobisty Zofii Cehak.

- Ona nie ma dowodu.

- Zofia Cehak skończyła osiemnaście lat. Pani wie, że polski obywatel ma obowiązek po ukończeniu osiemnastego roku życia posiadać dowód osobisty?

Czy tak wygląda bezradność?

- Proszę pani...

- To jest ustawowy obowiązek. Mam pani odczytać stosowny przepis?

- Nie.

- Więc dlaczego pani to lekceważy?

- Nie lekceważę - odzyskała w końcu głos. - Zosia nie ma możliwości, żeby złożyć wniosek.

- Wniosku nie trzeba składać osobiście. Może pani to zrobić za nią. Ona się tylko musi podpisać.

- Zosia się na niczym nie podpisze - podniosła głos. - Jest niewidoma i ma porażenie mózgowie. Nie jest w stanie samodzielnie się przewrócić z boku na bok.

- Proszę się uspokoić. - Spojrzenie urzędniczki wyrażało czystą nienawiść. - Nikt tu nie będzie słuchał pani krzyków. Dowód osobisty jest konieczny do prowadzenia każdej czynności prawnej w tym kraju.

Odetchnęła kilka razy głęboko. Serce biło dziko, czuła, że policzki jej płoną. Po co Jakub laził do tej suki? Czy codzienne dawanie mu dupy załatwi sprawę?

- Zofia Cehak uzyskała pełnoletniość siedem miesięcy temu - powiedziała urzędniczka, gdy wszystko ucichło i pokój wrócił do bezpiecznej rutyny. Czas wykorzystwała na pilne przeglądanie zawartości teczki. Wyglądała jak zaprogramowana. Znała wszystkie sztuczki. - Żeby wykonywać swoje obowiązki jako prawna opiekunka, musi pani wystąpić do sądu o ubezwłasnowolnienie podopiecznej. Nie wiedziała pani o tym?

Helena pracowała nad sobą. Udało jej się nieco zwolnić oddech. Przed wyjściem z domu powinna się przypudrować. Rumieniec byłby mniej widoczny. Gorset zamaskowałby ruchy klatki piersiowej, podobne do ruchów wydobytego na powierzchnię człowieka, który przed chwilą się topił.

- Zajmę się tym jak najszybciej.

- Nie ma pani dowodu osobistego podopiecznej oraz nie wystąpiła pani o ubezwłasnowolnienie. Formalnie nie ma pani prawa za nią decydować.

Pani, pani, pani. Tak wygląda śmierć cywilna. Urząd ją połknie i wypluje za dwa tygodnie, miesiące lub lata, zmienioną nie do poznania, fizycznie, duchowo, psychicznie. Koło absurdu nie przestanie się kręcić, urząd sprawi, że sama będzie je napędzać.

Urzędniczka wyciągnęła z teczki pojedynczą kartkę.

- Mam tu pismo z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych.

Błąd, pomyślała. Popełniłam błąd, wychodząc za męża. Mogę się obyć bez ludzi. Lubię zapach farb i cztery ściany. Stać mnie na najlepszego adwokata. Dlaczego tego wszystkiego nie załatwiłam?

- Tak?

- Pani podopieczna skończyła osiemnaście lat. Jest niepełnosprawna w stopniu znacznym. Należy jej się renta. Nie wystąpiła pani o nią.

Tak, nie wystąpiła. Poprosiła znajomego prawnika, żeby jej opowiedział o procedurach, nie z potrzeby, raczej z ciekawości. Słuchała ze zgrozą. Dobił ją punkt dotyczący składania wniosku o wydanie dowodu tożsamości przez składającego wniosek. Odpuściła.

Po co to babsko za każdym razem powtarza, że Zosia skończyła osiemnaście lat? Po nic. Ma władzę, ma kawałeczek władzy, ma mikroskopijny ochłap władzy i nie ma zamiaru nie robić z niej użytku. To jej cel dnia. Potem będzie mogła nadal skarżyć się na świat.

- Nie ma takiej potrzeby - powiedziała Helena, rumieniąc się jeszcze bardziej. Kwaśna fala gniewu zalewała jej gardło. Głos z telefonu kazał jej tu przyjść. Przecież spełniła jego żądania. Nie powinna czuć wstydu. Jakub ją zdradził. - Mam wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zapewnić Zosi zaspokojenie wszystkich potrzeb życiowych.

- Dziś pani ma, skąd wiadomo, że będzie miała pani jutro?

Fala przedarła się. To było do przewidzenia. Powinna przysłać tu prawnika. Sprawa zostałaby załatwiona w ciągu pięciu minut.

- Pokazać pani zeznania podatkowe za ostatnie dziesięć lat? - zapytała, właściwie warcząc, cicho, uparcie, jak pies. Powinna spuścić telefon otrzymany od Głosu w sedesie. Powinna powiedzieć Jakubowi, że jest szantażowana. Pieprzyć Zuzannę, pieprzyć przeszłość.

On nie pieprzyłby wtedy dziwki ze sterczącymi cyckami. - Mam więcej pieniędzy niż cały ten urząd razem wzięty, razem z budynkiem i ludźmi. Mogę przestać pracować, wyjechać z dziećmi na egzotyczną wyspę i siedzieć do końca życia pod palmą. I jeszcze mi zostanie drugie tyle. I może tak zrobię, jeśli się ode mnie nie odczepicie.

Lica urzędniczki przybrały chorobliwy, purpurowy kolor. Okulary błysnęły złowrogo, choć usta świadczyły właściwie o czymś przeciwnym: że nareszcie wyjrzało słońce. Że urzędnicze życie też może być kolorowe i ciekawe, gdy się petenta odpowiednio ustawi.

- No cóż, nie wykazuje pani dobrej woli - oświadczyła spokojnie. - W tej sytuacji urząd wystąpi z wnioskiem do sądu o odebranie pani opieki nad Zofią Cehak i umieszczenie jej w zakładzie opiekuńczym.

Helena zaczęła płakać tuż za progiem pokoju. Odprowadzona spojrzeniami pełnymi mściwej satysfakcji zeszła na dół, tępo wsłuchując się w stuk obcasów Loboutina w popękany beton schodów. Mżawka chlusnęła jej wodą w twarz; nie czuła nic. Niczym ślepiec dobrnęła do samochodu; w odróżnieniu od Jakuba nie znosiła SUV-ów, jeździła małym roadsterem, który palił o wiele za dużo. Jego brezentowy dach sprawiał w zimie same problemy, ale Helena lubiła dźwięk silnika i zapach skóry siedzeń. Wsiadła, przekręciła kluczyk, po czym ruszyła, o mało nie taranując jakiegoś chłopaka przechodzącego przez jezdnię. Pojechała dalej, potem zatrzymała się.

Komórka właściwie sama wskoczyła jej w dłoń. Numer Jakuba był na samym wierzchu. Odebrał po pierwszym sygnale. Od niej zawsze odbierał po pierwszym sygnale, chyba że działo się coś złego.

- Ty skurwysynu! - wrzasnęła.

Korycki był nieufny; nazwisko Tolaka spowodowało jedynie, że nie odłożył słuchawki, stwierdzając natychmiast, że jest zajęty i może poświęcić na rozmowę najwyżej kilka minut. Jakub nie miał sprecyzowanego poglądu, co chce osiągnąć. Możliwe, że rezydent SBU również czekał na nowy rząd i nowych ludzi. Było wielce prawdopodobne, że już jest z nimi ułożony. Zapytany, z punktu stwierdził, że nie ma wiedzy, by Haładoj i Parsak przekraczali polską granicę. Omijał najłżejsze sugestie, że jakikolwiek obywatel Ukrainy mógłby mieć cokolwiek wspólnego z zamachem.

Jego upór w końcu Tyszkiewicza zirytował.

- Niech pan posłucha, panie pułkowniku - powiedział, wbijając wzrok w ścianę gabinetu. Krzeptowski siedział po drugiej stronie biurka, zatopiony w kontemplacji objawów złego humoru panującej za oknem aury. Maskę pogody ducha skruszyła się, straciła kontury,

obróciła we własne przeciwieństwo. Krzeptowski wskoczył na tory oszalałej rozpacz. Jakub, zerkając na niego przelotnie, zastanawiał się, jaki przebieg będzie miał pogrzeb. - Rozumiem pańską sytuację. Nikt nie lubi słuchać, że obywatel jego kraju może być zamieszany w atak terrorystyczny tej skali. Ale ja wiem na pewno, że Haładoj i Parsak są w Polsce. Szukam ich i znajdę. Jeśli zrobię to bez pańskiej pomocy, zignoruję fakt, że to ekstremiści, z którymi macie kłopot. Jeśli rzeczywiście oni stoją za zamachem, wina spadnie na Ukrainę, nie na ekstremistów. Może Rosji właśnie o to chodzi.

Korycki sapnął. Jakub znał go słabo, ale dobrze pamiętał nalaną, obwisłą twarz człowieka walczącego z nadciśnieniem. Łatwo zgadnąć, jak facet czuł się dzisiaj. Być może od rana pił. To zależało od tego, jakie miał informacje.

- Wszyscy wiedzą, co wygadują ci z Marszu Narodowego - warknął pułkownik. Jeszcze walczył, ale Jakub miał wrażenie, że w końcu zaczynają rozmawiać poważnie.

- Są legalnie działającą organizacją. Zawsze można zastanawiać się, na ile wyrażają poglądy waszego rządu. Mogę zasugerować to Amerykanom. Nie pokochają was za to.

Kolejne sapnięcie. Jakub zmienił ton.

- Jeśli to naprawdę oni, możecie dobrze na tym wyjść - stwierdził.

Namysł po drugiej stronie był krótki, co oznaczało, że pułkownik rozmawiał już z centralą i zwierzchnicy również uznali taki wariant za korzystny. Zamach mógł być dogodną okazją do pozbycia się przeciwników politycznych, choć w gruncie rzeczy rząd w Kijowie prowadził politykę w dużej mierze zgodną z postulatami i hasłami Marszu Narodowego. Musiał jednak dbać o pozory; Amerykanie dostarczali pomoc wojskową, przekształcając ją stopniowo w szeroki strumień nowoczesnego uzbrojenia.

Jakub w najmniejszym stopniu nie uważał się za eksperta od geopolityki, ale nawet dla niego taki scenariusz był jasny.

- To, co pan mówi, muszę sprawdzić.

Ty dupku, pomyślał Jakub. Nic nie musisz sprawdzać.

- Jasne.

- Zadzwoń jutro.

- Wie pan, jacy są Rosjanie: im pilno do oskarżenia nas. My oskarżymy was.

Korycki nie był przyzwyczajony, by mu grożono dwa razy w ciągu tej samej rozmowy.

- Zadzwoń dziś.

- Mam o siedemnastej naradę u ministra. Wolałbym do niego pójść z konkretnymi.

- Pański minister długo już nie porządzi.

- Wystarczająco długo, żeby zwołać konferencję prasową. Dwunasta.

- Może o drugiej coś dla pana będę miał.

- Nie później. Do usłyszenia.

Aparat stuknął o blat. Krzeptowski nadal patrzył za okno. Profil zdawał się oderwany od reszty ciała, wyjęty z kontekstu, zastygły. Gdyby Helena zajmowała się portretami, miałyby idealny model do namalowania metafizycznego arcydzieła na temat straty i bólu.

Komórka rozwrzeszczała się dzwonkiem, nagłaço, frenetycznie. Helena. Ściągnął ją myślami. Spojrzał na zegarek. Już pewnie po spotkaniu w urzędzie. Jezu, nawet o tym zapomniał.

- Ty skurwysynu! - usłyszał.

Wrzask. Ona czasem krzyczy, ale przecież nie tak. Ona czasem się gniewa, ostatnio często, ale przecież nie tak, by w czterech sylabach zawrzeć cały gniew tego świata. Nienawiść. Toksyzną, pierwszorzędną nienawiść.

- Ty chuju jebany, załatwię cię tak, że ci się żyć odechce! - Wrzask przeszedł w krzyk, niższe rejestry były jeszcze bardziej odpychające. Świat stał się szklany, śliski, kruchy. Jakub poczuł falę potu opływającą ciało. - Nienawidzę cię, rozumiesz?! Nienawidzę cię jak niczego na świecie, pokrętny fiucie...

- Lena - szepnął. Krzeptowski wstał i stanął przed biurkiem, uważny, napięty, wydobyty ze skorupy. - Lena, co się stało...?

Cisza, przepojona kamienną, zapiekłą nienawiścią. Łzami. Może bezradnością.

Nie był w stanie się poruszyć.

- Nie wracaj do domu. Prawnik się z tobą skontaktuje.

Koniec.

Zgarbił się. Komórka stała się śliska i ciężka. Lewy policzek zaczął taniec, jak wtedy, u Marii.

Zerwał się, toaleta była blisko, po drugiej stronie korytarza. Prawie staranował wychodzącego Bielika, drzwi kabiny huknęły o ścianę. Zdażył. Wymiociny miały smak i kolor żółci. Od dawna nic nie jadł. Pot zalewał mu czoło. Otarł się papierowym ręcznikiem, długo płukał usta, potem kilkakrotnie umył twarz i ręce.

Wrócił do gabinetu, nie widząc nikogo i niczego. W Biurze zrobiło się cicho. Był marnym liderem. Nie bardzo wiedział, jak będzie mógł spojrzeć w twarz komukolwiek ucziwemu. Wszyscy musieli słyszeć, jak rzygał.

Krzeptowski nadal stał obok biurka, twarzą do wejścia. Jakub zamknął drzwi, opadł ciężko na fotel pod oknem. Spod plastikowej framugi z pięcioletnią gwarancją dmuchnęło zimnym powietrzem. Serce przyspieszyło, może testując granicę częstotliwości uderzeń, za

którą pęknie.

- Co się stało? - zapytał Krzeptowski.

- Nic.

- Widzę.

- Poradzę sobie.

- Wątpię.

- Chcę zostać sam.

Krzeptowski wyszedł. Był pewien, że Jakub nawet tego nie zauważył.

Sendecką już dawno przestało dziwić, że kontakty jej szefa były w przeważającej większości owocne, a dostarczone informacje zawsze obradzały materiałem odbijającym się szerokim echem wśród gorliwych wyznawców gazety, portalu i stacji telewizyjnej. Holt nie miał ambicji docierania do wszystkich, co Sendecką uznawała za naturalne. I tak koncern dominował wśród najważniejszej wiekowo grupy fokusowej, co przekładało się na wpływy z reklam. Strategia była prosta, przez to niezwykle skuteczna: codzienne utwierdzenie swoich zwolenników w raz na zawsze przyjętych poglądach oraz konsekwentne uprawianie czegoś, co medioznawcy nazywali dziennikarstwem tożsamościowym. Udało się dzięki temu przetrwać ciężkie czasy, choć niektórym pracownikom zarząd zmniejszył zarobki nawet o połowę. Sendeckiej próbował obciąć premię tylko o pięć procent; zagroziła, że przejdzie do konkurencji. Holt więcej do tematu nie wracał.

Jeden z owych kontaktów Holta siedział po drugiej stronie kawiarnianego stolika. Mężczyzna miał w twarzy brutalność i jakąś rozczulającą tępotę, był świetnie zbudowany, wyglądał jak sprężona do skoku pantera. Mówił krótkimi zdaniami, jasno i zwięźle. Dla jej celów nadawał się idealnie.

- Powie pan to wszystko przed kamerą, pod nazwiskiem? - zapytała.

Wahał się, ale krótko. Był przygotowany. Był chętny. Był na najlepszej drodze, by zostać gwiazdą wieczoru w programie o gigantycznej oglądalności.

- A umówi się pani ze mną? - zapytał.

Uśmiechnęła się w uznaniu jego refleksu. Mogła zareagować oburzeniem, oskarżeniem o molestowanie, czymkolwiek z bogatego arsenału dostępnych w dzisiejszych czasach środków. Nagłośniłaby incydent i umocniła pozycję niezłomnej obrończyni praw kobiet, zawsze stojącej po stronie tego, co słuszne.

Mogła też zbyć pytanie żartem.

Trzecią możliwością było skorzystanie z propozycji, choć takie byczki bywają

niewiadomą. Gdy przychodzi co do czego, niekiedy się okazuje, że są żalonymi niedorajdami z męskością szwankującą na skutek wieloletniego nadużywania sterydów i w łóżku zachowują się, jakby potrzebowali mamy, a nie kochanki.

- Kto wie? - odparła. Biel świeżo polerowanych zębów błysnęła w świetle żarówki. Facet zrewanżował się uśmiechem. Był gotów, nawet tu i teraz. Może nie będzie taki zły?

- To wystąpię. Kiedy?

Miał wyrobione bicepsy i bardzo silne dłonie o zniszczonych paznokciach. Wyobraziła sobie te dłonie na swoich piersiach i poczuła się bardzo dobrze. Program kończy raptem o dziewiątej wieczorem. Może od razu pojechać z facetem do niego, choć to znowu ryzyko: tacy ludzie mogą mieszkać w śmierdzących norach w blokach z wielkiej płyty, z karaluchami biegającymi po kuchni nawet w biały dzień. Zdecyduje później. Może zaprosi go do siebie, a może skorzysta z garsoniery Holta, którą zaoferował jej kiedyś podczas branżowej popijawy, gdy chciał ją koniecznie przelecieć pewien operator filmowy, świeżo opromieniony nagrodą gdyńskich Orłów, a ona nie bardzo wiedziała, gdzie to zrobić, bo w domu miała nietypowy dla siebie bałagan, a on pochodził z Wrocławia, w którym w czasie wolnym od kręcenia filmów prowadził życie statecznego ojca i męża. Ostatecznie wybrała garsonierę; operator okazał się łóżkowym ogrem, jeszcze kilka dni później bolało ją całe ciało. Była wdzięczna Holtowi; on z uśmiechem porozumienia wręczył jej zapasowe klucze, żartując, że muszą skoordynować grafik.

- Dam panu znać - powiedziała. - Chciałabym jak najszybciej, może nawet dziś wieczorem. Zadzwońmy do pana w ciągu dwóch godzin, okej?

Grubo ciosana twarz mężczyzny wygładziła się. Tandetna skórzana kurtka wyglądała jak o co najmniej dwa numery za mała. Dzinsy opinały mocno umięśnione nogi.

Pożegnała się i wyszła z kawiarni jako pierwsza. Nim dotarła do samochodu, wybrała numer asystentki.

- Facet nazywa się Robert Cieński, zaraz ci przyślę jego numer - powiedziała, nie odpowiedziawszy na pozdrowienie. - Zadzwoń do niego, umów się i jakoś go ubierz, bo wygląda jak sierota.

- Oczywiście.

- Ma być gotów na dzisiaj.

- Przecież cały program...

- Co to ma kurwa być, dyskusja? - warknęła. Wsiadła do samochodu, włączyła silnik i światła. Z mgły wynurzył się rowerzysta trzymający w ręku silną latarkę świecącą na czerwono. Światła nie było widać dalej niż na metr. Facet i rower byli cudownie nierealni.

- Nie. Przepraszam.

- Może wystąpi dziś, może nie. Ma być gotowy. Cześć.

Rozłączyła się, wyjechała na ulicę, ominęła rowerzystę ostrzeżona bardziej instynktem niż za pomocą zmysłów. Komputer przyspieszył działanie wycieraczek i podkreślił ogrzewanie. Miała do firmy niespełna dwa kilometry, mimo to włączyła nawigację i zwolniła. Za maską samochodu była przesuwająca się z prędkością pojazdu mleczna ściana. Mgła zdawała się mieć konsystencję ciała stałego. Fizyczne parametry otoczenia, samochodu, jej samej przestawały należeć do realnego świata. Prawe koło stuknęło w coś mocno, kierownica omal nie wyleciała jej z rąk. Opanowała auto; delikatnie naciskała pedał gazu.

Wybrała numer Holta.

- Muszę z tobą pogadać - powiedziała. Od wpatrywania się w przestrzeń przed szybą zaczęły boleć ją oczy, pomyślała, że musi iść do lekarza, dostać receptę na nowe soczewki, te, choć kosztowały majątek, okazały się być do dupy. Zwolniła jeszcze bardziej. Samochodem za dwieście tysięcy posuwała się w tempie pieszego.

- Jestem trochę zajęty.

- To ważne. Twój kontakt okazał się jeszcze lepszy, niż myślałeś. Musimy ustalić strategię.

- Nie mieszam ci się do programów.

- Jezu, Jasiu, nie pierdol, dobra?

Roześmiał się. Może bawiło go połączenie w jednym zdaniu bluzgu z Panem Bogiem.

- Przyjdź, pogadamy.

- Będę za chwilę, o ile mnie ktoś nie rozjedzie w tej cholerniej mgle.

Chwila wydłużyła się do blisko dwóch kwadransów. Na skrzyżowaniu tuż przed firmą dwa samochody osobowe i dostawczy van wjechały w autobus. Czerwone plamy pokryły asfalt. Pogotowie i policja przyjechały jednocześnie, tuż po tym, gdy pierwsza z ofiar zmarła wskutek upływu krwi. Senddecka ominęła rosnący z każdą chwilą korek, używając chodnika, a potem bocznej uliczki, w którą wjechała pod prąd.

Holt wyglądał na zrelaksowanego. Senddecka słyszała, że miał dziś rano odbyć spotkanie z człowiekiem wyznaczonym do objęcia teki ministra skarbu państwa z ramienia zwycięskiej koalicji. Pieniądze popłyną szerokim strumieniem, a koncern Holta stanie się kluczowym ogniwem nowo-starego medialnego ładu, jaki miał wkrótce nastać. Precyzyjnie mówiąc, stanie się ponownie, po tym, jak utracił państwowych reklamodawców kilka lat temu, gdy nieoczekiwanie, wbrew wszelkim prognozom ludzi rozsądnych wygrał wybory aktualny układ rządzący. Sądząc z jego miny, spotkanie poszło dobrze. Senddecka byłaby bardzo

zdziwiona, gdyby się okazało, że jest inaczej. Ludzie znacznie bardziej wpływowi niż ów polityk ułożyli biznesową mapę już dawno temu, gdy dzięki ich dyskretnym wysiłkom koalicja zaczęła zwyżkować w sondażach. Zaprosił ją gestem, zamówił kawę - jego sekretarka, oprócz tego, że miała godny pozazdroszczenia tyłek, z którego Holt korzystał od czasu do czasu, parzyła całkiem niezłą - skończył pisać maila, a potem spojrzął na Sendecką.

- No? - zachęcił ją.

- Zawsze kochałam twoje maniery.

- Arbiter dobrych manier!

- Arbiterka.

- Arbiterka - mlasnął. - Równie ładne jak inżynierka. Brzmi, jakby ktoś pierdnął w towarzystwie.

- Zajebista kindersztuba!

Zachichotali oboje. Chaos na zewnątrz narastał, a oni mieli wyłącznie powody do zadowolenia.

- Cieński okazał się rozmowny. Ma sporo na temat Tyszkiewicza, zgodził się pod nazwiskiem.

- Więc?

- Cały program na dzisiaj mam zaplanowany. Minister spraw wewnętrznych dostanie tak w dupę, że mu gówno ustami wyleci. Jego asystent był dwa miesiące temu na Ukrainie, odbył w Kijowie kilka spotkań, z czego jedno z Bogdanowiczem.

- Świadek coś powiedział?

- Anonimowo.

- Wystarczy.

- Wiem. Ale z Cieńskim nie chcę czekać do jutra.

- Mów.

Streściła mu rozmowę. Holtowi zabłyśły oczy. Dał jej kontakt i temat; najwyraźniej jeszcze dwie godziny temu sam nie był świadom, jaki mechanizm uruchamia.

- To się musi jakoś kleić - powiedziała na koniec. - Nie chcę dzielić programu na dwa odrębne tematy.

- Tyszkiewicz prowadzi śledztwo w sprawie katastrofy.

- Oficjalnie szefem jest dyrektor CBS, ten, jak mu tam, Ślusarski. Z tego niewiele wyciągniemy.

- Złapał tych dwóch z bombą na Ursynowie.

- Ludzie pomyślą, że podkładamy nogę facetowi, który w końcu kogoś złapał z bombą.

Poza tym to oficjalnie nie łączy się z samolotem ani ministerstwem.

- Tyszkiewicz jest podwładnym ministra.

- Jasiu, proszę cię.

Holt zamyślił się. W korporacyjnym kodzie oznaczało to, że przyznawał rozmówcy rację. Sendecka wiedziała, że ma rację. W jej fachu panowała mordercza konkurencja, w której czas był jednym z najistotniejszych z czynników. Po co czekać z egzekucją do jutra, gdy można komuś strzelić w łeb dziś?

Gospodarz odwrócił się, kliknął szybko myszką, przybliżył twarz do ekranu. Cisza przeciągała się, nikomu to nie przeszkadzało. Sekretarka wiedziała, że podczas wizyt Sendeckiej szefa nie ma dla nikogo. Bracia Pieniążek ani tym bardziej Bogucka nigdy nie dzwonili do biura. Nikt inny nie był wystarczająco ważny.

- Dowódcą jednej z kompanii batalionu, w którym służył Tyszkiewicz w Iraku, był Gawroński - powiedział Holt, nadal wpatrzony w ekran. Gdy tylko mógł, nie używał okularów; słabostka, za którą Sendecka jeszcze bardziej go lubiła.

Obróciła się całym ciałem.

- Rzecznik MSW? - zapytała.

- Tak. Pamiętasz sprawę wywalenia Tyszkiewicza z wojska?

Coś tam pamiętała, bez konkretów. To było dawno temu i nigdy jej zbytnio nie interesowało.

- Groziły mu zarzuty prokuratorskie za zbrodnie wojenne. Nieoficjalnie mówiło się, że to zemsta kilku oficerów, których machloje Tyszkiewicz ujawnił.

Wzruszyła ramionami.

- Nadal nic tu nie widzę.

- Gawroński stanął wtedy w jego obronie. Sam o mało nie wyleciał, ale nie zmienił zdania. Tyszkiewicza przeniesiono do policji, mówi się, że właśnie dzięki znajomościom Gawrońskiego w MSW. Trzy lata temu odszedł z wojska i przyszedł do ministra na rzecznika.

Oboje wiedzieli, że takie powiązanie można docześć każdemu. Ich zawód polegał na tym, żeby zrobić to skutecznie, żeby nikt nie był w stanie niczego odkręcić. Sprostowania nikogo nie interesowały. Sendecka westchnęła. Musiała zagonić swoją ekipę do roboty.

- Coś z tego może skleję - powiedziała.

- Dodaj anonimowego świadka, który zasugeruje, że Tyszkiewicz też brał kasę za lewe patrole.

- Grubo.

Holt wzruszył ramionami. Wygrali wybory. Mogli wszystko.

- Puść cię ze zmienionym głosem.

- Jasiu, czy ja ci, kurwa, mówię, jaką gumę założyć, kiedy posuwasz swoją sekretarkę?

- Słucham?

Nie był pewien. To jej głos?

- Helena? Tu Staszek.

Milczenie.

Stał schylony, szczelnie owinięty mgłą. Ledwie widział cyfry na wyświetlaczu domofonu. Bolał go kręgosłup - gdy wrócił z placu Zamkowego, całą noc przesiedział w fotelu z papierosem w ręce. Nie pamiętał, czy spał. Może, naprawdę nie mógł sobie przypomnieć. Myśli biegały swobodnie, a on kontemplował wytarty materiał fotela z naprzeciwka. Pamiętał każdą nitkę, każde wgniecenie, odbarwienie materiału.

- Czego chcesz?

- Mogę wejść?

- Czego chcesz?

- Helena...

Milczenie. W domofonie zabręczało niewyraźnie. Mgła tłumiała dźwięki, oddalała je. Hałas wielkiego miasta został zredukowany do nieokreślonych pomruków. Wiatr przyniósł kolejną porcję zawałów i napadów agresji.

- Byłem z Jakubem, kiedy zadzwoniłaś.

- Nigdy nie umiał trzymać języka za zębami.

- Słyszeć cię było w całym budynku.

Milczenie stało się otwarcie wrogie. Po co tu przyjechał? Z lojalności? Nie umie poradzić sobie nawet z własnym życiem. Trupy nie potrafią być lojalne. Coś w jego głowie zabłysło i zgasło. Poczul uderzenie smutku, tak wielkie, że o mało go nie wyrzuciło. Poczul, że ma na sobie stare, śmierdzące ubranie. W butach wilgoć. Glock, zamiast na biodrze, wisiał gdzieś na plecach, niepotrzebny.

- Jadwiga nie żyje - szepnął.

Domofon zabręczał.

Krzepkowski pchnął drzwi, ciepło wewnątrz było miękkie i suche. Natychmiast zachciało mu się spać. Smutek zatykał gardło. Powinien się spakować, wystawić mieszkanie na sprzedaż i wyjechać. Rodzina przyjęłaby go z otwartymi ramionami. Lubił patrzeć na Giewont, jak jakiś ceper. Mógłby uczyć jazdy na nartach. Dzieciaki zawsze go lubiły. Na razie zabronił komukolwiek z rodziny przyjeżdżać do Warszawy. Nikogo nie poinformował,

gdzie i kiedy odbędzie się pogrzeb. Rodzice, wujkowie i ciotki płakali w słuchawkę; pozostał obojętny.

Kiwnął głową portierowi, którego znał z widzenia. Winda szumiała cicho i grała jedną z głównianych, puszcanych w windach melodyjek. Helena wyglądała, jakby miała za chwilę udzielać wywiadu telewizyjnego. Czarne włosy upięła w kok; chyba nigdy jej takiej nie widział. Miała na twarzy gipsową maskę obojętności. Wpuściła go i poszła do kuchni. Ścienne malowidło w świetle dnia wydało mu się równie magiczne, co skąpane w półcieniach wieczoru. Bez słowa wcisnęła mu w rękę wypełniony niemal po brzegi kieliszek. Wino było dobre; w tym domu zawsze pijało się dobre wino. Nie pamiętał, kiedy ostatnio pił alkohol. Bał się śmierci, jak wszyscy. Chciał przekroczyć tę barierę jak najszybciej, by znowu zobaczyć Jadwigę.

Tam jest pewnie kupa ludzi, pomyślał. Jak ją znajdę?

Myśl o poszukiwaniach wydała mu się śmieszna, ale jakoś nieodparcie pociągająca. Nie chciał już wyjeżdżać. Kula z Glocka załatwi sprawę czysto, bez zbędnych formalności. Byle się zdecydować. Po co tu przyszedł? Kłótnie małżeńskie to nie jego sprawa.

- Przykro mi - powiedziała. Skorupa na jej twarzy zelżała. - Naprawdę.

Kiwnął głową. Nie umiał przyjmować kondolencji w równym stopniu co składać wyrazów współczucia. Ale Helenie akurat wierzył. Wraz z Jakubem i Jadwigą spędzili razem sporo niezłych wieczorów. Lubili się i potrafili rozmawiać. Kiedyś się lubili i potrafili rozmawiać.

- Kiedy pogrzeb?

- Jutro - poinformował ją.

- Gdzie?

- Chcę być sam.

- To nie jest dobry moment, żeby być samemu.

- Właśnie. Właśnie.

Jej twarz schowała się na powrót do skorupy.

- Nie chcę o tym rozmawiać - powiedziała głośno nieładnym, odpychającym tonem.

- A o czym chcesz?

- To moja sprawa. Moja i Jakuba.

- On cię kocha jak wariat.

Roześmiała się ze zgrzytaniem, jak zepsuta zabawka. Kieliszek w jej ręku kiwał się na boki. Na dole rozwrzeszczała się kanonada klaksonów.

- To prawda.

- Nie wiesz, co jest prawdą.
- Więc mi powiedz.
- I co się od tego zmieni?
- Możesz się wściekać na mnie, proszę bardzo.

Maska pękła; nigdy nie widział tak odpychającego wyrazu twarzy. Piękne rysy stały się niemal groteskowe. Krzeptowski usiadł na brzeжку kanapy. Po raz kolejny pożałował, że tu przyszedł. Nie miał siły na walkę o nie swoje sprawy. Powinien wyjść.

Helena stanęła przy oknie, niczego tam nie zobaczyła, zapominając o nim, naląła sobie, rozlewając połowę, wypila; alkohol najwyraźniej nie miał na nią wpływu.

- Nigdy go nie ma w domu.
- Powiedz coś, czego nie wiem.
- Nie ma czasu dla dzieci.
- Kiedy tylko może, urywa się z roboty, żeby z wami być.
- Na wszystko masz gotową odpowiedź.

Wodził za nią wzrokiem. Kiedyś traktował ją jak siostrę, teraz stawała się obcą kobietą.

Podniósł się, podszedł do niej znacznie bliżej, niż powinien. Chciał położyć jej rękę na ramieniu; umknęła niezgrabnie do okna, on został tam, gdzie był, między barkiem a kanapą.

- Powiedz - poprosił, jeszcze spokojny.
- Mam dość. Zostawię mu trochę pieniędzy i zabiorę dzieci. Będzie wolny jak ptak.

Brzmiało dobrze. Takie rzeczy na ogół brzmią dobrze.

- Co ty mu, kurwa, zrobiłaś - syknął, po czym zobaczył biel; za oknem, w pokoju, we włosach Heleny, na własnych dłoniach. Mróz przeniknął przez kości jak wichur i zniknął, ale było oczywiste, że wkrótce powróci. Starał się odepchnąć tę biel, przegonić na dobre. Przecież to nie Helena powinna zapłacić za to, że Jadwiga nie żyje.

Przez jej twarz przemknął cień.

- Może zapytaj, co on mi, kurwa, zrobił! - krzyknęła. - Co mi robi każdego dnia.
- Kocha cię.
- Jasne.
- Kłamiesz. Odkąd tu wszedłem, nie usłyszałem słowa prawdy.
- Powinieneś wyjść.
- Pójdę, jak powiesz.

Kręciła głową, ale on wiedział, że to nie na jego użytek, a własny. Rozmawiała ze sobą i nie była pewna, co ma zrobić. Nie poganiał jej.

Milczenie ciągnęło się. Żadnemu z nich nie przeszkadzało.

- Lena - zaczął w końcu. Był w stanie wykrzesać z siebie jeszcze jakieś ciepło. Gniew odszedł, wrócił smutek, ale jakiś inny niż na dole, bardziej pogodny. Wilgoć pod powiekami była równie realna, co ta za oknem. - Musiało się coś stać... Powiedz mi. Stoję po waszej stronie.

- Nie ma naszej strony - szepnęła. - Jest on i jestem ja. Będziesz musiał wybrać.

- Jeśli zrobił ci krzywdę, po prostu go zatłukę.

Coś w niej pękło. Zniknęła, po chwili pojawiła się z powrotem z komórką w ręku. Włączyła film. Oglądał, czując, że pożera go gorączka.

- Skąd to masz? - zapytał, gdy ostatni kadr zastygł w bezruchu.

- Mam.

Potocka. Pierdolona Potocka. Wtedy, sześć lat temu, gdy zobaczył, jak chodzi, jak mówi i jak patrzy na Jakuba, powinien ją zabić i wyrzucić ciało do Wisły. Nigdy by jej nie znaleźli.

Nie ruszał się z miejsca. Zdawało mu się, że gdy poruszy głowę, coś w nim bezpowrotnie pęknie.

- Lena, to nie jest twoja komórka. Film został nagrany zawodowo. Kto ci to podesłał.

- Nieważne. Ważne to, co na filmie.

- Nie mówię, że nie. Ale ktoś chciał, żebyś zareagowała w konkretny sposób. Nie widzisz tego?

Uparcie pokręciła głowę. Rozumiał ją. Myślałby podobnie.

- Dziś się tylko przelało.

- Każdy kryzys można ogarnąć.

- Taki też?

Przekrzywił głowę i spojrzał na nią z uwagą. Przez chwilę wytrzymała spojrzenie, potem uciekła na bezpieczną przystań kieliszka z winem.

Zuzanna. Pamiętasz Zuzannę? Robiłaś to samo. Pamiętam. Dlatego nic już nie mówię. Tak będzie lepiej. Nie mów. Pozwól sobie pomóc. To za bardzo skomplikowane. Mogę spierdolić życie nie tylko sobie, Jakubowi czy tobie. Nie martw się. Pomogę. Jestem w tym dobry.

Zaczęła płakać. On stał i czekał.

Opowiedziała mu wszystko. Pytał o szczegóły, ona odpowiadała. Godzinę później pocałował ją w policzek, włożył kurtkę i wyszedł. Lepiej się czuł, choć mgła zgęstniała.

Nie odbierał telefonów, nie reagował na pukanie. Sekretarka proponowała mu herbatę,

proszki od bólu głowy, w końcu chciała wezwać lekarza. Siedział, potem wstał i zaczął rzucać lotkami. W kącie gabinetu miał zawieszoną tarczę z twarzą polityka, co jakiś czas innego. Tej akurat nie zmieniał od kilku miesięcy. W miejscu nosa i oczu ziała wielka dziura. Trzy rzuty, podejście, zabranie lotek, powrót, trzy rzuty, podejście, zabranie lotek...

Stracił rachubę czasu.

Próbował się do niej dodzwonić - trzykrotnie, zanim zrezygnował. Potem wybrał numer Marii, ale zawahał się, bo nie wiedział, co właściwie miałby jej powiedzieć. Włożył telefon do kieszeni i rzucał dalej. Myśli rozpiezchły się we wszystkich kierunkach, interkom głosem sekretarki oznajmił, że pilnie poszukuje go szef; Jakub nadal wyjmował strzałki z nosa polityka i wracał na miejsce, by zaatakować po raz kolejny.

Poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia. Odwrócił się. Kika. Nawet nie słyszał, jak weszła.

- Jakubie - powiedziała. Wydawało mu się, że na niego krzyczy. Nie lubił, gdy mówiła „Jakubie”. Wolał bardziej bezpośrednią formę.

- No?

- Przepraszam. Dzwonił Korycki, już drugi raz. Mówi, że więcej nie zadzwoni.

Korycki?

Korycki. Rezydent Służby Bezpieczeństwa Ukrainy przy ambasadzie.

Żołądek szarpnął ostrym sztychem bólu, gardło było wyschnięte na wiór. Paskudna rana idąca w poprzek całego życia otworzyła się, zaczęła krwawić. Jego małżeństwo nadawało się na śmietnik, a on był szefem ekipy sprzątającej.

- Przełącz.

- Już.

Podszedł do biurka, wziął z widełek słuchawkę. Plastik był chłodny, niemal uspokajał.

- Tak?

- Panie podinspektorze, prosił pan o pośpiech, a potem nie odbiera telefonów ode mnie - powiedział Korycki.

Jakub spojrział na zegar. Pierwsza. Godzina przed czasem. Ziewnął nerwowo. Szkoda, że nie może pić w pracy. Wyobraził sobie małe kropelki na butelce finlandii.

- Przepraszam. Miałem spotkanie.

Sapnięcie poinformowało go, że przeprosiny zostały zlekceważone. W tej branży nikt nie oczekuje szczerých przeprosin ani tym bardziej skruchy, są niepotrzebne, jak wyrzuty sumienia.

- Parsak i Haładoj byli rzeczywiście w Polsce. Możliwe nawet, że w Warszawie. Mogli już wyjechać.

Próbował się skupić. Jeśli dokonali zamachu, jest oczywiste, że wyjechali.

- Ale w mieście jest łącznik Bogdanowicza, Wasilij Apaszin. On panu powie dużo interesujących rzeczy, jeśli pan odpowiednio z nim pogada.

- Gdzie go znajdzie?

- Wiktorska osiem, mieszkania dwadzieścia.

- Jest sam?

- Z tego, co wiem, tak.

- Uzbrojony? Będzie stawiał opór?

- Walczył przez rok w Donbasie. Mogę powiedzieć tyle, że nie powinien pan do niego iść sam.

- Nie mam zamiaru. Coś jeszcze?

- On jest bardzo dobrze poinformowany.

- Dziękuję.

- Powodzenia.

Jakub odłożył słuchawkę. Czuł się trochę lepiej. Zawroty głowy można opanować. Zresztą nie miał zamiaru prowadzić samochodu.

- Jest Goździk? - zapytał.

- Ma wolne. Jest Bezik.

- Niech stawia na nogi sekcję alarmową - polecił.

Kika szybko wyszła z pokoju.

Barbara Rakoczy nie starzała się, nie zmieniała przyzwyczajzeń, nie mówiła ani mniej, ani więcej niż rok, dwa, czy sto lat temu. Jedyne, co się zmieniło w jej życiu, to fakt, że przed rokiem awansowała; pełniła teraz funkcję kierownika sekcji w królestwie Smotrycza. Była skupioną na pracy specjalistką, która mogłaby przy swoich umiejętnościach bez wysiłku znaleźć pracę w branży z zarobkami sześciokrotnie przewyższającymi policyjną pensję. Krzeptowski dawno przestał się zastanawiać, co ta dziewczyna właściwie robi w firmie. Sama nigdy nie odpowiedziała na wprost zadane pytanie.

Nie miało to znaczenia. Mógł jej ufać, przekonał się o tym kilkakrotnie. Ludzie zdradzają dla korzyści osobistych, z zemsty, tchórzostwa, dla władzy. Barbara Rakoczy nie miała ambicji dominowania nad kimkolwiek. Skończyła trzydzieści trzy lata, wychowywała troje dzieci wraz z mężem, z którym było jej dobrze. Stworzyła sobie prosty świat prostych wartości i kurczowo się go trzymała. Krzeptowski zazdrościł jej.

- Chcę cię poprosić o przysługę - powiedział. Stali przy jego samochodzie. Po wyjściu

od Heleny spędził dwadzieścia minut na dokładnym przeszukaniu wnętrza. Mimo że nie znalazł urządzeń podsłuchowych, wołał rozmawiać na zewnątrz.

- Oczywiście.

- Sprawa jest nietypowa. I śmierdzi.

- Wydaje mi się, że mamy wyłącznie do czynienia z nietypowymi sprawami, które śmierdzą.

Kiedyś roześmiałyby się gromko, teraz po prostu skinął głową. Ledwo widział rysy stojącej obok kobiety. Mgła zmieniała dźwięki; ryczący żałośnie klakson mógł znajdować się o dziesięć metrów, jak i pół kilometra stąd. Łagodna wata bez ostrzeżenia przechodziła w ostry jak igła szpikulec hałasu i z powrotem do niemal zupełnej ciszy. Człowiek wariował, nagle oszukiwany przez zmysły.

- To musi zostać między nami, jasne?

- Zostanie.

- Nie możesz prowadzić działań oficjalnie. Nie załatwię ci nakazu na podsłuch, obserwację, nic. Nie przydzielę operacyjnych. Będziesz sama.

- To trochę ograniczające.

- Wiem. Kiedy trzeba będzie wyjść na zewnątrz, przyjdiesz do mnie.

- Jasne.

- Żona Jakuba jest szantażowana.

Rysy Barbary wyostrzyły się.

- Czego żąda szantażysta? - zapytała ostrożnie. Znała dobrze dzieła Heleny. Przy jakiejś okazji zdradziła Krzeptowskiemu, że osoba malująca tak niezwykle obrazy musi być kimś wyjątkowym. Nie znała się na sztuce, znała się na emocjach. W jakiś sposób ofiara szantażu ją obchodziła.

- Żeby Helena zamontowała na komórce Tyszkiewicza program śledzący. Zrobiła to. Oczywiście nie znam szczegółów technicznych.

Barbara wzdrygnęła się. Zatarła ręce. Jej twarz była czerwona z zimna.

W kieszeni Krzeptowskiego rozdzwoniła się komórka. Nie odebrał. Funkcjonował na wariackich papierach. Mógł wziąć urlop i każdy by go zrozumiał. Mógł sobie strzelić w łeb; wszyscy bez słowa zrzuciliby się na wieniec.

- Jeśli mam odinstalować program, będę potrzebowała fizycznego dostępu do jego komórki - powiedziała.

- Załatwię to, ale na razie nie chcę, żebyś odinstalowała program. Chcę wiedzieć, co to jest. Może uda się namierzyć dostawcę.

- Będę musiała mieć sporo szczęścia.
- Jakoś się tego nie boję.
- Powiesz mi coś więcej? Czym ją szantażują?

Poczuł wstyd. Powinien iść do Tyszkiewicza i nakłąć mu po mordzie, dołożyć tak, żeby wyrzygał flaki. W kolejnym ruchu pomóc Helenie oskubać go do zera, a potem odejść z firmy, rzucić tę robotę w cholerę. I pomyśleć o swoim przyjacielu Glocku, wielkim wyrównywaczu.

- Mają na nią filmik z przeszłości.
- Romans?
- Gorzej. Romans z Zuzanną Cehak.

Jasne brwi podjechały do góry. Przezroczysta twarz stała się niemal niewidoczna. Barbara była ubrana w cienki jasny płaszczyk. Wyglądała jak duch.

- Z babką, która zabiła prezydenta?

Skinął głową. Zuzanna. Atrakcyjne rysy skrywające psychopatyczną osobowość. Mężczyźni dostawali na jej widok amoku. Wyzwolona, niedostępna, małomówna, inteligentna, posągowo piękna. I co z tego? Miała nierówno pod sufitem. Krzeptowski widział kilkakrotnie Zosię, była podobna do matki, senna królowna, która się nigdy nie obudzi. To ona ponoć była sprężyną wszystkiego - o ile można powiedzieć tak o dziecku, które nie jest świadome otaczającego je świata. Do dziś miał kłopoty ze zrozumieniem, w jaki sposób matczyzna miłość mogła pchnąć Zuzannę do zła; nie mógł pojąć też decyzji o adopcji przez Tyszkiewiczów. Na zwykłym, ludzkim poziomie podjęcie się opieki nad tak bardzo niesamodzielnym dzieckiem było zgotowaniem sobie piekła na własne życzenie. W sferze psychicznej - obciążeniem, z którego kumulacji nawet doświadczeni rodzice nie zdawali sobie sprawy latami, by załamać się w najmniej spodziewanym momencie.

Otrząsnął się jak pies wychodzący z wody.

- Facet zagroził, że upubliczni ten film z odpowiednią informacją. I doda temat Zosi.

Słyszała o dziecku. Podziwiała Tyszkiewiczów i nie wyobrażała sobie, by tak szlachetna decyzja mogła się obrócić przeciw nim.

- Ktoś chce go zablokować - stwierdziła.
- On nic nie wie.

To było dla niej jasne od początku rozmowy. Ale nie o tym mówiła.

- Na moje oko to nie są prywatne porachunki. On robi coś, co dla kogoś stanowi zagrożenie. Nadepnął komuś na odcisk.

Nie zwrócił uwagi na jej słowa.

- Ona wahala się, czy zamontować program - powiedział, podążając za myślami i obrazami. - Pomogli jej. Przysłali następny film.

- Z nią?

- Z nim. Pierdolił się z Marią Potocką.

Szare oczy Barbary powiększyły się do nienaturalnych rozmiarów. Nie znosiła słuchać o takich sprawach. Była dobra w swojej specjalności, ale właściwie nie nadawała się na policjantkę. Jej prywatny świat był odległy od panujących się wokół standardów i zwyczajów.

- Miał z nią do czynienia sześć lat temu - powiedziała cicho. - Wyciągnęli temat sprzed sześciu lat?

- Film nagrano dzisiaj w nocy.

- Myślałam, że ona siedzi.

- Wypuścili ją wcześniej.

- Jezus...

Wyciągnął paczkę papierosów, zapalił.

Po co to robił? Po co się angażował? Wchodził na śliski grunt, przecież to było jasne. W Warszawie byli ludzie, którzy obracali miliardami. Którzy kreowali rzeczywistość. W tym azjatyckim mieście w sercu Europy mogli wszystko, obojętnie od tego, kto rządził. Miał z takimi do czynienia. Chciał umrzeć w spokoju.

Potem skrzywił się. Nie udzielił prawidłowej odpowiedzi, bo źle zadał pytanie.

Nie: po co, tylko dla kogo to robił?

- Mówiąc szczerze, wątpię, żeby Potocka dała mu dupy celowo - powiedział.

Spojrzała na niego bystro. Dym papierosa owiewał jej twarz.

- Ktoś zamontował w jej mieszkaniu kamerę - domyśliła się. - Posłużył się nią.

- Kamery. Były dwie. Jeśli dowiesz się, gdzie ona mieszka, możemy coś tam znaleźć.

Film został przesłany na komórkę kilka minut po tym, jak Jakub...

- Musi być urządzenie nadawcze.

- Może udałoby się namierzyć adres, na który wysłano filmik.

- Musiałabym zbadać nadajnik i oprogramowanie. O ile go jeszcze nie zdemontowali.

- Załatwię to.

- Jeśli wymontujesz, oni się domyślą.

- Załatw adres Potockiej, dowiedz się czegoś o niej. Pójdziemy razem.

- Chcesz się włamać?

- Może sama nam otworzy.

To jej się nie spodobało. Nie pracowała w terenie. Nie znała się na tym.

- Idź z tym wyżej.

- Do kogo? Do Ślusarskiego? Co go to może obchodzić?

Szef cebeesiu myślał o nowej posadzie, czego nawet nie ukrywał.

- Widać, że tu nie chodzi o Jakuba.

- Wiem. Ale jak pójde wyżej, na pewno się rozleje. Taka Sendecka czy jakaś inna da dupy, komu będzie trzeba, żeby tylko mogła puścić taki materiał.

- Może. Jakub sam będzie sobie winien.

Położył jej dłoń na ramieniu. Ostatnio lubił obcym kobietom kłaść dłoń na ramieniu. W odróżnieniu od Heleny Barbara nie uciekła, jakby potrzebowała bliskości kogoś, kto stoi obok, oddycha, po prostu jest.

- Jest głupim chujem, że to zrobił. Ale Helena już dawno odpokutowała za swoje. I Lolek... ich syn...

- Możesz dostać po tyłku.

- Ja już właściwie nie żyję. Nie będzie bolało.

Uśmiechnęła się blado. W gruncie rzeczy znała Krzeptowskiego powierzchownie, nie przyjaźniła się z Jadwigą. Słabo rozróżniała, kiedy facet żartuje. Teraz pewnie tego nie robi. Zbyt świeżą stratę oplakuje.

- Zaczynj od namiarów na Potocką - powtórzył. - Gdzie pracuje, gdzie mieszka, telefon, takie tam. To mi potrzebne na cito.

- Oczywiście.

- Widzę, że chcesz coś jeszcze wyjaśnić - powiedział.

- Skąd wiesz?

- Pytaj. Żeby nie było nieporozumień.

Zarumieniła się lekko.

- Dlaczego właściwie nie idziesz z tym do Smotrycza? Znacie się tyle lat...

- Właśnie dlatego - odparł, wyrzucając papierosa. Ognik zatoczył łuk i zgasł, połknięty przez mgłę. - Wolę świeże spojrzenie.

- Pytam poważnie.

- Mówię poważnie. Smotrycz za długo w tym wszystkim siedzi i za dobrze zna Jakuba.

Barbara pomyślała, że to całkiem zabawne stwierdzenie w ustach człowieka, który zna Tyszkiewicza najdłużej ze wszystkich i jest jego przyjacielem.

Krzeptowski pożegnał się i zniknął za białym całunem.

Landcruisery z dowodzoną przez Bezika grupą szturmową i Tyszkiewiczem na pokładzie miały do pokonania cztery i pół kilometra w korkach i przy zerowej widoczności. Kierowcy dokonywali cudów, by nie wpaść na tarasujące przejazd samochody lub nie przejechać prawidłowo przechodzących przez pasy przechodniów. Niekiedy kolumnie udało się osiągnąć prędkość nawet trzydziestu kilometrów na godzinę, przeważnie jednak poruszała się niewiele szybciej od piechura.

Bezik klepnął Jakuba w ramię. Trzymał w ręku tablet. Obraz z drona ukazywał mleko, szybko odesłali latającego robota do bazy. Elektroniczna, statyczna mapa była niezwykle dokładna - najbliższa okolica budynku, do którego zmierzali, okazała się typowo warszawskim urbanistycznym bałaganem.

- Pan się modli, żeby facet nie miał głupich pomysłów, szefie - powiedział.

Jakub zerknął na ekran. Rząd kamienic liczył sześć budynków. Interesował ich trzeci od prawej. Dwie klatki, cztery wysokie piętra, gęsto okupujące chodnik samochody. Z tyłu podwórko, trzepak, śmietnik, jakieś garaże.

- Labirynt - mruknął Tyszkiewicz.

- Mieszkanie jest na parterze - ciągnął Bezik. Jego znaczne rozmiary, kamizelka i wypchane magazynkami kieszenie krępowały ruchy, mimo to nachylał się do Tyszkiewicza, jakby bał się, że tamten może go nie usłyszeć. Brzydko łysiał, czego się wstydził. Gdy tylko mógł, nie zdejmował nakrycia głowy. - Muszę dać dwóch ludzi do obstawienia okna.

- Ruszymy, jak zajmą stanowiska.

- Wolałbym zrobić rozpoznanie.

- I tak jesteśmy spóźnieni.

Bezik westchnął. Nie znosił takiego pośpiechu. Uważał, że więcej czasu zaoszczędzi się dzięki precyzyjnemu planowaniu niż nadmiarowi entuzjazmu. Ale nie dyskutował. Tyszkiewicz był w porządku. Na ogół trafiał z przewidywaniami.

Dojechali na miejsce czterdzieści minut po rozmowie z Koryckim. Samochody skręciły z Niepodległości w Wiktorską i zahamowały, sześciu operatorów podzieliło się na dwie grupy, cztero- i dwuosobową. Mniejsza szybko zniknęła w mgle. Druga, z Bezikiem i Tyszkiewiczem, czekała. Tym razem Jakub nie dopuścił do żadnej dyskusji. Miał kamizelkę, hełm i pistolet maszynowy. Chciał być w pierwszej linii.

Jeden z landcruiserów ruszył, by zablokować wylot uliczki od strony Kazimierzowskiej. Drugi został na miejscu.

- Tu Zero Jeden, zajęliśmy stanowiska - usłyszał Jakub w słuchawce. - Widzimy okno. Cisza i spokój.

Tyszkiewicz skierował dłoń ku górze.

Przyklejeni plecami do ściany szli bezszelestnie. Z mgły wynurzyła się idąca w przeciwnym kierunku pani z pieskiem - Tyszkiewicz dawno nie widział, by ktoś tak bał się na jego widok. Położył palec na ustach, kobieta zniknęła. Minęli pierwszą klatkę schodową. Przed drzwiami drugiej, na ulicy, oddzielony od wejścia rzędem parkujących samochodów, stał czarny jeep z włączonym silnikiem. Jakub kątem oka dostrzegł niewyraźną sylwetkę za kierownicą.

Prowadzący operator otworzył drzwi, weszli płynnie, cicho, sześciu ludzi z bronią gotową do strzału.

Dźwięk był stłumiony, niepodobny do niczego konkretnego. Potem coś stęknęło głucho i znów zapadła cisza. Tyszkiewicz miał nieodparte wrażenie, że hałas dochodził zza drzwi, ku którym zmierzali.

Bezik stuknął w hełm idącego przed nim funkcjonariusza. Taran rozhuśtał się krótko, huk był jak zwykle gromki, drzwi odskoczyły, grupa runęła do przodu...

Padło sześć wytłumionych strzałów, może więcej, jeden po drugim. Dwaj pierwsi operatorzy dostali po dwa pociski, sprawiedliwie, polecili w tył, kanonada nie milkła, na korytarz wypadł granat, Jakub padł odruchowo na ziemię i przeturlał się w bok, widział, jak Bezik posyła serię w głąb mieszkania, potem huknęło tak, że zobaczył przed oczyma czerwień, fiolet i jakiś wściekły odcień żółtego, bębniarki przestały przekazywać dźwięki, cisza była absurdalna, bo przecież klatka rozbrzmiewała kanonadą, choć dziwną, stłumioną, jakby ktoś gęsto strzelał z dwudziestu wiatrówek. Trzeci operator nie ruszał się. Lobster, facet od tarana, zdołał odrzucić ciężar, broń pojawiła się w jego rękach automatycznie, język spustowy poszedł do tyłu, pocisk upuścił lufę. Bezik dostał kulę, bo nagle szarpnęło nim potężnie i fontanna krwi spłynęła na Jakuba, który nadal leżał i walczył z tęczą migającą mu przed oczyma. Dwie ciemne postacie wypadły z mieszkania.

Jakub strzelił, równocześnie otworzył ogień Lobster, jedna z postaci zachwiała się, druga zużyła magazynek do końca. Lobster opadł na beton klatki schodowej, Jakub został sam. Z niewygodnej pozycji, leżąc na boku, strzelił trzykrotnie. Nie dostrzegł rezultatu, obaj napastnicy zniknęli za drzwiami.

Podniósł się wolno, niezdarnie, zrobił dwa kroki, pokonał schodki, wysunął lufę na zewnątrz. Czarny jeep ryknął silnikiem i skoczył do przodu. Jakub złożył się, samochód zniknął we mgle.

- Czarny jeep, trzech uzbrojonych ludzi, być może jeden ranny! - krzyknął do mikrofonu. - Jadą w stronę Kazimierzowskiej.

Za późno.

Seria była głośna, jakby ktoś strzelał tuż obok. Druga, trzecia, czwarta. Kałach. A więc w samochodzie był też karabin szturmowy. Odpowiedź nie padła. Jego ludzie używali wytłumionych pistoletów maszynowych; Jakub bał się, że po prostu nie miał kto odpowiedzieć. Ryk silnika. Huk pękającej blachy. Blokada na Kazimierzowskiej została sforsowana.

- Tu Zero Dwa, Piątka zgłoś się.

Cisza. Przytknął ucho do głośniczka. Nic.

- Tu Zero Dwa, Piątka zgłoś się.

Cisza.

Zerknął w tył. Bezik podnosił się powoli z otępiałą miną. Krwawił z rany na szyi, z czego chyba nie zdawał sobie sprawy. Obok nieruchomo leżały ciała trzech operatorów z paskudnie postrzelanymi twarzami. Lobster jęczał i wił się, przykładając obie dłonie do uda. Jakub nigdy nie wiedział tyle krwi. Nadal słyszał tylko dzwoniącą przeraźliwie ciszę.

- Alarm! - krzyknął ponownie do mikrofonu. Własny głos dochodził do niego z daleka, brzmiał jakoś niepozornie, bez wyrazu. - Postrzeleni funkcjonariusze, pilnie potrzebna pomoc medyczna. Alarm! Trzech sprawców prawdopodobnie przerwało blokadę przy Kazimierzowskiej. Czarny Jeep Grand Cherokee, numer rejestracyjny nieznany.

Od strony Niepodległości przemknął jak duch landcruiser z dwoma operatorami, przed oczami Jakuba pojawiło się kolejnych dwóch, którzy zabezpieczali akcję od zapylenia.

- Szefie - powiedział jeden nich, Sztanga. Drugi próbował zatamować krwawienie z szyi Bezika. Facet miał ksywkę Zielony. Już dawno nie był zielony, ale nikomu nie przyszło do głowy, a najmniej samemu zainteresowanemu, zmieniać przyzwyczajęń. Krew nadal płynęła szerokim strumieniem. Bezik zamknął oczy. - Nic panu nie jest?

- Nie. Zajmij się tamtymi.

Sztanga odwrócił się, przyklęknął przy Lobsterze. Krwi z lastrykowej podłogi nie da się zmyć przez tydzień.

Tyszkiewicz ruszył przed siebie. Pocił się obficie, był głuchy, przed oczyma nadal tańczyły kolorowe plamy. Cholerne flashbangi. Dobrze, że tamci ich użyli. Gdyby mieli przy sobie granat obronny, nie byłoby czego zbierać.

Przedpokój, pokryty od podłogi do sufitu boazerią, był pusty. Jakub poczuł smród. Ostrożnie wychylił się zza framugi, dziobiąc powietrze lufą pistoletu maszynowego. Odór nasilił się. Stał przez chwilę nieruchomo, potem opuścił broń. Nic mu nie groziło.

Krzesło leżało na boku. Mężczyzna został przywiązany do oparcia sznurem, usta miał

zatkane brudną szmatą. W miejscu prawego oka ziała krwawa dziura, lewe, wytrzeszczone niemal poza granice możliwości, wyrażało strach i ból, jakich Tyszkiewicz nigdy wcześniej nie widział. Na udach spodnie przesiąkły krwią. Zadane nożem rany nie były głębokie, ale oprawca znał się na rzeczy; nacinanie ciała w pobliżu genitaliów wywołuje paralizujący, niemożliwy do opanowania strach. Oprawcy chcieli się czegoś dowiedzieć. Tyszkiewicz był pewien, że się dowiedzieli.

Rzut oka do kuchni upewnił go, że nie ma tam czego szukać. Zlewozmywak zalegała góra śmierdzących talerzy i garnków. Karaluch biegał w poprzek blatu. Brudna tapeta odklejała się od pokrytych liszajami zacieków ścian.

Wrócił do pokoju, klęknął, wyciągnął komórkę i starając się nadać obiektywowi odpowiedni kąt, zrobił dwa zdjęcia twarzy zamordowanego. Nawet nie zawracał sobie głowy przeszukiwaniem mu kieszeni. I tak niczego by nie znalazł. Pokój wyglądał na oczyszczony ze wszystkich wartościowych rzeczy, choć napastnicy najwidoczniej działali w dużym pośpiechu.

Zabrakło nam kilku minut, pomyślał. Na klatce schodowej narastał hałas. Sąsiedzi wychynęli z nor. Sztanga i Zielony próbowali jednocześnie udzielać pierwszej pomocy kolegom i opanować rosnący z każdą chwilą tłum. Jakub nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Czuł się zbędny. Nie umiał wymyślić niczego sensownego.

Wybrał numer Kiki.

- Słyszałam. Żyjesz? - odezwała się pierwsza.

- Ja tak. Wyrwa, Sztos i Fargo nie. Bezik i Lobster dostali. I pewnie ci z blokady też.

- Jezusie...

Cisza.

- Karetki będą za kilka minut.

- Dobrze.

Znów zaczął go boleć żołądek. Mdły, pulsacyjny ból, kwaśny, ohydny.

- Zarządziłam poszukiwania jeepa. Ale nie bardzo wierzę, że go znajdziemy.

Jasne. Pościg przy tej widoczności był tylko stratą czasu i zasobów.

- Nie znajdziemy - potwierdził. Zbierało mu się na wymioty. Przypomniał sobie głos Heleny, nienawistny ton, obraźliwe słowa. Jego ciało było stare, zmęczone, do wyrzucenia. Co zostanie, gdy wyrzuci się ciało? - Faceci byli zawodowcami. Jeep już pewnie jest w Wiśle, albo stoi w jakimś garażu. Wyjedzie za miesiąc, przemalowany, z przebitymi numerami.

- Pamiętasz jakieś szczegóły?

Zabrzmiał sygnał karetki. Może zdążą. Może Bezik i Lobster będą żyć.

- Kontury - powiedział. Co tak naprawdę widział? - Dwóch ludzi ubranych w dżinsy i czarne kurtki. Mojego wzrostu. Poruszali się szybko, strzelali ze Sigów z tłumikami. Celowali w twarz. Ostrzegł ich facet z jeepa, mieli może dziesięć sekund, żeby się przygotować, mimo to zaskoczyli nas i przedarli się.

- Siły specjalne - stwierdziła Kika.

Kiwnął głową, choć przecież tego nie widziała.

- Mamy w mieście trzech specjalsów - potwierdził. - Jeden pewnie jest ranny, mogą próbować kontaktować się z lekarzem, o ile nie mają własnego. Blokuj miasto. Wylotówki, dworce, lotnisko, szpitale, wszystko. To moja oficjalna decyzja, ale zdobądź autoryzację oficera dyżurnego z Mostowskich.

- Tak jest.

- Przyślij ekipę dochodzeniową. Pomijając wszystko, mamy morderstwo.

- Kim jest ofiara?

- Prawdopodobnie Wasilij Apaszin, obywatel Ukrainy.

- Jasne.

- Cześć.

Rozłączył się, wysłuchał komunikatu, że dwóch policjantów z blokady na Kazimierzowskiej jest ciężko rannych, ale z szansami na przeżycie, odetchnął z ulgą, wysłał MMS-a ze zdjęciem ofiary i zaraz potem wybrał numer Koryckiego. Ukraińiec odebrał po sześciu sygnałach.

- To Apaszin? - warknął Jakub.

Korycki oddychał ciężko, jak astmatyk. Widok na zdjęciu z pewnością nim wstrząsnął, a może tylko zaskoczył.

- Tak. Co się stało? - zapytał w końcu.

- Na miejscu znaleźliśmy się dokładnie czterdzieści trzy minuty po zakończeniu naszej rozmowy - powiedział Tyszkiewicz. Ból żołądka przeszedł z tępego ómienia w szarpiące całym ciałem ukłucia. Na korytarzu uwijało się coraz więcej ludzi. Jakub odgonił gniewnym machnięciem ratownika medycznego, który wszedł do pokoju i zaczął przyglądać się ofierze. W drzwiach pojawił się podkomisarz z prewencji. Zasalutował służbiście, zerknął na trupa, skrzywił się nieznacznie, potem wyszedł na zewnątrz. Tubalnym głosem zaczął porządkować okolicę. Jakub miał szczęście, że trafił na takiego, którego nie trzeba było trzymać za rączkę przy wchodzeniu do wanny. - Ale ktoś nas uprzedził. Trzech ludzi z bronią. Zdążyli zmusić Apaszina do gadania, a potem go zabić.

- Nikt nie znał tego adresu.

- Pan znał.

- I pan - odgryzł się Korycki.

- Straciłem trzech ludzi - powiedział Jakub, zaciskając szczęki. - Czterech jest rannych i mają iluzoryczne szanse na przeżycie.

Korycki zaczął sapać tak gwałtownie i szybko, jakby miał się udusić. Jakub niemal widział czerwieniejącą twarz i palce rozpaczliwie próbujące poluzować kołnierzyk. Ukraińcy powinni przysłać na warszawską placówkę kogoś z mniejszą nadwagą.

- Nie mam z tym nic wspólnego - bąknął przez spazmy pułkownik.

- Przeprowadzę bardzo szczegółowe dochodzenie - powiedział Jakub.

- Pomogę.

- Mam nadzieję. W mieście jest trzech bardzo dobrze wyszkolonych ludzi z bronią, którzy nie wahali się strzelać do policjantów. Każdy, kto przyczyni się do ich złapania...

- Nie musi pan kończyć. Powiedziałem, że pomogę.

- Schwywanie Haładoja i Parsaka robi się jeszcze pilniejsze, zdaje pan sobie z tego sprawę? W najlepiej pojętym własnym interesie powinni dać mi się aresztować, zanim dopadną ich tamci.

- Nie wiemy, czy na pewno są winni.

- Wiemy, że ktoś na nich poluje. Niech pan poda inny powód.

- Zadzwoń.

- Może to wasze wewnętrzne porachunki.

- Zadzwoń.

- Będę czekał.

Nie zdążył wrzucić komórki do kieszeni, gdy usłyszał riff „Smoke on the Water”. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów dźwięk go zirytował. Spojrzał na wyświetlacz. Czekał na ten telefon od kilku dni, ale moment był najgorszy z możliwych.

- Nie teraz - szepnął.

- Wieści szybko się rozchodzą - powiedział mężczyzna po drugiej stronie. Nazywał się Joachim Kluzik. - Potrzebuje pan czegoś?

- Nie. Zadzwoń później.

- Myślę, że mam coś ciekawego.

- Dzięki.

Wybrał jeszcze jeden numer. Maria brzmiała dobrze, nawet lepiej niż w nocy.

- Tak?

- Musimy się spotkać.

- Przyjdiesz?

- Nie. Teraz. To pilne.

Zawahała się przez moment. To nie musiało oznaczać niczego szczególnego.

- Mogę wyjść za dziesięć minut.

- Tam, gdzie wtedy.

- Oczywiście.

Nic nie było oczywiste.

Oba telefony milczały, telewizor odpoczywał, Lolek nie wrócił z przedszkola, opiekunka była z Zosią na zajęciach terapeutycznych. Mieszkanie stało ciche, posprzątane, sterylne, trochę nie z tej ziemi.

Czuła się lepiej, bez wątpliwości. Pastylka relanium, wzięta bez przekonania, spowodowała, że myśli przestały biec we wszystkie strony, a ciało drzeć. Mogła nawet siedzieć na kanapie, żaden przymus nie ganiał jej po pustych pokojach, nie kazał dłoniom składać i tak równo ułożonych dziecięcych koszulek, poprawiać fryzury, myć po raz nie wiadomo który ręk. Piła herbatę z cytryną i miodem, źle dobrała proporcje, nie chciało jej się wstawać. Za oknem biel zdawała się gęstnieć, wciskać się w każdą szparę, każde wolne miejsce. Wiatr bełtał wodę i chmury niczym w jakimś diabelskim kotle.

Złota polska jesień.

Co robi? Powiedziała Krzeptowskiemu więcej, niż chciała; nie miała żadnych wątpliwości, że powinna zachować się bardziej powściągliwie. Mimo wszystko: nie pogorszyła sytuacji, ani swojej, ani Jakuba. Lojalność, dawniej pierwszorzędną wartość, stała się wyblakłym dźwiękiem. Nie miała siły, by budować coś od nowa, stawiać nowy dom na zgliszczach starego. Dobiegała czterdziestki, od jedenastu lat była mężatką. Większość swego dojrzałego życia spędziła u boku Jakuba. Poznała go, gdy był świeżo upieczonym absolwentem policyjnego kursu podstawowego. Wydał jej się czarujący, dowcipny i bardzo przystojny. Była na początku kariery, gdy nikt nie chciał nawet słyszeć o jej obrazach. Gdy wprowadziła się do jego malutkiej i bardzo niegustownie urządzonej kawalerki na Bródnie, miesiącami utrzymywali się z policyjnej pensji. Była szczęśliwa, nigdy nie czuła się tak wolna i kochana. Sprzedała pierwszy obraz, drugi i kolejne, pojawił się Lester; szybko, nawet nie zauważając kiedy, przekroczyła pierwszy milion dochodu. Pensja Jakuba stała się nieważna.

Zastygła. Pensja Jakuba? Nie, nie to. Milion? Może. Wspólna kasa?

Wstała, poszukała komórki, wybrała numer Krzeptowskiego.

- Masz chwilę? - zapytała.

- Chwilę.

- Coś mi się przypomniało.

- Dawaj.

- Nie wiem, czy to istotne... - zawahała się. - Facet, który do mnie dzwonił, powiedział, że ładnie mieszkam. Nie mógł widzieć mojego mieszkania na żadnym zdjęciu, bo nigdy nie publikowałam.

- Był u ciebie. Może słucha, co mówimy.

Niewiele wiedziała o podsłuchach. Jeżeli facet u niej rzeczywiście był, mógł zamontować mikrofon; w życiu by go nie znalazła. Zaczęła się bać.

- Nic nie mów - ciągnął Krzeptowski. - Możesz wyjść na korytarz?

- Tak.

- Idź.

Wyszła z salonu, minęła przedpokój, cicho przymknęła drzwi. Klatka była jak zwykle wymarła. Poszła w najdalszy kąt.

- Jestem - szepnęła.

- Kiedy wracają dzieciaki?

- Za jakieś dwie godziny.

- Przyjdę do ciebie za godzinę. Nie będę sam. Będzie ze mną kobieta, której można zaufać. Sprawdzi komórkę, którą dostałaś od tych skurwieli.

- Wtajemniczyłeś obcą osobę?

- Częściowo - skłamał. - Ona jest w porządku. Nie znam się na informatyce.

Poczuła, że się czerwieni.

- Trudno - szepnęła.

- Coś jeszcze?

- Tak. Jakieś trzy miesiące temu Jakub powiedział, że będzie potrzebował trochę pieniędzy. Mamy wspólne konto...

- Nie moja sprawa - burknął.

- Już dawno powiedziałam mu, że może wydawać, ile chce, to są też jego pieniądze - powiedziała, podnosząc głos. Echo powtarzało jej słowa, niknąc gdzieś na parterze. - Ale on zawsze pytał, jakby się tłumaczył... Nieważne. Stwierdził, że wpadł na jakiś ślad i potrzebuje trochę kasy, żeby zapłacić za informacje.

- Ile wziął?

- Ponad dwadzieścia tysięcy, w kilku transzach.

Krzepkowski milczał przez dłuższą chwilę. Dwadzieścia tysięcy w jego świetle oznaczało rozmowność.

- Mówił na co?

- Jakaś stara sprawa, jak jeszcze byliście w wojsku.

- Przypomnij sobie coś więcej. Może jakieś nazwisko...

Teraz ona milczała. Pamięć miała dziurawą jak ser. Widziała każdy detal anatomiczny ciała kobiety, z którą kochał się Jakub.

- Komoda.

- Komoda? Jesteś pewna? Może Komuda?

- Tak. Podpułkownik Piotr Komuda.

Maria miała na sobie czarną spódnicę i zieloną bluzkę, ładnie harmonizującą z kolorem oczu. Makijaż, dyskretny i właściwie niewidoczny, podkreślał zalety rysów twarzy; pomalowane na perłowo paznokcie wybijały na blacie stolika szybki, nieregularny rytm. Tyszkiewicz spóźnił się o kwadrans; musiał upewnić się, że ranni policjanci odjechali do szpitala, i wydać polecenia szefowi ekipy dochodzeniowej. Złożył krótki meldunek Ślusarskiemu, drugi, dłuższy i obfitujący w sporo okrągłych sformułowań, ministrowi. Obiecał, że pojawi się pół godziny przed naradą o siedemnastej i złoży szczegółowe wyjaśnienia, po czym z ulgą się rozłączył.

- Słyszałaś? - zapytał, gdy zajął miejsce naprzeciwko. Starał się na nią nie patrzeć, co nie było proste.

- Byłam na spotkaniu - odparła. Uświadomił sobie, że patrzy mu prosto w oczy. - Miałam wyłączony telefon. Co miałam słyszeć?

- Musisz mi powiedzieć, skąd wiedziałaś o Haładoju i Parsaku.

Panowała nad twarzą znacznie lepiej niż w łóżku.

- Dlaczego muszę?

Wyciągnął komórkę, wywołał zdjęcie bezokiego Apaszina, odwrócił ekran w stronę Marii. Spojrzenie popłynęło w dół, chwilę kontemlowało obraz, szybko wróciło z powrotem. Może trochę pobladła, ale Jakub nie założyłby się o to.

- To chyba żaden z nich - powiedziała.

- Wiesz czy zgadujesz?

- Powiedz, o co chodzi.

- Trzech moich ludzi nie żyje, czterech zostało ciężko rannych.

- Przykro mi.

Chyba zaczynał jej nienawidzić.

- Nie wygląda, jakby ci było przykro.

- Może. Ale jest.

- Skąd wiedziałaś o Haładoju i Parsaku?

- Nie muszę odpowiadać.

Wszystko stawało się coraz prostsze.

- Zadzwońię po moich ludzi i zawinę cię. Posiedzisz na krzeselku, przypomnisz sobie co trzeba.

- Pod jakim zarzutem?

- Dostałem cynk na człowieka, który mógł mi pomóc ich złapać - syknął. - Przyjechałem, zastałem trupa po torturach i trzech zawodowców, którzy zabili mi ludzi. Kazałem zablokować miasto. Myślisz, że będę się pierdolił z procedurami?

Bawiła się szklanką, jakby miała zamiar zgnieść ją na atomy.

Ból żołądka znów przeszedł do ataku. Uroda Marii zaczęła doprowadzać go do szału. Wyprzedzała go o dwa kroki. Poszli do łóżka, jego pozycja przetargowa była zerowa. Groźby żalosne. Mógł tylko prosić.

- Chcesz naprawdę tak grać? - zapytał już spokojniej, gdy nadal milczała, choć wydawało mu się, że inaczej niż przedtem.

- Nie.

- Więc mi pomóż.

- Naprawdę przykro mi z powodu twoich ludzi.

- Przyjąłem do wiadomości.

- Nie mogę palić swoich źródeł.

- Nie nadążasz. Zamknę ciebie, Tomkina i wszystkich ludzi z firmy. Przetrzepiemy was tak, że na pewno coś znajdziemy. Żadne koneksje twojego szefa w ambasadzie nie pomogą. Ktoś zdecyduje się na współpracę, zawsze tak jest, jak trzeba iść do pierdła, gdzie tym razem nie będzie dobrej cioci, która obroni przed wsadzaniem w dupę kija od szczotki.

Drgnęła. Sprawił jej przykrość.

- Nie sądzę, żebyś zdecydował się aresztować szefa i pracowników rosyjskiej firmy. Nie po tym, co stało się w Kabatach.

- Nie zakładaj się o to.

Trafił. Coś w niej pękło. Szczelina nie była zbyt duża, jednak trafił, widział to wyraźnie. Może przestanie go lekceważyć. Znał dwie różne kobiety ukrywające się pod nazwiskiem Katarzyna Maria Potocka. Nie bardzo wiedział, która powinna się okazać prawdziwa. Może

żadna.

- Tomkin ma znajomego w Ministerstwie Obrony Ukrainy - powiedziała. - Ich wywiad ma agentów w Marszu Narodowym.

- Dalej.

- Monitorują Bogdanowicza i wszystkich jego ludzi.

- Rosjanom Marsz Narodowy jest bardzo na rękę.

- Dopóki się go kontroluje. Hoładoj i Parsak tydzień temu zniknęli z radarów. Wtyczka twierdziła, że pojechali do Polski.

- Skąd wiadomo, że to oni zestrzelili samolot?

- Jest zapis rozmowy Bogdanowicza z Parsakiem. Bogdanowicz mówi o dużym celu. I podaje datę.

- Kiedy wypłynęła rozmowa?

- Wtyczka miała opóźnienie z przekazaniem informacji. Tomkin dowiedział się o rozmowie właściwie równocześnie z zamachem. Dał mi cynk, polecił skontaktować się z tobą.

Pokręcił głową.

- Jak na zamówienie - odparł. Nie powinien tego mówić. Układanka okazała się zbyt prosta. - Chcę nagranie.

Wyciągnęła komórkę. Połączył się za pomocą bluetootha, ściągnął plik, rozmowa trwała dwie i pół minuty. Nie miał zamiaru teraz jej słuchać. W tym zakresie Maria nie kłamała. Nagranie z pewnością okaże się autentycznym.

- Chcę namiar na Haładoja i Parsaka.

- Nie mam takich możliwości.

- Spróbuj.

- Popytam. Ale nic nie obiecuję.

Poczuł, że chciałby do niej przyjść wieczorem. W żaden sposób go nie zachęcała, po prostu siedziała po drugiej stronie stołu, wyprostowana, szczerza.

Wstał i powlókł się do Biura. Nie dzwoniła ani Helena, ani jej adwokat.

Wszystko zaczęło się toczyć coraz szybciej, jakby mimo niego. Wydarzenia i ludzie przepływali obok, on stał, niczym wędkarz w strumieniu. Nie bardzo wiedział, gdzie spędzi noc; odepchnął tę myśl tuż po tym, jak się pojawiła. Wydawał jakieś polecenia, przyjmował raporty, Kika, błada i wyraźnie wstrząśnięta, wchodziła i wychodziła, sekretarka twierdziła, że nie może dodzwonić się do Krzeptowskiego, pojawił się Bielik z raportem, Jakub nie mógł

sobie uświadomić, o czym facet mówi. Potem znowu rzucał strzałkami. Trochę się uspokoił. Trzymał w ręku komórkę z przygotowanym numerem Heleny, ostatecznie nie zadzwonił, przekonany, że żona nie odbierze połączenia.

Potem sekretarka ministra poinformowała go łamiącym się głosem, że szef miał rozległy zawał i przebywa aktualnie na oddziale intensywnej terapii szpitala na Wołoskiej. Informacja na jakiś czas wybiła Jakuba ze stuporu. Przyjął do wiadomości fakt, że tymczasowym koordynatorem śledztwa został przez premiera wyznaczony wiceminister, ten sam, który podczas pierwszej narady nie mógł się oderwać od ekranu laptopa. Dźwięczał mu w uszach głos Marii, kłamała bardzo zrećnie lub mówiła prawdę, nie mógł zdecydować. Miała fascynujące palce; może przenocuje u niej? Jak na zawołanie w nozdrzach pojawił się ślad sosnowego zapachu, skóra przylgnęła do skóry, pot zmieszał się z potem, byli jednym ciałem, przez mgnienie, ale to wystarczyło, by nie móc wyrzucić wspomnienia z pamięci. Przygryzł wargę do krwi, otarł ją nerwowym ruchem, krew leciała dalej. Wyglądał jak wampir, tyle że był bledszy. Kika weszła ponownie, powiedziała, że potwierdzono tożsamość ofiary, w mieszkaniu nie znaleziono odcisków palców innych niż Apaszina. Śledztwo - właściwie kilka prowadzonych równolegle śledztw - toczyło się samo, bez jego woli czy nawet mimowolnego udziału.

Potem przypomniał sobie coś, co powinien zrobić, i nieco oprzytomniał. Zapowiedział sekretarce, żeby mu nie przeszkadzano, wybrał numer Kluzika.

- Miał pan dla mnie coś ciekawego - powiedział.

- Tak. Wolałbym osobiście.

- Niech pan powie w skrócie.

- Mówi panu coś nazwisko Tomkin?

Zesztywniał. Sześć lat temu był innym człowiekiem, żył innym życiem. Z trudem sobie to wyobrażał. Wtedy miał ochotę na Marię, ale nie zrobił nic, by to okazać. Teraz nie miał oporów. Tomkin. Wszystko zdawało się kręcić wokół Tomkina, faceta, który zesłał na niego Marię w wersji 2.0.

- Słyszałem o nim.

- Ma powiązania ze sprawą, która pana interesuje.

- Dobrze. Spotkajmy się. Około siódmej wieczór będę wolny.

Byli u Heleny kwadrans, wyszli chwilę przed przyjściem opiekunki z Zosią. Nie znaleźli urządzeń podsłuchowych; Barbara skopiowała zawartość dysku zarówno prywatnej komórki Heleny, jak i aparatu przysłanego przez szantażystę. Zjechali windą, z trudem

odnaleźli samochód, odwiezienie Barbary do firmy zajęło Krzeptowskiemu pół godziny. Przez chwilę myślał o jutrzejszym pogrzebie; w gruncie rzeczy odczuwał coś na kształt zadowolenia, że mógł się zająć czymś konkretnym. Wieści o terrorystach nie robiły na nim wrażenia, podobnie jak katastrofa samolotu; informacja o strzelaninie na Wiktorskiej obeszła go o tyle, że Tyszkiewicz przeżył. Gra mogła toczyć się dalej, gra, która pozwoliła mu myśleć nie tylko o Glocku i spustoszeniach, jakie robi pełnopłaszczowy pocisk Parabellum w jego mózgu, gdy się doń strzeli z boku, poprzez skroń.

Został w samochodzie sam. Ponownie wyjechał na ulicę. Barbara nie zadawała pytań; nim się rozstali, wysłała mu SMS-a z kilkoma informacjami. Jechał powoli, właściwie na ślepo i myślał o Jakubie. Znali się od ponad piętnastu lat, byli wiele razy w ogniu, jeździli na nartach, spędzanie wspólnie wolnych chwil wydawało im się naturalne. Tyszkiewicz podobał się kobietom, ale odkąd poznał Helenę, nie zwracał uwagi na nikogo poza żoną. Pojawienie się Potockiej sześć lat temu, podczas Euro, uaktywniło w głowie Krzeptowskiego alarm. Przyjął z ulgą wieść, że przyznała się do zabójstwa, że prokurator zdecydował się postawić zarzuty, że poszła do więzienia. Wydawało się, że zniknęła z ich życia na dobre; Jakub nigdy więcej o niej nie wspominał.

Przypomnił sobie minę Heleny, gdy odtwarzał film, pochłonięty tym, co na ekranie, ale przecież gdzieś kątem oka rejestrujący reakcje gospodyni, i ponownie poczuł uderzenie furii. Bezrozumnej - bo nie umiał pojąć, czego człowiek, którego, wydawało się, zna jak samego siebie, szuka na obcych pastwiskach, mieszkając i żyjąc z kobietą, która pod każdym względem mogłaby służyć jako wzór towarzyszkich życia? Uroda, majątek, zdolności, przywiązanie, uczucie - to wszystko się nie liczyło? Nie wystarczyło, żeby nie moczyć fiuta w pierwszej z brzegu zdzirze, ładnie kręcącej tyłkiem? Kurwa mać.

Zacisnął dłonie na kierownicy, biel kłykci nie odbiegała od barw za oknem, z rykiem przejechał radiowóz prewencji, Krzeptowski nawet nie zdawał sobie sprawy, że zgrzyta zębami. Był Jadwidze wierny do samego końca, inne kobiety mogłyby dla niego nie istnieć - czy za dobrych czasów, czy tym bardziej wtedy, gdy leżała chora, coraz mniejsza, coraz bardziej zdana na pomoc innych. Nawalał nieraz, zdarzało mu się spóźnić, zaniedbać czegoś, zapomnieć zadzwonić do tego czy innego lekarza - co koniec końców i tak nie miało praktycznego znaczenia - ale w tej sprawie nie miał sobie nic do zarzucenia. Kobiętę wybiera się raz, przysięga w kościele i potem nie ma zmiłuj, choćby wszystkie Potockie tego świata wodziły go na pokuszenie. Jesteś mężczyzną, przysięgałeś, to bądź, kurwa, konsekwentny, tak mi dopomóż Panie Boże Wszechmogący, amen.

Bluźnił? Pewnie tak. Uważał, że jest na końcu drogi. To, co chciał zrobić jutro, zaraz po

pogrzebie, dopiero będzie bluźnierstwem, nieważne, że nazywa się inaczej.

Dojechał do celu, zaparkował gdzieś na chodniku, sam dokładnie nie wiedział gdzie, wysiadł, biała zasłona otuliła go szczelnie, ruch uliczny to zamierał, to przybierał na sile, ludzie zdawali się poruszać jak w malignie. Zresztą - Krzeptowski mógł się założyć, że mgła zmienia własności fizyczne otoczenia, przekształca dźwięki, powoduje zakłócenia postrzegania pionu i poziomu, niweczy odległości i kierunki świata. Naukowcy mówią co innego? Wiedział swoje. Natura jest pełnoprawnym graczem. Śpi, odpoczywa, czasem zabija - jak wszyscy.

Doszedł do miejsca, którego adres dała mu Barbara. Parking znajdował się między budynkiem a ulicą, ogrodzony stalowymi słupkami i szlabanem. Mgła była błogosławieństwem - oślepiłe kamery nie potrafiły dostrzec niczego, co było oddalone dalej niż o pięć centymetrów od obiektywu. Samochód stał drugi w szeregu, mała biała toyota, z trudem ją zauważył. Nie rozglądał się, nikogo nie mógł dostrzec, dla postronnych był niewidzialny. Pomanipulował przez chwilę przy zamku, zapadka odskoczyła z trzaskiem, otworzył drzwi, z trudem wcisnął się na tylne siedzenie. Wybrał numer, który również dała mu Barbara.

- Dzień dobry, pani Katarzyna Potocka? - zapytał grubym głosem.

- Tak. Kto mówi?

Pamiętał, jak wyglądała, nie pamiętał, jak mówiła, teraz sobie przypominał. Ładnie. Ładny tembr. Staranna artykulacja.

- Podkomisarz Broniewski, komenda rejonowa Warszawa Żoliborz. Mieszka pani przy alei Wojska Polskiego sześć mieszkania dwanaście?

- Tak. Mieszkam.

- Było włamanie. Może pani przyjechać?

- Coś zginęło?

Nie denerwuje się, tylko rzeczowo pyta.

- Trudno powiedzieć. Może pani przyjechać?

- Będę za dwadzieścia minut. Może pół godziny, pogoda...

- Tak. Proszę się pospieszyć. Czekamy.

Rozłączył się.

Po trzech minutach w białym kokonie pojawiła się ludzka sylwetka, otworzyła drzwi, wsiadła na miejsce kierowcy. Krzeptowski miał już wtedy w ręku Glocka. Przystawił lufę do ucha kobiety; nie starał się być delikatny. Drgnęła nerwowo, ale spodziewał się, że będzie bardziej przestraszona. Zerknęła kątem oka w bok. Klepnął ją końcem lufy w policzek.

- Zapalisz silnik i odjedziemy stąd - powiedział chrypliwie.

Bez słowa przekręciła kluczyk w stacyjce, silnik warknął, otworzyła pilotem szlaban, zgrabnie wyjechała z parkingu i włączyła się do ruchu. Mgła nieco zrzędała, dwadzieścia metrów widoczności zdało się luksusem, na który Warszawa nie zasłużyła.

- Skręć w lewo - polecił.

- To ty dzwoniłeś - odparła, skręcając w lewo.

- Jedź.

Zamilkła. W cokolwiek grała, robiła to dobrze.

- Pamiętam cię. Pracowałeś w BZT.

Wzruszył ramionami.

- Porwanie jest przestępstwem.

- Zatrzymaj się tu.

Stała na poboczu jezdni. W pobliżu nie było żywego ducha.

Wyjął z kieszeni komórkę, wywołał film, podstawił jej ekran pod nos i nacisnął start, podkrecając dźwięk do oporu. Maria na filmie stękała i krzyczała, wyglądała lepiej niż wszystkie aktorki porno. Jeśli grała oddanie i namiętność, powinna dostać Oscara. Jeśli tak właśnie odczuwała - Tyszkiewicz wpadł w znacznie większe gównno, niż sądził.

Marię na siedzeniu jednak to obeszło. Ramiona pod płaszczem opadły, oddech przyspieszył. Nie była taka twarda. Film skończył się stopklatką.

- Skąd to masz? - zapytała.

- On jest żonaty, ty kurwo.

Ramiona opadły jeszcze niżej. Krzeptowski czuł tylko gniew. Mógł uderzyć lufą, strzaskać kości policzkowe, złamać nos, wybić oko, patrzeć z lubością na krew. Chętnie posłuchałby jej wrzasku. Teraz? Teraz, później, zawsze. Nienawidził tej kobiety jeszcze bardziej niż Tyszkiewicza.

- Ty mi powiedz, skąd to mam - zażądał, gdy cisza stała się nie do zniesienia. Nadal trzymał jej ekran przed nosem. Zatrzymana w bezruchu postać wyglądała kusząco i zmysłowo. Maria odwróciła się lekko ku niemu. Krzeptowski schował komórkę, na powrót przerzucił broń do prawej ręki. Policzek ugiął się przed stalą. Maria nie starała się uchylić.

- Nie wiem - odparła. - Nie miałam pojęcia, że w moim mieszkaniu jest kamera.

- Kłamiesz. Wystawiłaś go.

- Zadzwoiłam do niego, bo chciałam wytłumaczyć mu, że nie ja stoję za przeciekiem na temat terrorystów, których złapaliście na Ursynowie.

Wypowiadała puste dźwięki, puste, płaskie dźwięki.

- Dlaczego?

- Nie mówił ci?

- Czego mi nie mówił?

Mrugnęła, jakby się pogubiła.

- Dałam mu cynk na Al-Weiego i tego drugiego.

- Ty?

- Myślałam, że macie lepszy obieg informacji.

Próbował się skupić. Myślał, że rozmowa pójdzie inaczej.

- Jesteś informatorem?

- Powiedziałam mu wszystko, co wiem. Ode mnie ma informację o Haładoju i Parsaku.

- Ty go wysłałaś na Wiktorską?

- Nie.

- Kłamiesz.

- Nie.

- Samarytanka z ciebie.

Nadal trzymał jej łufę przy policzku, ona w dalszym ciągu nie próbowała tego zmienić.

Przez sekundę pomyślał, że rozumie Jakuba.

- Kto mógł to nagrać?

- Nie wiem.

- Pomyśl.

- Myślę.

- To twoje mieszkanie?

- Tak. Nie. Służbowe, właściwie.

- Służbowe?

Westchnęła.

- Mój szef mi je przydzielił. Dmitrij Tomkin, prezes InvCorp.

- Ma szeroki gest. Rosjanin?

Opowiedziała mu to, co Tyszkiewiczowi. Nadal wyglądała na zaskoczoną, że musi to wszystko powtarzać. Potem milczeli. Ulicą przemknął na sygnale patrol prewencji. Warszawa z miasta schizofreników zamieniała się w zaatakowany przez dżumę obóz uchodźców z terenów objętych wojną, obóz rządzony przez gangi, narkotyki i wielkie pieniądze zarabiane na biednych.

- Jedziemy do ciebie - powiedział.

Nie protestowała. Znowu przełożył pistolet, wybrał w komórce numer Barbary.

- Powiedz Kice, że wychodzisz na moje polecenie - polecił. - Przyjedź pod adres, który mi podałaś. Tak, teraz.

Rozłączył się.

- Jedziemy do ciebie - powtórzył.

Narada okazała się stratą czasu, co było do przewidzenia. Wiceminister grobowym głosem poinformował zebranych o stanie zdrowia ministra, po czym zażądał szczegółowego raportu na temat strzelaniny. Jakubowi nie udało się zamieść pod dywan kwestii tożsamości Apaszina. Wątek wschodniego sąsiada wzbudził poruszenie, szef zespołu stwierdził kwaśno, że ukraińskie sprawstwo może być bardzo korzystne dla Rosjan, nikt nie zapytał o dowody, wszystkim takie rozwiązanie zdało się być na rękę. Jakub wiedział, że tuż po spotkaniu rozdzwonią się telefony, szefowie medialnych koncernów w radością uszczkną środki z tajnych funduszy przeznaczonych na opłacanie informatorów, w gruncie rzeczy nic go to już nie obchodziło. Chciał złapać sprawców śmierci swoich ludzi; na więcej pewnie i tak mu nie pozwolą. Potem głądził szef komisji badania wypadków lotniczych. Informację na temat Stingerów (były dwa) podał tak beznamiętnym tonem, jakby mówił o wynikach piłkarskiej trzeciej ligi w ubiegłym sezonie. Zebrani dawno już to wiedzieli z przecieków. Tolak patrzył na Jakuba, Tyszkiewicz odwzajemniał spojrzenie. Spotkanie zakończyło się po godzinie. Z podsumowującego przemówienia wiceministra wynikało, że Rosjanie dopięli swego: sekcje zwłok zostały zakończone, ciała zapakowane do stalowych trumien i wyeksponowane do Moskwy pociągiem. Ruch lotniczy nad centralną Polską z powodu złych warunków atmosferycznych już wczoraj wstrzymano do odwołania.

Z prognoz na najbliższe dni wiało pesymizmem. Dziennikarze spekulowali, że przewidziana na przyszły tydzień wizyta prezydenta Stanów Zjednoczonych może zostać odwołana. Zwycięska koalicja wzywała gromko polskiego prezydenta do jak najszybszego zwołania pierwszego posiedzenia nowego sejmu, by mógł ukonstytuować się nowy rząd i by to nowy rząd podpisywał z amerykańskim prezydentem układ mający zmienić geopolityczny układ sił.

Zebranie skończyło się. Jakub poprosił wiceministra o protokoły sekcji zwłok. Otrzymał zgodę. Wszyscy wyszli szybko, Jakub poczekał na Tolaka. Poszli do palarni, w której śmierdziało dymem i zastałym potem, ale nie było nikogo.

- Znowu potrzebuję przysługi - powiedział Tyszkiewicz.

Tolak roześmiał się chrapliwie.

- Jesteś bankrutem - odparł. - Nie masz czym zapłacić.

- Mówię poważnie. Potrzebuję informacji z Moskwy.

Śmiech był jeszcze głośniejszy.

- Kochany, my działamy w kraju. Mogę dać ci namiar na kogoś z wywiadu, kto jeszcze nie złożył dymisji.

Jakub wyciągnął z kieszeni pendrive'a.

- Na pewno słyszałeś o firmie Garrison.

Śmiech ucichł, znikły nawet wesołe ogniki w oczach Tolaka. Zastępca szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego stał się spięty, nieufny, jakby widział Tyszkiewicza po raz pierwszy w życiu. Zawsze taki był, gdy ktoś wchodził na jego teren.

- No?

Jakub wyciągnął dłoń z pendrive'em.

- Tu masz rejestry przepływów finansowych Garrisona z ostatniego roku. Oraz trochę danych historycznych, z czasów kiedy byłem w wojsku, z tym, że oni nazywali się wtedy White Eagle Security, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Tolak od dawna nie pracował w terenie. Lata za biurkiem nie osłabiły jego inteligencji, ale spowodowały, że słabo panował nad ciałem. Był zaintrygowany. Być może wściekły. Jakub widział mowę ciała, jakby oglądał film.

- Skąd to masz?

Tym razem Jakub się roześmiał. Nawet dość naturalnie. Może była to forma odreagowania wszystkiego, co stało się wcześniej. Wieczorem zadzwoni do Heleny albo po prostu wróci do domu. Wątpił, by w tak krótkim czasie zdążyła zmienić zamki. O co jej mogło chodzić, do kurwy nędzy? Wyjaśni. O tak, wyjaśni.

- Kupiłem na wolnym rynku - powiedział, wiedząc, że Tolak uzna odpowiedź za kpinę ze swojej inteligencji, a która tymczasem była właściwie prawdą.

- Chyba mi się spieszy.

- Jeżeli powiesz, że was to nie interesuje, nawet nie słyszałeś tego, co powiedziałem.

Milczenie. Wiceminister przeszedł obok, rozmawiając przez komórkę. On też szukał zajęcia. W jego wypadku zadanie było ekstremalnie trudne.

- Dane finansowe?

- Z jakiego banku do jakiego banku, kiedy, jaka kwota, na czyje konto. Towar rzadki i luksusowy. Mogę z tym iść do gazet, jak chcesz.

- Ejże.

- No. Bierzesz?

Tolak wziął pendrive'a, jakby był wykonany z rozżarzonego żelaza.

- Nie bój się, nie ma na nim wirusów. To prawdziwe dane. Musisz mi tylko obiecać, że nie wypłyną.

- Przed chwilą chciałeś je sam upublicznić, dupku.

- Oczywiście.

Tolak spojrzął za okno. Ciemność miała biały kolor, szyby spływały łzami. Światła latarni, budynków i samochodów wyglądały jak daleki pożar. Blask neonów dodawał kolorowego pudru na policzki trupa wielkiego miasta.

- To nie wszystko. Być może jutro dam ci połączenie z Tomkinem.

- Miałeś się nim nie interesować.

- Nie interesuję się. Wyszło przy okazji.

- Dostaniesz za to po głowie. Nie ode mnie, żeby było jasne.

- Zaryzykuję.

Tolak przyjrzał mu się uważnie i odwrócił wzrok, chyba zde gustowany.

- Po co?

- Co po co?

- Po co to robisz?

- Sprawa osobista.

- Kurwa, myślałem, że jesteś zawodowcem.

- Ty nie masz spraw osobistych?

- Nie w robocie.

- Ejże.

Znowu śmiech, zgryźliwy, w gruncie rzeczy odpychający. Każdy starał się wznieść barierę między pracą a domem. Nikomu nie udawało się to w pełni. Niektórzy szybko rezygnowali.

- Czego chcesz?

Jakub powiedział mu. Tolak nawet nie bardzo się dziwił. Obiecał, że zadzwoni.

Wyszli razem, rozstali się na parkingu. Jakub jechał ostrożnie. Zatrzymał go patrol drogówki z długą bronią, wylegitymował się, sierżant patrzył na niego jak na przybysza z gwiazd, ale najwyraźniej nie skojarzył, z kim ma do czynienia. Volvo pojechało dalej. Na miejsce spotkania dotarł z opóźnieniem. Kluzik mieszał łyżeczką lurowatą herbatę i wyglądał na zmęczonego. Przekroczył pięćdziesiątkę, od czterech lat był na emeryturze i bardzo dobrze żył z dawnych kontaktów. Jego twarz była jak narysowana ołówkiem; szara, podłużna, nie do zapamiętania. Tyszkiewicz znał go od dziesięciu lat, przy kilku sprawach otarli się o siebie, gdy Jakub był pracownikiem Wydziału Zabójstw Komendy Stołecznej, a Kluzik

funkcjonariuszem warszawskiego oddziału cebeesiu.

- A więc słyszał pan o Dmitriju Tomkinie? - zapytał Kluzik. Lubił od razu przechodzić do rzeczy.

- Co nieco. Prowadzi firmę rekrutującą studentów ze Wschodu na polskie uczelnie - odparł Jakub.

- Tylko to?

- Pewnie nie. Niech pan mówi.

Kluzik nie protestował. Nie zadawał niepotrzebnych pytań. Nadmiar wiedzy nie był mu do niczego potrzebny. Dawno temu, przy początkach obecnego rządu, dostał niezłe po łapach, wsadzając nos w nie swoje sprawy. Lubił pracować, ale również cenił bezpieczeństwo.

- Jego syn ma polskie obywatelstwo i zmienione nazwisko. Robert Barański. Jest członkiem zarządu dwóch firm: CCC Dynamics oraz EuropaTransport.

Nazwy nic Jakubowi nie mówiły.

- Stuprocentowym udziałowcem obu spółek jest inna firma, SPO Optoelectronics.

Teraz zaczęło coś świtać. Duży kontrakt dla wojska, który został anulowany w niejasnych okolicznościach. Kilka lat temu, po wyborach.

- Nadal nie widzę związku.

- SPO Optoelectronics i Garrison należą do tych samych ludzi. Każdy ma po pięćdziesiąt procent udziałów w obu firmach.

Zastygł. Na moment, na mgnienie oka wszystkie problemy odeszły w niebyt. Zapomniał o bólu żołądka, o Helenie, Marii, katastrofie lotniczej, z której wynikały tylko kłopoty, o wilgoci i zabójczym spadku ciśnienia. Na moment, na mgnienie oka stał się śledczym. Napędzany dawną, ale nigdy nie zapomnianą krzywdą, gniewem i goryczą porażki rasowym psem, którym nigdy nie był i którym nigdy nie będzie, ale który przez ten jeden moment nim się stał, stał się naprawdę.

- Jest pan pewien?

Pendrive, identyczny jak ten, który Jakub w ręczył Tolakowi, wylądował na stole.

- Tu ma pan fotokopie akt sądowych i umowy wspólników.

- Dziękuję.

- Udało mi się dotrzeć do firmowych maili Garrisona. Zdziwiłby się pan, jak niedyskretni potrafią być niektórzy. To też tam pan znajdzie.

- Nie spodziewałem się...

- Sugeruje pan, że powinienem podnieść stawkę?

Roześmieli się, Jakub całkiem szczerze.

- Nie zgadnie pan, za ile można kupić niezłego hakera, który nie będzie po wszystkim kłapał dziobem, licząc na następny zarobek - kontynuował Kluzik, rozciągając twarz w grymasie udawanego oburzenia. - Okropna jest ta współczesna młodzież.

Ponownie śmiech.

Jakub pomyślał, że czeka go sporo pracy.

- Niech pan na siebie uważa.

Kluzik odchylił nieco połą marynarki. Kolba Walthera wyglądała ciężko, masywnie, budziła zaufanie.

- Jeszcze nie jestem taki stary.

- Żaden z nas nie jest.

- Jeśli mam szukać dalej, potrzebuję kolejnych pięciu tysięcy.

- Dam znać w najbliższym czasie. Proszę nikomu o tym nie mówić.

- To już ustaliliśmy na początku.

Dopili herbatę i wyszli w wilgotny całun zakrapiany ciemnością.

Wspięli się na pierwsze piętro, najpierw Maria, potem Krzeptowski z pistoletem w kieszeni, na końcu Barbara Rakoczy z torbą na jednym ramieniu a duszą na drugim. Nie podobała jej się broń i mina Potockiej, spokojna, jakaś zrezygnowana, może pogodzona z losem. Ufała Krzeptowskiemu; musiała, bo to, co robili, nie miało nic wspólnego z policyjnymi procedurami. Nie chciała nawet dopuścić myśli, że zrobiłby Potockiej krzywdę. Jeszcze jadąc w to miejsce, doszła do wniosku, że nie wie, o jaką sprawę walczy. Narząła swoją, niezbyt imponującą, ale spokojną posadę z pensją, która jej wystarczała - w imię czego właściwie? Heleny nie znała, Tyszkiewicz był jej szefem i lubiła go nawet, ale teraz ingerowała w jego życie prywatne. Na dodatek zrobił rzecz, która była jej wstrętą. Tak, dostrzegła, że chodzi o coś więcej, coś, co najpewniej ma związek z pracą. Tyszkiewicz nadepnął komuś na odcisk, założono mu pętlę. Formalnie Krzeptowski powinien go zawiadomić o szantażu i nadać sprawie oficjalny bieg. Tyle że to niemożliwe, Krzeptowski ma rację, sprawa wyciekłaby do mediów, z pewnością film, a właściwie oba filmy, ten z Heleną i Zuzanną również, byłyby głównymi tematami przez tydzień, jak zawsze w takich wypadkach, gdy stawki są naprawdę wysokie. W kontekście katastrofy, Rosjan, dzisiejszej strzelaniny na Mokotowie to byłby kataklizm.

Weszli do mieszkania cicho, jak duchy. Krzeptowski został z Potocką w przedpokoju; Barbara założyła kominiarkę, stanęła w progu saloniku, rozejrzała się uważnie, bez pośpiechu. Kominiek, kanapa, blat łączący pokój z aneksem kuchennym. Lampa, półka na

książki albo kratka wentylacyjna pod sufitem - tam powinny znajdować się kamery. Już wcześniej umówili się, co zrobić. Weszła na krzesło, zdjęła klosz żyrandola - wyposażony w czujnik ruchu obiektyw patrzył jej prosto w zamaskowaną twarz. Zdemonstrowała kamerę i urządzenie nadawcze, dwie minuty zajęło jej znalezienie drugiej kamery, schowanej w przewodzie wentylacyjnym.

Krzeptowski wszedł do pokoju.

- Poczekaj na mnie w samochodzie, proszę - polecił. Barbara schowała do torby kamery wraz z transponderami i z wyrazem ulgi na twarzy zniknęła za drzwiami.

Potocka usiadła na krześle. Łowiła spojrzenie Krzeptowskiego, może próbowała w nim wyczytać wyrok. Jej oczy przygasły, gdy na powrót zobaczyła Glocka. Zdrowa jeszcze godzinę temu cera stała się matowa, pokryta szarym, znużonym nalotem. Przeznaczony jej los przyjmowała z zadziwiającą biernością. Krzeptowski zbyt pochłonięty był obrazami wydarzeń, które nadejdą jutro, by się nad tym zastanawiać.

- Co dalej? - zapytała.

- Trzymasz głowę na kłódkę - odparł. Nawet we własnych uszach brzmiał odpychająco.

Odetchnęła, ale nieznacznie. Może już wcześniej zakładała, że jej nie zastrzeli. Glock nie miał tłumika. Mogła tak zakładać.

- Ten, kto założył kamery, zorientuje się, że zniknęły - powiedziała.

- Na twoim miejscu zacząłbym od pogadania z Tomkinem.

- Zakładasz, że to on?

- Podaj inną wersję.

- Nie wiem, co chcesz zrobić.

- Nie dzwoń do Tyszkiewicza.

Wzruszyła ramionami. Równie dobrze mógł zaklinać wiatr.

- To raczej on do mnie dzwoni.

- Nie traktuj mnie jak idioty.

- Zabrałeś kamery. Uznają, że to ja. Uznają mnie za niebezpieczeństwo.

- Dasz sobie radę.

- Czego chcesz?

Wstał, podszedł do niej, lufa zatoczyła krótki łuk. Maria jęknęła i spadła z krzesła. Krew wyciekała przez przeciętą skórę. Uszkodzona kość policzkowa już nigdy nie będzie tak ładna jak przedtem. Ołowiana wybroczyna rosła w oczach, niczym zdegenerowany balon ze złego snu dziecka, które kuli się pod łóżkiem, ponieważ boi się ciemności.

- On jest żonaty, ty kurwo - powiedział i wyszedł.

Już po kilku minutach program zaczął ją nieść. Tak bywało, gdy zgrało się kilka czynników; jej energia, inteligentny rozmówca, który dobrze znał reguły, emocje publiczności, temat rozpalający grupy fokusowe. Wtedy właściwie niepotrzebny był scenariusz, starannie przygotowane pytania, regulowane reakcje zgromadzonych w studiu zwolenników i wielbicieli. Wystarczyła magia chwili i elektryzująca atmosfera, by program zaczął iść za najbardziej pożądaną z logik: logiką sukcesu. Sendecka dawała impuls, a potem płynęło. Słupki oglądalności szybowały, reklamodawcy byli skłonni zapłacić wyższe stawki, na konto autorki programu wpływała premia, za którą można było spędzić dwutygodniowy urlop w sześciogwiazdkowym hotelu na Malediwach.

Już pierwsza część setu należała do najbardziej udanych w ostatnim półroczu. Eksperci najpierw wyrazili lakoniczny żal, że minister spraw wewnętrznych wylądował w szpitalu, by potem, podpierając się zdjęciami i kolorowymi infografikami, dowieść, że przedmiot ich zainteresowania bez żadnych wątpliwości kwalifikuje się do stanięcia przed Trybunałem Stanu. Spór fachowców dotyczył raczej taktyki: czy urzędnik stojący na czele potężnego resortu siłowego, poprzez kontakty ze znanym z prorosyjskich sympatii i gigantycznych interesów w Rosji amerykańskim lobbystą działa po prostu jako kremlowski agent wpływu, czy jego powiązania należy raczej utożsamiać z otwartym wspieraniem Marszu Narodowego, ruchu tak ekstremalnie antyrosyjskiego, że zachodziło uzasadnione podejrzenie bezpośredniego rosyjskiego zaangażowania. Na kolorowej planszy ekspert od polityki międzynarodowej przedstawił prosty mechanizm; państwo tworzy ruch, który działa przeciw niemu, kontroluje go i podlega do ekstremizmu. Ludzie nie lubią skrajności; im bardziej radykalne hasła głośzą działacze (z których część to nasi ludzie), tym ruch staje się bardziej karykaturalny, co powoduje odpływ sympatii opinii publicznej. Gdy doprowadzamy do marginalizacji ruchu, znika on z powierzchni medialnego bytu i wtedy likwidujemy go, bez rozgłosu usuwając tych, którzy pracowali przeciw nam z pobudek ideowych. Sendecka właściwie się nie odzywała; wnioski płynęły same. Zdjęcia najbliższego doradcy ministra ściskającego dłoń Bogdanowicza, przedstawionego jako ktoś na kształt nowego Hitlera, były wyraźnym, niewymagającym komentarza dowodem. Pytanie, czy śledztwo prowadzone przez polską stronę w sprawie tragedii w Kabatach, śledztwo, w którym przedstawiciele ministra odgrywają wiodącą rolę, będzie obiektywne i rzetelne, właściwie pozostało pytaniem retorycznym. Publiczność w studiu była rozgrzana do czerwoności; obrazki szczątków samolotu działały na wyobraźnię lepiej niż tysiące słów.

Sendecka wstała. Kamerzysta zrobił najazd na jej twarz. Twarz, która każdą molekułą

wyrażała powagę i zatroskanie.

- Drodzy państwo - powiedziała. Plan ogólny. Oparła ciężar ciała na lewej stopie; nogi wyglądają wtedy na dłuższe, biodra na krągłejsze. Znała wszystkie sztuczki, część wymyśliła sama. - Z tym, co przed chwilą państwo zobaczyli i usłyszeli, wiąże się kolejny temat, temat równie bulwersujący. Jedną z kluczowych dla śledztwa w sprawie katastrofy rosyjskiego samolotu osób jest podinspektor Jakub Tyszkiewicz, dyrektor Biura Zwalczania Terroryzmu Centralnego Biura Śledczego. To jego funkcjonariusze przedwczoraj schwytali dwóch ludzi, których zaaresztowano bez nakazu prokuratorskiego i którzy przetrzymywani są w nieznanym miejscu bez orzeczenia sądu o areszcie tymczasowym. To również jego ludzie, dziś, na Mokotowie, niemal w centrum miasta, na oczach mieszkańców wdali się w strzelaninę, w wyniku której zginęły trzy osoby, a cztery zostały ranne. Na temat przyczyn nie udało nam się dowiedzieć niczego, poza tym że trwają czynności śledztwa zmierzające do wykrycia i schwytania sprawców. - Uśmiechnęła się, by ludzie wiedzieli, co sądzi o takich sposobach komunikacji. Zrobiła pauzę. - Przedstawiam państwu Roberta Cieńskiego, byłego policjanta Biura Zwalczania Terroryzmu, człowieka, który dobrze zna podinspektora Tyszkiewicza i stosowane przez niego metody i który zgodził się opowiedzieć o tym w naszym programie.

Cieński wszedł do studia pewnym krokiem. Stylistka wykonała naprawdę dobrą robotę, kamera od razu go pokochała. Usiadł naprzeciwko Sendeckiej, w jednym z tych durnych telewizyjnych fotelików, w których niemal każdy wygląda jak idiota. Zachowywał się naturalnie, ze swobodą, skrywszy maniery troglodyty za maską zawodowstwa. Światła, publiczność, panujący w studiu upał nie robiły na nim wrażenia. Wpatrywał się w Sendecką żarłocznie, jakoś pewny swego, spokojny, wypełniony wiarą we własne siły. Poczula lekki dreszczyk, co właściwie ją zirytowało, bo nie zwykła ulegać takim facetom zbyt szybko, zwłaszcza w zawodowych okolicznościach. Miała lepszych od niego, na swoich warunkach, we własnym tempie i stylu. On natomiast wyrażał pożądanie, całkiem prosto, prymitywnie; to jej się niestety podobało.

Odegnęła niezwiązane z bieżącą chwilą myśli, bez uśmiechu przyjrzała się gościowi, przedstawiła go, szybko przeszła do rzeczy.

- Długo pan zna podinspektora Tyszkiewicza?
- Od dwa tysiące jedenastego.
- Wtedy zaczął pan pracę w Biurze Zwalczania Terroryzmu?
- Tak, byłem w grupie pierwszych przyjętych do służby.
- Jak jest pana specjalność?
- Byłem operatorem sekcji bojowej Biura.

- Policyjnym komandosem?
- Nie używamy tego słowa. Byłem operatorem sekcji bojowej.
- Zabijał pan ludzi?
- Zdarzało się.

Zrobiła pełną namysłu pauzę.

- I co pan wtedy czuł?
- Odrzut broni, przeważnie.

Publiczność zarżała, Sendecka pozostała poważna, choć wewnątrz zaczęła się gotować. Wygłupia się, idiota. Jego wiarygodność idzie nie w tę stronę, co trzeba. No cóż, pracujemy dalej.

- Przejdźmy do rzeczy. Był pan świadkiem schwytania Mahmuda Saleha, człowieka podejrzanego o chęć dokonania zamachu terrorystycznego...

- W dwa tysiące dwunastym, tak, zgadza się.
- W roku dwa tysiące dwunastym, w czasie Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej.
- Nie byłem świadkiem. To ja go schwytalem.
- Rozumiem. I co stało się dalej?
- Zawieźliśmy go do firmy i posadziliśmy na krzeselko.

- Krzeselko?

- Takie krzesło z pasami, nawet dość wygodne. Rozebraliśmy faceta do gaci, przywiązaliśmy, potem przejęli go śledczy, no i się zaczęło.

- Co się zaczęło?

Cieński wzruszył ramionami.

- Bicie, głośna muzyka, brak snu, jedzenia i wody, bicie, podtapianie i tak w kółko. Wie pani, jak to jest.

- Nie, nie wiem. Niech pan opowie.

- Facet nie działał sam. Mógł mieć wiadomości na temat współników. A nam się spieszyło.

- Powiedział, co chcieliście?
- Każdy mówi.
- Czy podinspektor Tyszkiewicz aprobował te metody?
- Aprobował? Osobiście wydawał polecenia.
- Osobiście nakazywał stosowanie tortur, zmuszał was do działania sprzecznego z

prawem?

Cieński rozłożył ręce i uśmiechnął się smutno. Tak, właśnie tak. Ryba zawsze psuje się

od głowy.

Szybko się uczy, skurwiel, pomyślała. Może jednak dam mu się przelecieć.

- Zdaje pan sobie sprawę, że to, co pan mówi, obciąża również pana? - zapytała.

Cieński poprawił się na fotelu.

- Tak. - Westchnął w sposób, który widzom i publiczności wydał się naturalny. - Nie mogłem przez to spać.

- Jak to się ma do pańskiego stwierdzenia, że po zabiciu człowieka czuje pan tylko odrzut broni?

- Po pierwsze, to taki żart branżowy. Po drugie - zawahał się, choć dla Sendeckiej było jasne, że nie miał kłopotu z doбором odpowiednich słów - chyba się zmienilem. Jest mi wstyd za to, jakim człowiekiem byłem kiedyś.

- Czy był pan świadkiem jeszcze jakichś przypadków łamania prawa przez funkcjonariuszy Biura?

- Wielokrotnie. Bicie, zmuszanie do składania fałszywych zeznań, zastraszanie świadków. To była codzienność.

Sendeka pochyliła się do przodu. Dekolt był dobrany tak, by zamiast pokazywać, raczej sugerował. Cieński przełknął ślinę.

- I jak pan reagował?

- Coraz mniej mi się to podobało.

- Próbował pan z kimś o tym porozmawiać? Zawiadomić zwierzchników?

- Kilkakrotnie. Kazano mi nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. W końcu zagroziłem, że pójdę z tym do prasy. Wyrzucono mnie pod zmyślonymi zarzutami.

- Ale tak naprawdę wyrzucono pana za protest przeciwko łamaniu prawa.

- Tak jest.

Fiucie, przecież nie za to cię Tyszkiewicz wywalił, pomyślała. Ty wiesz i ja wiem, że miał rację, każdy by tak zrobił. Może jeszcze ze trzy osoby z branży znały prawdziwy powód zwolnienia. Wszystkie miały powód, by milczeć. Holt kilkakrotnie namawiał Sendekę do zrobienia programu na ten temat. Przekonała go, że warto poczekać na inną okazję. Miała rację. Wtedy napiętnowany byłby Cieński, człowiek nikt, pionek na medialnej szachownicy. Nie mógłby zostać użyty do wielkiej gry o demokratyczną, stabilną, bezpieczną Polskę.

- To właściwie sprawa dla prokuratury.

- Wie pani, kto ma w ręku prokuraturę.

- To się niebawem zmieni. Powstanie nowy rząd.

- Wtedy złożę formalne zawiadomienie.

- Ryzykuje pan zawodowym ostracyzmem. W pana branży panuje solidarność, nikt nie lubi donosów, nawet w słusznej sprawie.

- Wiem - odparł. Był coraz swobodniejszy. - Odkąd mnie wyrzucono, próbowałem sobie ułożyć życie na nowo. Udało mi się. Nie chcę wracać do tego, co było.

Sendecka zeszytniała. Ostatniego zdania właściwie nie usłyszała, pochłonięta komunikatem płynącym z tkwiącej w uchu słuchawki.

- Przerwyj program - mówił wydawca, krzyczał właściwie, połykając z podniecenia całe sylaby. - Mamy zamach terrorystyczny. Mamy, kurwa, na żywo trupy, strzelaninę i zamachowca.

Stał znowu pod Kolumną Zygmunta, przyklejony do zimnego kamienia, palił papierosa i marzył. Mgła cofnęła się odrobinę, ukazując światła wielkiego miasta, ruch uliczny, zziębniętych ludzi. Życie przyspieszyło, jakby korzystając z chwilowego rozejmu, on stał, zaciągał się dymem i myślał, że chciałby cofnąć czas. Chciałby powiedzieć Jadwidze wiele rzeczy, których powiedzieć nie zdążył, choć jeszcze niedawno był przekonany, że jest ze wszystkim na bieżąco. Kiedyś namawiała go, by pojechali do Finlandii, wynajęli żaglówkę i popłynęli przed siebie. W kraju tym są rejony, w których przez tydzień nie spotyka się człowieka. Nie lubił wody, stosował wszystkie sztuczki, by storpedować zamysł. Spędzili urlop w Tatrach, chodząc Doliną Kościeliską, Jadwiga słowem nie wróciła do tego, co było. Jej kapitulację przyjął zwyczajnie, teraz nie mógł spojrzeć w lustro. Perspektywa śmierci zmienia wszystkie inne perspektywy, tyle mógł powiedzieć po trzech dniach samotności. Niezbyt to odkrywcze.

Jakiś chłopak potracił go, nawet nie przeprosił, szybując dalej na swym longboardzie. Ludzi przybywało, piątkowy wieczór miał swe rytuały i konieczności, pogoda ograniczała je, ale tylko trochę. W Warszawie niewiele jest miejsc tak popularnych jak okolice Zamku Królewskiego.

Skończył jednego papierosa, wyrzucił peta, zapalił drugiego, podszedł patrol Straży Miejskiej, spojrzął mu w twarz, Krzeptowski oparł wzrok najpierw na jednym, potem na drugim strażniku; obaj poprawili opadające z brzuchów pasy i odeszli bez słowa. Dym owiewał policzki i drażnił zmysł powonienia; nieoczekiwanie nabrał ochoty na alkohol. Ciepło w żołądku, lekka euforia, szum wewnątrz czaszki. I tak tej nocy nie będzie spał - po dwóch, trzech setkach byłoby łatwiej dotrzeć do rana. Kiedy się mył? Nie potrafił sobie przypomnieć. Za to pamiętał dobrze, jak łagodnymi, kolistymi ruchami omywał kruche, porcelanowe ciało Jadwigi, jak ona próbowała się uśmiechnąć, nieoczekiwanie skrepowana.

Malutkie ramiona czy barki całkowicie niknęły w jego dłoniach, kiedy ze wszystkich sił starał się nie sprawiać bólu. Zapiętko go pod powiekami - i wtedy, i teraz. Tak, musi się napić.

Warkot silnika nie zaprzętnął jego uwagi. Nieco dalej z Krakowskiego w Miodową skręcają autobusy, jeżdżą ciężarówki z zaopatrzeniem - dźwięk potężnych diesli jest tam naturalny, jak słońce i deszcz. Tyle że kilka sekund później warkot przerodził się w ryk, coś stęknęło głucho (później okazało się, że to pękały betonowe słupki oddzielające deptak od ulicy), powietrzem popłynęły pierwsze krzyki, szybko osiągając ogłuszającą moc. W rozrzedzonej mżawką ciemności coś błysnęło, odbijając blask licznych w tym rejonie lamp, ryk silnika zbliżał się szybko, narastał niczym fala tsunami.

Krzeptowski podniósł wzrok.

Maska potężnej ciężarówki była nie dalej niż o sto metrów i zbliżała się błyskawicznie. Ongiś zapewne biała, teraz poplamiona czymś ciemnym, wgnieciona. W szybie odbijał się blask latarni, za nią majaczyła pochylona nad kierownicą sylwetka, obok druga, równie niewyraźna. Samochód przyspieszył, ciało z głuchym plaśnięciem odbiło się od maski i poleciało w bok, krzyki nasiliły się, kolejna ofiara zniknęła między potężnymi oponami...

Krzeptowski oderwał się od pokrytej wilgocią kolumny w momencie, gdy ciężarówka minęła kościół Świętej Anny i skręciła lekkim łukiem w prawo. Miał już wtedy w dłoni pistolet. Stał na ostatnim schodku pod kolumną, znajdował się o metr wyżej niż reszta, widział dobrze bok szoferki i długą naczepę z reklamowym napisem. Jakaś dziewczyna zastygła w bezruchu, stojąc naprzeciwko nadal rozpędzającego się wozu. Plac zaczął przypominać oszalałe ze strachu mrowisko.

- Uciekaj! - ryknął. - Spierdalaj na bok!

Nie usłyszała. Zderzak uderzył ją na wysokości bioder, złamał jak szmacianą lalkę, wyrócił, połknął. Zniknęła, Krzeptowski zaczął strzelać. Pierwsze dwie kule poszły źle, trafiły w pustkę pomiędzy kabiną a naczepą, lufa przesunęła się nieco w lewo, kolejne trzy pociski były już lepsze, przebiły cienką blachę szoferki i wleciały do środka, ale żadna dziwnym trafem nie ugodziła kierowcy. Pistolet warczał dalej, samochód pędził przed siebie, raniąc i zabijając kolejne ofiary, wrzask tłumu nie mógł być głośniejszy. Ciężarówka odbiła w lewo i skosem uderzyła w kamienną barierę oddzielającą plac Zamkowy od Trasy WZ. Jakiś mężczyzna w płaszczu przeskoczył przez barierę i zniknął w dole, wóz jechał dalej, drąc bok szoferki o kamień. Krzeptowski miał cel blisko, właściwie na wprost. Przypomniał sobie, że nie zabrał (z domu? z pracy?) zapasowego magazynka. Złożył się starannie, strzelił dwukrotnie, zamek został z tyłu.

Rzucił się do biegu, nadal trzymając broń w prawej dłoni.

Samochód zaczął zwalniać, ludzie uciekali na boki, szoferka nie goniła, nie namierzała, nie kierowała ku nim okrwawionej paszczy. Krzeptowski pędził, po kilku krokach uświadamiając sobie, jak bardzo jest słaby. Oddech szybko stał się papierosowy, ciężki, nierówny, krew waliła do głowy, jakby miała ją rozsadzić, mięśnie zmiękły po wstydlivych dwudziestu sekundach. Biegł dalej siłą woli napędzaną gniewem, przed oczyma stał obraz sparalizowanej ze strachu dziewczyny i ohydneho plaśnięcia, z jakim zniknęła pod kołami, czerwony beret spadł z jej głowy i poleciał w bok. Ciężarówka była tuż, pociski podziobały gładką, białą blachę i strzaskały boczną szybę, deszcz szklanych drobinek dziwnie przypominających kryształ zaścielał chodnik. Samochód stanął, wokół zrobiło się niemal pusto, Krzeptowski wspiął się po schodku, nie myśląc o niczym, najmniej o własnym bezpieczeństwie, szarpnął klamkę, odbił się i wpadł do środka. Kierowca spoczywał głową na kierownicy, nazywał się Nowacki, poszukiwała go policja w całym kraju. Rzeczywiście, był wysoki, kolana wbijał w kierownicę. Krew z przestrzelonej czaszki zalała deskę rozdzielczą, fotel, gałkę zmiany biegów.

Sąsiedni fotel był pusty, drzwi otwarte.

Krzeptowski spojrział przez przednią szybę, nietkniętą kulą, niepobrudzoną krwią. Mężczyzna szedł szybko, ubrany tak jak wczoraj, tyle że tym razem kaptur spoczywał na plecach. W dłoni trzymał długi, ostro zakończony przedmiot. Ludzie rozpierchali się przed nim, on przyspieszył kroku, w końcu zaczął biec.

Krzeptowski wyskoczył z szoferki. Biegł chwiejnie, jak pijak po trzytygodniowym gigancie.

Mężczyzna dopadł jakąś parę, nie dość szybko znikającą w ciemności.

- Allahu Akbar! - wrzasnął.

Prawe ramię wzniosło się do ciosu. Chłopak wysunął się do przodu, zasłaniając sobą partnerkę. Dziewczyna wrzeszczała, opluwając chłopaka, własny płaszcz i chodnik.

Krzeptowski zamachnął się i rzucił. Glock fiknął w powietrzu kilka koziółków i uderzył zamachowca w środek pleców - na bardziej finezyjne celowanie rzucającemu nie starczyło odwagi. Coś chrupnęło, facet zachwiał się, maczeta opadła, przecinając powietrze i uniesione ku górze przedramię chłopaka. Wrzask nasilił się, młody człowiek ryknął, z niedowierzaniem przypatrując się fontannie krwi bluzgającej z uszkodzonych tkanek, zamachowiec instynktownie odwrócił się w kierunku, skąd nadchodziło niebezpieczeństwo.

Czarne oczy płonęły fanatycznym zdecydowaniem.

Krzeptowski nie patrzył mu w twarz. Pokonał przestrzeń trzema susami i skoczył. Wyciągnięta do przodu pięść chybiła - napastnik miał refleks drapieznika, zdołał się uchylić -

ale bark trafił. Polecieli obaj, tamten uderzył plecami o bruk, maczeta nadal tkwiła w dłoni, Krzeptowski, nieco zamroczony i niemogący złapać oddechu, uderzył głową, raz, drugi, trzeci, starając się jednocześnie przechwycić obciążoną żelazem rękę. Twarz mężczyzny pokryła się krwią, białka błyskały wściekle, był silny, o wiele za silny. Zwinął się jak sprężyna, drugą, wolną ręką uderzył Krzeptowskiego w skroń, świat eksplodował, facet wysunął się z ręcznie, jak piskorz. Krzeptowski nadal trzymał rękę z maczetą i słabł z każdą sekundą. W końcu napastnik wyszarpnął dłoń, już był na czworakach, jeden ruch dzielił go od stanięcia na nogi.

Cień padł na walczących.

- Ej, pizdo! - zawołał męski głos.

Krzeptowski uniósł wzrok. Nad napastnikiem stał facet, który z perspektywy leżącego wydawał się górą. Zamachowiec zrobił ruch i w tym momencie góra kopnęła go w żebra. Kopnęła tak, jakby ostateczna siła skumulowała się z ostateczną złością, gniew dodał do tego jeszcze drugie tyle, a but ważył tonę. Chrupnęły połamane żebra, maczeta wypadła ze zwiotczalej nagle dłoni i z brzękiem upadła kilka metrów dalej, napastnik zawył w udreće.

- Ja ci, kurwo, dam Allahu Akbar - dodał facet i powtórzył kopnięcie, tym razem z drugiej nogi. But doszedł tułowia, zatonął w nim niemal, napastnik wywrócił białkami i zwiotczał, nie byłby w stanie skrzywdzić niemowlęcia.

Trzecie kopnięcie zostało zadane już tylko na wszelki wypadek.

- Zostaw - powiedział Krzeptowski, nadal nie mogąc złapać oddechu. Niektórzy ludzie wciąż uciekali, inni zaciekawieni wracali, wyciągając smartfony i starając się znaleźć jak najlepszą pozycję do kręcenia filmików, z których część jeszcze tej nocy uzyska po pół miliona odsłon.

Facet splunął na leżące u jego stóp nieruchome ciało. Gdy Krzeptowski wstał, nadal wydawał się wielki. Tatuaze wylewały się spod rękawów kurtki, wchodziły na dłonie, wielkie i sękaty. Skóra ogolonej na łyso czaszki odbijała blask latarni niczym kinowy ekran. Facet był szeroki w barach, miał złe światło w oczach i klubowy szalik na szyi. Walka nawet nie przyspieszyła mu oddechu.

Krzeptowski rozejrzał się. Glock leżał opodal, właśnie schylał się nad nim jakiś chłopak.

- Zostaw! - zawołał, uświadamiając sobie, że repertuar jego poleceń jest jakoś groteskowo ubogi.

Chłopak drgnął, ale nie stracił rezonu.

- Chciałem oddać.

- Jasne - uśmiechnął się przez zęby Krzeptowski. Podniósł broń z ziemi, wrócił do leżącego terrorysty i nadal górującego nad okolicą łysego faceta. Wyjął z kieszeni blachę i podetknął tamtemu pod nos. Oddech zbyt powoli wracał do normy.

- Policja - powiedział. Na łysym nie zrobiło to wrażenia.

- Co robimy z tą kurwą? - zapytał.

- Dzięki za pomoc. Odsuń się - odparł Krzeptowski.

- Ilu ludzi chuj zabił tym wozem?

- Nie on. Tamten nie żyje. Odsuń się.

Informacja nareszcie wywarła wrażenie. Rysy łysego rozluźniły się, poczucie sprawiedliwości zostało w jakimś stopniu zaspokojone.

Widząc, że facet cofa się nieco, Krzeptowski klęknął, jednocześnie wyciągając komórkę. Przytknął dłoń do szyi nieprzytomnego. Wyczuł puls, słaby, ale regularny. Oficer dyżurny Biura zgłosił się po trzech sygnałach.

- Zamach terrorystyczny na placu Zamkowym - powiedział Krzeptowski spokojnie. - Jeden sprawca zabity, drugi ranny. Nieznana ilość poszkodowanych, potrzebna pomoc medyczna. Teraz.

A potem, do łysego faceta:

- Poczekaj tu. Jesteś świadkiem, opowiesz, co widziałeś.

Łysy splunął jeszcze raz. Ślina przykleiła się do kurtki nieprzytomnego zamachowca. Ludzie zaczęli otaczać Krzeptowskiego ciasnym kręgiem.

- Z psami nie gadam - powiedział wytatuowany facet, obrócił się na pięcie i zniknął w tłumie.

Krąg zacieśnił się.

Nad ludźmi, nisko, przeleciał dron z logo stacji telewizyjnej należącej do Jana Holta. Na polecenie płynące od operatora ultraczujna kamera zrobiła zbliżenie na twarz zamachowca. Po chwili przyjrzała się uważnie Krzeptowskiemu.

Obudziła się nie dlatego, że bolała ją pęknięta kość. Owszem, nawet dwie kapsułki ketonalu nie były w stanie kontrolować wściekłych napadów rozszarpanych fal cierpienia, rozlewających się ku dołowi, ramionom, klatce piersiowej, udom, brzuchowi. Owszem, było jej niedobrze, już dawno wyrzuciła z siebie to, co jadła w ciągu dnia, a mdłości nie ustępowały.

Obudziła się, ponieważ śnił jej się koszmar będący prawdą. Pokryta dziobami po ospie twarz patrzyła na nią kaprawymi oczkami, które uśmiechały się tak, jakby dziewczyna miała

w oczodołach dwie kostki lodu. Była młodsza od Marii, a wyglądała na dekadę starszą. Silna, wysuszona, całkowicie pozbawiona włosów na rękach. Jedynym ludzkim uczuciem, którego miała w nadmiarze, była nienawiść. Odsiadywała dożywocie bez prawa do wcześniejszego zwolnienia. Mówiła spokojnie, bez emocji, posykując przez szparę w zębach:

- Widzisz, cipo, tu jest inaczej, niż ci się zdaje. Tu jesteś nasza.

Maria leżała na plecach, jedna dożywotnia trzymała jej ramiona w żelaznym uścisku, dwie kolejne blokowały stopy celujących w sufit nóg. Walczyła, próbowała sobie przypomnieć każdą poznaną w innym życiu sztukę, każdy wymyk czy chwyt; na próżno. Kaprawa powolnym gestem ujęła dużą butelkę i wraziła pomiędzy rozwarłe uda. Ból był przejmujący, poniżał, odzierał z godności. Szyjka wchodziła i wychodziła, w końcu weszła cała butelka, niemal do połowy. Maria chciała krzyknąć, wsadziły jej w usta brudną, cuchnącą szmatę; od tej pory nie skupiała się na pulsującym bólu, a oddechu, na chwytaniu przez nos drobin powietrza. Płuca paliły, ciałem wstrząsały suche torsje, w końcu kaprawa wyszarpnęła butelkę, szmata poszła chwilę później, Maria przewróciła się na obok i zwymiotowała. Rzuciły ją w kąt, koło kibla, do nocy nie pozwoliły wstać ani zmienić pozycji.

Trzy tygodnie później dorwała kaprawą pod prysznicem, naga, namydloną, na moment podobną do człowieka. Zadany z pasją cios złamał żuchwę, drugi nos, trzeci żebro. Kopala nieruchome ciało, aż zabrakło jej oddechu. Kaprawa wylizała się, przenieśli ją do innego więzienia. Po jakimś czasie Marię zgwałcono powtórnie, niemal na oczach strażniczek, potem dostała kosę w brzuch. Lekarz odratował ją cudem. I tak to szło, nie było wygranych ani przegranych, przemoc nie rozwiązywała niczego.

Tyle że ból, upokorzenie i syczący, śmierdzący głos kaprawej będą w jej pamięci zawsze.

Wstała, poszła do kuchni, szklankę wody mineralnej wypila dwoma haustami. Ból wzmógł się, spojrzała w lustro, zrobiło jej się jeszcze gorzej. Na zewnątrz usłyszała głosy; która mogła być godzina? Usnęła jakiś czas po wyjściu wielkiego gliniarza, drink podziałał jak balsam, choć nie ukoił promieniującego od policzka bólu. Co się stało? Dopiero dziewiąta, spała tylko dwie godziny. Na wyświetlaczu zobaczyła dwa nieodebrane połączenia od Tomkina, na razie nie oddzwaniała, bała się, co usłyszy, bała się też, że mogłaby powiedzieć o słowo za dużo. Włączyła telewizor.

Kamerzysta stał na placu Zamkowym, reporterka miała za plecami ciężarówkę z naczepą i podziurawioną kulami szoferką. Mówiła szybko, z przejęciem, może nawet nieudawanym. Na pasku biegła napisana wersalikami informacja, że w wyniku ataku noszącego znamiona zamachu terrorystycznego zginęło siedem osób, dziewięć zostało

poważnie rannych. Zamachowcy użyli ciągnika siodłowego z naczepą, który skradli godzinę wcześniej z parkingu na Ochocie. Jedna z ofiar, mężczyzna, który uciekając przed ciężarówką, skoczył z placu Zamkowego na Trasę WZ, miał złamany kręgosłup i ciężki uraz czaszki; fakt ten z jakiegoś powodu przykuł szczególną uwagę reporterki. Na placu kręciły się ekipy dochodzeniowe i ratownicy medyczni, miejsce zdarzenia gęstym kordonem otaczali policjanci z prewencji. Obraz co chwilę dzielił się na pół, po prawej stronie ukazując widok od góry, z drona: zwłoki, ranni, nieruchoma ciężarówka, banalna w swej nieludzkiej sile, policyjne patrole z bronią długą. To zawsze Marię śmieszyło; jakby duże ilości uzbrojenia i ludzi po fakcie miały cokolwiek naprawić albo czemukolwiek zapobiec.

Wydawało jej się, że gdzieś w oddali, u góry ekranu mignęły sylwetki Krzeptowskiego i Tyszkiewicza. Obaj byli ledwie widoczni przez zasłonę gęstej mżawki, rozmawiali o czymś z facetem wyglądającym na prokuratora. Nie myliła się; pasek poinformował, że na miejscu zamachu był Stanisław Krzeptowski, policjant Biura Zwalczania Terroryzmu, któremu udało się zastrzelić jednego z zamachowców i obezwładnić drugiego, przez co prawdopodobnie zapobiegł znacznie większej ilości ofiar. Wedle niepotwierdzonych na razie informacji jeden z terrorystów był Polakiem.

Tomkin zadzwonił jeszcze raz. Tym razem Maria dotknęła zielonej słuchawki.

- Oglądasz? - zapytał bez powitania.

- Włączyłam kilka minut temu.

- Miałem informacje o kolejnych dwóch z bombą. Nic mi nie wiadomo, że mieli użyć ciężarówki.

- Tragedia.

- Tragedia.

Wysłuchała się w jego głos. Brzmiał szczerze.

- Mam przekazać Tyszkiewiczowi coś jeszcze?

- Co miałas przekazać, przekazałaś - stwierdził. - Będzie coś nowego, dam znać.

Wyobraziła go sobie: stał przy oknie, palił papierosa, zerkał w ekran telewizora. Była u niego w domu dwa razy. Mieszkanie zaskakiwało tanimi tapetami, brzydkim dywanem, typowymi meblami. Tomkin wiódł samotnicze, ascetyczne życie. Stał w cieniu, jego życiem było nasłuchiwanie. Czy kazał zamontować w jej mieszkaniu kamerę?

Gdy Krzeptowski wyszedł, wpadło jej do głowy, że powinna poszukać śladów włamania. Szybko zrezygnowała; to jej szef był najbardziej prawdopodobnym kandydatem na sprawcę. Wysłani przez niego ludzie nie zostawiliby żadnych śladów z tej prostej przyczyny, że Tomkin dałby im zapasowe klucze.

Czego chciał od Tyszkiewicza?

Widzieli się po południu i Jakub nie sprawiał wrażenia, że wie o nagraniu. Jeśli ktoś go szantażował, nie robił tego wprost. Skąd Krzeptowski miał film? Służył za dźwignię? Nie wyglądało na to, choć tego nie była pewna. Wściekłość Krzeptowskiego rozumiała. Wyglądał na człowieka przejmującego się zasadami. Na pewno przejmował się kiedyś. Ona myślała tylko o sobie, to prawda. Potrzebowała ludzkiej bliskości. Tomkin nie był w stanie zorganizować jej życia prywatnego, nawet przy założeniu, że pozwoliłaby na to.

Dotknęła policzka, bolało jak diabli.

- Przedtem oglądałem program Sendeckiej. Też nie widziałas?

- Spałam. Bardzo źle się czuję.

- Jak wy to mówicie: obesrała? No więc obesrała Tyszkiewicza. Z głową, nogami i wszystkim.

Maria zacisnęła palce na aparacie.

- To znaczy?

- Wyciągnęła stare brudy. Dała sygnał łapaczom. Nie pochwalam tego.

Zaczęła intensywnie myśleć. Co on chciał powiedzieć? Zwykł wyrażać się prosto, z dbałością, by rozmówca zrozumiał komunikat. Dotychczas nie złapała go na kłamstwie. Był szczery, ona odpłacała lojalnością.

Co nie znaczy, że nie mógł nią manipulować. Czy to on kazał zamontować kamerę?

- Wyciągnęła gdzieś faceta, który u niego pracował i teraz oskarżył o stosowanie tortur podczas mistrzostw w piłce nożnej. Sześć lat temu.

Jeśli ktokolwiek, to ona powinna być oskarżona. Tomkin oczywiście o tym wiedział. Maria uśmiechnęła się, policzek zaczął boleć jeszcze mocniej.

- To jeszcze trzeba udowodnić - powiedziała.

- Żaden problem. Nowa władza będzie miała wszystkie instrumenty, żeby udowodnić, co chce.

- W Polsce to nie takie proste.

- Jeśli jest wola polityczna...

- Po co ktoś chce uwalić faceta, który naprawdę sporo robi, żeby ochronić ludzi przed terrorystami?

Tomkin westchnął. W prawym dolnym rogu ekranu telewizora pojawili się zgromadzeni w studiu eksperci, ci sami co zawsze. Bezgłośnie przekonywali, że to, co się stało, jest straszne, ale w pewien sposób nieuniknione. Żółty pasek przyniósł cytat jednego z nich: „Zamachy są ceną za otwarte granice, tolerancję i wolność. Nie powinniśmy ulegać

presji, by to zmienić”.

- Żeby dać nauczkę obecnemu układowi. To raz - powiedział po namyśle. - Żeby dać znać sojusznikom, że idzie nowa polityka, taka jak na Zachodzie. To dwa. Żeby przykryć jakieś duże interesy. To trzy. Wojna się zawsze bardzo opłaca, jak wiesz.

Maria zastrzygła uchem. Syria, terroryści, rosyjski samolot. I człowiek, który stanął komuś na drodze.

- W moim mieszkaniu ktoś zamontował dwie kamery i przekaźniki do transmisji danych - powiedziała cicho, jakby nie chcąc nadawać słowom specjalnego znaczenia. Skończyła zdanie i pomyślała, że powinna rozegrać to inaczej. Być może obserwacja twarzy Tomkina dałaby więcej niż słuchanie głosu. Ale stało się.

Zareagował szybko.

- Jak je zauważyłaś?

- Sprzątałam - powiedziała. - Jedna była ukryta w kratce wentylacyjnej, druga w żyrandolu.

- Co z nimi zrobiłaś?

- Wymontowałam je i dałam znajomemu do sprawdzenia.

- Można ufać temu znajomemu?

- Owszem.

- Bardzo dobrze. Czy były urządzenia rejestrujące?

- Nie. Tylko czujnik reagujący na ruch i przekaźnik danych w czasie rzeczywistym.

- Cholera.

Były dwa wyjścia: już wiedział, że kamery zostały zdemontowane i miał czas się przygotować, stąd reakcja wyglądająca na naturalną; nie wiedział nic i nie udawał zaskoczenia.

Wahała się, co zrobić, bo trudno jej było przewidzieć następny ruch Krzeptowskiego. Zawdzięczała Tomkinowi nowe życie. Być może powinna nadal grać w jego drużynie.

- Przyślę człowieka, który dyskretnie popyta sąsiadów - powiedział. - Może ktoś zapamiętał kogoś, kto się kręcił koło twoich drzwi.

- Nie znalazłam śladów włamania.

- Dobry fachowiec nie zostawia śladów.

- Ja jestem dobrym fachowcem.

- Będziesz jutro w pracy?

- Mam migrenę. Jeszcze nigdy...

- Weź wolne do końca tygodnia. Gdy twój znajomy czegoś się dowie o tych

transmitterach, zadzwoń.

- Oczywiście.
- Dobrej nocy.

Odłożyła aparat na półkę. W telewizji eksperci nadal walczyli o temat współczesnych zagrożeń terrorystycznych. Żółty pasek poinformował, że w szpitalu zmarła jedna osoba poszkodowana podczas zamachu na placu Zamkowym. Tym samym liczba ofiar wzrosła do ośmiu.

Było późno, ale Sebastian Pieniążek mógł dzwonić o każdej porze.

- Dobry wieczór. Widział pan? - zapytał.
- Śledziłem - odparł mężczyzna. Był ubrany w piżamę i szlafrok. Palił papierosa i pił herbatę z cytryną. Mimo piętego krzyżyka miał gibkie, umięśnione ciało i dobrą kondycję. Dbał o to. Pracował w branży, w której sprawność fizyczna jest ceniona, nawet jeśli nie operuje się w terenie.

- Zadowolony?
- A pan?
- No cóż, sprawy idą w dobrym kierunku. Odzyskujemy kontrolę.
- Mam również takie wrażenie. Podziwiam pańską umiejętność gry na różnych fortepianach.

Pieniążek roześmiał się.

- Gdy się ma wartościowych przyjaciół, to nie jest takie trudne, panie pułkowniku.
- No cóż, efektywna koordynacja to również sztuka.
- Ma pan rację.

Mężczyzna czekał.

- Niedługo znowu zaczniemy - powiedział Pieniążek. - Proszę się przygotować.
- Jestem gotów.
- Koledzy?
- Im również zależy. Tak jak mnie.
- Sytuacja pewnie wyklaruje się jutro. Zadzwonię.
- Czekam.

Pieniążek rozłączył się.

Podpułkownik w stanie spoczynku Piotr Komuda odłożył telefon, a potem wyciągnął nogi. Wyłączył telewizor. Dopił herbatę i poszedł spać. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu nie musiał wspomagać się proszkami nasennymi.

Rozdział 4.

Jakub obudził się zeszywniały z bólu. Mięśnie podkurczonych ud zdrętwiały na kamień, klatka piersiowa bolała jak po przrzuceniu stu ton węgla. Oczy piekły. Czuł się brudny i właściwie bezdomny. Spojrzał na zegar. Szósta trzydzieści. Biuro jeszcze drzemało w przedrannym letargu. Nocna zmiana udawała, że jej nie było.

Wczoraj miał szczerą chęć zadzwonić do Heleny. Potem zrezygnował; doszedł do wniosku, że chce jej spojrzeć w twarz. Telefon od oficera dyżurnego złapał go wchodzącego do windy. Zamiast na piąte piętro do swojego mieszkania pojechał na plac Zamkowy, torując drogę bombą i wściekłym trąbieniem, wspomaganymi przez syrenę i miganie światłami drogowymi. W pośpiechu zaliczył obcierkę o tramwaj, któremu wjechał na tory; nawet się nie zatrzymał.

Na miejscu panował bałagan, jęczeli ranni, karetki dopiero nadciągały. Prewencja sprawnie usuwała gapiów rozgrzewających do czerwoności twarde dyski smartfonów. Jakub poczuł przypływ wściekłości; na ludzi, na opieszłą pomoc, na swoją krótkowzroczność. Skoncentrował poszukiwania na dwóch kolejnych ludziach i materiale wybuchowym, zamachowcy tymczasem użyli skradzionego TIR-a, sposobu dobrze znanego, wypróbowanego w wielu akcjach na Zachodzie. Wiedział, że nikt akurat o to nie będzie miał pretensji; wystarczy, że on miał. Trudno przewidzieć wszystko. Trudno przewidzieć każdy kolejny ruch ludzkiego mrowiska.

Przyglądał się zastrzelonemu kierowcy ciężarówki. Miał do czynienia z pierwszym przypadkiem, gdy pod sztandarem ISIS zaatakował Polak, urodzony na Mazurach, ochrzczony, wychowany w wierze katolickiej chłopak, w którego życiorysie nie można się dopatrzeć niczego wystającego poza normę. Media będą wałkować tę kwestię od rana, z czego oczywiście nie wyniknie nic poza faktem, że dotychczasowa polityka rządu okazała się fiaskiem również na tym polu. Jak widać, zamachowcem może być przecież każdy z nas, prawda? I nie ma to nic wspólnego z uchodźcami, a islam jest religią pokoju.

Tak.

Usłyszał szum elektrycznych silniczków, podniósł głowę, mgła była znów gęściejsza, przypominała rozlane na niebie mleko, dostrzegł więc tylko niewyraźny oktagonalny kształt, mignęło kolorowe logo stacji telewizyjnej, dron poleciał dalej, w twarzy Tyszkiewicza nie dostrzegając najwyraźniej niczego ciekawego. Zalała go nagła fala wściekłości, bo to był już najbardziej jaskrawy przykład prymitywnego żerowania na pierwotnych ludzkich

pragnieniach oglądania krwi i nieszczęścia. Polecił Kice, która właśnie wynurzyła się z lepkiej, biało-czarnej otuliny, skontaktować się z człowiekiem odpowiedzialnym za ten kurewski aparacik i zabranie go do wszystkich diabłów, inaczej poleci swoim ludziom go zestrzelić, a konsekwencjami będzie się przejmował dopiero podczas ewentualnego procesu. W efekcie szum silniczków po kilku minutach zaczął cichnąć, aż umilkł zupełnie.

Krzepkowski siedział na progu otwartych drzwi jednej z karetek i był opatrywany przez ratownika; nie bardzo wiedział, w jaki sposób dorobił się płytkiej rany ciętej na ramieniu. Nie chciał odpowiadać na pytania Tyszkiewicza; mruknął tylko, że jak dojdzie do siebie, złoży szczegółowy raport. Jakub zostawił go w spokoju. Nigdy nie widział go tak złamanego.

Jak w wielu innych sprawach, tak i w tej się mylił.

Choć to niesprawiedliwe, pobitego do nieprzytomności zamachowca zabrano w pierwszej kolejności, przed jakąkolwiek z ofiar. Pilnowało go dwóch operatorów, którzy mieli mu towarzyszyć również podczas zabiegów ambulatoryjnych i później, gdy zajmie się nim Bielik. Tyszkiewicz nakazał śledczemu przyciśnięcie gazu do dechy; chciał wiedzieć, czego się spodziewać w najbliższej przyszłości. Zbyt mocno podnosił głos, z czego nie bardzo zdawał sobie sprawę. Ludzie zwijali się jak w ukropie. Policjanci kilkakrotnie anonsowali natarczywe żądania dziennikarzy udzielenia informacji na temat zamachu. Tyszkiewicz widział Sendecką; stała w pierwszym rzędzie tłumu reporterów i machała mikrofonem, umalowana i ubrana jak do studia. Posłał w bój Kikę, która wiedziała, czego nie mówić. Tłum był zawiedziony, Kika miała zatroskaną minę i jak zwykle wyglądała świetnie w oku kamery; po krótkim oświadczeniu, z którego nic nie wynikało, i pięciu minutach odpowiadania ogólnikami na pytania po prostu odeszła od żółtej taśmy, którą prewencja odgrodziła miejsce zdarzenia od świata zewnętrznego.

Ekipy świetnie radziły sobie bez szefa, Jakub właściwie czuł się zbędny. Udzielił wyjaśnień wiceministrowi i Ślusarskiemu, którzy pojawili się w asyście kilku policjantów i domagali szczegółowego raportu, wyglądając przy tym na ludzi zajmujących się głównie obmyśleniem sposobów usprawiedliwienia się przed mediami z zajścia i poniesionych w jego wyniku ofiar. Gdy spojrzął na zegarek, zorientował się, że minęły trzy godziny; było zbyt późno na załatwianie małżeńskich problemów. Pojechał do sklepiku, pogadał z Bielikiem, który właśnie zaczynał przesłuchanie przywróconego do przytomności terrorysty. Śledczy przy okazji poinformował, że z zeznań Al-Weiego i Bagramiego wynika, iż szkolenia w Syrii nadzorował Rosjanin o nazwisku Kalczin lub Kolczin. To korelowało z przekazaną przez Amerykanów wieścią, że większość obozów szkoleniowych na terytorium kontrolowanym przez Asada ma rosyjską kadrę instruktorską lub przynajmniej doradców z GRU albo

Specnazu. Jakub nawet nie czuł zadowolenia; jego podejrzenia okazały się trafne, co tylko komplikowało sytuację.

Nie chciało mu się szukać hotelu. Wziął z szafy koc i usiadł za biurkiem. Fotel początkowo był tak wygodny jak zwykle. Sen przyszedł szybko.

Teraz wstał z trudem, fotel okazał się twardy niczym deska, za oknem pełzał przedświt przypominający pogrzeb. Wilgoć zdawała się przenikać przez szyby. W powietrzu wisiał nastrój oczekiwania, jakiejś tymczasowości, zgrzytliwej kolizji z normalnym życiem. Umył zęby, przebrał się w nową koszulę, ostatnią, jaką znalazł w służbowej szafie. Biuro powoli wypełniało się ludźmi, rozdzwoniły się telefony, ściszone ekrany telewizyjne w kółko miały nocne obrazki z zamachu, co chwilę cytowano Kikę, premiera albo lidera koalicji, Pawłowskiego, który zapowiadał utworzenie wieczorem łańcucha światła w obronie europejskich zasad. „Przyjdźmy z latarkami”, apelował, „i pokażmy, że będziemy niezłomnie trwali przy naszych wartościach”.

Jakub zrobił sobie kawę, pokój socjalny lśnił czystością, która wydawała się nierealna. Powinien zjeść śniadanie, nie miał w ogóle apetytu; dzień zapowiadał się źle. Przyszła sekretarka, obrzuciła go spojrzeniem pełnym grozy i właściwie niesmaku, zadzwonił wiceminister, żądał rezultatów śledztwa, Jakub zbył go półsłówkami i obietnicami bez pokrycia. Zjawił się Smotrycz i wziął jego komórkę do okresowej kontroli, chwilę później sekretarka zapytała, czy łącznik CIA przy ambasadzie amerykańskiej może liczyć na dwudziestominutowe spotkanie. Jakubowi było wszystko jedno, kiwnął głową i poprosił o drugą kawę.

Joseph Bronn miał trzydzieści pięć lat i wyraźną nadwagę, a także tendencje do szybkiego łysienia. Puciołowata twarz nie budziła specjalnej sympatii, zbyt często gościł na niej wyraz arogancji i poczucia władzy. Ale Tyszkiewicz umiał się z nim dogadać, Bronn miał dobre informacje, którymi czasem potrafił się dzielić. Zgodził się na espresso, usiadł naprzeciwko Jakuba przy stoliku pod oknem.

- Spory bałagan - zagaił. Starał się mówić wolno, bez zjadania końcówek. Jego akcent był do przełknięcia nawet dla Jakuba.

- Kumulacja, powiedziałbym - odparł Tyszkiewicz.

- Za godzinę mój ambasador ma spotkanie z twoim premierem. W Waszyngtonie niektórzy się denerwują.

Jakub wrzucił ramionami. Ból mięśni nie mijał. Kawa zostawiała tylko gorzki smak na języku. Dawno nie czuł się tak znużony. Chciało mu się spać.

- Co mogę powiedzieć? - zapytał, licząc, że zrezygnowanie zniknie pod szkolną

wymową angielskich słów. - Prowadzimy śledztwo...

- Samolot zestrzelono za pomocą Stingerów - nie dał mu skończyć Bronn. - Wiesz, jak to odbierają w Białym Domu?

- Domyślam się.

- Nie sądzę. Przeciwnicy pomocy dla Ukrainy od wczoraj nie wychodzą ze studiów telewizyjnych. Prezydent jest pod ostrzałem.

- Nie ma dowodów, że to Stingery z Ukrainy.

- Nie chrzań.

- Używa ich tyle państw, że to może być przemyt skądkolwiek.

- Może. Gdyby się okazało, że to jednak rakiety waszego sąsiada, będziecie mieli problem.

- My? - zdziwił się Jakub.

- Ludzie w Stanach słabo rozróżniają kraje w Europie, a już zwłaszcza na wschodzie. Usłyszą tylko, że państwo, z którym ich rząd ma podpisać umowę wymierzoną wprost w Rosję, nie jest w stanie zapanować nad przemytem rakiet przeciwlotniczych przez granicę, jego sąsiad zorganizował zamach na rosyjski samolot rządowy, a polskie siły bezpieczeństwa do tego dopuściły.

- Ejże.

- Wiem, brzmi jak kupa gówna. Ale już się dzieje. CNN grzeje temat, izolacjoniści trąbią na lewo i prawo, że Stany, zamiast drażnić Rosję, powinny skupić się na polityce wewnętrznej. Nic nie poradzę.

Jakub pokiwał głową.

Temat rozmowy amerykańskiego ambasadora z polskim premierem stawał się jasny. Rząd długo negocjował z najpotężniejszym sojusznikiem traktat mający zmienić układ sił w Europie. Wizyta rosyjskiego ministra spraw zagranicznych była ostatnią próbą wywarcia nacisku na Warszawę, by tego nie robiła. Rosyjski punkt widzenia nieoficjalnie - co nie oznacza, że miękko - popierały Niemcy i Francja. Partia rządząca przegrała przedterminowe wybory, a opozycja od początku była co najmniej sceptyczna wobec traktatu, stojąc na gruncie zacieśniania stosunków i rozwijania współpracy w obrębie Unii Europejskiej. Pytanie, czy w Polsce są w ogóle jakieś siły sprzyjające układowi z Amerykanami, stało się pierwszoplanowe, zwłaszcza w sytuacji, gdy Rosja groziła zerwaniem stosunków dyplomatycznych, a w Warszawie miały miejsce zamachy terrorystyczne i strzelaniny z anonimowymi zabójcami wyszkolonymi jak operatorzy sił specjalnych.

- Czego chcesz? - zapytał Jakub.

Bronn westchnął.

- Rozważany jest wariant, że wycofamy się z układu - powiedział. - Polecono mi poprosić cię o ujawnienie wyników śledztwa. Tylko do naszej wiadomości, oczywiście.

- Śledztwa?

- Rosyjski samolot, powiązania Al-Weiego i Bagramiego, zabójstwo Apaszina, ten wczorajszy zamach - wyliczał Bronn. - Śledztw, oczywiście.

- Dla was to się wiąże?

Gość nie dał się złapać w pułapkę.

- W tym sensie, że wydarzyło się w ciągu krótkiego czasu, tydzień przed przyjazdem prezydenta mojego kraju - powiedział spokojnie. - Jeśli powiesz, że to nie jest celowe, skoordynowane działanie, jakoś ci nie uwierzę.

Roześmieli się krótko, rzeczowo.

- Nie mam wpływu na polityków - powiedział gość. - Moim zadaniem jest zapewnienie bezpieczeństwa prezydentowi Stanów Zjednoczonych, jeśli zdecyduje się przyjechać i podpisać układ.

- Powinienem skontaktować się z przełożonymi.

Bronn skrzywił się.

- To potrwa. Pośpiech jest we wspólnym interesie.

- Zadzwoń jeszcze dziś.

- Do południa.

Jakby słyszał własną rozmowę z Koryckim.

- Postaram się.

Bronn wstał. Jego uścisk dłoni był zbyt mocny jak na tę porę dnia. Gdy zamknęły się drzwi, Jakub dmuchnął na palce, a potem wezwał Smotrycza i Kikę. Zastępczyni pracowała na placu Zamkowym do trzeciej rano, nie spała więcej niż dwie i pół godziny. Była zmęczona i nie udało jej się tego ukryć pod makijażem, ale na świeżej garsonce nie było widać nawet jednego zagniecenia. Z kolei szef sekcji wywiadu elektronicznego nie wyglądał na człowieka, który przejmuje się zamachami i wizytą prezydenta najpotężniejszego mocarstwa na świecie.

- Kika, Amerykanie chcą wglądu w wyniki śledztwa.

Spojrzała na niego z ciekawością.

- Dasz im?

- Tak. I nie będę pytał o zgodę. Pytanie, co im dać.

Otworzyła laptopa, weszła w folder, dokumenty rozsypały się po ekranie.

- Mamy zeznania Al-Weiego i Bagramiego, obaj potwierdzają, że byli wyszkoleni przez

Rosjan...

- To wiem. - Tyszkiewicz podniósł dłoń. - Może mi umknęło, Bielik strasznie dużo gadał, a ja byłem zmęczony. Czy mamy jakikolwiek ślad, że Rosjanie, oprócz wyszkolenia ich, również zlecili im dokonanie zamachu w Warszawie?

- Zamachowcy nie powiedzieli tego wprost. Ale mamy ślad pośredni. BND twierdzi, że imam Razzaq kilkakrotnie rozmawiał z Siergiejem Gliszinem, szefem Grupy Hamburskiej.

- Przybliż.

- Grupa Hamburska to nieoficjalne zrzeszenie rosyjskich przedsiębiorców w Niemczech, zaangażowanych w Nord Stream 2. Pilnują Niemców, żeby wywiązywali się z zobowiązań.

- Nie wiedziałem, że Niemców trzeba w tej sprawie pilnować. Co z tego, że Gliszin rozmawiał z imamem?

- BND za późno założyło podsłuch, mają tylko nagranie końcówki jednej rozmowy. Przysłali nam. Gliszin nakazuje Razzaqowi wysłanie ludzi do Warszawy. A Al-Wei i Bagrami, i ten wczorajszy... - zajrzała do laptopa - ...Abdul Dżalil, zgodnie twierdzą, że imam Razzaq był ich przewodnikiem duchowym, bywali nie tylko u niego w meczecie, ale też w domu. To on z nich rzekomo zrobił dżihadystów.

- To nadal poszlaki.

- Ale się składają.

- Składają się. Dalej.

- Jeśli chodzi o katastrofę samolotu, zgodnie z twoim poleceniem przekazałam Koryckiemu numery seryjne Stingerów, czekam na odpowiedź. Jest lepsza rzecz. Cebees znalazł świadków, którzy w dniu katastrofy byli na spacerze z psem w północnym rejonie Kabat. Twierdzą, że widzieli niebieski samochód marki Seat zaparkowany przy jednej z dróg, może kilometr od skraju lasu. Zwrócili na to uwagę, bo tam jest zakaz wjazdu, a oni przejmują się takimi rzeczami. W samochodzie siedziało dwóch mężczyzn, których opis z grubsza pasuje do rysopisów Haładoja i Parsaka. Samochód parkował o pięć minut piechotą od miejsca, które analiza balistyczna wskazała jako najbardziej dogodny do oddania strzału ze Stingera. Analiza śladów potwierdziła, że rzeczywiście mógł tam parkować samochód, chociaż to niepewne, bo padał deszcz.

- Dobra robota.

Kika zerknęła na ekran laptopa.

- Autopsja zwłok z Wiktorskiej potwierdziła, że zamordowanym był Wasilij Apaszin. W mieszkaniu znaleziono ślady obcych ludzi, przesłałam odciski palców Koryckiemu, ma

sprawdzić, czy nie należały do Haładoja i Parsaka.

Jakub uważał, że to strata czasu, ale Kika postąpiła zgodnie z procedurą. Wszystkie dowody musiały być skrupulatnie zarejestrowane.

- Inne ślady?

- Nic. Zabójcy wiedzieli, jak się zachować.

- Wieści z miasta?

- Nie mamy informacji, że ktoś z raną postrzałową poszukiwał pomocy lekarskiej.

- Załatwili leczenie we własnym zakresie.

- Chyba tak.

- Przyciśnij. Chcę ich mieć.

- Telefon do komendanta stołecznego by pomógł.

- Pogadam z nim.

W drzwiach pojawiła się sekretarka.

- Dzwoni pułkownik Korycki - powiedziała. - Chce z panem rozmawiać przez bezpieczne łącze.

Tyszkiewicz wstał.

- Poczekajcie tutaj - polecił i wyszedł.

Pojawił się po dziesięciu minutach z kartką w ręku. Czasem wracał do staroświeckiego zwyczaju robienia notatek długopisem. Nadal był blady, przygarbiony, z włosami w nieładzie. Oczy jednak patrzyły uważniej, jakby ich właściciel dopiero teraz obudził się na dobre.

- Antoni, bierzesz pod lupę firmę EuropaTransport, należącą do Piotra i Sebastiana Pieniążków - powiedział. - Na razie jeszcze nieoficjalnie podejrzewamy ich o przewiezienie Stingerów przez granicę.

Smotrycz wstukał w laptopa dwie linijki tekstu.

- Formalnie wygląda to tak, że bracia Pieniążek mają sto procent udziałów w SPO Optoelectronics, które z kolei jest właścicielem EuropaTransport - ciągnął Jakub. - Strona ukraińska prześledziła drogę Stingerów o podanych numerach seryjnych. Korycki twierdzi, że miesiąc temu rakiety zostały przekazane kompanii piechoty walczącej w Donbasie i tam oficjalnie zostały użyte do ostrzelania jakiegoś śmigłowca, po czym spisano je ze stanu. Świadek twierdzi jednak, że tego dnia nie było żadnych strzelań. Inny świadek widział, jak tego samego dnia wieczorem przekazywano dwie skrzynie facetowi, który przyjechał na stanowiska kompanii szarym busem. Potem kamera monitoringu zarejestrowała tego busa w Kijowie, jak wjeżdżał do bazy należącej do firmy EuropaTransport. Dwie godziny później z

bazy wyjechała ciężarówka, która ruszyła do Polski. Co ciekawe, tego samego dnia w Dorohusku przekroczyli granicę Haładoj i Parsak.

- Rozumiem, że nasza straż graniczna to ofiary losu, ale jakim cudem nie zauważyli dwóch rakiet przeciwlotniczych? - zapytał Smotrycz.

Tyszkiewicz zerknął do notatek.

- EuropaTransport zajmuje się między innymi wożeniem toksycznych materiałów chemicznych do Niemiec. Mają wszystkie certyfikaty. Nikt nie otwiera ładunków.

Smotrycz cmoknął z uznaniem.

- Sam bym tak zrobił.

- Sprawdź, kto jest ich głównym partnerem w Niemczech.

- Jasne.

- Kika, roześlij zapytanie do Straży Granicznej, inspekcji transportu drogowego, drogówki i tak dalej, że szukamy ciężarówki MAN o numerze rejestracyjnym WR04321J. Chcę wiedzieć, którą jechała i gdzie doszło do przejścia rakiet.

- Oczywiście.

- Antoni, moja komórka już sprawdzona?

- Powinna być gotowa.

- Okej. Jest na niej kawałek nagrania, na którym Bogdanowicz rozmawia z Parsakiem o zamachu.

Nawet Smotrycz nie potrafił ukryć zaciekawienia. Tyszkiewicz uśmiechnął się ze znużeniem.

- Nie mogę powiedzieć, skąd mam. Ale głowę dam, że jest autentyczne.

- Jeśli tak, mamy komplet - powiedziała Kika. - Złapiemy ich, dostaną dożywocie.

- I tak, i nie. Mam inny pomysł.

- Tego się boję - mruknął Smotrycz.

Tyszkiewicz stuknął palcami o stół. Organizm domagał się kolejnej porcji kofeiny. Choć Finlandia byłaby lepsza.

- Kika, przygotuj komunikat, w którym ogłosimy, że jeżeli Haładoj i Parsak zgłoszą się do nas i złożą zeznania, gwarantujemy im status świadków koronnych i ochronę. I niech się pospieszą; podkreśl, że nadal w mieście przebywa tych trzech z Wiktorskiej.

Zaskoczył ich. Kika zmarszczyła nos.

- Ryzykowne.

- Biorę to na siebie.

- Może powinieneś przynajmniej zapytać Ślusarskiego.

- Pójdzie z tym wyżej. Zacznie się polityczne pierdolenie, a ja nie mam czasu.

Milczeli przez chwilę.

- Co chcesz tym ugrać? - zapytał Smotrycz ostrożnie.

Tyszkiewicz wyszczerzył zęby, potem uniósł dłonie, jak człowiek całkowicie niewinny.

- Jeżeli wszystko wyleci w powietrze, nie będzie szczęśliwszego człowieka ode mnie - stwierdził.

Krzepkowski szedł wolno, potykał się na spękanych płytach cementarnego chodnika, trumna pojawiała się i znikła, była jakaś mała, dziecinna, z niezbyt równo ułożoną tabliczką. Poprawił ją, zsunęła się z powrotem na pierwszej nierówności. Potwór zwany przeszłością powoli go zjadał. Zaczął od stóp; na pierwszy ogień poszły palce, potem śródstopie, staw skokowy, szczęki przesunęły się wyżej, ku ścięgom Achillesa. I tak to szło, kęs za kęsem, bolesny, rozpaczliwy proces zjadania za życia. Mgła oblepiła wszystkich, głównego żałobnika, księdza, grabarzy, kierowcę meleksa. Kondukt duchów w mieście duchów w końcu doszedł od świeżo wykopanego grobu. Ksiądz naprawdę się starał, ale Krzepkowski właściwie go nie słyszał. Było mu wstyd. Myślał o czymś innym niż o stracie, której nigdy nie naprawi.

Dla kogo się zaangażował w sprawę, która nie powinna go obchodzić?

Dla Jakuba? Dla Heleny? Ilekroć przekraczał próg domu Tyszkiewiczów, czuł się brzydki, niezgrabny, jak ubogi krewny z prowincji. Jadwiga wyśmiała go, gdy kiedyś bąknął coś na ten temat. Nastrój mu się od tego nie poprawił. Oni byli bogaci, otaczali się pięknymi przedmiotami, Helena miała świetny gust i wyczucie przestrzeni, umiała dopieścić każdy detal mieszkania. Gdyby chciała albo znudziło jej się malowanie, mogłaby zarabiać ogromne pieniądze jako projektant wnętrz. Czuł zawiść, brzydko mu z tym było, walczył, nie umiał wygrać ani pogodzić się z przegraną. Potem się sobie dziwił - Jadwiga nie miała wielkich potrzeb materialnych, było im dobrze - aż do kolejnej wizyty na piątym piętrze apartamentowca obłożonego kosztownym kamieniem i z gównianą muzyczką w windzie.

Gdy przypomniał sobie Jakuba w miłosnym uścisku z Potocką, poczuł furję. Tak nie powinno być i powszechność zjawiska niczego tu nie zmieniała. Helena miała swoje za uszami i fakt, że zrobiła to z kobietą, siedem lat temu, dziś również nie miał znaczenia. Umiał zapomnieć, nie potrafił wybaczyć. Oboje mieli siebie. Mieli czas i powinni chcieć naprawić to, co w ich małżeństwie złe. Nie rozumiał, dlaczego tego nie robili.

Tylko że co właściwie go to obchodziło?

Z jakiego powodu o tym myślał, intensywniej niż o zmarłej żonie?

Mgła oparła się o ziemię, zgęstniała, nabrała siniego odcienia. Krzeptowski czuł na twarzy jej obecność, zimną, trupią. Ksiądz skończył, czekał, aż żałobnik rzuci grudkę ziemi, nie doczekał się, uczynił obszerny znak krzyża, grabarze zaczęli zasypywać grób, duchowny bezradnym, kruchym gestem złapał Krzeptowskiego za ramię.

I wtedy dotarło do niego, gdzie jest. Opadł do klęczek, jakby nogi ugięły się pod ciężarem dłoni księdza. Spojrzał w pokryty białym całunem dół, słowa modlitwy przyszły same, nadały sens rytuałowi, w którym dotychczas uczestniczył właściwie bez udziału świadomości, tylko dlatego, że kiedyś, za przytomniejszych czasów, wdrukował sobie w pamięć, że tak trzeba. Poczuł jakieś uniesienie, dotyk Stwórcy, niewidzialny, choć przecież wyraźny, a jednocześnie spłynęła nań łaska widzenia. Ksiądz, starszy człowiek z pomarszczoną, zaczerwienioną od wilgoci i wiatru twarzą, klęknął i objął go braterskim gestem.

Niespodziewanie Krzeptowski nabrał pewności, że Jadwiga jest szczęśliwa. Dostrzegł, jak kroczy, bezcielesna, a przecież materialna, przezroczysta, choć wyraźna. Czuł jej uśmiech, zaciekawienie, odprężenie. Nie ma trosk materialnych, staje się bytem oddanym czuciu, nie posiadaniu. Życzliwość i pogoda otaczają ją, a ona daje się ponieść, oddalająca się, niknąca w bieli i zieleni jakiejś bezkresnej doliny o trudnych do określenia konturach. Robi się coraz mniejsza, ale on zdołał się na chwilę z nią połączyć i jakaś część tej beztroski, tej pogody, głębszego postrzegania świata, innej obecności spłynęła na niego również. Jakby jakiś nadludzki lekarz wstrzyknął mu do żył koktajl endorfin i adrenaliny.

Wstał, wokół nie było nikogo, grób pachniał świeżą ziemią i kwiatami, nie mógł sobie przypomnieć, kto je tu położył, nie przypominał sobie, by podczas mszy i później miał cokolwiek w ręku. Czuł każdą molekułę ciała, najdrobniejszy mięsień, najcieńszą kość czy ścięgno. Nagle zwały się na niego brak snu, znużenie, napięcie przeniesione z pracy - przecież rejestrował wydarzenia i czuł, może nie tak wyraziście jak przedtem, ale czuł, nie był maszyną, choć próbował to sobie usilnie wmówić. Otrząsnął się, wilgoć trzymała się barków i ramion niczym przyklejona. Szedł na ślepo w stronę wyjścia, przygarbiony i znużony, poczucie straty ciążyło mu jak kamień, ale przecież już wiedział, że Jadwidze tam dobrze. To na razie wystarczyło, może wystarczy na zawsze. Może nawet kiedyś zacznie się uśmiechać. Myśl o Glocku - pocieszycielu - nagle wyparowała, a nim zniknęła w śmietniku świadomości, wydała mu się naprawdę bluźnierczą, po prostu grzeszną. Bóg wiedział, co robi, potępiając zadanie sobie śmierci własną ręką. Cierpienie po stracie było częścią boskiego planu, bo miało nauczyć dostrzegać to, co niedostrzegalne na co dzień. Czy cena za doznanie łaski olśnienia była wysoka? Była. Musiał się z tym pogodzić. Czy pogodzenie się z losem oznacza

możliwość normalnego funkcjonowania?

Miał się o tym przekonać.

Dowlókl się do samochodu, obiecując sobie, że dziś lub jutro odnajdzie tego księdza, podziękuję mu, powie, jak dużo znaczyło dla niego tych kilka wspólnie spędzonych chwil. Albo nie powie nic, pomilczą sobie razem, może odwiedzą grób. Zapalił silnik, otarł wilgoć z policzków i skroni, mgła była gęsta jak nigdy wcześniej. Wziął do ręki telefon, Barbara zgłosiła się po kilku sygnałach.

- Cześć - powiedział. - Jestem po pogrzebie. Spotkajmy się.

- Powinieneś odpocząć, przynajmniej kilka dni - odparła z wahaniem. Rozumiał ją. Przedtem też nie bardzo wiedział, jak rozmawiać z ludźmi, którzy stracili kogoś bliskiego.

- Nie mamy kilku dni. Czuję, że gramy w coś ważnego.

Nie zapytała, z jakiego powodu tak sądzi.

- Na pewno tego chcesz?

- Wczoraj nie byłem pewien, dziś jestem. Jadwiga jest szczęśliwa, a ja zdecydowałem, że muszę dalej żyć.

Wahanie było dłuższe, Barbara pewnie zastanawiała się, co właściwie usłyszała.

- Nie zwariowałem, przynajmniej na razie - dodał z naciskiem. Ciało bolało go, ale jakoś inaczej, łagodniej. Musiał coś zjeść i przespać się kilka godzin. Świeża rana nawet nie krwawiła. - Spotkajmy się za pół godziny, tam gdzie wtedy.

- Będę.

Spóźnił się, ale ona również się spóźniła. Meteorolodzy zgodnym chórem oznajmiali, że dziś nastąpi apogeum słabej widzialności, jutro ciśnienie zacznie wzrastać, mgły opadną, życie wróci do normy. Nawet jeśli miała być to prawda, eufemizm „słaba widzialność” w żaden sposób nie oddawał obrazu rzeczywistości. Władze wprowadziły zarządzenie zakazujące poruszania się prywatnymi samochodami, uziemiły również komunikację autobusową i tramwajową, w związku z czym metro stało się okiem cyklonu, starając się sprostać faktowi, że wszyscy mieszkańcy Warszawy próbowali dostać się z jednego końca miasta na drugi, jakby stolica była położona wyłącznie wzdłuż osi północ - południe.

Krzepkowski jechał w dosłownym tego znaczeniu na ślepo, kierując się wskazaniem nawigacji, ostrożnie, z otwartą szybą, za którą nasłuchiwał dźwięków, niczym nietoperz licząc, że wewnętrzny radar ostrzeże go przed niebezpieczeństwem. Kilkakrotnie skręcił zbyt wcześnie, waląc kołami o krawężnik, potem o mało nie rozjechał patrolu drogówki tarasującego ulicę. Gliniarze wyraźnie szukali okazji do awantury, co źle wróżyło, jako że byli uzbrojeni w Kałasznikowy. Zarządzenie o blokadzie głównych dróg miasta

obowiązywało nadal. Krzeptowski pokazał legitymację i starał się udobruchać dowodzącego aspiranta, dając do zrozumienia, że podziela ich frustrację, a sam czuje się tak samo zmęczony wydanymi zarządzeniami. Służba jednak nie drużba i tak dalej.

Puścili go, jechał jeszcze wolniej, mgła zdawała się odpychać samochód, wręcz narzucać swoją wolę martwym i żywym. Silnik mruczał zdezorientowany, reflektory, bezradne, podgrzewały tylko przyklejoną na szybkach wilgoć. Jakoś dojechał. Był pierwszy, Barbara przyszła kilka minut później.

- Przepraszam, szef zrobił odprawę, przeciągnęło się.
- Coś ciekawego?
- Przekazujemy wyniki śledztwa Amerykanom.
- Było do przewidzenia.
- Również Ruskim.
- Będą mogli obwieścić publicznie, że nie umiemy znaleźć sprawców.
- Mamy sporo śladów, że samolot zestrzelili dwaj z Marszu Narodowego.
- To dobrze. Każdemu pasuje.
- Nadal nie namierzyliśmy sprawców zabójstw przy Wiktorskiej.

Krzeptowski przypomniał sobie. Sztoś, Fargo, Wyrwa. Bezik ranny, kilku innych też, stan stabilny, ale nie wiadomo, z jakimi perspektywami. Lubił Bezika, w dobrych czasach sparował z nim, walczyli jak równy z równym. Tamtych znał mało, nie należał do ich kręgu, różnili się stopniem i pozycją w hierarchii. Ale to byli też jego ludzie, dani niejako w opiekę.

- Zdziwię się, jeśli ich znajdziemy - mruknął. - W mieście jest tyle dziupli, ile potrzeba. Można przeczekać, przyjdą nowi, wtedy komando wyjedzie do siebie.

- Pewnie tak - przytaknęła. Działania operacyjne stanowiły dla niej terra incognita, nie miała żadnych ambicji, by dowiedzieć się więcej.

- Co masz?

Barbara wyciągnęła komórkę i zwróciła ją ekranem w stronę Krzeptowskiego.

- Zaczniemy od szefa - powiedziała. - Miałam szczęście. Antoni wziął rutynowo komórki do kontroli, poprosiłam o aparaty Jakuba, Kiki i Wakulewicza i mogłam bez wzbudzania podejrzeń skopiować całą zawartość twardego dysku. Nie było łatwo wykryć program...

- Czekał - powstrzymał ją Krzeptowski. - Raportowałeś, że miał podsłuch?
- Nie. Tak jak chciałeś.
- Chciałem, ale bez narażania się. Jeśli Smotrycz wykryje program, podpadniesz.
- Wątpię. Komórki już wróciły do użytkowników. Jakub niczego nie zauważy.

- Oby.

Krzeptowski rozejrzał się po sali. Jakaś para klóciła się szeptem. Biznesmen czytał gazetę. Za barem dwoje baristów plotkowało o niczym. Za okienną szybą świat odpływał we frustrację i smutek. Gwar wielkiego miasta utopił się w białej kipieli. Biznesmen przerwał czytanie gazety i zaczął przyglądać się Barbarze. Krzeptowski spojrzał na niego, facet opuścił wzrok.

- Jeśli ktoś napisał program możliwy do zainstalowania na policyjnej zabezpieczonej komórce, musiał umieć obejść program antywirusowy - powiedziała Rakoczy. - To dość specyficzna wiedza.

- Były policyjny informatyk by umiał. Carrie by umiał.

- Musiałby mieć powód.

- Sprawdź go.

Barbara przesunęła palcem po ekranie komórki.

- Tu są dane z jego telefonu, kont pocztowych i zamkniętych forów - wskazała wyświetlacz pokryty ciągami numerów i adresów. - Jest czysty.

Skłonił głowę z uznaniem. Mówiła spokojnie, jakby uprzedzanie jego życzeń było jej zawodem. Facet w garniturze znowu zaczął się gapić.

- Dzięki. - Krzeptowski podniósł ku górze kąćki ust. - Masz jakiś pomysł?

Lubił ją za to, że nie miała w sobie krztyny próżności. Robiła swoje lepiej niż większość ludzi; nie uważała tego za powód do chwały.

- Po pierwsze udało mi się odkodować program - powiedziała. Wyświetlacz jej komórki pociemniał. Krzeptowski i tak niczego by nie zrozumiał, cokolwiek by mu pokazała. - Szantażysta nie tylko chciał znać lokalizację Tyszkiewicza i rejestrować rozmowy telefoniczne. Aplikacja wykorzystywała mikrofon w aparacie do podsłuchiwania rozmów nawet wtedy, gdy komórka nie była używana do rozmów.

- Założyli mu podsłuch.

- Dość czuły. Ten model zbiera z kilku metrów, nawet gdy jest w kieszeni, zwłaszcza jak się potem plik oczyści z szumów i zakłóceń. Można przyjąć, że w każdym pomieszczeniu, w którym Jakub przebywał i coś mówił, rozmowa była rejestrowana. Głos rozmówcy oczywiście również.

Krzeptowski spodziewał się czegoś takiego.

Szybko obejrzał się za siebie. Biznesmen nie dość sprawnie opuścił wzrok. Krzeptowski wstał i podszedł do jego stolika. Facet uniósł głowę. Był gładko ogolony, garnitur z pewnością nie pochodził z sieciówki. Stojąca przed nim kawa już dawno wystygła.

- Czekasz na kogoś? - zapytał Krzeptowski. Stał mu przed oczyma pachnący świeżą ziemią i kwiatami grób.

Facet nawet się nie poruszył.

- Nie przypominam sobie, żebyśmy byli na ty - stwierdził. Niski, modulowany głos. Spokój. Ludzie na ogół się denerwują, gdy Krzeptowski się do nich zwraca.

Muszę zacząć jeść, pomyślał. I zacząć znowu ćwiczyć.

Odchylił płaszcz, rękojeść pistoletu wyszczerzyła zęby. Biznesmen odłożył gazetę i jednak trochę zbladł.

- Wypierdalaj - szepnął Krzeptowski.

Facet zawahał się i ta sekunda wystarczyła, by pokazać, że nie jest tu przypadkiem. Normalny człowiek na widok broni, zachęcony poleceniem wydanym przez dwumetrowego mężczyznę o fizys seryjnego zabójcy, już byłby za drzwiami, szczęśliwy, że skończyło się tylko na ataku panicznego strachu. Krzeptowski wziął kubek z wystygłą kawą, wylał ją facetowi na buty, uważając, by trzymać naczynie za sam brzeżek, po czym odstawił je na sąsiedni stolik.

- Nad barem jest kamera, która patrzy na ciebie. Mam twoje odciski palców - szepnął. - Wypierdalaj i myśl tylko o tym, że udało ci się przeżyć kolejny dzień.

Mężczyzna podniósł się bez pośpiechu, spojrzał przelotnie na buty, dłużej zatrzymał wzrok na twarzy Krzeptowskiego, po czym wyszedł z kawiarni. Gdy otworzył drzwi, kipiel zajrzała do środka, potem cofnęła się na ulicę.

Krzeptowski zawiązał filiżankę w serwetkę, wsadził do kieszeni i z powrotem usiadł na wprost Barbary. Zastanawiał się, dlaczego tak mało go obchodzi, kim był gładko ogolony facet w kosztownym garniturze.

- Nieważne - powiedział, choć Barbara milczała. - Mów dalej.

- Kto to był?

- Nieważne - powtórzył. - Nie będzie nam przeszkadzał.

- Ktoś nas śledzi?

- Chyba tak. Mów.

Zebrała się w sobie.

- Hakerów czasem udaje się znaleźć, bo są zbyt pewni siebie - powiedziała. - Na przykład zostawiają w aplikacji swoje zaszyte pseudo.

- Mieliśmy szczęście?

- Owszem. Ksywa „Laker”. Grupa FreiWelt.

- Grupa? Coś jak Anonymous?

- Tak, tyle że o innej orientacji.

- Jakaś konotacja polityczna?

- Są niezbyt znani i niezbyt liczni. Działają głównie w Niemczech. Włamali się do serwerów BND i opublikowali dane kilku agentów monitorujących ugrupowania salafickie.

- Słyszałem o tym. BND ich przycisnęło, jeden zwiął do Polski. Ceebeś go zawinał. To oni?

- To mi raczej wygląda na robotę na zlecenie.

- Musisz trochę zwolnić.

- Myślę, że zleceniodawca pochodzi stąd, jakoś namierzył FreiWelt i wynajął ich do stworzenia aplikacji podsłuchowej. Oni umieliby to zrobić.

- Do takich hakerów trudno dotrzeć.

- Tak. Musisz mieć kogoś, kto cię zarekomenduje.

- Możesz wokół nich trochę powęszyć? Poszukać jakichś powiązań?

Kiwnęła głową.

- Już to zrobiłam. Natrafiłam na informację, że finansuje ich niejaki Siergiej Gliszin, udziałowiec firmy GlobalOil.

- Rosjanin? Ropa naftowa?

- Mieszka w Niemczech, prowadzi biznes, poza tym szefuje organizacji o nazwie Grupa Hamburgska, zrzeszającej rosyjskich przedsiębiorców.

- Jeżeli powiesz, że głównym właścicielem GlobalOil jest Kreml, nie zdziwię się.

- Rosyjski rząd ma osiemdziesiąt procent, Gliszin dwadzieścia.

- I on finansuje tych hakerów?

- Takie chodzą plotki.

- Nie klei mi się. Żyje w Niemczech, musi mieć dobre układy z rządem. A hakerzy ujawniają tajemnice BND.

- Może tylko takie, które powinny zostać ujawnione. Może FreiWelt to ustawka.

Czemu nie? Widział nie takie ustawki. Wczorajsze sojusze dziś nie mają znaczenia. Pracujesz z tym, który ma kasę i wpływy. Ideologia służy tylko do werbunku pożytecznych idiotów.

- Tak czy inaczej, oni napisali program, przekazali komuś w Polsce, ten ktoś zmusił żonę Jakuba do montażu aplikacji w komórce Jakuba.

- Jesteś w stanie wyśledzić, kto odebrał w Polsce program?

- Nie. Ale sprawdziłam logi komórki Jakuba przez ostatnich kilka dni. Program kilkakrotnie transferował dane na serwer, którego nie mogę namierzyć.

- Program zrzucił to, co zarejestrował?
 - Owszem. Projektant przewidywał, że obciążanie dysku może zwrócić uwagę, z kolei transmisja online ma spore ograniczenia, na przykład z racji braku zasięgu.
 - No i co z tym serwerem?
 - Miałam mało czasu i jestem sama.
 - Nie musisz się tłumaczyć. Jak widzisz szanse?
 - Będę próbować. Mam jeszcze pracę.
 - Dam twoją pracę komuś innemu.
 - Mówi ci coś nazwisko Kluzik?
- Krzepkowski pogrzebał w pamięci.
- Gliniarz taki był chyba, kiedyś, w warszawskim cebeesiu.
 - Był, sprawdziłam. Zajmował się kradzieżami dzieł sztuki. Jakub do niego dzwonił, Kluzik dzwonił też do niego. Logi wskazują, że się spotkali wczoraj na blisko pół godziny.
- Krzepkowski wzruszył ramionami.
- W końcu wszyscy pracujemy w cebeesiu.
 - Kluzik jest od czterech lata na emeryturze.
 - To nadal nic nie znaczy.
 - Jakub zajmuje się samolotem i terrorystami. Po co traci czas na spotkanie się z emerytowanym gliniarzem, który specjalizował się w obrazach, wazach, rzeźbach i tym podobnych rzeczach?

Czy córka Zuzanny warta jest walki?

Czy można kochać obcą krew jak swoją?

Czy dziecko jest wartością samą w sobie, tylko dlatego, że jest dzieckiem?

Zastanawiała się nad tym, odkąd wstała. Opiekunka sugerowała, aby Lolek i Zosia zostali w domu, przedszkole znajdowało się jednak niedaleko, Helena wiedziała, że nie będzie w stanie znieść całodziennej nadaktywności syna, było jej wstyd, ale czuła się zbyt wyczerpana całonocnym biciem się z myślami, by się opierać wstydowni.

Oglądała pod światło każdy pomysł, nawet najdzikszy, z dociekliwością naukowca odkrywającego nieznaną bakterię. Nie odrzucała niczego z góry. Tknięta impulsem, bardziej z ciekawości niż realnej potrzeby, rozłożyła przed sobą dużą papierową mapę Europy. Z ekranu laptopa spoglądały widoki pełne słońca i błękitnego nieba. Zadzwoiła do agenta nieruchomości, którego polecił jej znajomy.

- Wie pan... - powiedziała, gdy już się przedstawiła, powołała na koneksje i przełknęła

odpowieź rozmówcy, złożoną głównie z wazeliny i przyprawiającej o mdłości słodyczy. Agent mógł mieć najwyżej trzydzieści lat; z jednej strony brzmiał, jakby od zawsze czekał na jej telefon, z drugiej starał się nadać swemu głosowi brzmienie rutyniarza z trzydziestoletnim stażem. - Zastanawiam się nad kupnem domu w Portugalii.

- Och, pani Heleno - wybuchnął entuzjazmem tamten. - Mamy bardzo wiele ofert...

- Faro - powiedziała Helena ze wzrokiem utkwionym w południowym krańcu Półwyspu Pirenejskiego. - Lub okolice.

- Fantastycznie...

- Warunek jest jeden: chcę z tarasu patrzeć na morze. Gdy wyjdę z domu, fale mają obmywać mi stopy. Nie życzę sobie żadnych ofert w rodzaju „tylko dwie minutki pieszo do plaży”, „morze jest tuż za drogą, ale ruch na niej niewielki” i tak dalej, rozumie pan? Dom na plaży. Nie musi być duży, ale okolica ma być całkowicie spokojna. Nie boję się remontu, byleby lokalizacja była dobra. Aha, basen, proszę nie zapomnieć o basenie. I drewnianym tarasie. Mogę na ten cel przeznaczyć milion euro. Da pan radę coś dla mnie wyszukać w tej cenie?

Rozmowa poprawiła jej humor. Od jakiegoś czasu zastanawiała się nad wyjazdem, nie na stałe, na jakiś czas, kilka miesięcy w roku. Niewiele ją tu trzymało, rodzice zmarli przed trzema laty, jakieś dalekie kuzynki były tylko namiastką rodziny. Malować można wszędzie, Lester, zamiast do Warszawy, równie dobrze mógł przyjeżdżać do Portugalii. Już dawno doszła do wniosku, że chciałaby pić kawę na tarasie, patrząc na Atlantyck. Lubiła szum fal. Zwłaszcza w październiku, gdy Warszawa umiera, gnijąc od wilgoci.

W Warszawie zostałyby Zuzanna, Jakub i kobieta o sterczących cyckach.

Byłaby sama. W Portugalii, Chinach, gdziekolwiek. Zabrałaby ze sobą Lolka, to jasne. Czy Zosię również? Bezradny, ważący czterdzieści kilogramów, opakowany w skórę zbiór nieświadomych niczego komórek? Dziewczynka nie umiała odpłacić za opiekę, nie potrafiła niczego dać. Wymagała uwagi, nie obdzielając uwagą otoczenia. Była z obcej krwi: Zuzanny i zbira, który ją zgwałcił. Wzięcie jej pod opiekę było odruchem, zobowiązaniem, jakimś rodzajem zadośćuczynienia. Helena przypomniała sobie spojrzenie urzędniczki z Wydziału Spraw Rodzinnych i zacisnęła usta. Już za samo takie spojrzenie powinna wyjechać z obojgiem dzieci, a potem wziąć adwokata i podać urząd do sądu, dla zasady, dla niezgody, dla poczucia estetyki.

Tylko co to ma wspólnego z Zosią?

Uświadomiła sobie, że obecność dziewczynki ma sens w Warszawie, kiedy Jakub jest na bliskiej orbicie. Dziecko stanowi rodzaj dialogu z przeznaczeniem ich obojga. Dobrze

pamiętała jego minę, gdy powiedziała mu o Zosi, a on w pierwszym odruchu, bez zastanowienia zakomunikował, że chce się nią zaopiekować. Właśnie on, mężczyzna, który do dzieci miał stosunek życzliwy, ale raczej z pozycji obserwatora, nie uczestnika. Zabiłem jej matkę, nieważne kim była. Dziewczynka nie ma nikogo. To prosty wybór. Nie wypowiedział tych słów na głos, nie musiał. To był czas, kiedy rozumieli się, milcząc. Poparła jego decyzję, długo uważała ją za swoją. Pewnego dnia opiekunka zachorowała. Helena przez tydzień była z Zosią sama. Robiła przy niej wszystko, co trzeba, kruchość bezradnego ciała wzruszała ją, fizjologia nie bardzo. Gdy musiała czwarty raz zmienić pieluchę, uświadomiła sobie, że tak będzie do końca życia. Nigdy już się od tego nie uwolni, chyba że los, opatrność lub Bóg ześle na dziewczynkę śmiertelną chorobę. Zaraz potem poczuła się obrzydliwie, ale - często tak bywa - myśl nijak nie chciała się rozplątać w niebycie. Wracała w nieoczekiwanych momentach, Zosia trwała, obojętna i daleka, choroby się jej nie imaly, dzień za dniem biegł, wypełniony codziennymi czynnościami. Za pieniądze można kupić wszystko, także życzliwą, fachową opiekę na pełen etat, więc Helena kupowała ją, suto opłacając opiekunki, fizjoterapeutów, specjalistów od terapii sensorycznej. Nie sądziła, by w Portugalii rzecz miała się inaczej.

Co nie oznacza, że opieka cokolwiek załatwia na dłuższą metę.

Miała jednak wyjechać i zostawić dziecko Jakubowi? Chciał go, to prawda, nie było jednak mowy, że będzie się z nim borykał samotnie. Czyby sobie poradził?

A czy ona poradzi sobie bez niego?

Biegający do ust kieliszek wina zastygł w połowie drogi. Dlaczego pomyślała o tym po raz pierwszy? Dlaczego zachowuje się jak rozhisteryzowana idiotka, która dostaje spazmów na wieść, że jej telewizyjny idol zaczął spotykać się z top modelką? Dlaczego odczuwa gniew, strach, upokorzenie zamiast myśleć? Bo jest twórcą? Bo rozumuje za pomocą barw i perspektywy? Bzdury. Uważała się za racjonalną osobę, nie bez słuszności.

Męski głos szantażował ją, wydobył z przeszłości zatęchłe grzechy, zmusił do działania. Jakub zdradził, ona zdradziła dwukrotnie, bo przecież montaż programu był zdradą, w dosłownym sensie. Przez męski głos? Była wściekła, chciała zemsty, tej nocy manipulowała przy komórce Jakuba, słysząc dobiegający z kanapy jego oddech, miała moc, by zabijać. Czy to się nie nazywa przeniesienie? Swoje poczucie winy przeniosła na męża, miała idealny pretekst. Potem czuła zadowolenie, obrzydliwe, śliskie, bardzo prawdziwe. Szybko zniknęło, nie mogła jednak go zapomnieć. Teraz je rozumiała. Od dawna potrzebowała pretekstu, by się uwolnić. Każde spojrzenie na Zosię przypominało Zuzannę, jej twarz, ciało, palce, usta. Musiała doprowadzić do małżeńskiego remisu, wina powinna rozkładać się w równych

proporcjach.

Tak.

Kieliszek powędrował do ust, wino odzyskało smak, kobieta o sterczących cyckach zniknęła we mgle. Helena mogła zacząć przywracać równowagę.

Zaczęła od strzaskania młotkiem komórki, którą przysłał jej Głos. Robiła to z dziką satysfakcją. Fakt, że najprawdopodobniej utrudni śledztwo Krzeptowskiemu, jakoś nie miał dla niej znaczenia.

Kika jak zwykle umiała dobrać odpowiednie słowa i użyć przez lata wypracowanych wpływów w mediach. Komunikat ujrzał światło dzienne o dziesiątej; nadały go, w tej czy innej formie, wszystkie ważniejsze telewizje, stacje radiowe, portale. Wkrótce potem rozdzwoniły się telefony. Większość informacji była po prostu dziełem wariatów i ludzi szukających rozgłosu. Poza tym codzienność: dziennikarze dobijali się o informacje. Politycy szukali okazji do awantury. Pogoda postanowiła zgnieść życie pod naporem ciśnienia.

Kwadrans później do Biura weszli dwaj ludzie i zażądali rozmowy z dyrektorem w sprawie niezwiązanej z komunikatem. Na obu garnitury leżały z urzędową sztucznością. Prokurator Kalec miał czterdzieści lat i rozlaną figurę amerykańskiego emeryta; ciągnęła się za nim opinia idealnie teflonowego lawiranta, służącemu wiernie każdemu układowi. Był niegłupi, obszerne zakola i okulary podkreślały pozę prawniczego intelektualisty. Młodszy inspektor Berdych pełnił funkcję zastępcy dyrektora policyjnego Biura Spraw Wewnętrznych. Jego ranga świadczyła, że ktoś uważał robotę wykonywaną przez Jakuba za godną uznania. W innym wypadku przyszedłby kierownik sekcji wydziału warszawskiego w stopniu podkomisarza.

Obaj mieli za zadanie go ukrzyżować.

Tyszkiewicz wpadł na to od razu, choć skoncentrowany był głównie na wsłuchiwanie się w sygnały płynące z organizmu, komunikaty wysyłane przez ściany, meble, ekrany telewizorów i komputerów. Miał kłopoty z błędnikiem, wyobrażał sobie zimny haust finlandii, choć absolut serwowany w drinku przez Marię też był niczego sobie. Fale niskiego ciśnienia przygniatały go do podłogi, magma za oknem przygnębiała, diagnozował w sobie coraz to inne stany, każdy ocierający się o pilną potrzebę konsultacji psychiatrycznej. Widok marsowych min gości wywołał nieoczekiwany przyływ wesołości; włożył sporo wysiłku, by nie wybuchnąć śmiechem, zachował przytomność jeszcze na tyle, by o tym pamiętać.

Berdych zachowywał powściągliwość, Kalec nawet nie krył swych intencji. Jakub zgadł, że był już najwyraźniej dogadany z nowymi panami. „Nie czynię sobie bynajmniej

wyrzutów, że służyłem wszystkim reżymom począwszy od Dyrektoriatu aż do chwili, kiedy piszę te słowa, gdyż postanowiłem służyć Francji, a nie jej reżymom”, zapisał Talleyrand w testamencie. Stary cynik tylko ujął w słowa to, co do dziś stanowi naczelną zasadę przetrwania w świecie polityki. Kalec, choć Jakub nie podejrzewał go o choćby przybliżoną znajomość dorobku księcia de Talleyrand-Périgord, mógłby tę maksymę wypisać sobie na sztandarze - pasowała do niego jak stara piżama.

- To są bardzo poważne oskarżenia, panie podinspektorze - ciągnął prokurator. Byli w gabinecie Tyszkiewicza od kwadransu, zdążyli zasiąść przy stoliku, wypić kawę i przedstawić w zarysie, z czym przyszli. Dzień stanął w miejscu, wieczór był równie daleko co Droga Mleczna. Jakub właściwie dopiero teraz zaczął ich słuchać.

- Jeśli się potwierdzą - odparował Jakub.

- No cóż, świadkowie...

- Jeden świadek, stronnicy, mający do mnie osobisty uraz za zwolnienie dyscyplinarne - nie dał mu skończyć Tyszkiewicz. Kika zdążyła mu streścić program Sendeckiej. Wiedział, że atak nastąpi, nie spodziewał się, że tak szybko. - Pan wie, za co go zwolniłem?

Kalec lekko się zarumienił, Berdych podniósł dłoń.

- Musimy ustalić fakty - powiedział.

- Naprawdę?

- Nie musi pan ironizować - stwierdził facet z wewnętrznego. On również miał niezagrożoną posadę. Posiadał umiejętność robienia swojej roboty, nie narażając się specjalnie, co w jego fachu graniczyło z cudem. Niewygodnym sprawom ukręcał łeb tak, by nie budziło to niczyich wątpliwości.

Jakub pomyślał, że oni naprawdę potrafią ugryźć. Cios i tak nadejdzie. Równie dobrze mogą go zadać ci dwaj - albo nie, zależnie od tego, czy przestanie się stawiać, a zacznie myśleć.

- Przepraszam - powiedział. - Chodzi o to, że Cieński ma do mnie żal. Jednak sprawa jego zwolnienia była badana przez waszych ludzi. Nie dopatrzyliście się uchybień.

- Nie chodzi o to, czy Cieński został zwolniony słusznie czy nie. Chodzi o rzeczy, które panu zarzuca.

- To tylko słowa stronniczego świadka.

- Czyżby? - zapytał teatralnie Kalec. Sięgnął do skórzanej teczki stojącej obok krzesła. Plik papierów był gruby. - Mam tu pochodzące z dwa tysiące jedenastego roku wyniki obdukcji lekarskiej niejakiego Zygmunta Wieszczyckiego. Miał oparzenia trzeciego stopnia znacznej części powierzchni ciała. Jego adwokat twierdzi, że torturował pan go, żeby

wydobyć zeznania na temat miejsca przebywania pańskiej żony, którą jego klient rzekomo porwał i uwięził.

Jakub zbyt długo trzymał oczy zamknięte. Niebo za oknem istniało gdzieś w kosmosie, na ziemi go nie było. Biel kojarzy się z niewinnością. Dziś piekło było białe.

- Nie „rzekomo” - wycedził. Czuł się bezradny. Dlaczego nie umie lepiej udawać? - Porwał i uwięził. Między innymi za to jeszcze posiedzi piętnaście lat.

- Torturował go pan?

- Nie.

Kalec uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Idźmy dalej. Rok dwa tysiące dwunasty, Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej. Pańscy funkcjonariusze schwytali niejakiego Mahmuda Saleha, który próbował dokonać ataku samobójczego przez Dworcem Centralnym. Kazał pan zawieźć do Biura i tam niejaka... - znowu pełne namaszczenia zerknięcie w papiery - ...Małgorzata Potocka zastosowała wobec podejrzanego niedozwolone środki przymusu bezpośredniego, jak bicie, pozbawianie snu i posiłku, znęcanie się psychiczne.

- Katarzyna.

- Słucham?

- Ona miała na imię Katarzyna. Katarzyna Maria Potocka.

- Ach tak.

Milczenie. Berdych udawał brak zainteresowania. Nie wyglądał na gliniarza. Miał profesorską bródkę, w oczach wyraz dobrodusznego zatroskania, kropki łupieżu na marynarce. Jakub z pewnością nie mógł na niego liczyć.

- Rzeczywiście, Katarzyna. Nie zmienia to faktu, że nie była pańskim pracownikiem, a pan wpuścił ją na teren swojej jednostki i pozwolił na przesłuchanie więźnia, co, pomijając tortury, nie miało żadnego umocowania prawnego.

- Była oficerem ABW. Współpracowaliśmy.

- Nie sądzę. - Kalec zamachał papierami. - Liczne zeznania oficerów agencji świadczą o czymś dokładnie przeciwnym. Zatajał pan informacje, pański oficer, niejaki Stanisław Krzeptowski, zdekonspirował prowadzonego przez ABW agenta i o mało nie wywołał strzelaniny z pracownikami ABW. Pan wie, że jako przełożony pan za to wszystko odpowiada?

Niejaki, niejaki, niejaki. Słowo klucz do sukcesu, podpowiadały meble.

- Zatajałem informacje?

- Nie robił pan tego?

Miał mówić, że było odwrotnie? Zresztą odechciało mu się. Nie miało znaczenia, co powie. Już był osądzony i skazany. Ci ludzie przyszli zakomunikować mu o wyroku.

- Coś jeszcze? - zapytał.

- Spiesz się panu?

Miał ochotę wrazić pięść wprost w kretyński uśmiezek prokuratora. Walczył z mrowieniem w szczękach. Kiedyś widział się takim w lustrze. Żył na szyi nabrzmiąły niczym sine sznurki. Usta zaciskały się bez udziału woli. Policzki pobladły.

Teraz było gorzej.

Berdych ocknął się. Musiał coś zauważyć.

- Po prostu chcemy poznać pańską wersję - powiedział.

- Nie mam nic do powiedzenia.

Kalec nie słuchał.

- Dowodził pan podczas akcji w Bornem Sulnowie...

Jakub wstał. Stolik przewrócił się wprost na kolana prokuratora. Berdych zerwał się również.

- Do widzenia - powiedział Tyszkiewicz cicho.

Kalec odtrącił stolik, wyprostował się i zrobił krok do przodu, po czym zatrzymał się. Jakub nie ruszał się, stał z rękoma wzdłuż ciała, sztywny, napięty.

- Jeszcze nie skończyliśmy.

- Jeżeli nie wyjedziecie, każę swoim ludziom was wyprowadzić.

Kalec medytował przez chwilę, zmarszczył nawet nos w wysiłku. Berdych sprawiał wrażenie przyzwoitki, której dani w opiekę młodzi zaczęli publicznie uprawiać seks.

- Tak czy inaczej dokończymy tę rozmowę - powiedział prokurator.

Wyszli bez pożegnania. Jakub usiadł za biurkiem i zamknął oczy.

Wyciągnął komórkę, wybrał numer Heleny.

- Cześć - powiedział, gdy odebrała połączenie. - Chciałbym się spotkać.

- I co dalej?

- Ty mi powiedz.

Przez dłuższą chwilę proponowała tylko ciszę.

- Nawet nie powiedziałaś mi, o co chodzi.

- Powinieneś wiedzieć.

- Nie.

- Przypomnij sobie przedostatnią noc.

Zastygł. Niemożliwe, żeby wiedziała.

Maria nie powiedziała niczego. Raczej.

Więc co? Podłuch? Kalejdoskop zatrząsał się, kolory i obrazy popłynęły we wszystkie strony, potem ułożyły się w większą całość. Powinien zacząć myśleć. Powinien zarzucić prywatne krucjaty i w końcu nauczyć się siedzieć cicho.

Zaczął warczeć telefon na biurku. Nie mógł go zignorować.

- Przypomniałem sobie - powiedział. - Chcę się spotkać.

- Zadzwoń wieczorem.

Jakoś miękko to zabrzmiało, nie najgorzej. Położył komórkę na biurku. Choć nie powinien, zaczął się uśmiechać. Dwa ostatnie słowa Heleny śpiewały mu w uszach.

Słuchawka stacjonarnej była zimna.

- Wiceminister chce pana widzieć - poinformowała sekretarka. - Teraz, zaraz.

Uśmiech nie zniknął, choć stał się bledszy.

- Dlaczego puściłeś ten policyjny komunikat? - zapytał Sebastian Pieniążek.

- Wszyscy puścili. - Wzruszył ramionami Holt na użytek Sendeckiej, która siedziała naprzeciwko, demonstrując odkryte do połowy ud nogi. - Nie powinniśmy rozmawiać o tym przez telefon.

- Po pierwsze przez ten akurat telefon możemy rozmawiać swobodnie. Poza tym nic na zewnątrz nie widać. Jechałbyś do nas dwie godziny.

- Wszyscy puścili - powtórzył Holt. - Przygotowuję program, w którym powiemy, co trzeba.

Sendeka wyszczerzyła zęby, choć nie słyszała rozmówcy ani nie wiedziała, po co tu siedzi. Miała na głowie program i mało czasu.

- Wieczorem będzie za późno. - Pieniążek nigdy nie podnosił głosu ani nie okazywał irytacji. Holt umiał czytać wprost z jego słów.

- Nie będziemy czekać do wieczora, wieczorem Beata po prostu objaśni wszystko szeroko. Pierwsze hedlajny pójda za dziesięć minut. Mam przed nosem artykuł na jedynekę, który pójdzie za kwadrans. Wszyscy szerują nasze treści, nikt się nie przebije z żadnymi wyjaśnieniami. Przekaz będzie jeden.

- Mimo wszystko nie powinniście dawać komunikatu.

- Zrozumiałem.

- Mam nadzieję.

Pożegnanie było zbędne. Holt odłożył telefon.

- Pretensje o komunikat? - zapytała Sendeka.

- Nieważne.

- Ma rację.

- Ma. - Wzruszył ramionami Holt. - Tyle że nie rozumie, że od czasu do czasu musimy udawać zbilansowanych. Współpraca z władzami też się dobrze sprzedaje.

- Z tymi władzami? - zaśmiała się drwiąco.

- Nasz widz nie jest taki głupi. Myśli, że skoro jesteśmy przeciwnikami tej władzy, a pomimo to zapraszamy ją do studia, pozwalamy wygłaszać swoje opinie, a czasami dajemy komunikaty, musimy być obiektywni, nie ma innej opcji. Per saldo się opłaci.

- Spiesz mi się - mruknęła. Teoria ją nudziła, biznes ją nudził, jej ogniem była walka na froncie dziennikarstwa tożsamościowego. - Oderwałś mnie od roboty, mów.

- Chcę, żebyś nadzorowała dzisiejszy przekaz. Żeby żadne pierdnięcie nie poszło bez twojej zgody.

Sendecka zmarszczyła brwi.

- Kochany, nie jestem już wydawcą od wielu lat.

- Nie chcę cię jako wydawcy. Będziesz szefem.

Nie zdołała opanować twarzy. Botoks zanurzył mięśnie w melasie i spowolnił reakcje, ale zdziwienie było zbyt duże, by je ukryć, nawet gdyby się bardziej starała. Nigdy nie prosiła, by ją awansował. I tak pociągała za sznurki, a pieniędzy miała tyle, że już pięć lat temu mogła zacząć żyć wyłącznie z odsetek.

- Na dziś, jutro, może pojutrze - kontynuował Holt. - Podobno prezydent ma wieczorem ogłosić, że pierwsze posiedzenie sejmu odbędzie się w poniedziałek. Będzie nowy rząd, kryzys minie, wrócisz na stare śmieci.

- Przecież posiedzenie sejmu jest już dawno ustalone gdzieś na początek listopada - zaprotestowała.

- Sytuacja się zmieniła.

- Kurwa, może ja bym się jednak dowiadywała o takich rzeczach przed innymi, co? - krzyknęła. Holt potrafił ją wyprowadzać z równowagi jak nikt.

- Dowiadujesz się ode mnie - warknął. Uspokoila się, podparła na drugim łokciu, zamrugła, usta złożyła w ryjek, Holt to lubił.

- Więc w poniedziałek mamy nowy rząd, który podpisze porozumienie z Amerykanami - powiedziała, ignorując fakt, że chciał jej dać władzę tylko na dwa dni. Docenił to.

- Zobaczmy, czy podpisze. Motyw jest taki... - kiwnął głową Holt - ...traktat zawiera bardzo wiele ostrych sformułowań, a także zobowiązań ze strony Polski, które budzą duży niepokój naszych sojuszników i partnerów z Unii. Polskie władze będą dążyły do

wypracowania kompromisu.

- Kompromis - cmoknęła Sendecka, jakby ssała cukierka. Ulubione słowo Polaków, na którym wygrywa się wybory, buduje kariery i imperia.

- Mający zarówno zadowolić naszych partnerów zachodnich, jak i sąsiada ze Wschodu.

- Ryzykowne.

- Nie. Badania wykazują, że nasz target myśli o Rosji albo obojętnie, albo chce porozumienia.

- Jak się kretynów zapyta, to tak odpowiadają.

- Co cię obchodzi, kto odpowiada? - odparł Holt. - Badanie jest rzetelne. Dajemy to, co chce usłyszeć nasz target, trzymamy oglądalność, zestawienia i słupki wyglądają dobrze, nasi partnerzy biznesowi chcą mi robić laskę, mamy, co chcemy.

Sendecka skrzywiła się. Holt czasami ciągał ją na spotkania, na których stare pierniki albo młodzi metroseksualiści interesowali się, czy zainwestowane przez nich miliardy są bezpieczne. Holt był zawsze świetnie przygotowany, sypał danymi, zestawieniami, zasięgami, preferencjami, sympatiami politycznymi w rozbiciu na kategorie wiekowe. Ją te spotkania śmiertelnie nudziły, ale była na nich traktowana jako swego rodzaju weksel in blanco, przez obie zresztą strony. Godziła się z tym, cena była niewielka, raz jeden ze starszych próbował zaciągnąć ją do łóżka, co finalnie okazało się tak żalosne, że chciało jej się śmiać. Koszt za królewski kontrakt, na świecie ludziom bywa gorzej.

- I proponowanie przez policję dilu potencjalnym zabójcom ruskiego ministra podważa naszą wiarygodność - ciągnęła Sendecka.

- Nie mogę już patrzeć na to białe gówno. - Holt wstał i podszedł do okna, po czym zaciągnął zasłonę. Pociemniało, ale tylko na chwilę. Światło lamp sypnęło im w twarze sztucznym optymizmem. - Dostaję od tego nadkwasoty.

- Jutro ma być lepiej - oświadczyła Sendecka. - Kurwadynka mówiła.

Holt skrzywił się. Firmowa pogodynka Jolanta Cielebąk już dawno zmieniła nazwisko na Carmen Volta, ale nikt oprócz niej go nie używał. Wszyscy nazywali ją Kurwadynką. Holt przeleciał ją jako pierwszy, tego samego dnia, w którym dział human resources podpisał z nią umowę o pracę. W łóżku była zbyt egzaltowana i okropnie krzyczała, najprawdopodobniej myśląc, że gra w filmie; nigdy już nie powtórzył tego błędu. Ale wielu dyrektorom i wydawcom się podobała, a ona nie miała jednego wzorca męskiej urody. Widzowie ją lubili, bo umiała się ślicznie uśmiechać.

- Zawsze ma być lepiej jutro - burknął. Nieraz się zastanawiał, co powie rada nadzorcza, gdy Sendecka pewnego dnia sprzeda firmową kuchnię koncernu i stanie się naprawdę bogata.

Dziwił się, czemu jeszcze tego nie zrobiła. Nawet przegrany proces byłby jej sukcesem.

- Poważnie. Jutro ma być słońce, a deszcz dopiero w przyszłym tygodniu. Co dalej?

Holt zerknął na ekran komputera.

- Po kolei. Zanim zaczniesz podsmażać Tyszkiewicza i jego dil z Parsakiem i Haładojem, musisz wyeksponować tego ruskiego ministra. Wybij, że zawsze był dla nas życzliwy. Że wyciągał rękę do zgody i takie tam. Jest kilka publicznych wypowiedzi na ten temat.

- Każę poszukać w archiwum.

- Daj, że Rosjanie odwołali manewry na Białorusi.

- W geście dobrej woli.

- Dokładnie. W tej sytuacji rozumiemy oburzenie zamachem strony rosyjskiej. Rozumiemy ich potrzebę przeprowadzenia rzetelnego, dokładnego śledztwa.

- Zestawimy to z Marszem Narodowym. - Sendecka zaczęła zapalać się do pomysłu. Przez następne dwie doby nie będzie spała nawet godziny, poza wizją przebierze się w dres, każe sobie zmyć makeup, wypije dziesięć litrów kawy. I poczuje, że żyje. - Pamiętam nawet takie dobre foty z jakiejś demonstracji, kiedy kibole z Marszu rozpendzili oddział OMON-u, a Bogdanowicz wrzeszczał, że Ukraina będzie w końcu czysta od ruskiej zarazy.

- No. I dopiero wtedy daj dil Tyszkiewicza.

- Sprzeczny z polską racją stanu.

- Pawłowskiego w prajmie.

- Na żywo.

Sendecka wstała. Na policzki wypełził zdrowy rumieniec.

- Będziemy jechać cały czas na żywo, jakbyśmy, kurwa, relacjonowali jakiś Wyścig Pokoju - oznajmiła.

- Tylko nie przesadz z analogiami. Jesteśmy nowocześni, nie patrzymy wstecz.

- Poważnie, Jasiu?

Uśmiechnęli się jak para kochanków odkrywających uroki swych nastoletnich ciał.

- Jest jeden niuans - mruknął.

- Dobrze, że jeden.

- Ta jebana mgła. Wejścia w terenie odpadają...

Sendecka zgasiła światło i podeszła do niego. Blisko. Wyciągnęła dłoń.

- Lubisz horrory? - zapytała. - Twojego fiuta trzyma w ręku najlepsza reżyserka horrorów na świecie, Jasiu.

Tyszkiewicz usiadł w fotelu. W gabinecie było zbyt gorąco jak na koszulę i marynarkę. Wiceminister miał plamy potu pod pachami. Na biurku stały trzy puste szklanki po herbacie i rozgrzany do czerwoności laptop. Ministerstwo przypominało ul. Część pszczoł stukała w klawiatury, część szykowała się do odlotu, pozostałe udawały śmierć z przepracowania. Ponoć nowa miotła miała mieść naprawdę głęboko. Jakub, nim doszedł do gabinetu, dwukrotnie wpadł na stojące w korytarzu kartony. Tuż przed drzwiami staranowali go faceci niosący obity skórą fotel.

Wiceminister stanął przed Tyszkiewiczem.

- Powiem panu, jaka jest sytuacja - zagaił. Nie zaproponował nic do picia. Miał chyba niewiele czasu. - Rosjanie wycofują ambasadora na konsultacje. Tyle, jeśli chodzi o emeszet. Na naszym poziomie właśnie pożegnałem pułkownika Kalinina. Prywatnie powiedział mi, że mu przykro i że osobiście jest zwolennikiem wspólnego śledztwa. Ale nie dyskutował z rozkazami. Moskwa składa votum separatum. Poprowadzą swoje dochodzenie. Wynik mogę panu teraz ogłosić.

Jakub miał szczerą nadzieję, że jego zwierzchnik potraktuje go jak głupca.

- Rozumiem. W ciągu pięciu minut znajdzie pan na biurku moją dymisję.

Urzędnik zamachał dłońmi, jakby odganiał się od komarów. Był młody, miał za sobą efektowną karierę, przez wiele lat traktowano go jako nową nadzieję partii. Teraz nie mógł dodzwonić się do żadnego z dawnych sojuszników. Tyszkiewicz podejrzewał, że facet zbyt wiele czasu poświęcał pracy, a za mało myślał o zabezpieczeniu tyłów.

- Niech pan nie udaje idioty, panie podinspektorze - warknął.

- Nie rozumiem - brnął Jakub.

- Szkoda czasu na pierdoły. Dostałem wolną rękę od premiera, jeśli chodzi o ocenę pańskiego postępowania. Po co mi pańska dymisja?

Tyszkiewicz milczał. Lepiej byłoby, gdyby wyleciał z tego gabinetu z naganą. Niestety urzędnik dobrze to rozumiał. Wszyscy mieli utonąć razem.

- Szczerze mówiąc, zgadzam się z panem - wyznał nieoczekiwanie wiceminister. - Rosjanom jest bardzo na rękę, że to ekstremiści z Marszu Narodowego zestrzelili samolot. Śledztwo poszło gładko i wykazało, co trzeba. Jakoś nikt nie zastanawiał się, jakim cudem do Polski, kraju należącego do NATO, przemycono dwie rakiety przeciwlotnicze. Że Marsz Narodowy jest za cienki, żeby uzyskać dokładną godzinę lądowania i koordynaty pasa nalotu rządowego samolotu.

- Cebees sprawdzał wszystkie osoby posiadające takie informacje - wtrącił Tyszkiewicz. - Na razie niczego nie znaleziono.

- Przeciek był, tylko na razie nie wiemy gdzie.

- Mógł być u Rosjan.

- Oczywiście. Tego się nigdy nie dowiemy.

Tyszkiewicz nagle zaczął słuchać uważniej. Niepotrzebnie lekcewał tego faceta.

- Co pan sugeruje? - zapytał.

Wiceminister zatrzymał się, wziął krzesło, ustawił jej oparciem w stronę gościa i usiadł. Jakub kiedyś bawił się tak w Indian i kowboi. Byli blisko siebie.

- Mógłbym zbyć to pytanie, odwrócić je, kazać mówić panu. Ale szkoda czasu. Uważam, że wszystko poszło tak, jak miało pójść. Szybkie wykrycie sprawców, ekstremistów z Ukrainy, których wszyscy nienawidzą i się boją, nowy rząd ma wyrzuty sumienia, chce jakoś zadośćuczynić Rosjanom, a na pewno nie dąży do zaognienia sytuacji. Więc zmiękcza porozumienie z Amerykanami albo w ogóle z niego rezygnuje. Rosjanie dają się przebłagać i może nawet wpuszczają do siebie nasze jabłka i cielęcinę. My nie mamy amerykańskiej tarczy, ale za to mamy święty spokój, Niemcy są zadowoleni, Rosjanie są zadowoleni, wszyscy są wygrani. Pan swoim komunikatem spierdolił im ten plan.

- Im? - zapytał Jakub. Był autentycznie zaniepokojony, a przy tym czuł się jak krety. Znał tego człowieka od kilku lat i całkowicie błędnie go oceniał. W okno uderzył wróbel. Spadł na parapet i bezradnie machał skrzydełkami. Wyglądał żałośnie, jak ślepiec pośrodku ruchliwej ulicy. Wiatr dmuchnął, wróbel zniknął.

- Nie mam na myśli nikogo konkretnego, ale jakiś ośrodek decyzyjny tym wszystkim steruje, jestem o tym przekonany. Tu, na Wschodzie, na Zachodzie, nie wiem.

- Po co?

- Właśnie po to. Żeby Amerykanie zobaczyli, że mamy burdel, którego nie tylko nie potrafimy sprzątnąć, ale nawet nie zdajemy sobie z niego sprawy. Że jeżeli przez naszą granicę można przemycić Stingera, to można wszystko. Wczorajszy program Sendeckiej pan widział?

- Opowiedziano mi najważniejsze tezy.

- Atak na pana jest tylko częścią planu. W rzeczywistości jest wielopoziomowy. Zna pan wyniki wyborów?

Próbował się doszukać w tych słowach tricku, bez powodzenia. Myślał to samo, co tymczasowy szef jego szefa. To było niebezpieczne.

- Bez przesady. Macie w ręku komisję wyborczą. Nikt nie dopatrzył się oszustw.

- Odwrotnie. Wszystko było transparentne. Przegraliśmy uczciwie.

- No więc?

- Że atak jest cwańszy, mniej go widać, i tym lepsze osiąga skutki.

- Nie znam się, ale wydaje mi się, że tak wygląda demokracja.

- Panie Jakubie, mówiłem, szkoda czasu. Jestem po pańskiej stronie. Demokratyczny jest proces głosowania, ale to, co ludziom się wkłada do głów, przypomina gwałt zbiorowy za pomocą kija owiniętego drutem kolczastym. Niech mi pan wierzy, zaraz na początku służby powołałem zespół analityczny, który monitorował ruch w sieci i wiodących mediach. Tam są szablony i schematy, jak w szachach. I rosnący ruch na zagranicznych serwerach.

- Tamci, jak przegrali wybory parę lat temu, zdaje się, mówili to samo o was.

- Mieli rację. Ale my przy nich byliśmy skautami, z pomysłami, ale za to bez kasy i wpływów.

- Pogadaliśmy sobie - powiedział Tyszkiewicz. - Co właściwie mi pan proponuje? Lub każe?

- Niech pan robi swoje.

- Jeżeli prawdą jest to, co słyszę, we wtorek rano obaj zostaniemy odwołani.

- Do wtorku może zdążyć pan wykryć prawdę i puścić ją w świat.

- Po co?

- Po co komu prawda?

Jakub wzruszył ramionami.

- Wycofanie ambasadora to tylko krok od wojny. Dam im pretekst.

- Nie może być tak, że wolno wszystko.

- Że wolno wszystko tylko naszej stronie.

- Ejże. My pilnowaliśmy reguł.

- Nie ma żadnych nas. Nie jestem po waszej stronie.

- Wiem. Dlatego jest szansa, że panu się uda.

- Co dostanę w zamian?

- Ochronę przez kilka dni. A potem moje towarzystwo na szafocie.

- Uczciwe.

Mocno uścisnęli sobie dłonie.

Krzepkowski stał pod typowym blokiem, jakich pełno na Rakowcu, i dyszał. Przeszedł zaledwie kilka kilometrów, ale czuł się jak po maratonie. Początkowo próbował jechać samochodem; po trzech minutach stracił poczucie kierunku, zjechał z jezdni i uderzył w metalowy słupek. Więcej nie ryzykował; zostawił auto na poboczu. Marsz był trudny, oczy oklejone białym blokiem, zmysł słuchu zawodził, nawet błędnik zachowywał się jak zepsuta

busola. Dwie godziny ciągnęły się jak guma, każdy krok sporo kosztował, choć przecież to była tylko mgła, drobinki wody, nic więcej.

Jakoś udało mu się dojść i znaleźć adres, spod bloku zadzwonił pod numer, który dała mu Barbara, nikt się nie zgłosił. Spróbował ponownie, z tym samym skutkiem. Facet musiał być w domu, bo Rakoczy namierzyła jego telefon. Odszukał właściwą klatkę schodową, domofon dzwonił długo i przeraźliwie, bez specjalnego skutku. Nacisnął trzy inne guziki, rozległ się brzęczyk, zamek odskoczył, Krzeptowski wszedł do klatki, zapalił światło, raptownie odzyskał wzrok i słuch; było to dojmujące doznanie. Przez chwilę stał, czekając, by przestało mu się kręcić w głowie, a zwykłe dźwięki dochodzące zza drzwi nie brzmiały jak wystrzały.

Powoli wszedł na piętro. Drzwi był nowe, obite blachą. Dwa kosztowne zamki. Wizjer. Cisza.

Zapukał, odpowiedziało mu miauczenie kota gdzieś w piwnicy. Zapukał ponownie. Kot zamilkł. Krzeptowski wyciągnął komórkę, jeszcze raz wybrał numer Kluzika i przytknął drugie ucho do drzwi. Wewnątrz mieszkania było cicho, w słuchawce zgłosiła się poczta głosowa. Nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły bez skrzypnięcia.

Schował się za framugą, wyjął Glocka, znajomy kształt dodał pewności siebie, dwa zapasowe magazynki obciążały pas. Ciało wskoczyło w stare tory odruchów: zajrzał do środka ostrożnie, na raty, stopniowo poszerzając pole widzenia, z lufą wysuniętą do przodu. Przedpokoik miał nie więcej niż metr szerokości, z czego połowę zajmowały powieszony na wieszaku płaszcze. Boazeria pokrywała ściany do sufitu. Mdłe światło, bezruch, zastały zapach z dawna nieotwieranych okien. Na górze coś stuknęło, w piwnicy kot podjął swój molowy koncert. Krok, podłoga zaskrzypiała cicho, drugi krok, lufa wyżej, po prawej mikroskopijna kuchenka, zadziwiająco czysta jak na kawalerskie gospodarstwo. Po lewej sypialnia. Drzwi otwarte.

Rzut oka na łóżko.

Sprawdzenie saloniku było formalnością. Telewizor na ścianie, stół z krzesłami, meblościanka zapchana książkami. Pod oknem stało biurko z czarnym blatem. Czysty prostokąt odcinał się wyraźną plamą od pokrytej kurzem reszty.

Krzeptowski wrócił do sypialni i pochylił się nad łóżkiem. Przez chwilę przyglądał się uważnie człowiekowi, który na nim leżał. Potem wyjął telefon.

- Cześć, Staszek - powiedział po drugiej stronie połączenia Wandycz. - Słyszałem o Jadwidze. Szczere kondolencje.

- Dziękuję - odparł Krzeptowski. Znał komisarza Wojciecha Wandycza, odkąd zaczął

pracować w policji. Przez dwa lata siedzieli biurko w biurko. Potem Krzeptowski odszedł do BZT, Wandycz został w wydziale zabójstw. - Mam sprawę.

- Wszystko, co tylko mogę...

- Baleya sześćdziesiąt, mieszkania dwieście dwadzieścia osiem. To na Rakowcu. Mam trupa. Facet nazywał się Kluzik i był jednym z naszych.

- Ochota to nie nasz rewir.

- Wymyśl coś. Chcę, żebyś się zajął tematem.

Wandycz zamilkł na chwilę.

- Powinienem coś wiedzieć?

- Kluzik jest od czterech lat na emeryturze.

- Tego byłem w stanie dowiedzieć się sam.

- Pojedynczy strzał w oko, z wytłumionego pistoletu. Żadnych śladów włamania. Facet nie żyje od kilku godzin. Moim zdaniem zastrzelono go w nocy.

- Co masz z nim wspólnego?

- Chciałem pogadać. Nie odbierał, przyszedłem.

Wandycz znowu chwilę medytował.

- On był częścią jakiejś waszej roboty? - zapytał.

- I tak, i nie. Chciałbym, żebyś tu przyjechał z chłopakami i zrobił dokładne oględziny. Możliwe, że Kluzik znał mordercę i otworzył mu, chociaż jakoś mi się nie wydaje. Mógł też z nim przyjść do mieszkania, z lufą w plecach. Może ktoś coś słyszał.

- Dobra.

- Ja znikam, zostawię drzwi otwarte. Chcę, żebyś mnie na razie do tego nie mieszał.

- Ktoś musiał nam to zgłosić, nie? Co mam napisać w raporcie?

- Mam cię uczyć pisać raporty?

- Ej, Staszek...

- To się będzie szybko działo. Obiecuję, że coś ci dam, pewnie jeszcze dzisiaj. Cześć.

Zamknął drzwi do mieszkania, na klatce nie spotkał nikogo, przelotnie pomyślał, że ostatnie chwile ofiary były naprawdę bolesne, że śmierć zawsze wygląda gównianie, a może tylko śmierć policjantów, Jadwiga przecież też była gliną, jak by nie patrzeć; wyszedł w mleczną magmę, zimno przeniknęło przez kurtkę, natychmiast zaczęło mu się na powrót kręcić w głowie. Na ślepo wybrał kierunek marszu, potem uruchomił lokalizację w komórce. Gdy poczuł się pewniej, wybrał numer Barbary.

- Kluzik nie żyje - powiedział, gdy usłyszał jej głos.

- Jezu.

- Jest Tyszkiewicz?
- Był na spotkaniu, teraz siedzi w gabinecie.
- Możliwe, że jego też będą chcieli odstrzelić.
- Musimy mu powiedzieć.

Zawahał się. Szedł równym krokiem. Był sam, choć być może o metr dalej ktoś przechodził, by załatwić swoje codzienne sprawy. Już nie był sam; starszy facet szedł jak ślepiec, potrącił go, mruknął coś, zniknął szybciej, niż się pojawił.

- Nie.
- Tu już nie chodzi o żadną grę.
- Wiem. Idę do Biura, zdecydujemy, co dalej.
- Jeśli on będzie chciał gdzieś wyjść, powiem mu.
- Na razie zabierz mu telefon pod jakimś pretekstem i wypierdol ten program.
- Jasne.
- Wydaje mi się, że Kluzika mogła stuknąć ta sama ekipa, co Apaszina. Pistolet z tłumikiem, strzał w oko, rany od noża na udach. Z mieszkania zniknął laptop.

- Matko Boska.

- No.

- Skąd wiesz o laptopie?

- Biurko jest zakurzone, pośrodku czysty, prostokątny ślad. Typowy rozmiar.

- Mamy powiązanie, chociaż za Boga nie wiem, jak to się łączy.

Coś sobie przypomniał. Szło mu się lepiej niż w przeciwną stronę. Może się przyzwyczajał. Silnik jakiegoś samochodu brzmiał niczym senny trzmiel. Warszawiacy niespecjalnie przejmowali się blokadą i zakazem ruchu prywatnych pojazdów.

- Sprawdzisz jedną rzecz?

- Mów.

- Piotr Komuda, Józef Jaworski, Ksawery Wroński. Eksoficerowie Szóstej Brygady Powietrznodesantowej. Byli w Afganii w dwa tysiące siódmym. Zostali dyscyplinarnie zwolnieni. Zobacz, gdzie poszli i co robią.

- Sprawdzę. Coś jeszcze?

- Nie. Idę na piechotę, będę za półtorej godziny.

Rozłączył się, spojrzął w nawigację i przyspieszył kroku.

Maria spojrzała w lustro, roześmiała się cicho, policzek zawył, Maria przestała się śmiać. Ketonal otępszał ją, pogoda za oknem przygnębiała, telewizor mamrotał wciąż to samo,

pokazując na zmianę rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, Bogdanowicza, szczątki rosyjskiego samolotu.

Miała na sobie szare, wyciągnięte spodnie i tę samą koszulę, w której powitała Jakuba wieczorem dwa dni temu. Czowała jego zapach, nie chciała tego właściwie, wspomnienie było przyjemne, uszkodzona kość policzkowa niekoniecznie. W mieszkaniu było cicho i ciepło, nie chciało jej się nawet ruszyć do kuchni, by zrobić sobie kawy. Leżała na kanapie, wiatr wygwizdywał we framudze dzikie melodie w smutnych tonacjach, widok za oknem przypominał wytwór współczesnej sztuki - biała, jednostajna plama z ciemnymi żyłami zanieczyszczeń.

Tomkin. Pieprzony Tomkin - ojciec, Tomkin - pocieszyciel, Tomkin - Zeus Gromowładny. Zagrał na najbardziej elementarnym instynkcie, potrzebie bezpieczeństwa, wyciągnął ją z więzienia i wygrał. Do dziś nie mogła zapomnieć oszołomienia, gdy wezwano ją do naczelnika i zakomunikowano, że zostanie zwolniona. Myślała, że to okrutny żart. Wchodziła przez więzienną bramę, oślepiona słońcem, zachłyśnięta powietrzem innym niż smród niemytych ciał spod celi i była jego, Tomkina, choć wtedy jeszcze tego nie wiedziała. Zobaczyła go po raz pierwszy, uśmiechniętego, opiekuńczego, pewnego siebie, i oddała mu się, chociaż nigdy nawet nie dotknął jej inaczej niż przez uścisk dłoni. Później doszła do wniosku, że jest uzależniona od starszych od siebie, władczych mężczyzn, choć samo porównanie Kozery do Tomkina powodowało w niej niesmak. Tomkin uratował jej życie, Kozera je zniszczył. Kozera był szcurem, Tomkin wyzwolicielem.

Tym większy czuła zawód.

Nie miała złudzeń. Pierwszego dnia pracy InvCorp zorientowała się, gdzie jest. Dużo Rosjan, sporo Polaków z przeszłością w służbach, szerokie kontakty biznesowe. Ostentacja tak wyraźna, że aż nieprawdziwa. Początkowo przydzielano jej proste zadania, ściśle związane z oficjalnym profilem firmy. Jeździła do Rosji, Kazachstanu, na Ukrainę, Białoruś, rozmawiała z maturzystami, namawiała do przyjazdu do Polski, chwalała tujejsze wyższe uczelnie. Wiedziała, że jest obserwowana. Potem zaczęto jej dawać rozmaite dane do analizy; polskie powiązania kapitałowe, transfery technologii, profil udzielanych kredytów. Tomkin nie mógł się jej nachwalić.

W końcu weszła do wewnętrznego kręgu. Poznała braci Pieniążek, poznała Barańskiego, zyskała dostęp do specjalistycznej wiedzy. I dlatego wiedziała, że kamer w mieszkaniu nie zamontowano bez wiedzy Tomkina. Jej szef był zbyt wpływowy, by ktoś próbował załatwiać swoje sprawy wbrew niemu. Ktoś, kto nagrał jej figle z Tyszkiewiczem, zrobił to w określonym celu na polecenie Tomkina.

Po co? Jaki miał cel?

Nagranie służyło do szantazu; próbowała wymyślić inny powód, nie bardzo jej szło. Ona i Jakub. Ona była nikim, pionkiem ze zszarganą przeszłością i nadal dobrą figurą. Nie miała nic, co mogłaby sprzedać. Więc Jakub. Miał wiedzę i ludzi, mógł być niebezpieczny. Dla Tomkina, dla braci Pieniązków, dla jakiejś części nieprzejrzanej sieci interesów i zależności, jaką pokryty był ten fragment Europy. Film dostał się w ręce Krzeptowskiego. W jaki sposób? Ktoś mu go przysłał?

Na ekranie telewizora mignęła twarz Tyszkiewicza z jakiejś starej konferencji prasowej. Stacja należąca do Holta zadawała pytania o polską rację stanu. Oznajmiała, że propozycja dla Haładoja i Parsaka jest z nią w całkowitej sprzeczności. Stojący na tle mlecznej zasłony reporterzy wyjaśniali w wejściach na żywo, że nie ma żadnego związku pomiędzy zamachem na placu Zamkowym i zestrzeleniem rosyjskiego samolotu. Oskarżali polskie służby o umożliwienie przemytu rakiet przeciwlotniczych przez granicę. O wpuszczenie ukraińskich ekstremistów. Na dole ekranu szły informacje na temat zagranicznych reakcji na kryzys w Polsce. Wszyscy z nadzieją czekali na nowy rząd, by w końcu świat zyskał partnera do konstruktywnej rozmowy.

Wyjęła z szafki aparat na kartę, którego jeszcze nigdy nie używała. Centrala BZT chciała koniecznie wiedzieć, po co jej numer do nadkomisarza Krzeptowskiego. Zostawiła swój z prośbą o kontakt. Krzeptowski oddzwonił po pięciu minutach.

- Tu Maria Potocka - powiedziała. Głos brzmiał brzękliwie, zgłoski nie były tak wyraźne jak dotąd. Policzek palił.

- Czego chcesz?

- Syn Tomkina ma polski paszport, zmienił nazwisko na Barański. Jest członkiem zarządu EuropaTransport, firmy należącej do Piotra i Sebastian Pieniązków, oprócz tego właściciel firm Garrison i Optoelectronics.

- No?

Dyszał, jak po ciężkiej chorobie. W tle słyszała jakiś nieokreślony hałas. Nie wiedziała, że maszeruje. Nie wiedziała, czy to, co mówi, w ogóle go obchodzi. Może gra przeciwko Jakubowi.

- Byłam tam niedawno - ciągnęła. - Duży teren przy trasie do Piaseczna, wszystkie firmy w jednym miejscu. Labirynt. Mają tam serwerownię, nie wiem gdzie.

- Każda firma ma serwerownię.

- Ale nie każda jest schowana w piwnicy za zamaskowanym przejściem.

Nadal dyszał.

- Byłaś w niej?

- Nie. Ale w magazynie A3 kręci się za dużo facetów w dżinsach i flanelowych koszulach.

- Nie rozumiem.

- Magazyn A3 to warsztat napraw ciężarówek. Cztery stanowiska, kanały, składy części. Mechanicy chodzą inaczej ubrani, w kombinezonach, brudni. Jak mechanicy. A do hali przy mnie weszło trzech gości w dżinsach, czystych i od fryzjera. Potem zniknęli. Wyszedł za to inny, w garniturze.

- Co tam robiłaś?

- Omawiałam kwestię przewozu z Ukrainy do Polski.

- Przecież twoja firma się tym nie zajmuje.

- EuropaTransport ma również autokary do wożenia studentów. Jeden się popsuł. Tomkin chciał wiedzieć, kiedy będzie sprawny.

- W tej piwnicy nie musi być serwerowni.

- Jednego z tych facetów w dżinsach znam. Pracował kiedyś w abwerze jako specjalista od podsłuchów. Był bardzo dobry.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Nie chciałaś, żebym kontaktowała się z Jakubem.

- Jakoś ci nie wierzę.

- Sprawdź, kto miał dostać kontrakt na modernizację systemów obserwacyjno-celowniczych do Leopardów pięć lat temu, za poprzedniego układu.

- Co to ma wspólnego?

- Sprawdź.

- Jeśli Tomkin się dowie, dostaniesz.

- Bardziej niż od ciebie?

- Lepiej go znasz, powinnaś wiedzieć.

Westchnął. Odpowiedziała przyspieszonym oddechem. Czują, że postępuje słusznie. I bała się, ciało jeszcze nigdy nie było takie sztywne, żołądek tak wielki i kwaśny.

- Nie rozumiem cię.

- Poprawcie obieg informacji między sobą - odpowiedziała, nagle zła. - Zaraz wyrzucam tę komórkę.

Rozłączyła się, potem pracowała przez pół godziny, szybko, systematycznie, jakby włączył się w niej program komputerowy. Wszystkie oszczędności przelała na konto, które założyła pół roku temu i nigdy nie używała, i z którego jeszcze dziś wyjmie gotówkę.

Spakowała osobiste rzeczy do sportowej torby. Z umieszczonej pod zlewem skrytki wyjęła dowód osobisty, paszport i prawo jazdy na inne nazwisko. Włożyła sporo wysiłku, by zamaskować siniak podkładem i samoopalaczem. Peruka zmieniła kształt głowy. Optyczne okulary nadały jej wygląd pilnej doktorantki prestiżowego wydziału nauk humanistycznych.

Potem wyszła i rozplynęła się we mgle. Znow była uciekinierką.

Bracia Pieniążek nie lubili tu przychodzić. Czuli się niezręcznie w zagraconym mieszkaniu przypominającym dwudziestowieczne muzeum. Adres był prestiżowy - w alei Róż nadal mieszkali ludzie, którzy ongiś odgrywali pierwszoplanowe role w państwie. Ich mieszkania wyglądały zapewne podobnie.

Zaproszenie zostało wypowiedziane kategorięcznym tonem. Kierowca, połączony z policyjnym serwerem, zręcznie omijał patrole prewencji i drogówki. Przejechanie pięciu kilometrów zajęło im ponad godzinę.

Weszli na drugie piętro po wyłożonych marmurem schodach. Klatka schodowa pachniała niedawnym remontem. Drzwi otworzyła gosposia. Miała prawie siedemdziesiąt lat i od blisko półwiecza nie zmieniła pracodawcy.

W salonie Janina Bogucka siedziała na kunsztownie stylizowanym szezlongu. Miała na sobie czarną garsonkę. Ściany pokoju zdobiły sięgające sufitu pasma tapiserii z motywami roślinnymi. Barwienia nici wyblakły i nabrały patyny. Stół, krzesła, żyrandole, biblioteczka zostały zaprojektowane w stylu empirowym. Braci zawsze dziwił napoleoński sznyt wnętrza, zwłaszcza gdy wiedziało się, kim jest pomysłodawca.

Na kominku znajdowała się oprawiona w złote ramy duża, czarno-biała fotografia. Otyły mężczyzna o surowym spojrzeniu stał obok młodej dziewczyny, ubranej w lekką sukienkę. Bogucka była wtedy bardzo piękna. Jej ojciec miał w oczach upór i znajomość świata.

Piotr Pieniążek pamiętał każdą wizytę. Ściany zdawały się go przytłaczać. Atmosfera wiecznej żałoby miała smak piołunu. Gospodyni prosiła siadać, służąca podawała herbatę i ciastka, zawsze na takich samych talerzykach. Potem wymienił wrażenia z bratem.

- Grób - powiedział, gdy zajęli miejsca w samochodzie. - Ona się pochowała za życia.
- Rozumiem ją. Ojciec był dla niej całym światem - odparł Sebastian. - On ją stworzył, nauczył wszystkiego, potem przekazał władzę.

Piotr Pieniążek pokręcił głową.

- Musiało jej się zawalić w osiemdziesiątym dziewiątym.

- Nigdy nie była ideologiem. Bardziej ją obchodziła strata ojca niż ustroju.

Pamiętał jedno z pierwszych spotkań, gdy był nieopierzonym szczeniakiem, wstającym o trzeciej w nocy i jadącym po towar do hurtowni, by sprzedawać go przez cały dzień na rozłożonym łóżku pod Pałacem Kultury. Pojawiła się zniecka, elegancka, bardzo przystojna pani nieco po czterdziestce. Obserwowała go przez chwilę, jak pracowicie uwija się wśród chmary klientów; potem podeszła. Po kilku gładkich zdaniach zapytała o życiowy cel; wzruszając ramionami, odpowiedział, że chciałby zarobić duże pieniądze. Bogucka uśmiechnęła się. Przychodziła kilkakrotnie, rozmowy za każdym razem były dłuższe. W końcu zaprosiła go wraz z bratem do siebie. Dała do zrozumienia, że dużo o nich wie - potem się okazało, że właściwie wszystko. Władza, tylko władza się liczy, stwierdziła. Można ją bez żadnego problemu zamienić na pieniądze. Odwrotnie nie jest to możliwe. Zachnął się wtedy, wierzył w pracowitość, szczęście i smykałkę do interesów. Później doszedł do wniosku, że Bogucka miała rację. Jej ojciec, od lat pięćdziesiątych nieschodzący poniżej stanowiska wiceministra spraw wewnętrznych lub obrony narodowej, miał wpływy, które wykraczały daleko poza formalną pozycję. Jedynaczka odziedziczyła po nim kontakty i obszerne dossier na temat wielu ludzi w Polsce. Niektórzy nigdy nie zrobili karier, inni zgaśli, nim zdołali na dobre zabłysnąć. Ale kilku osiągnęło bardzo wiele; współpracowali z Bogucką z własnej woli, zawartość dossier nigdy nie ujrzała światła dziennego.

Dziś czerń garsonki gospodyni odbijała światło padające z kryształowego żyrandola. Starannie upięty kok. Czerwień szminki. Biel twarzy, biel za oknem; biały, czarny, czerwony. Banał surrealizmu w empirowym wnętrzu wysłanym wyblakłymi arrasami.

- Witajcie - powiedziała Bogucka. - Słyszałam dobre wieści.

- O nowym rządzie? - zapytał Piotr Pieniążek. Widząc, że Bogucka lekko kiwa głową, poprawił się w niewygodnym fotelu. Wziął tkwiącą w stalowym, zdobionym koszyczku szklanę z herbatą. Była jak zwykle mocna i bez cukru. - Nas też to cieszy. Na wtorek jesteśmy umówieni w ministerstwie w sprawie kontraktu.

- Szybko.

- Czekaliśmy tyle lat, nie chcemy dłużej.

- Przetarg zostanie potraktowany priorytetowo.

- Miło słyszeć.

Bogucka wstała i podeszła do okna.

Czarna Madonna rządząca Polską, pomyślał Piotr Pieniążek. Szkoda, że nie mam aparatu.

- Moi przyjaciele mimo wszystko się niepokoją - powiedziała, nie odwracając się.

- Kontrakt z Amerykanami zostanie uwalony - zareplikował Sebastian.

- Słyszałam co innego. Amerykański prezydent nadal się wybiera do Warszawy.

- Pawłowski...

Bogucka odwróciła się. Z kuchni dochodził zapach smażonego mięsa. Aleja Róż spała, śniąc o dawnej chwale.

- Mam siedemdziesiąt lat, większość przeżyłam w dawnym stroju - powiedziała. - Nigdy nie widziałam, żeby ktoś w Polsce nie chciał Amerykanów. Pawłowski jest durniem. Zrobi to, co mu się powie. To Amerykanie muszą się wycofać.

- Wszystkie przetargi na amerykański sprzęt zostaną anulowane.

Wyczytali na jej twarzy irytację.

- Wybrałam was wtedy, bo wiedziałam, że oddacie wszystko, żeby się przebić. Dałam wam możliwości, o których wam się nie śniło - syknęła. W korytarzu zaszurały kapcie gosposi. Słyszając ostatnie słowa, zawahały się, stanęły, potem zawróciły. - Ale zawsze powtarzałam, że zbyt duży apetyt jest niezdrowy. Zwracanie na siebie uwagi jest niezgodne z zasadami. Po co pchaliście się w interesy w Iraku?

Obaj jak na komendę poczerwienieli. Ostrzegała ich, to prawda. Nakreślała możliwe skutki. Nie mogli się porozumieć. Rozumiała chęć bogacenia się. Nie tolerowała ślepoty.

- Wszystko idzie dobrze - zaryzykował Piotr Pieniążek.

- Aż do momentu, gdy pójdzie źle. Co z Tyszkiewiczem?

- Prokurator już z nim rozmawiał.

Teraz naprawdę się zezłościła.

- Prokurator! - powiedziała cicho. - Ostatnie, czego nam trzeba, to proces.

- Mówiła pani...

- Wczoraj, przedwczoraj, trzy dni temu. A dziś jest dziś. Dziś jest zawsze inne od wczoraj. Macie jego lokalizację, wiecie, gdzie jest. Nie chcę o nim więcej słyszeć.

Wstali. Bogucka znowu podeszła do okna.

- Zadzwoń do Gliszina i powiem, że kończymy ten iracki interes - szepnęła.

Piotr Pieniążek zdobył się na odwagę.

- Idą spokojne czasy. Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Nadal stała. Nieruchomo jak posąg. Potraktowali to jako pożegnanie.

- Właśnie tego się boję - powiedziała, gdy umilkły kroki na schodach. Szyba zabrzęczała cicho.

- Proszę.

W drzwiach stanęła Barbara Rakoczy. Jakub podniósł wzrok znad papierów. Gestem

pokazał, by weszła.

- Przepraszam, że przeszkadzam.
- Nie przeszkadzasz.
- Chciałam poprosić jeszcze raz na chwilę o twoją komórkę.
- Antoni brał do sprawdzenia.
- Powtórna analiza wykazała niewielki błąd w oprogramowaniu szyfrującym.
- Coś poważnego?
- Drobiazg. Za piętnaście minut oddam.

Wyjął aparat, wyciągnął dłoń, Barbara szybko zniknęła. Powinienem zorganizować jakieś kartony, pomyślał. Nie miał wielu rzeczy do spakowania.

Może myślę się całkowicie? Może Helena wszystko wie, wszystko przewidziała, domyśliła się, że starość ze mną będzie nie do zniesienia? Czy umiem żyć bez niej, bez Lolka i Zośki?

Ta myśl go olśniła, aż się wyprostował. Gdy wyszedł od wiceministra, wstąpił do toalety, gdzie niestety spojrzął w lustro. Facet z naprzeciwka przypominał mu w jakiś sposób ojca. Posiwiące skronie, wory pod oczami, niechlujnie ogolony zarost. Twarz znaleziona na złomowisku, śmietniku przegranych spraw. Ciało stulatka. Bez pracy nie umiał żyć, praca go zabijała. Idee dawno zniknęły, rozbite na miazgę przez bieżącą szarpaninę, zawiść, gonienie wyłącznie za własnym interesem. Czy można ocalić miłość w świecie, w którym miłość się nie oplaci?

Co właściwie miał do zaoferowania? Lojalność, ostatnia waluta mająca jakąś wartość, utonęła w uściskach Marii, kobiety, którą widział mniej niż dziesięć razy w życiu. Pozostałych atutów nie potrafił sobie przypomnieć. Jego walka dobiegała końca.

Niemniej jeszcze się nie skończyła. Miał trzy dni.

Mechanicznym ruchem podniósł słuchawkę stacjonarnego telefonu.

- Proszę mnie połączyć z komisarzem Wenderlichem - polecił sekretarce. Czekał, przyglądał się gabinetowi. Czuł się tu obco, biel za oknem stanowiła upiorne tło dla porażki, podkreślała ją, eksponowała. Ciekawe, Helena zawsze uważała biel za kolor spokoju. Twarz polityka pokiereszowana strzałkami przyglądała mu się surowo dziurami po oczach. Kalekie usta napominały. Czuł się winny, choć politycy byli ostatnimi, którzy mieli prawo kogokolwiek napominać.

- Tu Wenderlich. - Zły głos. Każdy byłby wściekły, gdyby go ściągnięto w połowie urlopu.

- Proszę raport.

- Samolot przed chwilą wylądował. Wizualna obserwacja oczywiście nie ma żadnego sensu. Śledzimy obiekt za pomocą termowizji i mikrofonów kierunkowych.

- Coś konkretnego?

- Samolot stoi na stanowisku. Ludzie już wysiedli, ładunek za chwilę ma być rozładowany.

- Dobrze. Chcę wiedzieć, gdzie pojedzie.

- Nadal nie powie pan, o co chodzi?

- Jeszcze nie.

- To niezgodne z procedurą.

- Chce pan złożyć raport, komisarzu?

Nigdy nie bywali u siebie w domu. Nie przeszli na „ty”. Na firmowych imprezach raczej bawili się w osobnych kręgach. Mimo wszystko Wenderlich zbyt dobrze znał Tyszkiewicza, żeby wdawać się w dalszą dyskusję. Miał nadzieję zostać na posadzie. BZT przetrwa, nawet jako fasada.

- Oczywiście, że nie.

- Dobrze. Wszystko się niebawem wyjaśni. Czekam na meldunek o miejscu składowania ładunku.

- Odezwę się, gdy coś ustalę.

Rozłączył się. Władza nad ludźmi już od dawna nie dawała mu niczego poza bólami żołądka. Pokój przyglądał mu się z całkowitą obojętnością. Przez tyle lat jedynym osobistym akcentem było stojące na biurku zdjęcie Heleny, zrobione na którymś z wakacyjnych wyjazdów. Lolek był jeszcze mały, Zosia jak zwykle obecna ciałem, nie duchem. Lena miała na sobie dwuczęściowy kostium kąpielowy, wręcz chichotała do obiektywu. Napłynęło pożądanie, zwykle męskie pożądanie na widok atrakcyjnej kobiety z figurą jak trzeba i tym wszystkim, co się liczy, też jak trzeba. Poczul się przez to nieco lepiej, choć podniecenie wycelowane było w pustkę.

Potem przyjrzał się Zosi.

Ilekróć wracał z pracy i zaglądał do niej, gdy spała, tuląc szmacianą owieczkę, czuł wzruszenie, którego nawet nie potrafił nazwać. Zderzenie świata za oknem z kompletną bezbronnością wprawiało go w osobliwy, trudny do nazwania stan. Miał świadomość każdego mięśnia, każdego mrugnięcia, oddechu, koloru, zapachu. Wiedział, że póki jest w stanie odczuwać i działać, musi się opiekować dziewczynką, pełnoletnią kobietą, która wygląda jak dziecko. Miał wyrzuty sumienia, że zabił jej matkę, ale traktował je tylko jako powierzchowną formę bycia człowiekiem. Istota rzeczy była zamknięta w tym małym ciele o

anielskiej buzi i niewidzących oczach. Odpowiedzialność. Opieka. Miłość. Bycie mężczyzną. Ładnie się układało.

Był przy tym egoistą. Unurzany w brudzie codziennego życia, traktował obcowanie z Zosią jak oczyszczającą kąpiel. Potrzebował jej - w tej formie, na warunkach dziewczynki. Gdy mył drobniutkie ciało, karmił, przewijał, czuł, że jest potrzebny, czuł, że może coś światu dać. Nie potrafił sobie wyobrazić życia, gdy tego zabraknie.

Pomyślał o zamku z klocków, budowanym z Lolkiem. O oczach wpatrzonych łączywie jego twarz, gdy czytał bajki do snu. O śmiechu, zaraźliwym i szczerym.

Kolejny głos wyrwał go z niebytu. Wiatr wpychał w okno biel, po szkle ściekały strumyczki wody, rozbijały się na chodniku dwa piętra niżej, przeżerały na wylot budynki i ludzkie życia.

Kika. Kobiety wchodziły i wychodziły z jego gabinetu jak z własnego domu.

- Wzywałeś mnie?

- Tak. Siadaj. I zamknij drzwi.

Zamknęła, usiadła, otaksowała go spojrzeniem, które w lepszych czasach mógłby nazwać matczynym. Ciemny golf leżał na niej jak druga skóra. Szara marynarka i szare spodnie mogły być kupione w second-handzie - niczego to nie zmieniało. Kika ubierała się zbyt dobrze. On potrzebował prysznic, choć wiedział, że gorąca woda tylko splucze sen, nie załatwi niczego więcej.

- Źle wyglądasz - powiedziała.

- Możliwe.

Sięgnął do szuflady biurka i wyjął z niej pendrive'a o dużej pojemności. Po wizycie u wiceministra spędził pół godziny na pokonaniu niewielkiej odległości dzielącej ministerstwo od oddziału banku, gdzie kilka lat temu wynajął skrytkę. Trzymał tam cienką teczkę i właśnie ową komputerową pamięć, niemal po dach zapchaną gigabajtami danych. Nim przyszła Kika, przekopiował na pendrive'a informacje otrzymane od Kluzika i pobieżnie je przejrzał. Obraz stał się jaśniejszy. Przez chwilę całkiem serio zastanawiał się, czy nie spuścić posiadanej wiedzy w pobliskiej toalecie. Zamiast tego przelotnie pomyślał, co stanie się z dziećmi, gdy go zabraknie, po czym wezwał Kaczkowską.

- Mam prośbę. Nieoficjalną.

Kika uśmiechnęła się. Pokój stał się jaśniejszy.

- Dziś jest taki dzień - powiedziała. - Słyszę, że Wenderlich też pracuje na nielegalu.

- Wenderlich przede wszystkim za dużo gada.

- Wiem.

Przesunął po biurku pendrive'a.

- Tu są informacje na temat sprawy, nad którą pracuję od pewnego czasu.

- Ty?

- Nieoficjalnie.

Uśmiech zniknął, tym łatwiej, że gościł tylko na wargach, oczy pozostały wyczekujące. Kika nie była ślepa. Widziała rano Kalca i faceta z wewnętrznego, siedzącego tam, gdzie ona teraz. Słyszała plotki. Każdy myślał przede wszystkim o swojej przyszłości. Ona też wolałaby się zmieścić wewnątrz nowego obrazka.

Uniósł dłoń.

- Sprawa przypadkiem składa się z tym, nad czym pracujemy.

- Nie wierzysz w przypadki.

- Wiesz, że kiedyś byłem w wojsku? Jakiś czas temu zacząłem węszyć wokół trzech facetów, którzy spowodowali, że musiałem odejść. Podpułkownik Piotr Komuda, kapitan Józef Jaworski, kapitan Ksawery Wroński.

Mówił przez dziesięć minut. Kika siedziała nieporuszona, panując nad mimiką, po prostu patrząc. Zastanawiał się, co ona właściwie myśli, przecież nie zna powodu, dla którego jej to opowiada, choć może go zgadnąć i pewnie zgadła, jest w końcu bystra, dlatego ją zatrudnił, nie dla cycków, dzięki którym mogłaby zrobić karierę w branży filmowej albo jakiejś innej, gdzie cycki są ważne. On dał się skusić innym cyckom, dlatego śpi w biurze jak idiota, myje się w służbowej umywalce, w łazience, gdzie śmierdzi petami i starym potem, i jak się wieczorem spotka z Heleną, to właściwie nie wie, co jej powie, bo błagać nie potrafi, może się tylko przyznać, że jest idiotą, co niczego nie naprawi. Mówił i nagle ta jego walka, prywatna kruczata w sprawie jakiejś elementarnej uczciwości, kiedyś wydająca się ważna, właściwa, słuszna, teraz stała się właściwie śmieszna. Słyszał własne słowa i zaczynał się wstydzić, że zawraca głowę tej dziewczynie, z prywatnej sprawy robiąc plan dnia, za który wszyscy mogą nieźle oberwać po głowie. Dokończył jednak, trochę z rozpędu. Kika nadal trenowała kamienną minę.

- Zacząłeś śledztwo osiem lat temu?

- Wkurwili mnie. Powinni siedzieć w więzieniu, a nie siedzą. Mieli dość znajomości, żebym wyleciał. Miałem powód.

- Spodziewałeś się znaleźć to, co znalazłeś?

Powinien być uczciwy. Może to jest jakaś droga ku przyszłości. Minie mgła, złoży dymisję, przebłąga Helenę, wsadzą dzieciaki do samochodu i pojedą gdzieś, gdzie świeci słońce.

- Nie - odparł. - Słyszałem jakieś plotki, nic konkretnego. Chciałem im się po prostu przyjrzeć.

- Wszyscy trzej poszli pracować do Garrisona.

- To akurat mnie nie dziwiło. Garrison chętnie zatrudnia byłych żołnierzy i nie patrzy im specjalnie w przebieg służby, dyscyplinarki szefów nie obchodzą. Firma chce mieć fachowców, dobrze płaci, ma, kogo chce. Potem zacząłem się uważniej przyglądać całemu temu układowi, badać powiązania, bo zaczęło śmierdzieć na kilometr. Zatrudniłem byłego gliniarza, który umie węszyć, żeby nie było widać, że węszy. I wyszło, co wyszło.

Zastanowiła się. Jakub czekał na pytanie. Musiało paść. Jeśli grali fair, musiało paść.

- Po co właściwie mi to mówisz?

- Pamiętasz, co powiedziałem o braciach Pieniążek, firmach SPO Optoelectronics i EuropaTransport?

- SPO Optoelectronics jest właścicielem EuropaTransport.

- Nie tylko. Jest również stuprocentowym właścicielem Garrisona.

Zaciekawił ją. Nadal miała to, co on miał jeszcze kilka lat temu - potrzebę, by świat pozostawał w równowadze. Być może zacznie się sprawą interesować serio.

- Będziemy mogli zająć się braćmi Pieniążek w związku z poszukiwaniami ciężarówki, która przewiozła Stingery - powiedziała. - A twoje wyjdzie przy okazji.

- Mniej więcej. Ale nie tylko. Myślałem o tych specjalsach, którzy nas załatwili na Wiktorskiej.

- Ludzie Garrisona?

- Garrison ma w Afganie i Iraku kontrakty na wysoko wyspecjalizowane usługi ochronne, konwojowe, ratownicze. Ma na pokładzie specjalsów, niekoniecznie Polaków.

- Klei się.

- Dlatego nie możemy ich znaleźć, dlatego nie zgłosili się do żadnego lekarza. Garrison ma swoich lekarzy, ogarniają temat we własnym zakresie.

- Powinniśmy ich przetrzepać.

- Muszę coś dać prokuratorowi.

Kika po raz pierwszy przestała być nieufna.

- Namierzyłam tego MAN-a EuropaTransport. Stoi w ich bazie pod Piasecznem. Mamy cholerne szczęście.

Jakub spojrział na nią z uznaniem, potem podniósł słuchawkę. Wiceminister jakby czekał przy telefonie.

- Tak?

- Tu Tyszkiewicz. Proponował pan ochronę.
- Owszem.
- Czy w skład polisy wchodzi również pomoc?
- Zależy, jaką składkę pan opłacił.

Jakub uśmiechnął się kącikami ust. Po raz pierwszy od stulecia ktoś go rozśmieszył. Ciekawe, czy wiceminister pije, a jeśli tak, to co. Przez szklaną szybę drzwi widział ekran wiszącego w sekretariacie telewizora. Sekretarka patrzyła w ekran, gdzie królowała twarz jej szefa. Twarz stara i wymięta, jak mop po przejściach. Tyszkiewicz zamknął oczy.

- Zna pan prokuratora, który jest w stanie wystawić dzisiaj nakaz rewizji? Śmiech urzędnika był szczery, przynajmniej na taki wyglądał.
- Wszyscy raczej biegają do nowych panów i wprawiają się w lizaniu tyłków.
- Nadal jest pan ich szefem.
- Teoretycznie. O co chodzi?

Jakub opowiedział mu ten fragment rzeczywistości, który mógł ujrzeć światło dzienne. Wiceminister milczał długo.

- Słyszałem o firmach, również o braciach Pieniążek - powiedział ostrożnie, zapewne zastanawiając się, dlaczego o takich sprawach rozmawia przez telefon. Tylko część z podsłuchujących była jego ludźmi, a i na nich nie mógł już liczyć. Kika kontemlowała białą ścianę wiszącą tuż za oknem. - Jest pan pewien, że powinien pan ich zaczepiać?

Nie „my”, tylko „pan”. Odpowiedzialność jest zawsze sprawą skomplikowaną. Jakub nie miał złudzeń, że obojętnie od rezultatów pozostanie sam. Na to się pisał, na to się godził, to mu będzie dane.

- Nie powinienem, ale mówił pan, żebym przez tych kilka dni robił swoje. No więc robię.

- Mają szerokie koneksje. Nawet nam nie udało się ich przytemperować, chociaż próbowaliśmy.

- Tam mnie zaprowadziło dochodzenie. Nic nie poradzę.
- Z kim z prokuratury pan współpracował?
- Z prokuratorem Kieniewiczem. Tydzień po wyborach poszedł na zwolnienie lekarskie.
- Dobrze. Odezwę się do pana.

Słuchawka spoczęła na widelkach.

- On się boi - powiedział Jakub.
- Ja też się boję.
- Możesz zrezygnować. Poważnie. Weź L-4.

Kika wstała i podeszła do okna, jej twarz odbiła się w płaczącej szybie, podziurawiony lotkami polityk przypatrywał jej się sceptycznie. Miała swoje miejsce na ziemi, zła decyzja mogła je unieważnić, rozbić na atomy.

- Nigdy o tym nie myślałam - powiedziała do szyby.

- O czym?

- Że będę musiała dokonywać takich wyborów.

- Przepraszam. Zapomnij o tym, co proponowałem.

- Za miesiąc planowałam wziąć ślub.

- Twój chłopak jest szczęściarzem. Mówię ci, weź zwolnienie. Przeczekasz, zorientujesz się, kto przyjdzie na moje miejsce, ułożysz sobie temat z nowymi królami.

- Chcę pracować z tobą.

- To założmy prywatną agencję ochrony.

Rozbawił ją, ale tylko trochę.

- Co chcesz żebyś zrobiła z tym pendrive'em?

Była dorosła, a on potrzebował pomocy.

- Raport. Daty, fakty, ludzie, przepływy finansowe. Ale w specyficznej formie.

- To znaczy?

Powiedział jej.

Krzeptowski wszedł do Biura; miał wilgoć na twarzy, we włosach, pod ubraniem. Wiatr nieco rozgonił mgłę, zamienił ją na powrót w eteryczną mżawkę, równie dokuczliwą co niosący drobinki piasku hamsin. Widoczność poprawiła się, choć chmury nadal wisiały tuż nad ziemią, słońce orbitowało gdzieś wysoko, niepotrzebne. Dyżurni pogotowia ratunkowego odbierali coraz większą ilość zgłoszeń o zawałach, samobójstwach, napadach wściekłości i agresji.

Gabinet Barbary był mały, oszczędny w meble, czystutki i cichy. Krzeptowski zamknął drzwi i usiadł naprzeciwko biurka. Kawa w kubku pachniała tak, jak pachnie kawa w październiku przy zabójczym ciśnieniu. Barbara miała szklany wzrok.

- Odinstalowałaś? - zapytał Krzeptowski.

- Tak.

- Jest w biurze?

- Siedzi. Za chwilę ma być odprawa. Pytał o ciebie.

- Może ułatwię ci zadanie - powiedział Krzeptowski. - Pod Piasecznem jest baza...

- Optoelectronics, EuropaTransport, Garrison - przerwała mu. - W Garrisonie pracują ci

trzej byli oficerowie, o których mówiłeś. Na kierowniczych stanowiskach. Głównie nadzorują operacje firmy w Iraku i Afganistanie.

Słyszał o nich, oczywiście, był z branży, musiał o nich słyszeć. Właściciele mieli ambicje zrobić z Garrisona polski odpowiednik Blackwater. Na sporych rejonach Iraku żadna inna firma nie miała szans zdobyć kontraktu nawet na ochronę publicznego szaletu.

- Bardzo dobrze. Ale ja nie tym. Możliwe, że serwer, który zrzucił dane z jego komórki, jest tam. Zamknięte pomieszczenie.

- Całkiem możliwe. Sprawdziłam logi nadajników kamer znalezionych u Potockiej. Łączyły się z tym samym serwerem co komórka Jakuba.

Myślało mu się ciężko, kawa w gruncie rzeczy powodowała tylko przyspieszone bicie serca i jakąś flegmę w brzuchu. W nozdrzach siedział zapach świeżej ziemi, kwiatów i Kluzika leżącego na łóżku z przestrzelonym oknem. Rozpacz po stracie Jadwigi tkwiła głęboko, ale przecież nie znikła.

- Ten cały holding Pieniżków wiąże się z Tomkinem poprzez syna Tomkina - powiedział. - Tomkin korzysta z autobusów EuropaTransport. Ułatwił ludziom Garrisona wejście do mieszkania Potockiej.

- To by się mogło zgadzać. - Barbara była skupiona, zatopiona w danych płynących z ekranu. - Garrison zamówił u hakerów z FreiWelt program śledzący Jakuba. To ten sam serwer.

Krzeptowski zaryzykował łyk kawy. Biel za oknem powodowała, że czuł się jak mieszkaniec jakiegoś wynaturzonego domku dla lalek. Nie wiedział, czy w ogóle da radę opuścić to miejsce i wrócić do normalnego życia.

- Po co? - zapytał, po raz pierwszy słysząc we własnym głosie znużenie. - Chcieli mieć na niego trzymanie? Katastrofa, zamach, tych dwóch zjebów na Ursynowie?

Rakoczy wzruszyła ramionami.

- Myślę, że najlepiej będzie, jak po prostu zapytasz, nie zabijając go przy tym.

Krzeptowski kiwnął głową, wstał, przeszedł przez dwa krótkie korytarzyki, minął się z Kiką, której o mało nie staranował, nie zauważył spojrzeń ludzi, zignorował sekretarkę, wkroczył do gabinetu Tyszkiewicza, zamknął za sobą drzwi, po czym opuścił roletę na oknie dzielącym pomieszczenie od sekretariatu.

Jakub wyglądał na podstarzałego alkoholika, który zrozumiał, że wszelkie próby wyjścia z nałogu skazane są na niepowodzenie. Miał rozbiegane oczy i nerwowe palce. Gapił się w ekran, na dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi podniósł wzrok, w którym była rozpaczliwa niepewność. Nim padło słowo, Krzeptowski wyjął komórkę i puścił ostatnie pół

minuty filmu. Potocka krzyczała, Jakub jej towarzyszył, splecione ciała tańczyły. Maria na stopklatce niosła ze sobą czystą, wydestylowaną, wieczną pokusę. Krzeptowski wyjął z kabury pistolet i położył przed Tyszkiewiczem.

- Odkładam, żeby cię nie zajebać - powiedział. - Poważnie. Gdyby było wczoraj, byłbyś trupem.

Jakub nadal patrzył na wyświetlacz, jakby wyskoczyły z niego żywe postacie i zaczęły skakać po biurku.

- Skąd to masz?

Cisza miała posłużyć za odpowiedź. Jakub wstał. Komórka, Glock, Krzeptowski niczym śmierć. Zrobiło mu się słabo.

- Co to jest? - zapytał.

- Dowód.

- Dowód?

Krzeptowski wziął aparat i ponownie obrócił ekran w stronę Jakuba. Wcisnął ikonkę „kasuj”. Maria zniknęła.

- Jest jeszcze jedna kopia - powiedział. - Na nieoficjalnym serwerze Garrisona.

- Kurwa, nic nie rozumiem.

- Lepiej, żebyś nie rozumiał. Robimy wjazd do Garrisona, rekwirujemy serwery, Barbara znajduje plik źródłowy, puf. - Pstryknął palcami, jakby odrzucał papierosa.

- Co ma z tym wspólnego Barbara?

- Lepiej, żebyś nie wiedział.

- Lepiej, żebym wiedział.

- Chyba powinniśmy się pospieszyć. Kluzik nie żyje. Ty możesz być następny.

Jakub wcisnął się w fotel, jakby chciał uciec. Wzrok alkoholika błagał o wódkę. Twarz ściągnęła się w jednowymiarową wycinankę z kartonu.

- Kluzik nie żyje? Skąd wiesz?

- Znalazłem go w jego mieszkaniu. Strzał w oko i rany od noża na udach. Czegoś ci to nie przypomina?

- Kurwa, Staszek...

- Zacznij myśleć. Masz mało czasu. Tamci chcą cię odstrzelić. Lepiej, żebyśmy odstrzelili ich pierwsi.

- Nigdzie się nie ruszam, jeśli nie powiesz mi, co to wszystko jest.

- Pogadaj z Heleną.

- Poszedłem do Potockiej...

- Idź do żony i powiedz jej o tym. To i tak ambitny plan.

Tyszkiewicz zerwał się, złapał leżącego na blacie Glocka, zamek zachrzącał, lufa podjechała pod twarz Krzeptowskiego. Ręka drżała, palec na spuście zbladł, jakby został wykonany z marmuru. Pot zaczął płynąć wzdłuż kręgosłupa, z czoła na nos, nogawkami. Krzeptowski po prostu siedział.

- Mów - szepnął Jakub. Stacjonarny aparat zadźwięczał frenetycznym terkotem, nikt nawet nie drgnął. Z sekretariatu dochodziły ludzkie głosy, zwyczajne, oddalone o nieskończoność. Potem umilkły, może czekały, co dalej.

- Strzelaj.

- Mów.

- Pójdiesz na dożywocie.

- Myślisz, że mi zależy?

- Co się zmieniło, że ci nie zależy?

- Ty. Ja. Wszystko. Mów.

Krzeptowski wstał, łagodnym ruchem wyjął broń z osłabłej nagle dłoni, drugą pchnął Tyszkiewicza na fotel. Pchnął na fotel szmacianą lalkę.

- Jesteś głupi chuj, że pierdolisz tę rudą zdzirę - powiedział spokojnie. - Ale to nie znaczy, że Helena musi wszystko wiedzieć.

- Wie - mruknęła szmaciana lalka. Mówiła z zamkniętymi ustami.

- O tym wie. O reszcie nie musi.

Odwrócił się i poszedł do drzwi. Nim wyszedł, obejrzał się przez ramię.

- Za pięć minut masz odprawę. Ogarnij się, musisz zacząć przypominać człowieka. Powiem ci, gdzie masz szukać i czego.

Komuda wybrał numer telefonu i zamknął oczy. Widział dokładnie, jak prezes Garrisona tonie w papierach, kubkach po kawie (miał zadziwiające wśród ludzi o jego pozycji zamiłowanie do papierowych kubeczków wypełnionych cappuccino na podwójnej kawie z ekspresu za siedem tysięcy), plastikowych talerzykach z brudnymi plastikowymi sztuczkami, jakichś kablach, starych komórkach, nieczynnych ładowarkach. Goście nieraz dziwili się, jak ten człowiek jest w stanie cokolwiek znaleźć, uważając, że bałagan na biurku, czy szerzej, w otoczeniu równa się bałaganowi w głowie. Piotr Pieniążek był tego żywym zaprzeczeniem.

Połączenie zostało odebrane.

- Dzień dobry, panie pułkowniku. Ma pan przesyłkę?

- Tak, jestem już na miejscu, ledwo dojechałem - powiedział Komuda. - Wieża nie

chciała dać zgody na lądowanie.

- Załatwiłem to.

- Ale godzinę samolot krążył nad Okęciami w tym cholernym mleku. Potem godzinę z kawałkiem zajęła mi jazda tutaj, sześć i pół kilometra, psiakrew.

- Chce pan podbić swoje honorarium?

Komuda uśmiechnął się do słuchawki. Szef był w dobrym humorze, mogła to być okazja, żeby rzeczywiście pogadać o podwyżce. Nie skorzystał. Szły nowe czasy, ale koniunktura zawsze mogła się zmienić. Przez lata nauczył się cieszyć tym, co ma.

- Nie.

- Dobrze. Pański przyjaciel Tyszkiewicz chce się urwać z łańcucha.

- To znaczy?

- Odinstalował program śledzący. Jego żona urwała kontakt. Zgłasza się tylko poczta głosowa.

- Już raz to zrobiła. - Komuda przypomniał sobie jej słowa. Piękna kobieta o bardzo przyjemnym tembrze głosu. Brzmiała dobrze, nawet gdy była przestraszona. - Mogę do niej zadzwonić na prywatną komórkę, tak jak wtedy.

- Nie ma potrzeby.

Komuda zastanowił się.

- Co pan zamierza?

Usłyszał szuranie kroków. Mógł się założyć, że Pieniążek podszedł do okna. Szef lubił widok swojego imperium. Na terenie zawsze sporo się działo, manewrowały samochody, kręcili się ludzie, wyjeżdżały transporty do Niemiec lub na Ukrainę. Teraz nie mógł widzieć niczego, ale wystarczyło, że czuł; mrowisko nie zwalniało obrotów.

- Trzeba go skutecznie zneutralizować.

- To będzie niełatwe. W biurze jest zbyt dobrze chroniony.

- Do domu jeździ sam, bez ochrony. W jego garażu kamery da się łatwo wyłączyć.

- Nie mieszka w domu, z tego, co wiem.

- No cóż, każdy kryzys kiedyś mija.

- Albo nie. Mam lepszy pomysł. Nowy minister go zwolni. We wtorek zostanie sam, z zarzutami prokuratorskimi. Samobójstwo będzie wyglądało na bardzo prawdopodobne. Kłopoty rodzinne, oskarżenia, utrata pracy...

- Do wtorku jeszcze prawie cztery dni. On sporo wie. Kluzik zdążył przekazać mu materiały.

Komuda zmarszczył brwi. Skupił się na monitorowaniu przesyłki z Iraku. Sprawę

Tyszkiewicza prowadzili inni. Zawsze by zwolennikiem działania proaktywnego, uprzedzającego, nawet jeśli miało to generować dodatkowe koszty. Mówił to Pieniążkowi, gdy dowiedział się, że Tyszkiewicz wynajął prywatnego detektywa, żeby węszył wokół interesów. Prezes zdecydował wtedy, że na razie ograniczą się do uważnego śledzenia przepływu informacji. Rząd trzymał się mocno, sondáže nie wskazywały na spadki, Tyszkiewicz miał polityczną ochronę, premier go ceniał.

Błąd, czego oczywiście nie należało mówić głośno.

- Trzeba go wywabić z nory - stwierdził.

- Damy mu coś, czego chce, wtedy po to przyjdzie - odparł szef Garrisona.

Bracia Pieniążek doszli do miliardowej fortuny między innymi dlatego, że nie lubili niepotrzebnie wydawać pieniędzy. Jeśli się da, użyj czterech słów zamiast siedmiu, mawiają amerykańscy nauczyciele scenopisarstwa. Jeśli możesz umieścić swoje firmy w jednym miejscu, zrób to, zaoszczędzisz na kosztach logistyki. Jeden wyższy budynek jest tańszy niż dwa niższe. Działka pod miastem kosztuje znacznie mniej niż w centrum.

Teren był duży, ponad dwuhektarowy, obficie pokryty halami magazynowymi, produkcyjnymi, miejscami postojowymi. Biurowiec stał tuż za bramą, sześć pięter białej elewacji i przeszklonych, reprezentacyjnych drzwi, jakby wejście miało zrehabilitować oszczędności na materiałach i architekturze. Wysoki na blisko trzy metry płot zwieńczony drutem kolczastym, kamery na słupach, może nawet czujniki ruchu. Garrison chronił sam siebie starannie, z wyczuciem, bez wdawania się w niepotrzebną dyskrecję.

Meldunek od Wenderlicha Tyszkiewicz otrzymał w momencie, gdy kończył w biurze omawiać zadania dla wszystkich sekcji. Podczas odprawy Goździk kręcił głową, jego ludzie głośno wyrażali niezadowolenie po akcji na Wiktorskiej, chcieli skupić się na poszukiwaniu i ukaraniu sprawców. Jakub zdążył już nieco dojść do siebie, choć nadal był błądliwy i nie potrafił opanować drżenia dłoni. Zamknął Goździkowi usta stwierdzeniem, że dopuszcza możliwość znalezienia w obiekcie śladów zabójców lub nawet ich samych. Olbrycht miał pod ręką tylko dwóch pirotechników, Jakub zawahał się, po czym stwierdził, że nie będzie czekać. W trakcie przyszedł facet przysłany przez wiceministra i wręczył Tyszkiewiczowi podpisany przez prokuratora okręgowego nakaz rewizji w obiektach wszystkich firm należących do braci Pieniążków. Kika wykonała telefon do warszawskiego oddziału Biura Operacji Antyterrorystycznych, wysłuchała rytualnej litanii narzekań na brak ludzi i czasu, po czym uzyskała obietnicę przysłania dwudziestu operatorów wraz z mobilnym punktem dowodzenia i dwoma parami snajperskimi. Prewencja z oporami zgodziła się przydzielić do akcji

kompanię liczącą stu ludzi - i to tylko dlatego, że Tyszkiewicz sugerował, iż w razie sukcesu zdejmie blokadę miasta i patrole będą mogły przejść z trybu alarmowego na zwykły, co jest marzeniem każdego działającego w systemie biurokratycznym funkcjonariusza państwowego.

Jazda zajęła więcej niż godzinę. Mgła nie cofała się, odwrotnie: zgęstniała nawet, a także zmieniła konsystencję. Tyszkiewicz, gdy już opuścił samochód, miał fizyczne wrażenie, że zderza się z miękką, białą gumą. Kiedy wyciągnął dłoń, nie widział palców. W tej sytuacji zdobycz wywiadowców zakrawała na cud.

- Jest pan pewien? - zapytał Tyszkiewicz.

Wenderlich miał twarz o trzydzieści lat starszą niż ciało i wyglądał na człowieka, którego każda komórka jest przesiąknięta wodą. Próbował zapalić papierosa. Zapalniczka była martwa. Tyszkiewicz dał mu zapalniczki.

- Wie pan, nawet nie jestem pewien, czy żyję. W tych warunkach człowiek głupieje. Ale tak, ciężarówka została załadowana na lotnisku i przyjechała tutaj.

- Zlokalizował ją pan?

- Stoi w głębi terenu, po prawej stronie. - Wenderlich wyjął zza pazuchy tablet i wyświetlił szczegółową mapę obszaru. Ongiś Smotrycz razem z Carriem stworzył aplikację pozwalającą nałożyć na tę mapę obiekty śledzone za pomocą termowizji lub mikrofonów kierunkowych. Czerwona kropka oznaczająca ciężarówkę pulsowała jakieś sto metrów od miejsca, gdzie stali.

- Zatrzymywała się po drodze?

- Przyjechała prosto tutaj. Cud, że jej nie zgubiliśmy.

- Dobra robota.

Podszedł Goździk, komisarz z prewencji pocierał ręce, czerwony na twarzy, z zaciśniętymi w niewidoczną kreskę wąskimi ustami, z głośniczka jego radia dochodził bulgot, jakby ktoś tonął. Dowódca oddelegowanego oddziału BOA ograniczył się do wymamrotania ksywy, poza tym po prostu czekał na rozkazy.

Tyszkiewicz przyjrzał się twarzom. Na żadnej nie wyczytał nadmiernego zapału. Mgła wysysała z ludzi resztki energii. Rozumiał to. Działanie było ostatnim, na co miał ochotę. Do swojej prywatnej wojny zaprzęgnął państwową służbę i ludzi na państwowych etatach. Mieli ryzykować życie dla jego walki, która, nawet w wypadku sukcesu, niczego nie zmieni, nie poprawi świata nawet o promil. Walki z góry przegranej, przecież to oczywiste. Kika miała rację.

- Mamy silne poszlaki, że samochód firmy EuropaTransport posłużył do przemytu Stingerów - powiedział, walcząc z miękkością kolan. Z gardła, mimo wysiłków, wydobywał

się słaby, świszczący głos. - Druga firma, Garrison, zajmuje się ochroną, między innymi na Bliskim Wschodzie. Zatrudnia byłych żołnierzy, specjalsów, policyjnych antyterrorystów. Powtarzam: jest możliwe, że znajdziemy tu ślady ludzi, którzy zaatakowali nas na Wiktorskiej.

Goździk wyprostował się. Po śmierci swoich operatorów starał się nie oszaleć. Odwiedził żonę jednego z nich i dziewczynę drugiego. Potem upił się do nieprzytomności. Nie miał z kim o tym porozmawiać. Psycholog proponował mu pomoc. Goździk wysłał go za drzwi za pomocą piętrowego bluzgu.

- Ludzie z Garrisona? - zapytał cicho. Stali kilkadziesiąt metrów od bramy wjazdowej. Zdawali sobie sprawę, że dźwięk przy takiej pogodzie płata najdziksze figle.

Jakub niemal niedostrzegalnie wzruszył ramionami. Goździk zrozumiał. Komisarz z prewencji i facet z BOA byli ze służby, ale nie należeli do wewnętrznego kręgu.

- Mamy silne poszlaki - odparł Tyszkiewicz, nieznacznie akcentując ostatnie słowo. - Muszę podkreślić jedną rzecz: dysponujemy nakazem rewizji, ale musimy zachować maksymalną ostrożność. Wchodzimy na wrogi teren. Nie sądzę, żeby tak było, ale będziemy działali tak, jakbyśmy mieli napotkać opór.

Facet z BOA uśmiechnął się lekko. Jakub słyszał o nim. Jeździł sportowym kabrioletem, miał kolczyk w uchu i tatuaże na całym ciele. Dwa razy składał aplikację do Jednostki Wojskowej 2305, za drugim razem się dostał, odpadł na ostatnim etapie kursu podstawowego. Podobno przysięgał, że w końcu zostanie operatorem GROM-u.

- Proszę bardzo - stwierdził.

- Tamci nie są amatorami - odparował Tyszkiewicz głośniejszym głosem, niż zamierzał. - Ostatnie, czego chcę, to wdawanie się w wymianę ognia.

- Jakie pan ma zadania dla moich ludzi? - zapytał komisarz prewencji. Jakub dopiero teraz go poznał: to on zabezpieczał teren na Wiktorskiej. Los zesłał mu przytomnego gliniarza.

- Chcę, żebyście otoczyli teren. Nic nie widać, więc łańcuch musi być szczelny. Utrzymujcie łączność głosową. Liczę się z tym, że gdy wejdziemy, ktoś może chcieć coś wynieść tylnym wyjściem lub po prostu zwać.

- Ustawię blokady wszystkich dróg dojazdowych i posterunki wokół ogrodzenia. Z reszty ludzi zorganizuję sieć pieszych patroli, utrzymujących łączność z posterunkami. Czterech funkcjonariuszy w dwóch radiowozach będzie stanowiło odwód.

- Bardzo dobrze. Proszę zostać w moim stanowisku dowodzenia.

- Z panem.

Tyszkiewicz pokręcił głową.

- Ja idę. Pan zostanie z nadkomisarzem Krzeptowskim.

Prewencjusz zerknął na majaczącą metr dalej sylwetkę. Krzeptowski nie odezwał się ani słowem. Tyszkiewicz założył słuchawki z mikrofonem, potem hełm. Wytlumiony MP-5 pulsował uspokajającym ciężarem. Termowizyjne gogle pozwalały dość skutecznie przebić się przez białą zasłonę. Warszawa nadal nie mogła wrócić do równowagi.

Ruszyli po pięciu minutach.

Cztery opancerzone toyoty dojechały do bramy, czołowa uderzyła zderzakiem w szlaban i złamała go, do budki strażniczej dopadło dwóch operatorów, którzy obezwładnili strażników, nim ci zdolali sięgnąć po radio.auta potoczyły się dalej, zatrzymały przed biurowcem, Tyszkiewicz wyskoczył jak na sprężynie, tupot dodatkowych szesnastu par nóg dodawał otuchy.

- Wchodzimy - powiedział do mikrofonu.

Słowo pofrunęło przez eter i dotarło do operatora, siedzącego w dużym samochodzie zwanym „system jamer”. Dwa kliknięcia myszką i przestrzeń wokół siedziby braci Pieniążków otuliła zasłona elektronicznej blokady. Drugim człowiekiem, który zareagował, był przebywający na terenie sklepiku Smotrycz, mający za zadanie, wraz z Carriem i Barbarą, przejąć kontrolę nad serwerami holdingu i zapobiec próbom niszczenia lub wypływu danych. Pierwszym ruchem Smotrycz odciał dopływ prądu do rejonu obejmującego blisko dwanaście tysięcy mieszkańców, co wywołało błyskawicznie wzbierającą falę paniki, ślepej wściekłości, a także dwa lekkie zawały serca. Nieco wcześniej Carrie włamał się do sieci holdingu za pomocą haseł, które Tyszkiewicz otrzymał od Kluzika, Barbara, korzystając z listy mailingowej, wysłała ze skrzynki prezesa Pieniążka mail do administratora sieci z poleceniem wykonania zadań opisanych w załączniku. Administrator zareagował po kilku minutach, załącznik zawierał program, za pomocą którego Carrie przejął hasło administratora, po czym zmienił je na własne. Po komendzie Tyszkiewicza zablokował dostęp do serwera komukolwiek z zewnątrz oraz uniemożliwił wyciek danych.

Ogrodzenie zostało sforsowane w sześciu miejscach. Dwanaście czteroosobowych sekcji rozbiegło się po terenie, zabezpieczając podejścia do budynków i rozbrajając strażników. Za nimi wkroczyli ludzie Wenderlicha, sekcji dochodzeniowo-śledczej i zabezpieczenia, razem dwudziestu dwóch funkcjonariuszy z bronią w ręku.

Jakub zerknął w górę. Nad wejściem mżył ledwie widoczny neon. „Our job is to make your life easy”. Głupiej nie można. Pchnął drzwi. Siedzący za kontuarem strażnik uniósł się, Goździk nakazał mu pozostanie na miejscu, drugi z operatorów pozbawił pistoletu i radia.

Recepcjonistki, dwie młode dziewczyny w obcisłych białych bluzkach, pobladły jak na komendę. Jakub machnął im przed nosem legitymacją, one nawet nie patrzyły, oczy latały im wkoło, pewnie nigdy nie widziały tyle broni.

- Zarząd? - zapytał.
- Ostatnie piętro - powiedziała jedna z nich.
- Żadnych telefonów - polecił.

Podzielili się bez słowa. Jeden z operatorów został w holu, pozostali skorzystali ze schodów, rozbiegając się sekcjami po piętrach, ostatnia grupa sześć kondygnacji pokonała w dwie minuty. Tyszkiewicz stracił oddech; biegł na końcu, Goździk nie pozwolił mu prowadzić.

Po wyjściu z klatki schodowej trafili do małego holu windowego, z którego w głąb piętra prowadziły przeszklone drzwi zabezpieczone kontrolą dostępu. Taran huknął gromko, zbrojone szkło opierało się krótko. Grupa weszła do środka otoczona wodospadem szklanych drobinek. Recepcjonistka była starsza od tych na dole, może nawet pełniła funkcję asystentki. W momencie gdy Tyszkiewicz przed nią stanął, miała w ręku słuchawkę telefonu i właśnie nabierała powietrza do płuc.

- Policja - powiedział wyjaśniającym tonem, po czym wyjął nakaz zza kamizelki. - Proszę odłożyć słuchawkę.

- Ociągając się, kobieta wykonała polecenie.
- Chcę rozmawiać z którymś z prezesów.
- Prezes Pieniążek jest w tej chwili bardzo zajęty.

Tyszkiewicz skinął głową z aprobatą. Nawet jej się za bardzo głos nie łamał. Musiała spróbować, za to jej w końcu płacą coś około średniej krajowej z nadgodzinami brutto.

- Proszę tu zostać - rzucił. Kobieta próbowała jeszcze protestować, zrobiła ruch do przodu, jeden z operatorów wyciągnął rękę, czarna rękawica zawisała dwadzieścia centymetrów od twarzy asystentki; asystentka pozostała w fotelu.

Tyszkiewicz przeciął hol recepcyjny i wszedł do jednego z pokoi. Pusto. W drugim jakiś facet przyglądał się z niedowierzaniem czarno odzianej postaci uzbrojonej w długą broń. Nie przypominał jednak żadnego z Pieniążków, których twarze Jakub wrył sobie w pamięć przed wyjazdem. Kolejny pokój. Dwóch mężczyzn stało, jeden z podniesionymi w geście bezradności rękoma. Następny: kobieta wyglądająca na księgową.

Koniec korytarza. Ostatni pokój, nieco większy. Piotr Pieniążek.

Stał przy oknie z komórką w ręku. Nalana twarz, cienkie żyłki na nosie, małe oczy, całkowicie nieruchome. Jakub złapał się na myśli, że jak na faceta, który obraca miliardami,

jest dość niski. Biurko przypominało wnętrze śmieciarki.

- Podinspektor Tyszkiewicz, Biuro Zwalczania Terroryzmu Centralnego Biura Śledczego - powiedział Jakub, nadmiernie akcentując wyrazy. Nie mógł się uwolnić się od widoku Krzeptowskiego w swoim gabinecie. Jeszcze nie widział takiej pogardy. Zasłużył na nią. Kocha Helenę bardziej niż ona jego, boli go to, ale niczego nie usprawiedliwia. Zawsze jest tak, że ktoś kocha bardziej, komuś bardziej zależy. Do tej pory myślał, że jego miłość wynika z kompleksu niższości. - Mamy nakaz przeszukania wszystkich pomieszczeń należących do pana firm.

Pieniążek odłożył aparat na biurko. Zdołał opanować zdumienie, a przynajmniej je ukryć.

- Z jakiego powodu? - zapytał. Nie grał głupca, udając oburzenie.

- Należy do pana ciężarówka MAN o numerze rejestracyjnym WR04321J?

- Moja flota liczy ponad sto pojazdów. Nie uczę się na pamięć każdego numeru rejestracyjnego.

- Proszę polecić przygotowanie wszystkich dokumentów dotyczących samochodów i manifestów przewozowych z ostatnich dwóch tygodni.

- Chcę wiedzieć, o co chodzi.

Do gabinetu wszedł Goździk.

- Budynek zabezpieczony - powiedział. Nie zdjął gogli. To z reguły dobrze wpływało na rozmowność podejrzanych.

Tyszkiewicz rozejrzał się. Meble chętnie by mu się zwierzyły, ale nie miały wiele do powiedzenia, to były zwykłe meble, żadne tam ludwiki szesnaste. Podeszedł do Pieniążka.

- I tak to zrobimy - powiedział półgłosem. - Przetrzepiemy każdy kąt i każdy papier, każdy plik, każdego przesłuchamy. Nigdy nie jest tak, że ktoś nie pęka i nie mówi. To tylko kwestia czasu.

- Którego pan nie ma.

Tyszkiewicz rozciągnął wargi w karykaturze uśmiechu. Facet był jednak arogansem, małym cwaniaczkiem w białych skarpetkach, który wysoko zaszedł dzięki protekcji możnych, włodarzy głębokiego państwa i którego prawdziwego oblicza świat nigdy nie ujrzy. Zmienił garnitury, bieliznę, dom, nos, zęby i podbródek na lepsze, ale nie potrafił powstrzymać się od gróźb, na ogół w takich sytuacjach brzmiących żałośnie. Pozostał sobą, co w gruncie rzeczy dobrze o nim świadczyło.

- Wystarczy - odparł Jakub.

Ze słuchawki odezwał się Wenderlich.

- Warsztat naprawczy zabezpieczony.

- Zabezpieczyliście warsztat naprawczy? - zapytał na głos Tyszkiewicz, wpatrując się w twarz Pieniązka. - Bardzo dobrze. Nie spieszcie się. To musi gdzieś tam być.

Żyłki na nosie prezesa pociemniały. Ciało zmieniło wymiary, skurczyło się, niewiele, ale jednak, garnitur migał lekkimi refleksami odbitego światła.

- Chce mi pan coś powiedzieć? - zapytał Jakub.

Praca, którą Pieniążek wykonał nad sobą, była imponująca.

- Nadal nie wiem, o co chodzi - odparł.

- Rozumiem, że jesteście chciwi i żaden pieniądz wam nie śmierdzi - powiedział Tyszkiewicz. - Ale dlaczego bawicie się w terroryzm? W zabójstwa na zlecenie?

Pieniążek wyprostował się.

- Wie pan, że to nie ma żadnego sensu - powiedział. - Żadnego.

Tyszkiewicz wyciągnął z kieszeni kamizelki komórkę. Wszedł w folder poczty, po czym puścił plik, który mu przysłał Smotrycz chwilę po tym, gdy ruszyli do Garrisona. Zdążył kilkakrotnie odsłuchać nagranie.

„Trzeba go wywabić z nory. Damy mu coś, czego chce, wtedy po to przyjdzie”.

- To pański głos, panie prezesie? - zapytał Jakub.

Krzeptowski wszedł do warsztatu naprawczego chwilę po usłyszeniu komunikatu, że jedna z sekcji odnalazła MAN-a o numerze WR04321J i po krótkich poszukiwaniach odkryła zamontowany pod podłogą przestrzeni ładunkowej schowek. Nie zdziwiło go to - raczej czułby rozczarowanie, gdyby okazało się, że domysły okazały się chybione. Pod ścianą stało kilku mechaników, którzy właśnie oddawali jednemu z funkcjonariuszy swoje komórki, co Krzeptowski uznał za stratę czasu - czesanie pamięci telefonów tych ludzi nie przyniesie niczego, mógł się o to założyć. Dwóch techników badało pomieszczenie testerami do wykrywania obecności materiałów wybuchowych. Podszedł facet od daktyloskopii. Miał minę zaspanego śledziennika. Skoki ciśnienia powalały najsilniejszych, gruboskórnych wpędzały w depresję.

- Zbadaj schowek ciężarówki - polecił Krzeptowski. - A potem weź odciski od wszystkich.

Funkcjonariusz przytaknął. Poprawił na ramieniu torbę ze sprzętem i wyszedł z hali. Bardzyński, opiekun firmowego psa tropiącego, podstawił mu pod nos próbki osmologiczne, wzięte na miejscu przestępstwa na Wiktorskiej. Kali, niemal całkowicie czarny owczarek niemiecki, wyglądał na zachwyconego. Skończył trzy lata i kochał akcje. Miał na koncie kilka

sukcesów, które wprawiały Bardzyńskiego w dumę. Teraz zaczął węszyć, skupiony tym rodzajem psiego skupienia, które zwiastuje powodzenie.

Nagle zatrzymał się, podniósł łeb, wciągnął do płuc powietrze. Dopiero teraz Krzeptowski dostrzegł umieszczoną w rogu kamerę. Chciał krzyknąć, kazać się wszystkim zabierać do wszystkich diabłów; był zbyt wolny, zbyt osłabiony, zbyt oddalony od realnego świata.

Strzały były stłumione, dochodzące jakby zza gęstej zasłony, dziwnie niegroźne.

- Tu Siódemka, magazyn sześć be! - usłyszał w słuchawce wrzask dowódcy jednej z sekcji. - Jesteśmy pod ogniem.

Sztanga, pomyślał Krzeptowski. To Sztanga krzyczy.

Potem huknęła eksplozja, już znacznie bliższa.

Tyszkiewicz usłyszał właściwie dzwonienie szyb, dopiero później dotarł do niego stłumiony huk. Dalekie stęknęcie przepchnęło powietrze, wprawilo w ruch osadzone w ramach szkło, potem wygasło bezpowrotnie. Alarm wykrzyczany przez starszego aspiranta Wojciecha Paprockiego, znanego wszystkim jako Sztanga, uruchomił w Tyszkiewiczu pokłady energii, których istnienia nikt, a najmniej on sam, nie podejrzewał.

- Zawijaj wszystkich! - krzyknął w stronę Goździka. - Jedyńka i Trójka za mną.

Goździk jednym susem dopadł Piotra Pieniązka, kopniakiem obalił go na podłogę, jednorazowe kajdanki ścisnął mocno, bez jednej współczującej myśli. Tyszkiewicz już tego nie widział; zdążył dobiec do schodów. Parter osiągnął w minutę, ośmiu gliniarzy już na niego czekało, jeden z GPS-em w ręku. Jakub opuścił na oczy termowizyjne gogle. Serie z kałacha zabrzmiały blisko, dołączył drugi karabin, odpowiedziało mu klaskanie policyjnych Hecklerów. Kanonada miała kwadrofoniczne właściwości, mgła rozpraszała dźwięk, by skupić go w innym miejscu, zmieniała jego fakturę, intensywność, natężenie.

- Sztanga, sytuacja! - krzyknął Tyszkiewicz.

W słuchawce coś trzasnęło, Jakubowi przemknęło przez głowę, że adresat pytania może już nie żyć, martwy elektroniczny system po prostu przekazuje to, co słyszy, na szczęście obawy okazały się niepotrzebne.

- Trzech, kałachy, wyszli podziemnym przejściem, uciekają w kierunku wschodnim...

Seria zagłuszyła końcówkę zdania, odpowiedziała jej druga, dłuższa, potem szczęknięła blisko empepiątka, to musiał być sam Sztanga, równe mierzone strzały, jakiś daleki jęk, kolejny strzał, cisza, oddech Sztangi, odgłos gumowych podeszew uderzających o beton.

- Uwaga, prewencja! - krzyknął Jakub do mikrofonu. - Trzech sprawców ucieka w

stronę wschodniego ogrodzenia. Są uzbrojeni. Zezwalam na otwarcie ognia.

- Potwierdzam. - Głos komisarza był opanowany. Przynajmniej ktoś w tym burdelu był opanowany.

Biegł ile sił, operatorzy rozwinęli się w szyk zwany całkiem nieregularnym rojem, w szarym obrazie termowizji migały postacie jak z bajki, jakieś ciało leżało nieruchomo, ciemna plama rozlewała się leniwie, Tyszkiewicz potknął się na jakimś wyboju, zaszurał rękawicami o beton, ból był krótki i dojmujący, pistolet maszynowy zaplątał mu się na pasku, wstał, minął rannego lub trupa, nawet nie patrząc, rozpaczliwie potrzebował powietrza, dusił się właściwie.

Zamajaczyły ciemne postacie, warknęła seria, kule przeleciały obok, obojętne, zimne, Tyszkiewicz klęknął, złożył się, pocisk poleciał w dal, obok operatorzy otworzyli ogień, jeden z uciekających upadł, Sztanga wynurzył się z niebytu jak duch, zmienił magazynek, złożył się, kolejne strzały pokryły słyszalne pasmo, ostatni kałach milczał, ciemna postać dobiegła do ogrodzenia, jakiś idiota krzyknął „stój policja”, potem warknęły trzy strzały ze służbowego Walthera, postać upadła na plecy, ruszała się przez chwilę, potem wszystko ucichło i znieruchomiało.

Zapadł zmrok, Jakub nawet nie zwrócił na to uwagi, choć mleko wymieszało się z kawą. Karetki pogotowia zdążyły przyjechać, zapakować rannych, odjechać na sygnale. Zwłoki leżały w dwóch rzędach, swoje i obce, tych drugich więcej. Jakub starał się nie patrzeć w tę stronę, mgła powoli się rozwiewała, ale sprzyjała mu ciemność. Teren został odizolowany przez prewencję wzmocnioną do batalionu. Pałac Mostowskich przysłał dodatkową ekipę dochodzeniową. Olbrycht dostał sześciuosobowy zespół pirotechników z BOA. Pracownicy holdingu zostali przewiezieni do aresztów na Mokotowie i w Śródmieściu. Sebastiana Pieniązka aresztowano w drzwiach własnej willi, z walizkami w rękach i żoną przy boku. Obaj bracia pojechali do sklepiku pod troskliwą opieką ludzi Goździka, który zakomunikował im, że nie życzy sobie żadnych kłopotów w rodzaju śmierci podczas próby ucieczki, choć w głębi ducha myślał całkiem na odwrót.

Tyszkiewicz przyglądał się dwóm policjantom wynoszącym do samochodów pudła wypchane laptopami należącymi do pracowników Garrisona, gdy zadzwonił Tolak.

- Sporo tych strzelanin ostatnio - powiedział. - Słysząc was było w całej Warszawie.

Tyszkiewicz przytknął słuchawkę mocniej do ucha. Nadal zbyt dobrze słyszał grzechot Kałasznikowów.

- Takie życie.

- Przynajmniej zamknąłeś temat?

- Tak mi się wydaje.

- To dobrze. Mam coś dla ciebie.

Jakub skupił się. Wyleciało mu z pamięci, o czym rozmawiał z Tolakiem.

- Chętnie posłucham.

- Miałeś rację - powiedział Tolak. - Posyłam ci wyniki kurierem.

Przypomniał sobie. Chciałby czuć ulgę, satysfakcję, zamiast tego nie mógł przełknąć śliny, a do gardła podeszło coś kwaśnego. Miał tak półtorej godziny temu, zawsze tak miał, gdy do niego strzelano. Dostrzegał coraz mniej sytuacji, gdy posiadanie racji było opłacalne.

- Ktoś jeszcze o tym wie?

- Tylko ty i ja.

- I ktoś, kto to załatwiał.

- On ma tylko jeden koniec sznurka. Zresztą, masz zamiar trzymać karty przy orderach?

- Jeszcze nie wiem. Dzięki. - Zastanowił się. - Będę w biurze za godzinę. Niech kurier da mi to do ręki, okej?

- Jasne.

Rozłączył się, po czym wybrał numer wiceministra.

- Może pan rozmawiać? - zapytał.

- Mogę. Słyszałem wieści. Najpierw coś panu powiem. Patrol prewencji dostał zgłoszenie od jednego z mieszkańców bloku na Woli. Drzwi do jednego z mieszkań były uchylone. Policja znalazła tam zwłoki dwóch mężczyzn zastrzelonych mniej więcej dobę wcześniej.

- Haładoj i Parsak.

- Zidentyfikowaliśmy ich. Bez wątplenia to oni.

- Tamci dowiedzieli się od Apaszina adresu i prosto z Wiktorskiej pojechali na Wolę domknąć temat.

- Na to wygląda. Gdy pan nadawał swój komunikat, już nie żyli.

Jak wiele innych, tak i ten ruch okazał się bez sensu.

- Zamknąłem obu braci Pieniżków - powiedział Jakub po chwili. Śmierć zamachowców właściwie niczego nie zmieniała, poza podkopaniem i tak podkopanego zaufania do samego siebie. Myślał o sobie jako o gładkiej, niezle oznaczonej drodze prowadzącej na manowce. - Na należącym do nich terenie znaleźliśmy samochód ciężarowy, wyposażony w schowek o wymiarach pozwalających na przemyt Stingerów. Zabezpieczyliśmy wszelkie możliwe ślady, sporo odcisków palców. Analiza chwilę potrwa.

Czasowo zatrzymaliśmy wszystkich do wyjaśnienia, przesłuchania już się rozpoczęły, Mostowscy wzięli część na siebie.

- Ale bezpośrednich dowodów przemytu pan nie znalazł?

- Trudno znaleźć ślad Stingera przewożonego w szczelnej skrzyni. Potrzebne nam zeznanie świadka. Ktoś na pewno pęknie.

- Oby miał pan rację.

- Udało nam się wykryć ślady C-4. Wstępnie ustaliliśmy, że mogła to być taka ilość, jaką znaleźliśmy przy obu terrorystach na Ursynowie. Garrison nie ma pozwolenia na obrót ani przechowywanie materiałów wybuchowych.

- Więc to oni dostarczyli bomby.

- Tak. Po trzecie, pod jednym z magazynów wykonano podziemny schron, podzielony na dwie części. W jednej była tajna serwerownia, którą niestety zdołano zniszczyć za pomocą zdalnie odpalanego ładunku zapalającego. Dane są chyba nie do odzyskania. W drugiej części znajdowało się pomieszczenie mieszkalne wraz łazienką. Tam przebywali trzej ludzie, odpowiedzialni za zabójstwo Apaszina oraz moich funkcjonariuszy.

- Aresztował ich pan?

- Podjęli próbę ucieczki tunelem kończącym się wyjściem awaryjnym. Ostatni zdołał dobiec do ogrodzenia. Został zastrzelony, podobnie jak wcześniej dwaj jego koledzy. Trzech policjantów jest rannych, jeden ciężko. Broń znaleziona przy tych ludziach jednoznacznie wskazuje, że to oni byli na Wiktorskiej.

- Dobra robota.

- To nie wszystko.

- Słucham.

- Dostałem właśnie informację, która to, co się stało w ciągu ostatnich kilku dni, wywała w powietrze.

Mówił przez kilka minut, poinformował też, co zamierza zrobić. Wiceminister przez dłuższą chwilę nie wiedział, jak zareagować.

- Powinienem powiadomić premiera - powiedział. Brzmiał gorzej, niżej, bez słyszalnej jeszcze przed chwilą satysfakcji.

- Po co?

- Wie pan, to grozi konfliktem. Mówię poważnie.

- Mam tego nie robić?

- Może nie w ten sposób.

- Zna pan lepszy? Doskonale pan wie, że jeżeli sporządzą raport, zostanie on przez

nowych władców spuszczonej do Wisły. Zresztą uważam, że wy postąpilibyście tak samo.

- Mogę wydać polecenie służbowe, żeby pan sporządził raport w jednym egzemplarzu i przekazał mnie. Mogę pana postraszyć konsekwencjami w razie przecieku.

- Oczywiście, może pan.

Wiceminister milczał chwilę. Tyszkiewiczowi wydawało się, że słyszy cichy śmiech.

- Diabeł z pana - powiedział urzędnik i rozłączył się. Jakub potraktował to jako zgodę.

Tyszkiewicz mylił się, mówiąc, że wszyscy pracownicy Garrisona pojechali na przesłuchanie. Jeden z nich nadal przebywał na terenie firmy. W kącie najmniejszego magazynu Piotr Komuda klęczał na betonie, czując chłód lufy na potylicy. Przypomnił sobie tego wysokiego faceta od razu, a jakże, w końcu przez niego wyleciał z armii, a przy okazji dostał w zęby, co kosztowało go dwa tysiące złotych na nową koronkę. Początkowo chciał się odegrać, trafił na młodszego z Pieniążków, chęć odegrania się odeszła już po pierwszym próbnym kontrakcie w Iraku.

Pod nosem ukazał się telefon, jego własna komórka. Gdy zaczął się wjazd policji, zareagował zbyt późno i zbyt głupio. Jeden z gliniarzy znalazł aparat pod szafą w gabinecie.

- Twój? - zapytał wysoki mężczyzna.

- Może.

Poczuł uderzenie. Pieczenie, ból, kolorowe plamy przed oczami, lepkie gorąco sączące się z rozciętej skóry.

- No?

- Mój.

- Dzwoniłeś z niego do pewnej kobiety.

- Nic o tym nie wiem.

- Głupku, dane z tego dysku są już u nas na serwerze. Mamy wszystkie logi.

Milczenie. Gdzieś z kranu kapiała woda.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytał Głos.

- Opowiesz, jak ją szantażowałeś i po co - powiedział Krzeptowski. - A potem ja ci opowiem, dlaczego tego już nigdy nie zrobisz.

Jakub podjechał pod drzwi, otworzył je pilotem, samochód wtoczył się do garażu, miejsce było wolne, obok stał jaskrawozielony roadster Heleny, lampy łagodnie oświetlały ciche pomieszczenie. Przedtem, w biurze, próbował przez pół godziny doprowadzić się do porządku. Z włosami dało się coś zrobić, z sińcami pod oczami - nie. Przynajmniej się ogolił.

Marynarka wymagała prasowania, z koszuli nie udało się usunąć wszystkich plam.

Winda jechała irytująco wolno i była jakaś klaustrofobicznie mała, sączący się z głośników muzak zalepiał uszy. Droga do drzwi ciągnęła się niczym podróż do krańca galaktyki. Gdy otworzył kluczem, Lolek wyprysnął jak z katapulty, wskoczył mu prosto w ramiona, krzycząc, że bardzo się stęsknił. Jakub poczuł ukłucie w sercu, syn pachniał mydłem, szamponem i małym dzieckiem, łzy same napłynęły do oczu, na stole kolacja, Chick Corea w głośnikach, Helena w szarej spódnicy i koszuli w kratkę, której nigdy specjalnie nie lubił, ale przecież to dobrze, że nie założyła niczego, żeby mu się podobać, będzie uczciwie. Poczul, jakby nigdy stąd nie wychodził, gdzieś na dole ryknął telewizor, szybko ucichł, Jakub stał, trzymając Lolka w objęciach i słuchając jego radosnej paplaniny, patrzył na Helenę, ona nie bardzo patrzyła na niego, ale nie uciekała ze wzrokiem, dobre i to. Podeszedł, pocałował ją delikatnie w policzek, który był miękki i zarumieniony, oczy uważne, pociągnięte kreską na jego cześć albo na jego pożegnanie, pożegnanie z klasą i przy muzyce Chicka. Na stole stały dwa kieliszki wina i butelka, świeżo otwarta, pełna, podeszedł, trzymał jedną ręką syna, drugą nalał ostrożnie, jedną trzecią kieliszka, tak jak trzeba. Podał szkło Helenie, ona je przyjęła, nadal patrzyła w przestrzeń, podniósł swój kieliszek, wtedy ich pojrzenia się spotkały, oko w oko, źrenica w źrenicę, zamrugał, bo coś zapiekło go pod powieką, chciał odchrząknąć kulę w gardle, ale przecież nie wypada chrząkać w takiej sytuacji, stał więc z zalepionym gardłem i dzieckiem, którego ciężaru nie czuł, czuł tylko to mydło i szampon, jakiś antyalergiczny chyba. Helena zanurzyła wargi w winie, upiła łyk, wino popłynęło przez przełyk, Jakub poszedł w jej ślady, trunek był dobry nawet jak na jego strach i potrzeby dzisiejszego wieczora, gdzie konieczna jest moc i szybkie oszołomienie, żeby nabrać odwagi, a może nawet wpaść na to, co powiedzieć. Jej włosy lśniły w blasku kinkietu, były czarne i mocne, nawet jak będą miały sto lat, będą czarne i mocne, taka uroda włosa gęstego i mocnego od urodzenia. Podeszła do niego, uniosła kieliszek, wina ubywało, on dotrzymywał jej kroku, Lolek złapał rączką jej dłoń i przyciągnął do jego dłoni, nieco wina wylało się na parkiet, nie szkodzi, dłoń Heleny była znajoma, dotyk raził prądem, Jakub poczuł dreszcz, diabli wiedzą czego, może pożądania, co przecież było absurdalne, nie śmiał nawet myśleć o tym, no ale cóż poradzić. Trzymał dłoń żony w swojej, ona nie cofała się, w ogóle się nie ruszała, nawet na niego spojrzała, przez moment było jak dawniej, jak w tej zasyfionej kawalerce na Bródnie, kiedy to było, wieki temu, prawie tego nie pamiętał, aż do dziś. Postawił Lolka na podłodze, pochylił się nad wózkiem z Zosią, dziecko bawiło się szmacianą owieczką, nadgryzione ucho majtało się wesoło, dziewczynka poruszyła się, gdy jej dotknął, była blada i senna, chciał położyć ją spać. Helena odstawiła kieliszek, wzięła Lolka za rękę, syn opierał

się, żądał zabawy z tatą, Helena obiecała, że jutro będzie na to czas, Jakub poczuł falę ulgi, szczęścia, na które nie zasługiwał. Popchnął wózek do kolorowego pokoju, przeniósł kruche ciało do łóżeczka, przebrał, okrył kołdrą, choć w mieszkaniu przecież było ciepło, popatrzył przez chwilę, kula w gardle nawet urosła, usłyszał, że Helena gasi światło w pokoju Lolka, zrobił to samo u Zosi, spotkali się w korytarzu.

Helena wróciła szybko do salonu, jakby ciasnota przejścia nagle zaczęła ją krępować. Chick Corea przyspieszył, fortepian brzmiał czysto, sekcja odmierzała rytm z nieludzką punktualnością. Wino popłynęło szerokim strumieniem.

- Wynajęłam prawnika - powiedziała Helena. - Zleciłam agentowi szukanie domu w Portugalii.

- Pakujesz się? - wychrypiał; a więc jednak, jutro pobawi się z Lolkiem, potem będzie musiał się zwijać, a czego się niby spodziewał, przecież ona niczego mu nie obiecywała.

- Jeszcze nie.

- Nie?

- Prawnika wzięłam, bo podam do sądu ten cholerny urząd.

Nic nie rozumiał. W końcu spojrzała mu w oczy.

- Jestem ci winna - powiedziała.

Nadal nie nadażał. Nie miał nic, co mógłby jej sprzedać. Kochał ją, co mógł zrobić? Kochał ją bardziej niż ona jego, a i tak nie zadbał o swoje.

- Masz jeden do tyłu, ja dwa - ciągnęła, potęgując jego panikę. - Jestem ci winna.

- O czym ty mówisz?

- Musi być równowaga. Tylko wtedy damy radę.

Stał osłupiały.

Podeszła i zaczęła rozpinać mu guziki koszuli.

Rozdział 5.

Promienie słońca padały płasko, liście szeptały niezrozumiale, gdzieś w sąsiedniej alejce przejechał bezgłośnie meleks z trumną, ciągnąc za sobą ogon żałobników. Powietrze było wyprane z kolorów, zimne, bezwietrzne, ale jasne; wczorajsza mgła zdawała się nierealnym wspomnieniem.

Grób wydawał się dziś bardziej dostojny, poważny, taki jak trzeba. Od ziemi ciągnęło wilgocią, zapach pleśni krążył wokół, ale jakoś nie drażnił. Krzeptowski patrzył na kwiaty i pełgający na zniczu ognek, przyglądał się tabliczce, nareszcie solidnie zamocowanej. Trzymał w ręku pomarańczową różę, Jadwiga najbardziej lubiła pomarańczowe róże. On sam uważał zwyczaj dekorowania mogił kwiatami za niemądry, ale tu dyskusji nie było, pomarańczowy to pomarańczowy, choćby całą Warszawę przyszło zjeździć w poszukiwaniach. Wietrzyk poderwał liście ze ścieżki, korowód barw przefrunął tuż obok, jeden spadł na grób, po chwili zerwał się, spóźniony i zawstydzony.

Krzeptowski westchnął. Myślał, że będzie bardziej podniośle, że będzie do niej mówił, sumitował się, opowiadał, jak bardzo mu jej brakuje, jak próbuje wypełnić pustkę, bo po raz pierwszy spał w łóżku, które nie tak dawno, pięć tygodni wcześniej, dzielił z nią i było mu dobrze. Zamiast tego po prostu położył pomarańczową różę i patrzył, jak wygląda na foremnym kopczyku przyozdobionym dwoma zniczami. Myśli krążyły wokół Marii i kłuty. Po raz pierwszy uderzył kobietę, nieważne, że w furii. Być może okaleczył ją na trwałe. Ona potem zadzwoniła, czuła, że coś jest nie tak, chciała pomóc, zapewne szczerze, co z tego, że ją do tego zmusił? Uderzył ją lufą pistoletu w twarz, patrzył z satysfakcją na krew, ból i przerażenie w oczach. Chciałby wierzyć, że to nie on, że to inny Krzeptowski, desperat i niedoszły samobójca, oddzielony rozpaczą od wiary w Boga, ale nie sądził, by to było takie proste. Tamta aż się prosiła; nadal: co z tego?

Czy jest mu od tego lepiej? Czy skok Tyszkiewicza od tego się unieważnił? Helena poczuła ulgę? Wszystko już wiedział, Komuda okazał się prostolinijnym i szczerym rozmówcą, szantaż miał na celu trzymanie Tyszkiewicza na krótkiej smyczy, bo zaczął im niebezpiecznie blisko podchodzić do irackich interesów. Żadnej polityki, żadnego podglebia terrorystycznego, służącego wyłącznie za parawan; tylko kasa, fakt, że ogromna. Pustka, motywacje banalne, a przez to jakoś bardziej obrzydliwe. Może wolałby bardziej skomplikowane, żeby okazało się, że jego wysiłek był ważniejszy?

Bzdury.

Ogarnął go smutek, potem złość, jeszcze później - poczucie winy. Całe jego życie wydało mu się pasmem klęsk i pomyłek, koszmarnych błędów i chybionych decyzji. Nawet Jadwiga jawiła się jako osiągnięcie ponad stan. Siedział długo, aż zrobiło mu się zimno, a mięśnie bolały, jakby ktoś je podpalił. Słońce nadal tkwiło na nieboskłonie, ale całkiem straciło powab, jakby było tu tylko przelotem. Krzeptowski wstał i skierował się w kierunku bramy. Energii i koncentracji starczyło mu na tyle, by przechodząc obok śmietnika, potrzaskać obcasem twardy dysk i kartę SIM wyjętą z telefonu Komudy, a potem wrzucić okruchy do kilku śmietników i utopić tym samym w mroku niepamięci sprawę, w którą się niepotrzebnie wtrącił.

Nie był psychiatrą, nie miał pojęcia, że padł właśnie ofiarą depresji w podręcznikowej odmianie.

Sendecka wjechała do garażu i zaparkowała zrećnie, myśląc o kilku rzeczach naraz. Policyjny telefon wyrwał ją z wiru, w którym tkwiła od dwóch dni; początkowo zła, później stwierdziła, że to nawet dobrze, bo weźmie kąpiel, przebierze się i chwilę odpocznie. Sama wiadomość nie bardzo ją obeszła, osiedle było dobrze chronione, zamieszkane przez ludzi wykształconych i kulturalnych, awantura w pobliżu jej mieszkania musiała być pomyłką, w najlepszym razie sąsiedzkim nieporozumieniem spowodowanym nadużyciem alkoholu. Policjant nalegał jednak na przyjazd, jego szefowie nalegali na przesłuchanie wszystkich sąsiadów, zgodziła się więc, myśląc właśnie o świeżej bieliźnie i długiej kąpieli w gorącej wodzie z dodatkiem sosnowego olejku.

Przedpołudniowe pasmo szło świetnie; większość wejść i komentarzy na żywo, czysta wymowa faktów, pomyłki i przerwy wliczone w koszty, a tylko dodające wiarygodności. Rewolucja przyniosła niespodziewane efekty. Ekipa reporterów poczuła wiatr w żaglach, przestały się liczyć fryzury, makijaże i garnitury, zaczęły refleks, dobry język i autentyczność przekazu. Mgła dodawała ozdobności, choć światło było słabe, jakieś żółtawe albo sine. Wejścia z terenu przeplatane narracją ze studia wyglądały chropawo, autentycznie, kontrast robił doskonale wrażenie na widzach. Początkowo nie było to jasne, Holt nieco histeryzował, próbował się wtrącać, potem, gdy przyszły pierwsze badania telemetryczne, stopniowo popadał w radosne zdumienie. Stacja wyszła poza target, liczba widzów rosła, inwestorzy zaczęli dzwonić wczesnym popołudniem, choć był to środek drugiego dnia weekendu, kiedy większość w znoju i trudzie leczyła się z piątkowego wieczoru. Sendeka nadała swój indywidualny sznyt całemu pasmu, to był naprawdę sukces, newsroom ją kochał, reporterzy

modlili się do niej, kamerzyści i ekipy techniczne śnili o premii, święta za dwa miesiące, premia się przyda, będzie jak znalazł, dzięki Sendeckiej, przecież to jasne.

Wysiadła z samochodu, pstryknęła pilotem, zanurzyła dłoń w torebce w poszukiwaniu kluczy.

- Chcesz zrobić dobry program? - usłyszała.

Klucze rozbiły się z brzękiem o beton, dłoń zastygła, choć miała blisko do paralizatora zbliżeniowego, tasera, żelu pieprzowego, pół torebki tego było, do wyboru do koloru. Kolana zaczęły drżeć, co one, kurwa, sobie myślą, chcą, żeby się wywaliła czy jak? Nie mogła sięgnąć po żaden ze sprzętów do samoobrony, bo ją jakoś rozebrało, strach może albo coś, paraliż postępował, choć pytanie nie było ani groźne, ani zaczepne, ani jakimś tonem wypowiedziane takim bardziej bojowym. Odwróciła się i wtedy krzyknęła, bo głos wydał jej się od razu znajomy, ona słyszy tyle głosów, że każdy może być znajomy, ale dopiero jak zobaczyła postać, w płaszczu za dwa tysiące z hakiem i butach na wysoki połysk, niewysokiego ducha z twarzą jak sama śmierć, zmęczoną i szarą, i z podkrążonymi oczami, ale ogoloną na gładko, wtedy rozpoznała, z kim ma do czynienia, i dopiero zdjął ją prawdziwy strach, nawet nie wiedziała, że tyle wysiłku trzeba włożyć w to, żeby się nie zsikać. Udało jej się, choć było blisko, może dlatego, że postać stała, nie ruszała się i patrzyła na nią, nawet nie wrogo ani zaczepnie, po prostu patrzyła jak na nieznaną, od której może człowieka spotkać coś dobrego albo złego, cholera wie.

- To pan? - zapytała, bo właściwie nie wiedziała, co powiedzieć, cud, że powiedziała cokolwiek, acz miała wrażenie, że raczej skrzeczy jak żaba. Pomyślała, że w garażu są kamery, na zewnątrz ochrona, zaraz potem zaśmiała się z samej siebie w duchu, serdecznie, od serca, jak z idiotki. Jeśli tu wszedł, ominął ochronę i na pewno pomyślał o kamerach.

- Może zaprosisz mnie na kawę? -- zapytał Tyszkiewicz.

Bardzo ładnie mieszkała, nie da się ukryć. Jakub spodziewał się przepychu, jakichś złotych wanien wielkości lotniskowca, kina domowego za dwadzieścia średnich pensji, szklanych stołów do wciągania amfy, trzyosobowego łóżka z lustrami. Nic z tego. Mało mebli, dużo książek, wielki telewizor, owszem, ale w końcu właścicielka pracowała w branży medialnej. Metraż niezbyt imponujący, sam miał o wiele większe mieszkanie, był znacznie większym mieszcuchem niż ona, jak się okazuje. Błada, nadal drżąca, usiadła na kanapie, choć właściwie na nią opadła, nieledwie z westchnieniem ulgi. W windzie nie rozmawiali, jechali z jakimś facetem, aktorem chyba, Tyszkiewicz nie miał rozwiązania na wypadek, gdyby ona zaczęła się drżeć. Nie zaczęła.

Stał pośrodku pokoju, szybko się rozejrzał. Idealne warunki, pomyślał.

- Dam ci wyłączność na godzinę - powiedział. - Z pierwszej ręki, podparte dowodami, nagraniami, zdjęciami i tak dalej.

Wychodziła z szoku, myślała jak mucha w smole. Nawet nie zdjęła płaszcza, trudno zdjąć płaszcz, siedząc.

- Wyłączność na co? - zapytała słabo.

- Na fakty z pierwszej ręki. Na przyczyny i skutki.

- O czym pan mówi?

- O samolocie. O terrorystach. O zamachu koło zamku. O firmie Garrison. O kontrakcie na modernizację Leopardów.

Widział, że starała się myśleć. Opanować strach i zacząć myśleć. Docierało do niej, co właściwie słyszy. Hasło Garrison zapaliło w jej oczach światło.

- O wszystkim wiem.

- Gównu wiesz.

Drgnęła. Przecież wiedziała, co wie. Jakub zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby zaczął naprawdę grozić. Ładna szafka, ta pod oknem, nawiasem mówiąc. Stolik też niczego sobie.

- Dlaczego? - zapytała nieco pewniej. Nadal nie mogła opanować mimiki, ale miała refleks i była twarda. Takie blondynki niełatwo utłuc, na pewno trzeba je mocniej przycisnąć, żeby się złamały.

- Dlaczego do ciebie przyszedłem, chociaż walnęłaś mnie w jaja?

- Powiedzmy.

- Uważam, że jesteś zawodowcem. Dostałaś na mnie zlecenie.

- Bzdury.

Tyszkiewicz zachichotał. Była sobą w każdej sytuacji. To go bawiło, odzyskiwał poczucie humoru, przynajmniej teraz. Czego się spodziewał? Że zacznie mu przytakiwać?

- Kręci cię ruch w interesie. Każdy ruch. Zrobisz wszystko, żeby się ruszało.

Zrobiła obrażoną minę.

- Uprawiam poważne dziennikarstwo...

- Oboje żyjemy z lawirowania. Przestań. Nie jesteśmy na wizji.

Rzeczywiście przestała.

- Powiem ci, dlaczego chcę z tobą gadać. Bo nie lubię, jak się sprawy zamiata pod dywan, obojętnie kto to robi, stara władza czy nowa. W dupie mam starą władzę. Tokarskiego też mam w dupie, centralnie. Będiesz miała takie słupki, że będą ci się śniły do śmierci.

- Muszę wiedzieć coś więcej.

- Musisz wiedzieć tylko tyle, żeby wezwać tu kamerzystów, dźwiękowca i faceta od świateł. Pojedziemy na żywo z twojego mieszkania.

Wstała.

- Nie ma o czym mówić. Chcesz udzielić wywiadu, może cię wcisnę na jutro, bądź w studiu przed siódmą...

Podszedł o dwa kroki, ona usiadła, nawet z większym plaśnięciem niż poprzednio.

- Tutaj. Za godzinę. Na godzinę, albo pół, zobaczę, jak się sprawisz. Masz dziesięć sekund do namysłu.

- Albo?

- Albo wszystkiego dowiesz się w poniedziałek z internetu. Wątpię, żeby Holt pogłaskał cię za to po główce. Pięć sekund.

- Muszę zapytać Holta.

- Dwie.

- Ja pierdolę.

Była zdenerwowana jak jeszcze nigdy, no kurwa, pewnie, że była. Lubiła improwizację, ale żeby jechać na ślepo, przy jej statusie w branży, przecież właściwie nawet nie wie, o czym będą rozmawiali, on po prostu siedzi i przygląda się technikowi rozkładającemu kable. Gdy telefonowała do firmy, stał przy niej blisko i pilnował, żeby powiedziała dokładnie to, co jej zapodał, skurwiel. Nie chciał pójść do studia, próbowała namawiać, uciał temat i stał się odpychający, dostrzegła, że naprawdę groźny facet z niego, podobno w Afganistanie strzelał do ludzi jak do kaczek, szlag. Bał się czegoś, jakiegoś zdemaskowania, może chciał powiedzieć coś głupiego i zaszkodzić sam sobie. Facet ma żonę malarzkę, sławną na cały świat, widziała kiedyś jej obraz, ładny nawet, pasowałby do salonu, ale ceny takie bardziej kosmiczne, więc dziękuję postoję, póki co. Ciekawe, czy ta żona wie, że on tu jest i chce coś puścić w świat, że być może grzebie w sprawach, których bohaterowie nie lubią, jak im się zagląda w interesy. Zdenerwowała się jeszcze bardziej, bo przecież ją też mógł wciągnąć w bagno, czemu nie, nawet chciała wywalić go do wszystkich diabłów, Holt zrozumiałby ją, a jak nie, to niech spierdala, wyjedzie na Hawaje na rok i niech ją błaga, żeby wróciła.

Ale była jakaś niezdecydowana i okazja do protestu przeszła. Zresztą - zżerała ją ciekawość, no właśnie, i może chęć zaryzykowania. Nadal pamiętała, jak na początku lat dziewięćdziesiątych od szóstej rano zapierdalała po sejmie z mikrofonem państwowego radia i próbowała złapać jakiegoś polityka z opuszczonymi gaciami, co zresztą udawało jej się co

chwilę - i nawet wtedy, dwudziestoparolatką będąc, nie czuła takiej adrenaliny jak teraz. No, lubiła ostrą jazdę, dlatego miała to, co miała, i nic w niej nie wygasło, choć w takim wieku zapotrzebowanie na święty spokój jest dominujące. Nie u niej, i chwała Bogu.

Mieli wejść za chwilę, mikrofony już podpięte, łączność dobra, stojący obok monitor pokazywał ją na tle książek, obraz był nie wiedzieć czemu dostojny, jak w domu profesora, proszę, jak się opłaci czytać, nawet choćby do poduszki jakieś greje.

- To pana własna inicjatywa? - zapytała, bo myślała też o tym i jakoś nie bardzo mogła się zdecydować, w co właściwie wierzy.

Uśmiechnął się. Sińce pod oczyma stały się wyraźniejsze; wcześniej nie chciał słyszeć o charakteryzatorce.

- Skup się. Mamy minutę do wejścia.

- Rodzina wie? Przełożeni?

- A twoi?

Noż kurwa, złotousty jej się trafił, lepszy niż ten cały Cieński. Aż się skrzywiła, Cieński był prymitywem, jednorazowym wybrykiem, dzwonił potem dwa razy, nie odebrała. Na ekranie leciała ostatnia reklama. Dopiero teraz zauważyła, że gość miał ze sobą torbę. Wyjął z niej laptopa.

- Jeszcze jedno - powiedział Tyszkiewicz. - Zasady są takie, że jedziemy na żywo bez żadnych przerw ani cięć. Tu - pokazał na klapę marynarki - mam kamerkę i mikrofon i wszystko jedzie online na serwer. [Http://samolotzamach.com](http://samolotzamach.com), rozumiesz? Chcę, żeby ten adres był na pasku co minutę. I kamera na ekran. Będę puszczał różne rzeczy.

Nie zdążyła nic odpowiedzieć, on skrzywił nieco głowę, w jego uchu tkwiła słuchawka.

- Widzisz? Na mieście mam kogoś, kto ogląda, jedna obcierka, wstaję i wychodzę.

- Kurwa.

- Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, jazda.

- Wita państwa Beata Sendecka, jesteśmy na żywo, mam dla państwa specjalnego gościa, który zdecydował się opowiedzieć nam o wydarzeniach ostatnich dni. Przedstawiam podinspektora Jakuba Tyszkiewicza, dyrektora Biura Zwalczania Terroryzmu CBS. Dzień dobry, panie dyrektorze.

- Dzień dobry. Chciałbym zacząć od sprostowania.

- Może ja zacznę od pytania...

- W twoim programie przed dwoma dniami gościł Robert Cieński, mój były podwładny. Przedstawił się jako ofiara wyrzucenia z pracy, ponieważ protestował przeciw moim

metodom śledczym. To kłamstwo.

- Panie dyrektorze...

- Pamiętasz o zasadach, na jakie się umówiliśmy?

- Powiedział pan: kłamstwo.

- W czasie Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej sześć lat temu policjanci mojego biura zatrzymali Olę Tokarską, córkę posła Aleksandra Tokarskiego. Została zatrzymana przypadkiem, ponieważ przebywała, wraz z koleżanką z liceum, w mieszkaniu człowieka, którego podejrzewaliśmy o pomoc terrorystom.

- Co to ma wspólnego z Cieńskim?

- Cieński był operatorem grupy szturmowej, która dokonała zatrzymania. Tuż przed wejściem policjantów na teren nieruchomości Olga Tokarska wraz z koleżanką uprawiały seks z podejrzanym. Zatrzymaliśmy je do wyjaśnienia, nazajutrz zostały zwolnione.

- Seks? We trójkę?

- Tak, we trójkę. Rutynowo...

- Nadal nie rozumiem...

- ...rutynowo, przed wejściem do obiektu i w trakcie wejścia, rejestrujemy wszystko kamerą, żeby nie zgubić żadnego szczegółu i mieć materiał dla prokuratury. Tak zrobiliśmy również tym razem. Pół roku później w jednym z tabloidów ukazały się sensacyjne informacje na temat Tokarskiej i zdjęcia, z zamazanymi szczegółami, wraz z komentarzem dokładnie opisującym całą sytuację. Niemal równocześnie w mediach społecznościowych pojawił się dwuminutowy film przedstawiający Olę Tokarską w najbardziej intymnej sytuacji, już ze wszystkimi szczegółami. Olga Tokarska kilka miesięcy później popełniła samobójstwo.

- To straszne, to była głośna sprawa. Sugeruje pan związek Roberta Cieńskiego z tymi wydarzeniami?

- Nie sugeruję. Robertowi Cieńskiemu dowiedziono skopiowanie filmu z naszego serwera i sprzedanie go tabloidowi za dziesięć tysięcy złotych. Właśnie z tego powodu został zwolniony dyscyplinarnie. Poproszę kamerzystę o zbliżenie na ekran laptopa. Dziękuję. To wpis do akt Cieńskiego wraz z uzasadnieniem.

- Autentyczność dokumentu...

- Nie podlega żadnej dyskusji. W tej sprawie Robert Cieński nie jest pokrzywdzonym, tylko sprawcą czynu, w wyniku którego życie straciła młoda dziewczyna, zaszczuta przez hejterów. Korzystając z okazji, chciałbym z tego miejsca jeszcze raz szczerze przeprosić pana posła Tokarskiego, choć zdaję sobie sprawę, że niczego to już nie zmieni. Gdybym mógł

cofnąć czas, zrobiłbym wszystko, żeby nie dopuścić do tragedii. Nie mogę jednak cofnąć czasu, stąd pozostają mi tylko przeprosiny.

- Panie dyrektorze, musimy uporządkować pewne sprawy. Nasi widzowie...

- Przechodzę do rzeczy. Na dole ekranu widzą państwo adres internetowy. Jest pod nim komplet materiałów, o których zaraz opowiem, oraz transmisja na żywo naszej rozmowy, której zapis też tam oczywiście będzie. W ciągu ostatnich kilku dni miały w Polsce miejsce wydarzenia, które możemy zakwalifikować jako akty terrorystyczne. Po pierwsze, trzy dni temu zatrzymaliśmy na Ursynowie dwóch terrorystów, przy których znaleźliśmy ładunek wybuchowy, wojskowy materiał o nazwie C-4...

- A więc jednak. Wtedy pan powiedział, że to jakiś granat z drugiej wojny.

Krzepkowski popełnił ten błąd, że kilka minut wcześniej wszedł do sklepiku. Wszyscy stali i gapili się w ekrany. Tyszkiewicz wyglądał jak przypudrowany trup, mimo wszystko jednak lepiej niż wczoraj. Sendeczka nie nadążała, wyraźnie to widział, po raz pierwszy chyba zdarzyło jej się tak bardzo nie panować nad biegiem wydarzeń. Ursynów, C-4, rosyjski Iliuszyn, zamachowcy, Stinger, Sendeczka purpurowa, facet od pasków też nie nadążył z cytowaniem przekazów dnia, idzie jakaś surowizna bez znaków przestankowych, Tyszkiewicz poważny.

- Przedstawialiśmy naszym widzom Marsz Narodowy.

- Ale nie powiedzieliście, że obaj strzelcy działali z rosyjskiej inspiracji, prowadzeni przez Siergieja Apaszina, który to wszystko zorganizował.

- Dobrze rozumiem: z rosyjskiej inspiracji? Ma pan jakieś dowody?

- Na stronie <http://samolotzamacz.com> znajdziecie państwo zapisy rozmów telefonicznych Apaszina z Dmitrijem Tomkinem, formalnie szefem legalnie działającej w Polsce firmy, a faktycznie będącym agentem GRU, rosyjskiego wywiadu wojskowego. Nawiasem mówiąc, zarówno Apaszin, jak i sprawcy zamachu zostali zlikwidowani dzień po tych wydarzeniach. Zlikwidowano świadków, którzy mieliby ewentualnie coś do powiedzenia.

- Strzelanina na Wiktorskiej...

- Dostaliśmy sygnał o miejscu przebywania Apaszina, zabójcy byli szybsi, choć o mały włos nie zatrzymaliśmy ich na gorącym uczynku. Akcję okupiło życiem trzech funkcjonariuszy, czterech zostało rannych.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę. Coś się nie zgadza. Powiedział pan, że zamach był

inspirowany przez rosyjski wywiad wojskowy...

- Rosjanom zależy, żeby porozumienie z Amerykanami nie doszło do skutku. Sprawstwo Marszu Narodowego było dogodne z kilku powodów. Po pierwsze, użyto do zamachu amerykańskich rakiet, które Amerykanie dostarczają na Ukrainę w ramach pomocy wojskowej, łatwo więc oskarżyć USA o wspieranie terroryzmu. Po drugie, polskie kontakty z Ukraińcami zostały przedstawione jako dogadywanie się przeciwko Rosji.

- To są fakty. Doradca polskiego ministra spraw wewnętrznych rozmawiał z Bogdanowiczem, szefem Marszu Narodowego.

- Nie odpowiadam za głupotę i krótkowzroczność polityków.

- Ale pan dla nich pracuje.

- Wszyscy gdzieś pracujemy. Od wtorku ty też będziesz pracowała dla nowego układu.

- Jestem dziennikarką...

- Tożsamościową, wiem.

- Zostawmy to. Oskarża pan Rosjan, że zorganizowali...

- Inspirowali.

- Inspirowali zamach na własnego ministra. Czemu pan się śmieje?

- Ponieważ to nie był ich minister.

- Słucham?

Operator zrobił zbliżenie na przedzielony pionową kreską ekran laptopa. Po obu stronach odciski palców, już z daleka wyglądające na różne. Ciekawe, ciekawe. Krzeptowski poczuł, że ktoś mu wciska w dłoń kubek z kawą.

- Po lewej widzą państwo linie papilarne zdjęte z ofiary katastrofy, osoby, którą rosyjska delegacja pod przewodnictwem pułkownika Kalinina zidentyfikowała ponad wszelką wątpliwość jako ministra spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej. Po prawej widnieją odciski prawdziwego ministra. Na podanej przeze mnie stronie jest ich więcej, wraz z opisami okoliczności, w których zostały pobrane. Widać, że mamy tu dwa różne wzory papilarne. Wniosek stąd taki, że osobą, która poniosła śmierć w wyniku zestrzelenia samolotu, nie był minister, a ktoś, nie wiem, w rodzaju sobowótora.

- To nieprawdopodobne.

- Proszę zerknąć na ekran. Każda analiza potwierdzi to, co mówię.

- Skąd mogę wiedzieć, że te odciski są prawdziwe?

- Odciski ofiary są częścią raportu przygotowanego przez Komisję Badania Wypadków

Lotniczych. Będą niebawem publicznie dostępne. Linie papilarne prawdziwego ministra? No cóż, to rzeczywiście trudniejsze. Musimy w tej kwestii zaufać naszym służbom.

- Nie wierzę...

- Wtedy rosyjskie sprawstwo wydaje się już bardziej logiczne, prawda?

- Nie, nieprawda. Co w takim razie stało się z prawdziwym ministrem?

- Nie do mnie pytanie. Rosja jest wielkim krajem. Łatwo się ukryć przed opinią publiczną.

Bracia Pieniążek, Garrison, syn Tomkina. Ktoś ładnie wykonał infografiki. Kolorki może dobrane na chybcika, ale ogólnie wszystko jasne i klarowne.

- Skurwysyn - mruknął Krzeptowski. Kika kręciła głową, myśląc, kiedy wyjdzie na jaw jej udział w przygotowaniu materiałów. Barbara chciała jak najszybciej wrócić do domu, do męża i dzieci. Smotrycz zastanawiał się nad sposobami zatarcia śladów na serwerach. Wenderlich kłął, miał jeszcze sporo zaległego urlopu, chciał go od razu wykorzystać. Goździk stwierdził, że wszystko mu jedno, wiedział, że znajdzie pracę w sektorze prywatnym, nawet już wykonał kilka telefonów tu i tam.

Tylko Olbrycht, kompletnie pijany, trzymał się zasady, że w weekend nie ogląda programów telewizyjnych.

- Kolejna firma należąca do braci Pieniążków nazywa się SPO Optoelectronics. Pięć lat temu, pod koniec kadencji poprzedniego rządu, otrzymała wart blisko miliard złotych kontrakt na modernizację układów obserwacyjno-celowniczych oraz termowizyjnych w polskich czołgach Leopard A4 oraz A5. Wstępne porozumienie zostało podpisane przez stary rząd, nowy od razu je unieważnił, co zresztą skończyło się w sądzie.

- Sugeruje pan, że bracia Pieniążek działali z pobudek osobistych?

- Każdy działa z pobudek osobistych, ja, ty, wszyscy. Każdy. Nie ma innych pobudek.

- Widzę, że jesteś niereformowalny, więc okej, przejdźmy w końcu na ty. Ty też działasz?

- Oczywiście.

- Więc jaki interes chcesz załatwić?

- Kończąc temat celowników do czołgów, na stronie znajdą państwo kopię ekspertyzy prototypu takiego urządzenia, dokonaną w instytucie badawczym jednego z naszych największych zakładów zbrojeniowych. Jest to prototyp przekazany przez SPO Optoelectronics do testów. Otóż ekspertyza ta wykazuje wadliwość działania urządzenia po

kilku godzinach używania w warunkach bojowych. Wszystkie testy początkowe przechodzi wzorowo, po jakimś czasie odczyty są stopniowo coraz mniej dokładne, aż do całkowitego rozstrojenia, które następuje bardzo szybko.

- Usterka?

- Raczej sabotaż. Chodzi o to, że w warunkach bojowych po kilku godzinach konfliktu wszystkie nasze Leopardy by oślepyły. Stałyby się wartym miliardy złomem. Domysły, co mogłoby to oznaczać w razie prawdziwego starcia, zostawiam państwu.

- Twoja opowieść wygląda na fantazję rodem z kiepskiego thrillera z czasów zimnej wojny.

- Na stronie jest folder zatytułowany „Celowniki”, gdzie umieściłem zdjęcia, opisy, wyniki ekspertyzy, analizę porównawczą z innymi systemami. Pozwól widzom wyrobić sobie własną opinię. Nie myśl za nich.

Krzepkowski dopił kawę i wyszedł. Reszta go nie interesowała. Była prywatną wojną Tyszkiewicza, a jego nie interesowały prywatne wojny.

- Poproszę o zbliżenie na ekran laptopa.

- To jakieś zabytki? Na co patrzymy?

- Kiedyś byłem żołnierzem, służyłem w Iraku i Afganistanie. Słyszałem plotki o handlu dziełami sztuki na ogromną skalę, ale to były tylko plotki, jakich wiele. W Afganistanie odkryłem, że grupa oficerów dokonuje oszustw z wpisywaniem się na lewe patrole, wskutek czego otrzymują oni dodatkowe wynagrodzenie, jako że każdy udział w patrolu był płatny. Wybuchła afera, grupa broniła się, wysuwając z kolei wyssane z palca oskarżenia o zbrodnie wojenne przeciw mnie. Sąd całkowicie mnie uniewinnił, im udowodnił winę. Zostali wyrzuceni z wojska, ale ja też jakiś czas później zostałem wyrzucony.

- Robiłam o tym program.

- Lepiej, żebyś o tym nie wspominała. Nie było w nim wiele prawdy.

- Zarzucasz mi kłamstwo?

- Manipulację. To nie to samo.

- Dziękuję. Kończymy rozmowę.

- Sądząc po tym, jak komentują twój program internauci, chyba nie powinnaś.

- Ja sama...

- Siadaj. Każdy popełnia błędy. Zaraz kończymy.

- Dziwię się, że to robię.

- Robisz to dla widzów. Wracając do tematu. Zacząłem się zastanawiać, jakie interesy naruszyłem. Kilkaset dolarów za lipne patrole nie powinno powodować aż takiej wściekłości. Przyjrzałem się zwolnionym oficerom. Wszyscy dostali niskie wyroki w zawieszeniu. Kilku poszło na emerytury. Trzej najbardziej aktywni zaczęli pracować w Garrisonie. Zacząłem węszyć wokół Garrisona i aktywności tych trzech, na czele z podpułkownikiem Piotrem Komudą.

- Nie powinnam tego mówić na wizji, ale nadal nie rozumiem.

- Kilka godzin przed naszym nalotem na Garrisona na Okęciu wylądował wojskowy Hercules. Przywiózł kilku oficerów, szkolących tamtejsze siły bezpieczeństwa, którzy kończyli zmianę. Oprócz tego na pokładzie znajdował się Ksawery Wroński, były dowódca drugiej kompanii w moim batalionie. A także dwie skrzynie nieujęte w manifeście przewozowym. Na ekranie widzimy ich zawartość.

- Te przedmioty wyglądają na bardzo stare.

- Tak. Najmłodszy ma tysiąc trzysta lat. Nagrobek z Kufy z czasów Mahometa. Płaski kamień z inskrypcją zapisaną pismem klinowym z okresu ksiąząt sumeryjskich. Popiersia władców sumeryjskich sprzed czterdziestu wieków. Rydwan. Marmurowa maska sumeryjskiej bogini. Tabliczka z kości słoniowej przedstawiająca lwa pożerającego nubijskiego niewolnika. W skrzyniach był towar za pół miliona dolarów, lekko licząc.

- Przyleciał wojskowym samolotem?

- W okresie swego panowania Saddam Husajn zgromadził warte miliardy zbiory starożytnej sztuki, sumeryjskiej, babilońskiej, staroegipskiej, arabskiej. Po inwazji Amerykanów część z nich zaginęła, mimo objęcia przez ONZ embargiem handlu dziełami sztuki. Garrison zawarł dzięki Amerykanom kilka kontraktów na ochronę rozmaitych obiektów w Iraku. Między innymi muzeów. I zatrudniał fachowców od przemytu do Polski, bezpośrednio, albo nawet częściej, via Afganistan. Korzystali z wojskowego transportu, co było wygodne, bo samoloty wojskowe nie są tak skrupulatnie kontrolowane. Komuda był szefem komórki afgańskiej, odpowiadał za przeładunek towaru i wysyłanie go do Polski, gdzie przejmował go Tomkin.

- Tomkin?

- Tak, Dmitrij Tomkin, agent GRU, tak zwany nielegal. Dzięki niemu dzieła sztuki z Polski szły na Wschód, gdzie były kupowane przez bogatych Rosjan.

- Nie rozumiem. Dlaczego Rosjanie nie robili tego na własną rękę?

- Bo oficjalnie w Iraku ich nie było, w Afganie raczej mają słabe kontakty po swojej działalności w latach osiemdziesiątych. My, ze swoimi relatywnie słabymi służbami

granicznymi, byliśmy idealni. W razie wpadki wszystko zostawało po polskiej stronie, GRU było niewidoczne.

- Chcesz powiedzieć, że rosyjski wywiad wojskowy zajmuje się handlem dziełami sztuki?

- Myślisz, że tylko rosyjski? Beata, każdy wywiad jest tym lepiej widziany przez swych włodarzy, im więcej zarabia na swoją działalność, prawda?

Na tym skończyli. Jakub zatrzasnął laptopa, włożył do torby, odpiął mikrofon, mruknął „do widzenia” i zniknął.

Sendecka siedziała bez ruchu, próbując ochłonać. Na monitorze skończył się blok reklamowy. Carmen Volta weszła na wizję, uśmiechnęła się ponuro i zapowiedziała ponowną zmianę pogody. Od jutra miał padać deszcz.

Ciąg dalszy nastąpi...

Od Autora

Czytelniku, jeśli dotarłeś do tego miejsca, zapewne oznacza to, że jesteś już po lekturze „Mgły”. Może Ci się wydawać, że przedstawione wydarzenia mają jakieś odniesienie do bieżącej sytuacji politycznej bądź są nią inspirowane. Tak nie jest. Bieżąca polityka jako tło powieści nie interesuje mnie z racji swej tymczasowości. Dzisiejsze sojusze jutro nie mają znaczenia, wczorajsze bitwy nikogo zaś nie obchodzą. Wszelkie zatem podobieństwo do realnych wydarzeń czy osób jest niezamierzone, starałem się być jak najdalej od wszelkich podobieństw. Moim celem było opisywanie mechanizmów, a nie nadawanie im bieżących konotacji.

Bardzo dziękuję mojej żonie Kasi za wszechstronny wysiłek włożony w pracę nad tekstem, dzięki czemu musiałem przemyśleć kilka istotnych kwestii, przy czym nie obyło się bez burzliwych dyskusji. Dziękuję także zaprzyjaźnionemu operatorowi Jednostki Wojskowej 2305 (nie dostałem upoważnienia do ujawnienia jego pseudonimu), z którym przegadałem wiele godzin o taktyce, broni, zasadach panujących wśród specjalsów i były to, z różnych powodów, bardzo pouczające rozmowy. Wicedyrektor Biura Operacji Antyterrorystycznych Mirosław Wypych wraz z wieloma jego funkcjonariuszami służyli mi ogromną pomocą, umożliwili wzięcie do ręki Glocka czy H&K MP-5 i strzelanie z nich, dzięki czemu mogłem przekonać się, jak niełatwa to sztuka. Dr Krzysztof Liedel był do mojej dyspozycji podczas omawiania spraw związanych z międzynarodowym terroryzmem, a pilot Aleksander Szumski objaśnił mi zasady obowiązujące podczas lądowania samolotu na lotnisku. Nadkomisarz Tomasz Majewski przedstawił kilka sposobów działania oddziałów prewencji oraz procedury użycia broni w niektórych specyficznych przypadkach. Korzystając z eksperckiej wiedzy wyżej wymienionych, starałem się dochować należytej staranności przy pisaniu, jeśli jednak zdarzyły się błędy, idą wyłącznie na moje konto.

Marcin Ciszewski